



Linda Evangelista
Namiętność

Wykonanie
Irma Noga

LOUISE BAGSHAWE

NAMIĘTNOŚĆ

Wydawnictwo Trzecia Noga
Warszawa 2011

Tytuł *oryginału*:
Passion

Copyright ©2009 by Louise Bagshawe

Tłumaczenie:
Aleksandra Kubiak

Redakcja:
Natalia Kawalko

Korekta:
Elżbieta Wójcik

Projekt okładki:
Amadeusz Targoński

Fotografie na okładce:
© Ivan Bliznetsov | Dreamstime.com
© Konradbak | Dreamstime.com

Skład, przygotowanie do druku:
Typo2 Jolanta Ugorowska

Druk i oprawa:
TZG Zapolex

Copyright for Polish edition
© Wydawnictwo Trzecia Noga, 2011

Wydawnictwo Trzecia Noga
ul. Sułkowskiego 2/2
01602 Warszawa
tel. 22/403 4806
e-mail: wydawnictwo@trzecianoga.pl

ISBN 9788362885022

Dystrybucja:
TROY, ul. Porcelanowa 13,
40246 Katowice
tel. 32 / 258 95 79
www.troy.net.pl

*Dedykuję tę książkę Harrie Evans
– wspaniałej redaktorce i przyjaciółce*

Podziękowania

Szczególne podziękowania należą się Harrie Evans za dokładne przeczytanie *Namiętności* i wytknięcie mi każdego, najmniejszego niedociągnięcia. Jest gorsza od mojej mamy! Dzięki temu niniejsza książka stała się o wiele lepsza, a ja pozostaję ogromnie wdzięczna. Dziękuję również Michaelowi Sissonsovi, mojemu fantastycznemu agentowi, za zaopiekowanie się kolejną książką, tolerancję dla dzieciaków, polityki i wielu innych czynników zakłócających pracę. Wyjątkowe podziękowanie kieruję do całego zespołu wydawnictwa Headline, który sprawia, że przy minimalnym wkładzie pracy z mojej strony, każda kolejna książka jest lepsza od poprzedniej. Osoby, którym należą się szczególne podziękowania, to: Martin Neild, Jane Morpeth, Kerr MacRae, Louise Rothwell, Lucy Le Poidevin, Emily Furniss, Peter Newom, James Horobin, Katherine Rhodes, Diane Griffith, Paul Erdpresser oraz Celine Kelly.

Prolog

Dymitr przesunął fotografię po biurku.

Znajdowali się na czwartym piętrze bliżej nieokreślonego, nijakiego biurowca. Za oknami, na Königstrasse, właśnie zaczynały się godziny szczytu. Był w pracy już od czterech godzin.

Polowanie rozpoczęte.

– Pierwsza.

Agentka wzięła do ręki fotografię i przez chwilę przyglądała się jej. Na zdjęciu uśmiechał się przystojny mężczyzna w szykownym stroju wieczorowym. Stojąca obok niego wychudzona brunetka miała na sobie czerwoną, satynową suknię. Zerkało na nich kilkoro gości, a on zdawał się być niezmiernie usatysfakcjonowany, znajdując się w centrum zainteresowania.

– Miał pieniądze i władzę.

– Już niedługo będzie martwy.

– Żaden problem.

– Kolejna podsunął następną fotografię. – Pewnie jej nie poznajesz. Nie jest aż tak ważna.

– Masz nazwisko i adres?

– Oczywiście.

I właściwie ofiara już była martwa. Agentka tylko wzruszyła ramionami – to było oczywiste. Dymitr zerknął na nią zza biurka, sprawdzając jej reakcję.

Nazywała się Lola Montoya i naprawdę była wredną suką. A on dopiero po raz trzeci zatrudni kobietę. Dwie poprzednie nie skończyły najlepiej i większość szefów z jego branży nie miała w zwyczaju wynajmować kobiet. Ta była inna. Dymitr musiał się nieźle napocić przez cały miesiąc, tylko po to, żeby się z nią skontaktować. Stawki miała zawrotne, bo należała do najlepszych zabójców na świecie, a już na pewno była najlepszym zabójcą wśród kobiet. Przyjrzał się jej imponującemu ciału: obfite piersi, jędrny tyłek, wąskie biodra. Niestety jej śliczną twarz psuły oczy: bladoniebieskie i zimne jak lód.

Skuteczna i bezlitosna.

Skupił się ponownie na ofiarach.

– Trzecia to polityk. Amerykanka, więc będzie solidna ochrona.

To wydało się jej już nieco bardziej interesujące. Dymitr położył najświeższe zdjęcie.

– Amerykańska senator z koneksjami w naszym fachu. Podobno pod ochroną Mossadu.

– Mossad jest przereklamowany – odparła z delikatnym uśmiechem.

– Tak uważasz?

– Mam kilku na koncie. I tych, których ochraniają, też.

– Dla ciebie wszyscy są przereklamowani.

– Z tymi celami nie będzie najmniejszego problemu – dziewczyna zaczynała się nudzić. – Pójdzie gładko jak z profesorem. Tydzień, góra dziesięć dni. Kasę prześlij na moje konta. Mogę być w samolocie w ciągu godziny.

Dymitr przytaknął. Nie było sensu spierać się z nią, że zapłata pojawia się po wykonaniu zadania. Najlepsi specjaliści wykorzystują swoją reputację. A on, gdy tylko załatwi tę drobnostkę dla grupy swoich światowych klientów, będzie nie do ruszenia. Cena naprawdę nie grała tutaj roli.

- Wszystko zostanie za chwilę uregulowane – przytaknął.
- Wtedy się odezwę. To wszystko?

Omiał znów nie przytaknął, ale po namyśle wyjął z szuflady jeszcze jedną fotografię. Przyjrzał się jej: młoda dziewczyna, długie, brązowe włosy, jasna skóra, bardzo ładna. Miała około osiemnastu lat, grała w hokeja w szkolnym stroju. Obowiązkowa granatowa spódniczka, ciemne skarpetki, korki i pasująca do jej cery jasnoniebieska koszulka. Żadnego makijażu. Pełnia życia.

Nagle ta fotografia wydała mu się niezwykle erotyczna.

- Wie o wszystkim? – zapytała Lola.
- Skądże – odparł tajemniczo i wzruszył ramionami – ale i tak ją zabij. Na wszelki wypadek. Teraz jest starsza, wykłada na Oksfordzie.
- W porządku. Kto to?
- Córka – odparł.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przeszłość

Byla jego namiętnością. Wiedział to od chwili, kiedy spojrzał na nią po raz pierwszy.

– Will – John Campbell szturchnął go w łokieć – skup się do jasnej cholery! Zjeżdżaj na linię autową!

– No już – przytaknął niechętnie i z trudem przeniósł wzrok ze smukłej sylwetki na linię boczną.

Stała, przyglądając się grze z tym skupionym wyrazem twarzy, jaki ma większość dziewczyn niemających bladego pojęcia o jej regułach. Miała na sobie obciste džinsy i wełniany sweter, który wyglądał na pożyczony od chłopaka. Kimkolwiek on był, Will już go nienawidził.

Jej twarz otaczały długie, błyszczące, kasztanowe włosy. Usta miała pełne, policzki zaróżowione od zimna. Uśmiechała się do kogoś. Do Marka Crosby'ego z Hertford, który był właśnie przy piłce. Podrzucił ją i posłał do swoich.

Will wyskoczył i z łatwością przejął piłkę. Usłyszał tylko wściekle: „Kurwa!”. To dopiero był wyskok. Teraz powinien przekazać piłkę obrońcom, ale zamiast tego wcisnął ją sobie pod pachę i ruszył w stronę linii. Z boku dochodziły okrzyki i wrzaski. Wyobrażał sobie, że ona patrzy teraz na niego. Rzucili się na niego

najlepsi gracze Hertford – pozbył się ich wszystkich niczym much. Crosby złapał go z tyłu za nogi. Rozpoznał go po sposobie, w jaki jego stopy odbiły się od błotnistej murawy. Will zauważał takie drobiazgi. Wykręcił nogę, odpychając przeciwnika. Na boisku pełnym wysportowanych studentów to Will Hyde przejrzał ich wszystkich na wylot: był najsilniejszy i najbardziej zdeterminowany.

Płuca niemal błagały o powietrze, a on biegł dalej. Już niedaleko. Już widział linię, ale znów czterech gnojków uczepiło się go jak rzepy psiego ogona, próbując odciągnąć go, jak najdalej od zabilonej kredą trawy. Will wyciągnął ramiona, stękając z wysiłku. Mięśnie ud naprężyły się pod skórą niczym stalowe liny. Nie byli w stanie go powstrzymać. Wyciągnął rękę pewnie trzymającą piłkę i przyłożył – perfekcyjnie – 5 centymetrów za linią.

Cała drużyna Oriel dosłownie się na niego rzuciła, wiwatując z radości. Rozległ się sędziowski gwizdek, a ci z Hertford, chcąc nie chcąc, musieli odpuścić. Mark Crosby splunął ze złością.

„Pieprzyć go – pomyślał Will – forsiasty sukinsyn”.

Crosby odziedziczył browar w Oksfordshire. Jego rodzice mieszkali na plebanii Queen Anne, a on woził tyłek swoim samochodem marki MG po całym mieście i uchodził za świetną partię.

Will nie był uważany za dobrą partię – nie miał rodziców, wychowywał się w domu dziecka Barnardo's. Pracownicy byli fantastyczni, ale często się zmieniali. Jako mały chłopiec Will był często wyśmiewany i szybko nauczył się sam radzić sobie w życiu. Zaangażował się w sport: bieganie, a potem podnoszenie ciężarów. I uczył się – szczególnie polubił matematykę. To taka czysta,

klarowna nauka, żadnych emocji, a Will zawsze starał się je tłumić. Z ich okazywania nic dobrego nie wynika.

Życie Willa jako małego chłopca było mieszanką tęsknoty i nadziei: chciał zostać adoptowany, a jednocześnie marzył, że wróci po niego jego biologiczna matka. Małżeństwa, które pojawiały się w domu dziecka, zwykle szukały malutkich dzieci, więc im Will był starszy, tym bardziej beznadziejna stawała się jego sytuacja.

Starał się jakoś trzymać, był twardy jak większość dzieciaków. Nikt ich nie zaniedbywał, wszyscy traktowali ich serdecznie, no i Will miał przyjaciół. Niektórzy z nich pojawiali się i znikali, wciągani przez system kierujący do rodzin zastępczych i oddawani przez niego. Will był silnym chłopcem, wyglądał na starszego niż był w rzeczywistości i nikt go nie chciał. Z czasem zaczął preferować poczucie stabilizacji, które dawały mu dom dziecka i szkoła. W szkole radził sobie dobrze, a nauczyciele dodatkowo go motywowali: „Możesz iść na uniwersytet – do Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej, do Oksfordu czy nawet Cambridge. Możesz odnieść wielki sukces. Były przecież w Barnardo's takie dzieci, którym się w życiu udało”.

Will rozumiał to wszystko – te miłe, przyjazne słowa. To nie tak, że ich nie doceniał. On po prostu wiedział, jaka jest różnica między życzliwością a miłością. Może i mógł odnieść sukces, może i tak, ale tym, czego pragnął ponad wszystko, była miłość.

Matematyka stała się dla niego ucieczką od samotności. Na angielskim, lekcjach języków obcych i historii mówiło się o ludzkości, z całą jej brutalnością. Will wołał nauki ścisłe. Szczególnie

upodobał sobie tę chłodną poezję i niezmaconą logikę, jaką odnalazł w matematyce.

Był utalentowany i silny – ćwiczył, bawił się z przyjaciółmi z domu dziecka i uczył się. Gdy kończył szesnaście lat, większość z tych przyjaciół osłabła, bo Will tak bardzo wszystkich przewyższał. Ale mimo to parł dalej, chciał ruszyć w prawdziwy świat. Pojechał na rozmowy wstępne do Oksfordu, na których wypadł znakomicie, oraz rewelacyjnie zdał egzamin pisemny. To była zapowiedź wielkiej ucieczki – życie Willa, jego własne życie, wreszcie mogło się rozpocząć.

Między nim, a Markiem Crosbym była więc wielka społeczna przepaść. No i co z tego? Na uniwersytecie byli sobie równi. Crosby miał kasę, ale Will Hyde był silniejszy.

Przyjął pozycję, a łącznik ustawił się do kopnięcia. Piłka poszybowała między słupkami, a Will przy okrzykach fanów Oriela ponownie spojrzął na linię autową.

Była tam. Wzruszyła znacząco ramionami, patrząc na przeklinającego Marka. Will przyjrzał się jej: była zachwycająca, piękna, żywiołowa i to współczucie wymalowane na ślicznej twarzy. Wyglądała tak kobieco w tym luźnym swetrze.

Sędzia odgwizdał koniec meczu, a Crosby popchnął Willa i powiedział.

– Łapy przy sobie, to moja dziewczyna.

– Czyżby? To dlaczego tydzień temu widziałem cię z Lisą Smith w barze w Union?

Wcisnął wtedy tę dziewczynę prawie pod stół i wetknął jej język do gardła.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – wyszczerzył zęby Crosby. – Ona nawet nie jest z Oksfordu, chodzi do St. Mary.

Will był zaskoczony. Spojrzał ponownie na dziewczynę. Uczennica?

– Nie bój nic, ma siedemnaście lat. Wszystko legalnie.

– Sypiasz z nią?

Sam się zdziwił, że o to zapytał.

– A jak myślisz? – Crosby zaśmiał się szyderczo.

Will wiedział, że kłamie, więc odetchnął.

– Odczep się od niej, Mark. Chcę się z nią umówić.

– Powiedziałem przecież, że to moja dziewczyna – odparł beczelnie Crosby.

Will odwrócił się do niego. Crosby grał na pozycji filara, jak Will, ale to Will miał dziewięć kilo solidnych mięśni. Poza tym wszyscy wiedzieli, z jakiego środowiska pochodzi, i nikt nie chciał zadzierać z takim gościem jak on.

– Już nie – powiedział Will.

Podszedł do niej, nie czekając na reakcję Crosby'ego. Dziewczyna czekała na Marka, który właśnie zaczął rozmawiać z kórimś z zawodników.

„Tchórz” – pomyślał Will.

Dziewczyna patrzyła w jego kierunku, widziała jak pokonał jej chłopaka. W jej oczach zobaczył wyraźny błysk zaciekawienia.

– Cześć – powiedział – jestem Will Hyde.

– Niezła akcja – odparła, wydając się rozbawiona dwuznacznością całej sytuacji.

Podobała mu się. Uśmiechnął się.

– Melissa Elmet. Jestem tu z Markiem Crosbym. Nie sądzę, żebyś był teraz jego ulubieńcem.

- Nie zrozum tego źle... – odparł Will z uśmiechem.
- Jasne... – ona też się uśmiechała.

Poczuł się znakomicie. Nadają na tych samych falach. Ośmielony, mówił dalej:

– Mark nie jest złym facetem, ale nie jest dla ciebie. Uganiam się za wieloma dziewczynami na uniwerku. Tydzień temu sam widziałem jak całował się z jakąś w barze. Nie była nawet w połowie tak ładna, jak ty.

Melissa musiała jakoś to przetrwać. Wyglądała na lekko poirytowaną:

- Naprawdę?
- Tak – odparł poważnie – dasz się zaprosić na jakiś lunch?
- Nie wiem. A *ty* nie masz żadnych dziewczyn?
- Żadnej – pokręcił przecząco głową.

To była prawda. Jak większość zawodników rugby, miał kilka przygód na jedną noc, ale nic poza tym.

- W takim razie zgadzam się – powiedziała.

Widział jak omiotła wzrokiem jego zabłocone ciało i zarumieniła się. Był oczarowany – jaka dziewczyna w dzisiejszych czasach się rumieni?

– Świetnie. Tylko się przebiorę. Mogę gdzieś po ciebie podjechać?

– Wolałabym spotkać się w restauracji. Mniej tłumaczenia rodzicom.

- Rozumiem.
- Gdzie?

Teraz to Will miał się zawstydić, ale musiał jakoś sobie z tym poradzić. Spotykała się z Markiem, a Mark miał pieniądze.

– To musi być jakieś tanie miejsce. Mam kredyt studencki, pracę na nocną zmianę w klubie, ale niewiele z tego wyciągam.

Nawet nie drgnęła.

– To może Blue Boar? Niedaleko twojej uczelni. I mojej.

– Świetnie – powiedział i po chwili dodał. – Twojej uczelni?

– No, mojego taty. Mój ojciec to Richard Elmet...

– Znam go – po raz pierwszy Will miał jakieś złe przeczucie.

Był na kilku dodatkowych wykładach profesora Elmeta. Jak to możliwe, że ta cudna dziewczyna jest jego córką? Taka radosna, roześmiana. A Elmet, genialny fizyk, był impulsywnym, zgorzkniałym człowiekiem, surowym dla studentów, oczekującym perfekcji. Will go nie lubił. Gość miał obsesję na punkcie zmian klimatycznych. Uważał, że cała ta teoria o globalnym ociepleniu powodowanym przez człowieka jest tylko idiotycznym sianiem paniki i że on ją obali. Był kimś pomiędzy geniuszem a wariatem.

– Adoptowali cię?

Szturchnęła go.

– Tata nie jest taki zły.

Nie wnikał.

– O wpół do drugiej?

– OK, Will – kolejny olśniewający uśmiech.

W szatni od razu otoczyli go koledzy, drażniąc się z nim i pokrzykując.

– Córka profesora – powiedział Jock. – Lepiej uważaj, Hyde.

– Zamknij się – odburknął Will.

Zawiązał buty i uśmiechnął się do siebie. Była fantastyczna, jak przebłysk słońca zza kłębow chmur. Będzie musiał to mądrze rozegrać.

– Coś mi się zdaje, że się zadurzył – powiedział Peter Little, grający na pozycji młynarza.

Will nie odezwał się ani słowem, głównie dlatego, że jemu też się tak wydawało.

Melissa czekała na niego o wpół do drugiej. Zamówiła tanią rybę z frytkami i kawałek jabłecznika. W przyszłym roku miała egzaminy końcowe w szkole – angielski, historia i francuski. Jak wszystko dobrze pójdzie, to będzie studiowała historię na Oksfordzie. A potem? Kto wie? Chciała przygód.

A Will pragnął tylko się ustatkować. Zdobyć dobrą pracę i mieć ładny dom. Prawdziwy dom. Nie chciał mówić o sobie, ona była znacznie bardziej interesująca. Ale delikatnie, zgłębiając temat, wyciągnęła z niego prawdę. Jej współczucie było autentyczne, ale nie przesadzone. Powiedziała, że jej przykro i skupiła się na jego przyszłości. Miał wrażenie, że była dziewczyną żyjącą tylko w przyszłości. To dosyć niezwykle, biorąc pod uwagę jej dom. Zaprosił ją do kina.

– Chętnie. Dzięki. Z przyjemnością – spojrzała mu prosto w oczy, a Will miał wrażenie, że zrobiła to z przymusu. Spojrzenie było energiczne, ale i lekko nieśmiałe. – W każdej chwili. Mogę zdobyć bilety.

– Ja zapraszam, więc ja kupuję – uśmiechnął się. – Chodzi tylko o to, że nie mogę zabrać cię w żadne drogie miejsce.

– Mogę się dorzucić.

Pokręcił głową na tyle stanowczo, że nie próbowała już dalej się sprzeczać. Widziała, że mówi poważnie.

– Mogę przyjechać po ciebie do domu? – zapytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Lepiej nie. Mówiłam już, że w domu krzywo patrzą na chłopaków.

Nie wnikał. Mógł poznać jej rodziców później, dużo później. Ważne, że się zgodziła. Jeszcze się z nią spotka.

Po wyjściu z kina pozwoliła mu odprowadzić się do domu. Na kolejnej randce pocałował ją. Była zakłopotana, niewprawiona. W jego ramionach lekka niczym dmuchawiec. Will wręcz płonął z pożądania, ale z wielkim trudem je w sobie zwalczył. Zupełnie nie była jeszcze na to gotowa. Większość dziewczyn nie mogła się wręcz doczekać, by pójść z nim do łóżka: biedny czy nie biedny, był świetnie zbudowanym, przystojnym zawodnikiem rugby, a przy tym miał opinię inteligentnego chłopaka. Fakt, że przebywał w domu dziecka, działał jeszcze dodatkowo podniecająco, choć większość z nich nie było na tyle bezczelnych, by to przyznać. Był dzieckiem ulicy, twardzielem, ryzykantem.

Melissa Elmet nigdy nie myślała o nim w ten sposób. Była uczennicą, ale w szóstej klasie. Bardzo bystra, nieco spragniona miłości. Jej rodzice to skryci ludzie, lecz ona tego po nich nie odziedziczyła – była urocza i odważna. Kiedy jechali na piknik –

romantycznie i tanio, więc zdarzało się to dość często – zawsze chciała wspinać się na drzewa albo ściągać rajstopy i brodzić w strumieniu.

Była seksowna, rezolutna, wesola... bardzo wesola. Im częściej Will się z nią widywał, tym bardziej chciał ją znowu spotkać.

Zakochał się. Starał się do tego nie dopuścić – miał tylko dwiętnaście lat, a ona siedemnaście. Wiedział, że to bardzo wczesnie, ale to było silniejsze od niego. Widział jej obawy. Widział jak stara się mu oprzeć, ale jej wysiłki spełzyły na niczym. Melissa też musiała ulec. Kiedy przyjeżdżał na miejsce randek, zawsze już tam była, czekała, a na jego widok w jej oczach pojawiał się błysk, twarz jaśniała jak dziecku w święta Bożego Narodzenia. Ciekawiło ją wszystko, co lubił. Jej palce muskały jego klatkę piersiową, bawiły się mięśniami ramion, a serce waliło jak młot za każdym razem, gdy się do niego zbliżała – oddech przyspieszał, rozszerzały się źrenice. Czekanie na nią było najtrudniejszą rzeczą, z jaką kiedykolwiek musiał się zmierzyć, ale i z tym dał sobie radę, przecież był zakochany.

Tydzień po jej osiemnastych urodzinach dwaj kumple, z którymi mieszkał Will, pojechali do Dublina na mecz Pucharu Pięciu Narodów¹ na Lansdowne Road.

¹ Cykliczne, najważniejsze międzynarodowe zawody rugby w Europie. Od 2000 roku, po dołączeniu drużyny włoskiej, nazwę zmieniono na Puchar Sześciu Narodów (Six Nations Championships) (przyp. tłum.).

Willa nie było stać na bilet i przelot bez względu na to, czy były tanie, czy drogie. Ale nie przeszkadzało mu to zupełnie – miał teraz dla siebie ten ich obskurny domek. Zaprosił Melissę na kolację.

Przyszła. Był ciepły, wiosenny wieczór. Na Walton Street zapadał zmierzch. Studenci jeździli na rowerach, a jaskółki pikowały nad Worcester College. Za swoją ostatnią pracę Will dostał piątkę, a wykładowcy byli przekonani, że otrzyma wyróżnienie. Mimo że był przemęczony pracą na dwa etaty, wszyscy mówili, że czeka go świetlana przyszłość. Odkładał pieniądze i wykosztował się na butelkę szampana z domu towarowego w Victoria Wine, połędwicę wołową i truskawki. Opuścił zasłony w niewielkim, wiktoriańskim saloniku, wysprzątał dom i napalił w kominku. Był szczęśliwy i bez troski. Zdał sobie sprawę, że czuje się tak każdego dnia, gdy jest z nią. Dlatego, że go kochała, a on kochał ją. Wspomnienia z dzieciństwa pierzchały, gdy znajdowała się obok. Melissa wypełniła pustkę. To nie zwykle zauroczenie – był tego pewien. Minęło już kilka miesięcy. Ta dziewczyna stała się jego życiem.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy zapukała do drzwi. Otworzył i zobaczył ją – w pięknej, bawełnianej sukience – białej w różowe róże – i jedwabnym, jasnożółtym sweterku. Długie włosy opadały luźno na ramiona, na twarzy lekki makijaż, a na ustach ponętny błyszczący, który Will miał ochotę natychmiast scałować.

– A gdzie Matt i James? – rozejrzała się, gdy zamknęła drzwi.

– Do niedzieli w Irlandii.

– To dlatego tu tak czysto – roześmiała się, spoglądając na niego. – Na pewno jestem tu z tobą bezpieczna?

– Ze mną zawsze będziesz bezpieczna – uśmiechnął się i pocałował ją. Jej usta były tak miękkie i uległe. – Cieszę się, że jesteś.

Naprawdę się cieszył. Tak miał wyglądać idealny świat. Tak bardzo, szczerze cieszył się, że ją widzi. Ta radość przepelniała całe jego ciało.

– Wejdz, Missy, poczęstuj się szampanem.

Poszła za nim do salonu i aż mruknęła z zachwytu. W kominku trzeszczały sosnowe gałązki.

– Co świętujemy?

Podał jej kieliszek wypełniony po brzegi schłodzonym, złotym, musującym napojem.

– Twoje urodziny. Nas. Przyszłość.

Melissa stuknęła swoim kieliszkiem o jego i oboje wzięli po łyku. Odchyliła lekko głowę, a jej włosy błysnęły w poświacie migoczącego ognia. Nagły przypływ pożądania był tak intensywny, że Will aż odczuł to fizycznie.

Delikatnie wyjął jej z dłoni kieliszek i razem ze swoim odsta-
wił na stół. Dotknął jej twarzy, nachylając ją ku sobie. Objął ją
lewym ramieniem, przysunął do siebie na tyle blisko, że czuł cie-
pło krwi krążącej w jej ciele, widział rozchylające się wargi. Pra-
wa dłoń delikatnie pieściła piersi przez sukienkę, a on poczuł, jak
jej ciało odpowiada na dotyk.

– Will... – szepnęła – ja nigdy... nie wiem...

– Kocham cię, Missy – jego oddech stał się gorący w zetknię-
ciu z jej uchem. – Naprawdę cię kocham. Wszystko w porządku.
Zaufaj mi.

Przylgnęła do niego, a on poczuł, jak z podniecenia drżą jej
nogi, a skóra robi się gorąca. Westchnęła cicho, poddając się jego
dotykowi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Melissa wolno jechała rowerem do domu. Było już późno, po jedenastej. Wcale nie miała ochoty być tam, na dworze. Chciała być znów na Walton Street, w łóżku z Willem.

Ale rodzice będą czekać.

Było zimno, jednak nie czuła tego – jej ciało wciąż przepęśniał żar. To, co przeżyła z Willem, wciąż w niej pulsowało. Aż się zarumieniła – na pewno to widać. Całe miasto z pewnością może to łatwo zauważyć.

Nie była już dziewczicą. Tyle szumu robi się wokół tego wydarzenia, a po fakcie okazuje się, że świat jest dokładnie taki sam. To strasznie dziwne. Czy czuła się inaczej? Niespecjalnie – była tylko jeszcze bardziej zakochana w Willu.

Miała przeczucie, że jej nie zostawi. Nie będzie tak, jak znajomi mówią o innych facetach. Może inni faceci, inni studenci tak robią, ale nie Will. Prosił, by mu zaufała. I zaufała. Całkowicie. Pobiorą się, prawda? Na pewno poprosi ją o rękę. Na pewno będą mieli cudowny ślub, w jakimś romantycznym miejscu, tylko rodzina i jego przyjaciele. A potem będą ze sobą bardzo szczęśliwi.

Trzeba tylko uporać się z jednym szczegółem.

Za pomnikiem Martyrs' Memorial droga zrobiła się kręta, a ją powoli opuszczało podniecenie. Nie mogła się doczekać, aż skończy

szkole. Jej pierwszy rok na Oksfordzie będzie jego ostatnim. Kiedy tylko wydostanie się z rodzinnego domu, będą spędzać ze sobą każdą chwilę.

Oczywiście kochała rodziców, a oni ją, ale...

Było duże „ale”.

Dojechała. W jednym z pokoi wciąż świeciło się światło. Zsia-
dła z roweru, który po otwarciu drzwi oparła o ścianę w korytarzu.

– Melissa – rozległ się niski, lecz ostry głos taty.

Westchnęła w duchu. To było takie żenujące, kiedy próbował wypełnić swoją ojcowską powinność. Tata zawsze był gdzieś w pobliżu, ale tkwił z nosem w papierach. Albo był w laboratorium i przeprowadzał te swoje eksperymenty. Szybko stał się znany w małym światku akademii oksfordzkiej – jego eseje o rozbłyskach słonecznych i temperaturze rozślawiły jego nazwisko. A praca nad rozszczepieniem jądrowym jeszcze ugruntowała jego pozycję. Był człowiekiem surowym, niegospodarnym, skoncentrowanym jedynie na swojej reputacji. To ostatnie zajmowało go najbardziej – chciał być szanowany i podziwiany przez kolegów. Melissa wiedziała, że wcale nie wstąpienie w związek małżeński czy też jej narodziny, ale dzień, w którym zaproponowano mu stanowisko na Oksfordzie, był najszcześniejszym dniem w jego życiu. A ten, w którym królowa pasowała go na członka Towarzystwa Królewskiego², był najszcześniejszym dniem dla mamy. I nie chodzi tu o pieniądze. Jej matka była teraz lady Elmet i delectowała się tym tytułem bez ustanku.

² Uważane za pierwsze na świecie towarzystwo naukowe działające w Anglii. Liczba członków jest bardzo ograniczona: ok. 500 członków krajowych i ok. 50 zagranicznych. Towarzystwo Królewskie (The Royal Society of London for Improving Natural Knowledge) pełni funkcję brytyjskiej akademii nauk, skupiając przedstawicieli nauk matematycznych i przyrodniczych (przyp. tłum.).

Melissa wolałaby, aby żadna z tych sytuacji nigdy nie miała miejsca. Jej rodzice mieli teraz ambicje towarzyskie, a to tylko wróżyło problemy dla niej i Willa. To dlatego ukrywała go przed nimi. Kochała go, był najlepszym, co spotkało ją w życiu. Chciała go chronić. A już szczególnie po dzisiejszym wieczorze.

– Cześć tatusiu – powiedziała, wchodząc i cmokając go w policzek. – Mama już w łóżku?

– Naturalnie. Zobacz, która godzina.

– Dopiero piętnaście po jedenastej.

– Powinnaś być w domu od kilku godzin.

Melissa aż zeszywniała ze złości.

– Mam osiemnaście lat, tato. Zdałam egzaminy, pamiętasz?

– Byłaś z tym swoim chłopakiem?

Ojciec siedział przodem do kominka, który przy tym, który widziała u Willa, wyglądał wyjątkowo mizernie. Zastanawiała się, czy patrząc na płomienie, ojciec właśnie coś oblicza. Nigdy nie poświęcał jej stu procent uwagi, nawet kiedy udzielał jej reprimendy.

Wzruszyła ramionami. Biorąc pod uwagę to, przez co musiał przejść w życiu jej ukochany Will, ona spokojnie może poradzić sobie z niezadowoleniem rodzica.

– Tak, tato. Jak powiedziałam, mam osiemnaście lat. Jestem osobą dorosłą.

– Mieszkającą w moim domu – sir Richard poruszył palenisko. – Twoją matkę martwi ten romans, Melisso. Ten młody człowiek nie ma rodziny, żadnych perspektyw, jest barmanem...

– Spłaca pożyczkę, tato. I jakie to ma znaczenie?
– Melisso – ojciec odwrócił się i z wysiłkiem spojrzął na nią – spotykaj się z nim, jeśli musisz, ale pamiętaj, że nadal chodzisz do szkoły...

– Do końca tego semestru.

– Tak czy inaczej, jesteś zbyt młoda na poważne związki.

Oboje jesteście.

Po chwili dodał, ewidentnie starając się, by zabrzmiało to jak najlepiej:

– Nawet go nie poznaliśmy.

Melissa znów westchnęła:

– Sam powiedziałeś, że nie wiadomo, czy to coś poważnego. Najpierw sama się przekonam, co z tego wyniknie – ona też potrafiła udawać obojętność. – Zawsze mogę go tu przyprowadzić, jeśli okaże się, że to coś więcej.

Wyraźnie się rozluźnił.

– Wiesz przecież, jak twoja matka się martwi. Jesteś jej jedynym dzieckiem.

– Wiem.

Melissa miała lekkie wyrzuty sumienia – kochała swoją matkę. Co prawda była ona snobką, ale przynajmniej zawsze *była*.

– Wracaj więc do domu na czas. Jak sama zauważyłaś, to jeszcze tylko kilka miesięcy. Potem będziesz na studiach.

– Jeśli się dostanę.

Ojciec dumnie uniósł głowę:

– Jesteś *moją* córką. Oczywiście, że się dostaniesz.

Melissa podeszła i poklepała go po ramieniu, a on objął ją nieporadnie.

„Nie spodoba im się, kiedy dowiedzą się, że zamierzam wyjść za Willa Hyde'a – pomyślała, kierując się po schodach do swojego pokoju. – Ale będą musieli się z tym pogodzić”.

Will Hyde był jej przyszłością. Nigdy się nie rozstaną.

ROZDZIAŁ TRZECI

Teraźniejszość

Melissa Elmet nigdy nie prowadziła zajęć przed dziesiątą. Sama była rannym ptaszkiem i najlepiej myślało jej się zaraz po śniadaniu, kiedy całe miasto jeszcze spało. Uwielbiała brać swoją kawę – pyszną kawę, przysyланą przez przyjaciół ze Stanów Zjednoczonych, a nie jakieś pomyje z supermarketu – siadać przy oknie i obserwować słońce wznoszące się nad urokliwym Peckwater Quad. Był to jeden z piękniejszych widoków w Oksfordzie.

O dziewiątej jej studenci nadal odsypiali kaca, a ona wołała, by byli zupełnie rozbudzeni i gotowi do pracy. Wyniki ich egzaminów odgrywały ogromną rolę. A dobre wyniki były znaczącą częścią jej pracy, której ona bardzo potrzebowała. Etat na uczelni zapewniał jej wszystko: nie tylko skromną pensję, ale także zakwaterowanie.

Publikowała swoje eseje w ilościach absolutnie minimalnych jak na wykładowcę akademickiego, ale nigdy nie starczało jej czasu na prawdziwe badania. Kariera Melissy była uzależniona od wyników egzaminów jej studentów. Historia zawsze była mocną stroną tej uczelni i jeśli nie utrzymywałyaby swoich zajęć na odpowiednim poziomie, już by jej tu nie było. Nie mogła pozwolić

sobie na utratę pracy. Poza Oksfordem nie miała kompletnie niczego. Każdy jej dzień podszyty był niepokojem – o pieniądze, wyniki pracy, brak własnego kąta i związek. O związek w szczególności.

Stuknęła w klawiaturę laptopa. Klawisze były aż lepkie, co oczywiście ją denerwowało, ale nie było jej stać na nowy. Ten miał już cztery lata, czyli był prawdziwym dinozaurem. Otworzył się kalendarz, a obok notatki na dzisiejsze zajęcia. Studenci pierwszego roku będą dziś odczytywali swoje eseje o Alfredzie Wielkim. Melissa miała nadzieję, że młody Kevin Ross wykaże w swojej pracy w tym tygodniu odrobinę więcej wyobraźni. Zanosilo się na to, że będzie miał czwórkę, albo i jeszcze niższą ocenę, czym pograży wyniki całej, świetnej grupy studentów.

Melissa nie znosiła takich konfrontacji, ale tej z Kevinem raczej nie da się uniknąć. Zajmował się wioślarstwem i zdawało mu się, że jest nie do ruszenia. Profesorowie chronili go jak mogli, ponieważ spodziewali się, że zostanie członkiem załogi uniwersyteckiej i zawodnikiem wytypowanym na Regaty Wioślarskie³. Melissa miała to w nosie: *nie ma zamiaru* splamić wyników swojej pracy. Prędkiej zawiesi go w prawach studenta, a potem odeśle na rok z Oksfordu, żeby się zebrał do kupy. Było tylu fantastycznych, zdolnych młodych ludzi marzących o tym, by być na miejscu Kevina na uczelni. Już ona go ustawi, jeśli będzie musiała, a ci wszyscy wioślarze mogą sobie biadolić i jęczeć, ile wlezie.

³ Tradycyjny wyścig wioślarski pomiędzy uniwersytetami Oksford i Cambridge zapoczątkowany w 1829 roku (przyp. tłum.).

Zabrzączał komputer – przypomnienie: *Kolacja z Fraserem. W Eagle and Child.*

Poczuła nagle, nieprzeciętne znużenie. „Co się stało z moim życiem?” – pomyślała.

Wstała i podeszła do lustra wiszącego nad jej okazałym kominkiem. Jej pokoje urządzone były z przepychem – nauczycielskie cztery ściany w samym środku tego stylowego uniwersytetu. Takie mieszkanie w centrum Oksfordu kosztowałoby fortunę. Byłoby na nie stać jedynie milionera – takiego, jak Will Hyde.

W tej samej chwili poczuła irytację, że w ogóle pomyślała o *nim*. Musiała wreszcie dorosnąć – ostatnio zdecydowanie zbyt często jej myśli uciekały w tamtym kierunku. William Hyde to przeszłość. Zniknął dawno temu, odsunął się od niej w pełnym tego słowa znaczeniu. Melissa przestała czytać niedzielną prasę – nie mogła znieść jego zdjęć pojawiających się w sekcji biznesowej. Magazyny okazały się jeszcze gorsze – był wręcz uwielbiany przez rubryki designerskie. Tych nie czytała już od bardzo dawna.

Zerknęła w lustro.

Jej odbicie zrobiło to samo. Brązowe, niegdyś lśniące, kasztanowe włosy, straciły swój blask. Dość ładna twarz – wciąż mogła dostrzec ślady dawnej urody, jednak w oczach nie zobaczyła już błysku. Były przekrwione – nie sypiała dobrze. Ciągły stres sprawił, że skóra stała się ziemista i matowa. Nigdy nie przykładła się specjalnie do makijażu, a schludne spódnice i kostiumy miały być głównie praktyczne. Wciąż miała tę dziwną sukienkę i sznur pereł od ojca. Kiedy mniej więcej raz na miesiąc Fraser zabierał ją na kolację, musiała się popisać, włożyć szpilki i odegrać ten cały

nudny spektakl odstawiania się na wielkie wyjście.

Zawsze czuła się głupkowato, strojąc się dla Fräsera – jakby przez jeden wieczór stawiała się inną kobietą. Flirtowanie nie leżało w jej naturze, była teraz porządnym wykładowcą uniwersyteckim w pełnym tego słowa znaczeniu. Taka prawdziwa córeczka tatusia: świetne mieszkanie, dobre jedzenie przy profesorskim stole, srebrne sztuce i kruche ciasteczka do kawy. A potem powrót do zamartwiania się, jak zdoła kiedykolwiek uciuć na własne mieszkanie. Choćby na kawalerkę. A ona nie miała nic. Na zakupach zawsze sprawdzała wszystkie ceny. Ubrania kupowała na wyprzedzających. Żadnych zagranicznych wakacji. Oszczędności co prawda rosły, ale w ślimaczym tempie.

„To cena, jaką płacę – myślała. – Setki badaczy dałoby się za bić za tę posadę”.

To prawda, ale czy to ma być wszystko?

Życie na uczelni miało swoje plusy: długie wakacje, wykwintne wnętrza, wyzwania intelektualne, no i uroki Oksfordu.

Melissa westchnęła i odwróciła się od lustra. Dziś szczególnie doskwierało jej niezadowolenie z własnego życia. Wcale nie miała ochoty na spotkanie z Fraserem.

Fraser Macintosh – od sześciu miesięcy jej narzeczony. Melissa uniosła leniwie lewą dłoń, spoglądając na niewielki, połyskujący na serdecznym palcu pojedynczy diament. Mówił o nim wszystko: porządny, nie rzucający się w oczy. Był starszym od niej o osiem lat, pełnoetatowym profesorem teorii fizyki. Naukowiec, jak jej ojciec. Ciekawe, co powiedziałby na to doktor Freud? Fraser nie był ani przystojny, ani specjalnie brzydki – był wysoki,

miał jasną czuprynę. Wyrzucał z siebie słowa z taką prędkością, jakby nie nadążał z wyrażaniem swoich genialnych myśli. Był bardzo inteligentny i to jej imponowało. Był też niezwykle rozsądny. Dom, w którym mieszkał, kupił od swojej uczelni, Worcester, tuż przed ożywieniem na rynku nieruchomości i miał teraz mały, śliczny ogródek wychodzący na Isis ⁴. Z nieukrywaną dumą powiedział jej także, iż posiada imponujący plan emerytalny oraz roczną dywidendę z akcji. Cały jego majątek szacuje się na sto tysięcy, nie licząc domu. Dodając jej marną pensję do jego znacznie pokażniejszej, mogliby wieść wspólne, naprawdę wygodne życie.

⁴ Przepływający przez Oksford odcinek Tamizy, na którym odbywają się wyścigi wioślarskie, w tym coroczny wyścig Boat Race (przyp. tłum.).

Melissa uważała, że taki układ mógłby zadziałać. Fakt, nie pociągał jej specjalnie, ale lubiła go. Szanował ją, nie naciskał, by się do niego przeniosła, jeśli nie jest na to gotowa. Powiedział, że po ślubie będzie mogła zatrzymać swoje nazwisko. Tak, chciał mieć dzieci.

Pierścionkiem zaskoczył ją pewnego wieczoru podczas letniego spaceru w Ogrodach Botanicznych. Otoczenie było naprawdę romantyczne, a Fraser wykorzystał moment i wydobywając z kieszeni pierścionek, padł nieudolnie na jedno kolano pod starym wiązem. Pierścionek należał do jego babki.

Melissa zdecydowała się od razu. Tak, chciała mieć dzieci, chciała gdzieś osiąść. Pasowali do siebie z Fraserem. Namiętności – tej, którą poznała w związku z Willem – rzeczywiście nie było. Ale przecież namiętność przemija, jak piękno. Małżeństwo z

Fraserem rozwiąże część kłopotów finansowych: zagwarantuje jej wygodny dom i rodzinę. A miłość może przyjść później.

Od tamtej chwili zawsze nosiła ten pierścionek.

Jednak w ubiegłym tygodniu coś się zmieniło. Fraser mimochodem zasugerował datę ślubu. Dwudziesty drugi listopada, kościół Świętej Marii. Bliscy znajomi i rodzina. Małe przyjęcie, na jakieś dwadzieścia pięć osób.

Jak mogła mu odmówić? Jeszcze nie teraz? Powinniśmy za czekać? Nie miała już swojej rodziny. Sir Richard zginął w wypadku samochodowym w Wenecji w zeszłym roku, pozostawiając jej głównie długi. Matka nie żyła od dziesięciu lat. Była tylko jedna ciotka w Ottowa i stroniący od ludzi kuzyn w Londynie. Zatem ślub i całe przyjęcie będą tak naprawdę dla Frasera. Melissa nie czuła się jeszcze gotowa, ale z drugiej strony, kiedy można powiedzieć, że człowiek jest gotowy na takie wydarzenie? Była już po trzydziestce, a życie w biedzie z zachowywaniem pozorów wielkopaństwa i narastające poczucie nudy zaczynały ją dobijać.

Zgodziła się.

Fraser przejął pałeczkę: zamówił papeterię, wynajął firmę cateringową, zarezerwował ogród na przyjęcie weselne. Całe wydarzenie będą uwieczniać uniwersyteccy fotografowie. Teściowa Melissy przylatuje z południa Francji. Fraser był pochłonięty wkomponowywaniem tego całego zamieszania w swój akademicki kalendarz, a Melissa odpowiadała jedynie za swoją ślubną suknię i druhny.

Rzecz w tym, że do ślubu został już tylko miesiąc, a ona nie poprosiła żadnej koleżanki o towarzyszenie jej w tym dniu. Zamówiła

za to suknię – prostą, przylegającą do ciała, z rękawami na trzy czwarte i dekoltem w łódkę: elegancka, żadnych szaleństw. Na samą myśl o kwiatkach pękała jej głowa i w końcu zamówiła bukiet gładkich, kremowych róż z ciemnymi liśćmi. Fraser nie będzie specjalnie analizował jej bukietu.

Will Hyde i tak ciągle powracał do niej w myślach. W tym tygodniu będzie musiała sama udać się do proboszcza. Ich krótkie małżeństwo zostało prawnie anulowane, ale Melissa nigdy nie uporządkowała tych wszystkich kościelnych papierów. Fraser nie wiedział, że kiedykolwiek była mężatką i chciała, żeby tak pozostało.

Starła się ignorować swoją niechęć do załatwienia papierkowej roboty. To była ostatnia sprawa łącząca ją z Willem.

„Nie bądź głupia – karciała samą siebie. – Nie rozmawiałaś z nim od momentu, gdy odszedł i nigdy więcej go nie zobaczysz”.

OK, w porządku. Tylko czy chciała znów zobaczyć Frasera? Czy naprawdę chciała zobaczyć go przed ołtarzem i potem każdego ranka, i tak już do końca życia?

Odezwał się balansujący niebezpiecznie na stercie podręczników telefon, a Melissa aż podskoczyła. Niewiele osób do niej dzwoniło. Oxford to małe miasto i goście zwykle po prostu wpadali. Wielką wadą mieszkań przyuczelnianych było to, że wszyscy wiedzieli, gdzie akurat jesteś.

- Halo?
- Dzień dobry, kochanie.
- Fraser. Co słychać?

– W porządku. Tata przysłał e-mail z Grenady i pyta, czy może przybyć ze swoją drugą żoną.

– To sprawa twoja i twojej matki.

– Jeśli się nie zgodzę, to nie przyjedzie.

„No to po co się mnie pytasz?” – pomyślała.

– To zależy od ciebie – powtórzyła.

– Gotowa na naszą randkę?

– Oczywiście – ten żartobliwy ton działał jej na nerwy. Spojrzała na pierścionek i podjęła nagłą decyzję. – Fraser, możemy się spotkać wcześniej?

– Dobrze. Wpół do siódmej?

– Będę czekała.

Melissa rozłączyła się i ostrożnie zsunęła pierścionek jego babci z palca. Delikatnie położyła go na egzemplarzu *Biografii Alfreda Assera*. Poczowała ogromną ulgę. Pławiła się w tym swoim nie-szczęściu od samego rana, a głos Frasera rozjaśnił jej umysł. Lubiła go bardzo, była mu wdzięczna, ale po prostu go *nie kochała*.

Nic dziwnego, że myślała o Willu. Jedno nieudane małżeństwo wystarczy jak na jedną dziewczynę. Już lepiej być biedną i żyć na własny rachunek.

Melissa nie zamierzała wyjść za Frasera Macintosh'a.

Teraz tylko musiała mu o tym powiedzieć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Metropolitan Museum of Arts ⁵ to miejsce najwspanialszych przyjęć na Manhattanie. Bale charytatywne stają się okazją dla najbogatszych ludzi świata, by delektować się szampanem, kawio-rem, wykwinnym jedzeniem i widokiem samych siebie w wieczorowych strojach, bez krzty niewygodnego poczucia winy.

⁵ Znajdujące się w Nowym Jorku najstarsze i największe muzeum w Ameryce (przyj. tłum.).

William Hyde popijał schłodzonego Cristala. Był w dobrym nastroju. Obejmował ramieniem szczupłą Olivię Wharton. Nie była modelką, ale spokojnie mogłaby nią być. Wyglądała dziś fantastycznie w obcisłej, srebrnej, siateczkowej sukni, w której przypominała syrenę. Na szyi połyskiwał wart osiemdziesiąt tysięcy dolarów diamentowy naszyjnik w kolorze amarantu – prezent od niego. Był dumny, że ma tę kobietę u swojego boku.

Olivia miała błyszczące, ciemne włosy, na ustach czerwoną szminkę, krągłe, powiększone chirurgicznie piersi i dyplom medycyny z Harvardu. Zrobiła specjalizację z onkologii, ale nie była typem osoby mogącej przez cały dzień obcować ze śmiercią. Nie mógł jej za to winić.

Doktor Wharton była czarująca i piękna – istny motyl, a nie jakaś

ćma. Przekwalifikowała się na dermatologię z bliżej niesprecyzowanymi planami na pracę nad rakiem skóry. Chociaż ostatnio przebąkiwała coś o rzuceniu tego wszystkiego, jeśli tylko Will się jej oświadczy. Zostanie w domu z ich przyszłymi dziećmi i zmieni się z perfekcyjnej dziewczyny w perfekcyjną żonę.

Will miał nieco inne, mniej wiążące podejście do ich znajomości. To była tylko dziewczyna, z którą sypiał. Miała być piękna i dobra w łóżku. Ale jego dotychczasowe dziewczyny były inne. Intrygowało go to, że znalazł kobietę tak piękną jak Olivia i w dodatku z tytułem doktora. Wyróżniało ją to spośród tych wszystkich wychudzonych panienek szukających sobie na męża takiej grubej ryby jak on. Miała własne życie, własne osiągnięcia. A poza tym była dobrym kumplem i nie bała się nowych wyzwań. Chcąc ją nieco przetestować, na ich pierwszą randkę zabrał ją do lokalu z fast foodem na Coney Island, a potem na przejażdżkę rozklekotaną, drewnianą kolejką górską. Siedziała z nim w jednym wagoniku, ściskając poręcze wymuskanymi palcami i zanosila się śmiechem. Natychmiast ją polubił. Choćby dlatego, że zamówiła cheeseburgera. Wolał dziewczynę lubiącą sport i ćwiczenia niż jakieś eksmodelki obsesyjnie liczące kalorie.

Spotykali się już dość długo – osiemnaście miesięcy. To dłużej niż z jakąkolwiek kobietą od czasu, gdy przeniósł swój bank z Wirginii na Manhattan. Dziś wieczorem była najgorętszą kobietą na sali. Jak zwykle.

Zdumiony William patrzył, jak flirtował z nią burmistrz Nowego Jorku. Niepostrzeżenie poruszył palcami na jej żebrach i poczuł charakterystyczny ruch. Olivia była naprawdę bardzo

wrażliwa na dotyk. Pochodziła z dobrej rodziny, miała własne pieniądze, była inteligentna. Rozważał oświadczyzny. Olivia śmiała się z jakiegoś dowcipu burmistrza, a Willowi podobał się jej śmiech. Jednak jej oczy nie zdradzały żadnego zainteresowania, podczas gdy siwy mężczyzna naturalnie flirtował dalej. Czego on się właściwie spodziewał? – Will był przekonany, że zwyczajny polityk nie był w stanie zaimponować żadnej z jego dziewczyn. To przekonanie miało swoje źródło w jego multimilionowych akcjach.

W przyszłym miesiącu będzie ich jeszcze więcej. Interes z Lasos. Jego bank przejmie kontrolę nad funduszem majątkowym greckiego rządu. To na tych wielkich państwowych kontraktach zarabia się prawdziwe pieniądze. Gdy będą już mieli ten interes w garści, bank znów dokona podziału akcji, a jego majątek przekroczy magiczną granicę miliarda dolarów, jeżeli już się to nie stało. Will miał raczej mgliste pojęcie o tym, ile obecnie bank był wart. Może to już czas, zastanawiał się niespiesznie.

Małżeństwo. Dzieci. Każde imperium potrzebuje dziedzica.

– William – poczuł czyjś dotyk na rękawie i odwrócił się.

– Pani senator.

Ellen Jospin była senatorem z Nowego Jorku i obnosiła się z tym tytułem, jakby była co najmniej królową Anglii. Bardzo lewicowa i bardzo bogata, odziana niezmiennie w kreacje znanych projektantów. Mówiło się nawet, że chodzi spać w diamentach. Jej dziwaactwa były jednym z powodów, dla których nigdy nie została nominowana na kandydata na fotel prezydenta. Jej srebrnosiwe włosy były starannie spięte, a jej usianą zmarszczkami szyję kamuflował naszyjnik z czarnych pereł od Tiffany'ego. Miała na

sobie kostium od Balenciagi ⁶, a na palcu tkwił sygnet z amerykańskim orłem.

⁶ Hiszpański projektant, którego kreacje zaskakiwały rewolucyjnością i nowoczesnością, noszone były m.in. przez członków hiszpańskiej rodziny królewskiej oraz arystokrację (przyp. tłum.).

– Czekam na nasze spotkanie w przyszłym tygodniu – senator Jospin zmrużyła swoje ciemne oczy, nigdy nie dawała sobie w kaszę dmuchać. – Przed komisją.

William uśmiechnął się – nie z takimi miał do czynienia.

– Ja również – odparł.

Ellen Jospin aż zeszywniała – nie dodał na końcu należącego jej „pani senator”. Jej komisja nie lubiła tego banku: zajmowali się „wywiadem gospodarczym”. Wszelkie firmy notowane na Dow Jones ⁷ były kredytobiorcami w Virginian Prospect Bank, a departament fuzji i przejęć wyszukiwał dla nich słabe punkty konkurencji. Ten Angol właśnie tak dorobił się fortuny i jeśli wiedza była równoznaczna z władzą, to William Hyde zaczynał już mieć tej władzy stanowczo zbyt wiele...

⁷ Indeks akcji spółek notowanych na nowojorskiej Giełdzie Papierów Wartościowych, najstarszy działający indeks akcji w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Will stworzył nową odmianę biznesu – w świecie finansów wykorzystywał techniki działania prężnych firm konsultingowych, takich jak Kroll. Naturalnie roilo się już od przeciwników i krytyków takich praktyk, a Ellen wykorzystywała ich skwapliwie przy okazji każdego wyborów, czym pogrążyła swoich kontrkandydatów. Jednak Will Hyde był odrębnym przypadkiem.

Zatrudniał szpiegów.

Prawdziwych szpiegów, bankowców i specjalistów od audytu właścicielskiego. Specjalny oddział banku – odpowiedzialny za śledztwo Hyde'a – wywlekał na światło dzienne dosłownie wszystko: od prywatnych dziwactw członków zarządu, przez topniejące konta, sprawy o zniesławienie, ofiary nadużyć, po kompletny wykaz defektów firm będących na celowniku przejęcia. W samym tylko zeszłym miesiącu dwie nowojorskie firmy, które wskazał jako przewartościowane, a ich kierownictwu udowodnił nadużycia finansowe, zmuszone były zamknąć swe podwoje. Jako senator partii demokratycznej, Ellen publicznie popierała ujawnienie tych historii, ale ludzie na jej terenie tracili pracę, a *ona* traciła głosy. Winą za to obarczyła przystojnego, młodego Anglika.

– Teraz będziesz doradzał innym rządóm?

– Tym z funduszami majątkowymi, tak – uśmiechnęła się do niej olśniewająco.

Ellen aż się zagotowała w środku – dobrze znała ten typ. Kiedy była młodsza, uwielbiała takich facetów jak on. Dobrze zbudowany, ciemne włosy, arogancki. Ale wyszła za flegmatycznego, siwiejącego bankiera. To była bezpieczniejsza opcja. Wybranek łaskawie zmarł młodo, pozostawiając jej wszystkie swoje pieniądze.

Ellen nie znosiła ludzi, którzy podsycali jej rozzalenie. Takich jak Will Hyde. Nie miała czasu na żale, była zajęta rządzeniem.

– Takie praktyki mogą być sprzeczne z interesami kraju. Virginian Prospect jest firmą amerykańską.

– Przedyskutujemy to przed komisją posłał jej kolejny uśmiech, odwracając się do swojej przepięknej, młodej towarzyszki.

Byli naprawę fantastyczną parą – z całym tym czarem i przepychem. Nawet jej mieszkanie przy Central Parku i dom letniskowy w Nantucket nie mogły się z nimi równać.

– A właśnie, Ellen – odwrócił się, a senator miała nieodparte wrażenie, że ten obywatel innego kraju chce ją pocieszyć, zupełnie jakby to ona, nie on, była tu petentem. – Pamiętaj, że nasze ekspertyzy są dostępne również dla naszych nowojorskich przyjaciół. Za odpowiednią cenę.

Senator Jospin patrzyła, jak odwraca się i odchodzi. To w taki sposób William Hyde zwraca się do przewodniczącej senackiej Komisji do Spraw Wywiadu?

Jej partia miała większość w parlamencie, a prezydentem był nieudolny, stary głupek, który nie potrafił sprzeciwić się nawet swojej żonie przy wyborze krawata. To nie w porządku, że ten Angol bryluje w centrum zainteresowania i pławi się w amerykańskich pieniądzach, niszcząc reputację jej rodzimych korporacji. Wielu spośród jej dobroczyńców nie cierpiało Willa Hyde'a. Nagle zapragnęła dać mu nauczkę, *zatrzymać* go, nawet za cenę zablokowania pracy parlamentu...

William poprowadził Olivię do jadalni. Uwielbiał starcia z politykami, a szczególnie tymi o wybujałym ego, które, według niego, miał każdy z nich. Niezadowolenie Ellen Jospin było wypisane na jej twarzy, a Will miał to gdzieś. Gdyby mógł głosować, oddałby swój głos republikanom.

Uśmiechnął się, gdy Olivia zadrżała na dotyk jego palców na kręgosłupie. Opanowała umiejętność poddawania mu się w jego ramionach. Zrozumiała, że o ile on może nie dostrzec jakichś technicznych niedoskonałości, to na pewno nie przeoczy w niej

braku wrażliwości. Will nie mógł oprzeć się wrażeniu, że grała w tę swoją gierkę prowadzącą do małżeństwa, ale nie chciał, żeby psuło to spędzane razem chwile. Podjął świadome postanowienie, że w stosunku do kobiet będzie grał fair. To, co wydarzyło się dawno temu... byli nastolatkami. Nie zamierzał winić każdej napotkanej kobiety za czyjeś występki.

Wyglądało na to, że to właśnie Olivii się poszczęści. To tak, jakby przerwano muzykę i to właśnie ona została z wygraną w dłoniach. Will miał już po dziurki w nosie takich wystawnych, charytatywnych imprez, spędów narciarskich w Alpach, tygodni spędzanych na prywatnych wyspach bogaczy i jachtach potentatów. Teraz trzeba już było nie wiadomo jakich wrażeń, żeby zabić nudę. Will Hyde zaczął rozumieć te znaki: wiedział, że się wypała. Czas przyznać, że nie był już młodzikiem. Nadszedł czas na nowe przygody, te prawdziwe: ustatkowanie się i dzieci. Czas na prawdziwą rodzinę, po raz pierwszy w życiu.

Olivia miała świetne poczucie humoru, a on kiedyś obserwował ją bez jej wiedzy w ekskluzywnym, położonym w Upper East Side złobku jej siostry. Była pełna ciepła w kontakcie z dziećmi – material na znakomitą żonę i wspinałą matkę. Przecież to nie przestępstwo, że pociągały ją jego pieniądze. Jego pociągało jej piękno.

- Chodźmy stąd – szepnął jej do ucha.
- Jasne – odparła, gotowa natychmiast wyjść.

Will uśmiechnął się. Kobiety rzadko mu się sprzeciwiały, z Olivią było podobnie.

Była słodką dziewczyną, którą zamierzał zabrać do domu i kochać się z nią, aż jej wypielęgnowane, czerwone paznokcie nie wbiją mu się w skórę pleców, a długie, zmierzwiłone włosy nie opadną przepecone na poduszkę.

Wtedy, po raz drugi w życiu, Will Hyde rozważał oświadczenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Z początku Will obawiał się tego całego charytatywnego udzielania się. Bankowiec nie powinien skupiać na sobie całej uwagi, jednak jego piarowcy przekonali go do zmiany zdania. Nie był już agentem – teraz był dyrektorem generalnym. Im częściej pokazywano jego twarz, tym wyższe były kursy akcji banku. Taki syndrom Donalda Trumpa. Will Hyde, jak mawiano, *był* marką samą w sobie.

Dał się namówić na sesję dla GQ⁸, wzmianki w *Page Six* oraz w prasie biznesowej, a także nagonkę paparazzich. Był ciekawym tematem, a to tylko nakręcało interesy: były szpieg, który nie przyznawał się do tej części swojej przeszłości, przyjeżdża do Ameryki, wykupuje borykający się z problemami, niewielki bank i natychmiast osiąga sukces. Rozliczne drobne interesy przekształcają się w potężniejsze zagrania. Hyde mieszkający w niewielkim, pozbawionym windy budynku w Richmond, w Wirginii, inwestujący każdego centa w firmę. Żadnych samochodów, żadnego domu, buty kupowane w Payless⁹. Pieniądze szły na pracowników: kierowników – emerytowanych bądź niezadowolonych – których kusily sześciocyfrowe pensje, możliwości zdobycia akcji, a po przeniesieniu siedziby banku do wielkiego miasta, także nocne życie Manhattanu. Ci najlepsi gwarantowali świetne umiejętności i szerzyli jego dobrą sławę.

⁸ Amerykański miesięcznik dla mężczyzn traktujący o modzie, kulturze i stylu życia (przyp. tłum.).

⁹ Sklep z tanim obuwem (przyp. tłum.).

Nawet w Nowym Jorku William Hyde przez rok używał w me-
trze żetonów i kupował obiady w lokalnym barze – makaron z
warzywami pakowany w styropianowe pudełko – podczas gdy
jego pracownicy wozili się mercedesami i zabierali żony na przed-
stawienia na Broadwayu. Nic sobie z tego nie robił. Nie miał zo-
bowiązań. Dziewczyny, z którymi się spotykał, były młode i ano-
nimowe, szukały przygód. William im je zapewniał, ale nie wiązał
się z żadną z nich. Żadnych obciążeń. Wtedy łatwo było zniknąć.
Podnosił cię- żary, biegał, przelatywał panienki. To był łatwy,
dobry rok. Mógł robić w tym mieście tyle rzeczy, nic za to nie
płacąc. Nie pochodził stąd i Nowy Jork wciąż go pociągał.

Dokładnie po roku Will Hyde ubrał się w swój tani garnitur i
pojechał metrem na Jedenastą Ulicę do swojego księgowego.

– To był dobry rok – powiedział Carl Goldberg, poprawiając
okulary i przyglądając się swojemu klientowi.

Był spokojny jak Hudson w listopadzie. Niski standard życia
Hyde'a był ekscentryczny, biorąc pod uwagę profity, jakie przyno-
sił jego biznes, ale coś w oczach mężczyzny dało Goldbergowi do
zrozumienia, że lepiej o tym nie dyskutować.

– Mogę zatrudnić więcej ludzi.

– W twoich biurach jest mnóstwo ludzi z mnóstwem wolnego
czasu. Osiągnąłeś już wszystko, co możliwe, chyba że zamierzasz
poszerzać sieć oddziałów banku.

Przed wypowiedzeniem kolejnych słów Goldberg zawahał się:

– Moja rada jest taka, byś zaczął wypłacać sobie pensję. Przy takich dochodach, jakie obecnie generuje bank, za chwilę posypią się pytania analityków o uporządkowanie twojej pozycji.

Will pokiwał głową potakująco.

– A co uporządkowałoby moją pozycję? Wierzę w inwestycje. To ty stoisz na straży finansów tej firmy – wzruszył ramionami. – Wypisz mi czek na minimalną, możliwą pensję.

– Minimalną? – powtórzył Goldberg.

Will przytaknął.

Starszy pan zawahał się chwilę, po czym wypisał czek.

Wydarł druk z bloku i podał Willowi.

Czek opiewał na milion dolarów.

Takie pieniądze wydawały się wówczas Willowi zawrotne. Większość z nich rozmyła się w krótkim czasie: szybkie samochody, dom na Brooklynie, luksusowy apartament na Piątej Alei, posiadłość w Hamptons, szyte na miarę garnitury przysyłane z angielskiej Savile Row¹⁰. Zaczął nosić zabytkowe zegarki i robione na miarę buty. Spotykał się z dziewczynami, ale ostrożnie. Był teraz tak bogaty, że te aż biły się o miejsce w jego łóżku. A on – nad wyraz uważny. Żadnych spraw o ustalenie ojcostwa, a już na pewno żadnego małżeństwa.

¹⁰ Ulica w londyńskiej dzielnicy skupiająca krawców, szyjących ekskluzywne ubrania na miarę (przyp. tłum.).

To go nie interesowało. Raz już się naciął, dawno temu, i wystarczy. Teraz dobrze się bawił. Jego pasją było prowadzenie interesu.

Tworzenie i finansowanie nowych oddziałów, audyt dokumentów firmowych, podejrzanych kierowników i kłamliwych zestawień bilansowych. Każdy interes, jaki zrobił, każdy zdobyty klient powodował dreszczyk emocji. Kobiety były miłą rozrywką, a on był szlachetny.

– Tu nie chodzi o ciebie – mówił dziewczynie po miesiącu czy sześciu tygodniach, kiedy tylko zaczynał się nudzić. – Jesteś cudowna i na pewno uszczęśliwisz jakiegoś mężczyznę. Ja po prostu nie jestem na to gotowy. Musisz spotkać swojego męża, a ja tylko stoję ci na przeszkodzie.

I większość z nich dawała się na to nabrać. Niektóre płakały, ale Will stał się ekspertem w łagodzeniu ciosów: czułe zapewnienie o długotrwałej przyjaźni, gdy plotkarskie kolumny stawały się zbyt docieklive, publiczne zaproszenia na następne przyjęcie w posiadłości, wykwintne prezenty od Tiffany'ego czy House Massot. Jedna z dziewczyn, Mary Allen, która była dobra w łóżku i jednocześnie niezwykle skromna w sytuacjach publicznych, dostała Aston Martina ¹¹. Jego reputacja przerosła już nawet jego samego. Will miał czasem wrażenie, że niektóre z tych kobiet wręcz nie mogły doczekać się rozstania.

¹¹ Luksusowy, sportowy samochód produkcji brytyjskiej (przyp. tłum.).

Bez względu na to, czy tak rzeczywiście było, czy nie, Will zawsze się ulatniał. Został wystarczająco zraniony ten raz w młodości. Nigdy więcej.

Melissa Elmet. Córka profesora Richarda Elmeta i jego jędrzejowskiej żony Mirandy. Kiedy jej męża przyjęto w poczet królewskiego towarzystwa naukowego, życie Mirandy Elmet dopełniło

się. Powtarzała ten swój tytuł przy każdej sposobności i miała jeszcze bardziej wygórowane ambicje społeczne w stosunku do swojego jedyne­go dzie­cka, czyli Melissy. Elmetowie mieszkali w małym, wiktoriańskim domku z ma­leń­kim ogródkiem w Oksfordzie, na Northcliffe Road. Jednak lady Elmet postanowiła, że mężem jej dziewczynki może być tylko taki kandydat, z którym po ślubie żyć będzie w luksusie – którego ona sama niestety nie miała okazji zasmakować.

Melissa była mądra, odważna, młoda i piękna, ale nie olśniewająca. Nie miała perfekcyjnych rysów ani perfekcyjnego wyglądu modelek, z którymi Will teraz się spotykał. Była dużo bardziej atrakcyjna, nie miała w sobie żadnej sztuczności. Nawet teraz, na samą myśl o tym, ścis­kało mu się serce. I śmiała się, wciąż się śmiała – nawet gdy poznał ją jako siedemnastolatkę, uwielbiała wspinać się na drzewa. Była zwinna i żądna przygód.

A on uczył się matematyki w Ori­el, miał stypendium, ale potem trafił do Oksfordu i to jako przykład chłopaka, który odniósł sukces: wychowanek Barnardo's, którego jedyną rekomendacją był wyłącznie jego umysł. Dobrze pamiętał czasy biedy – studencki kredyt i fucha w barze. Musiał się nieźle starać, by móc zabrać Missy do kina.

Ale jej to nie przeszkadzało. Mieli dziewiętnaście i siedemnaście lat i byli strasznie zakochani. Przynajmniej jemu wydawało się, że to miłość.

Te pierwsze miesiące, kiedy się spotykali – ona młoda uczennica, on starszy jedynie o dwa lata. Jednak ona jako siedemnastolatka, w szóstej klasie, była kompletnie inna od tych pańienek, które widywał w świetlicy dla licealistów. Melissa miała w sobie

niewinność, ale i perfekcję, a Will nie chciał jej ponaglać. Pragnął tylko z nią być, jak roślina zwracająca się ku słońcu i rozkoszująca się jego promieniami. Wszelkie blahe przeżycia z dzieciństwa, samotność, ubóstwo – wszystko znikало, gdy była przy nim. Nigdy nie raził go jej status społeczny – podziwiał jej surowego, chłodnego ojca za to, że posłał ją do zwykłej publicznej szkoły. Will marzył, że będzie wiódł podobne życie – zostanie naukowcem, po pewnym czasie profesorem, i zapewni Melissie wygodne życie. Wszystko to ziści się, gdy tylko zaliczy wszystkie egzaminy.

Pożądanie wzrastało w nim z niezwykłą siłą – całymi dniami i nocami myślał o Melissie. Poprosił, by poszli do łóżka – odmówiła. To tylko spotęgowało jego pragnienie. Dotykał ją i pieścił, gdy byli razem, a ona była tak cholernie wrażliwa. Niezdarna, a tak namiętna. Walczyła sama ze sobą i swoim pożądaniem. Walczyła z nim. To była wspianiała, szalona, młodzieńcza miłość. Gdy wreszcie uległa mu w pokoju na Walton Street, Will przeżył najcudowniejszą noc swojego życia. Była spięta, ale on przecież ją kochał. Był cierpliwy, a późnym wieczorem drapała i gryzła jego ciało, szlochała z podniecenia, aż w końcu wycieńczona uniesieniami, zasnęła mocno w jego ramionach.

Will praktycznie nie zmrużył oka – leżał i słuchał, jak oddycha. Po przebudzeniu spanikowała.

– O nie! Już prawie jedenasta – przez jego zakurzone okno zaglądał z wysoka księżyc. – Mama i tata... będą wiedzieli, że nie było mnie przez cały ten czas.

– Wszystko w porządku – pogłaskał ją po włosach. – Porozmawiam z nimi. Będziemy razem.

- Porozmawiasz...
- Nie chcesz?
- Jasne, że chcę, oczywiście! – przygryzła wargę, a on znów chciał ją pocałować. – Oni są bardzo opiekuńczy, Will...
- Tak, ale ty masz już osiemnaście lat, jesteś dorosła. I jesteś tą jedyną – wzruszył ramionami – wiem to.

Na dźwięk tych słów jej ciało aż zadrżało, a całe napięcie zniknęło.

- Ja też to wiem.

Pocałowała go i znów się kochali. Bez żadnego poczucia winy. Will nigdy nie był religijny, ale coś go tknęło i nagle poczuł się głęboko, niewiarygodnie wdzięczny. Nie wiedział komu lub czemu, niemniej tak właśnie się poczuł.

Nazajutrz spacerowali po łąkach przylegających do Christ Church ¹², do którego Melissa właśnie złożyła podanie. Leżeli na trawie w upalny, letni dzień, słuchając jego niewielkiego radia ustawionego na Classic FM, w którym rozbrzmiewał Handel. Will uwielbiał muzykę poważną, a Melissa próbowała się jej nauczyć. Była tak prostoduszna – chciała sprawić mu przyjemność. Obejmował ją ramieniem, a ona opierała się o niego. Nareszcie była dla niego rodziną.

¹² Jedno z kolegów wchodzących w skład uniwersytetu oksfordzkiego (przyp. tłum.).

„Boże, ona jest dla mnie wszystkim” – pomyślał.

- Chciałbyś kiedyś pojechać do Ameryki? – zapytała leniwie.

Połaskotał ją źdźbłem trawy po obojczyku i rozkoszował się jej nagłym, płytszym oddechem.

– To moje marzenie. Zawsze chciałem.
– To tak jak ja. Może do Bostonu. Mają tam świetne uczelnie. Spodobałoby ci się. Jest tam najstarszy w Stanach Zjednoczonych zespół Handel and Haydn Society¹³. Muszę zabrać cię kiedyś do Symphony Hall.

¹³ Bostoński chór i zespół instrumentów dawnych działający od 1815 roku (przyp. tłum.).

Odrzucił się i pocałował ją, a ona westchnęła cicho. Siedzieli pod rzucającym wspaniały cień dorodnym wiażem. Liście rzucały dodatkowy cień na jej twarz.

– Kocham cię, Melisso. I nigdy nie przestanę. Wyjdiesz za mnie?

– Nie sądzę – powiedział jej ojciec.

Willowi przeszkadzał grobowy dźwięk tykania brzydkiego, starego zegara, stojącego na kominku – był bardzo głośny. Przez chwilę zupełnie nie dotarły do niego słowa profesora Elmeta. Ale wyraz twarzy już tak: napięty i zły. Nie szczęśliwy czy wdzięczny. Tak wyglądała odmowa. Jako dziecko Will Hyde bardzo dobrze poznał ten grymas.

– Co pan powiedział?

– Powiedziałem: *nie* – powtórzył profesor, wstając.

Zaczął chodzić po swoim niewielkim gabinecie. Był chudym, właściwie tyczkowatym mężczyzną, a wdzięku miał tyle, co rozlały komar.

– Jej matka i ja pragniemy dla Melissy kogoś wyjątkowego. Ona jest bardzo atrakcyjną dziewczyną – przyglądał się własnemu zegarkowi – i pochodzi z dobrej rodziny.

William aż się zjeżył – on nie miał żadnej rodziny.

– Obecnie nie mam pieniędzy, proszę pana, ale jestem przekonany, że gdy skończę studia...

– To wtedy będzie czas na szacowanie pańskich szans – odwrócił się do niego. – Proszę mnie dobrze zrozumieć: moja decyzja jest ostateczna. Uważam, że małżeństwa nastolatków rzadko kiedy dobrze rokują. Statystyki mówią dokładnie to samo, Moim zamiarem jest uchronienie córki przed rozczarowaniem i stresem rozwodu. Jej matka i ja z pewnością nie chcemy widzieć jej jako samotnej matki.

– Rozwodu? – Will próbował wymusić uśmiech. – Z całym szacunkiem, proszę pana, ja się nawet z nią jeszcze nie ożeniłem.

– *Jeśli faktycznie* ma pan odrobinę szacunku, to zakończy pan związek z Melissą. Jest zbyt młoda na małżeństwo i pragniemy dla niej... – zawahał się – jest po prostu za młoda. Proszę wybaczyć moją szczerłość, ale lepiej będzie, jeśli od razu zrezygnuje pan ze swych zamiarów.

Byli młodzi. To fakt, ale Will usłyszał w głosie starszego mężczyzny coś jeszcze: pogardę. Will nie tylko był za młody, on nie był wystarczająco dobrą partią. Sir Richard wyraził się wystarczająco jasno.

Will Hyde nie miał pojęcia, skąd dobył się ten głos, ale nagle usłyszał, jak zupełnie spokojnie odpowiada:

– Proszę pana, poprosiłem o pańską zgodę jedynie ze względu na tradycję i żeby uszczęśliwić tym Melissę. Wolałbym otrzymać pańskie błogosławieństwo, ale kocham pańską córkę i *poślubię ją* bez względu na to, czy to się panu podoba, czy nie.

– To się jeszcze okaże – warknął starszy mężczyzna. – Proszę opuścić mój dom.

– Proszę bardzo – Will był zszokowany, ale nie chciał robić scen. – Mam nadzieję, że jeszcze zmieni pan zdanie. Jestem pracowitym człowiekiem.

– Nie zmienię. Tak będzie lepiej.

Sir Richard wyciągnął swoje chude ramiona w jego stronę i pchnął go arogancko ku drzwiom. Will był zawodnikiem rugby i mógł rozłożyć go nelsonem w trzydzieści sekund, ale na myśl o Melissie przełknął gniew.

Spotkali się tego wieczoru w pubie. Cieszyło go, że ona przyjmuje to wszystko ze spokojem. Po twarzy płynęły jej łzy, była blada i cała dygotała, ale jednocześnie była zdeterminowana doprowadzić sprawę do końca. Postanowili spróbować przekonać jej rodziców: on będzie pisał listy, ona porozmawia, ale pobiorą się mimo wszystko.

Jednak gdy leżał sam wieczorem w swoim mieszkaniu, młody Will Hyde – żyjąca z zasiłku sierota bez grosza przy duszy – zastanawiał się czy przypadkiem sir Richard nie ma racji. Czy Melissa nie była zbyt młoda? Może on rzeczywiście nigdy nie będzie dla niej dość dobry. Ale serce mówiło, że profesor się mylił. Człowiek sam jest kowalem swojego losu: przecież był na Oksfordzie, tak? Na najlepszym uniwersytecie na świecie. Wierzył w siebie. Postanowił, że stanie się tak wybitnym człowiekiem, o jakim temu staremu mrukowi nawet się nie śniło.

Melissa była religijną dziewczyną, ale Willowi to nie przeszkadzało. Zgodził się na nauki anglikańskiego kościoła. Gdy tylko zapowiedzi zostaną ogłoszone, pobiorą się w pobliskim kościele. Melissa była pełnoletnia i nikt nie mógł jej powstrzymać.

W dniu ślubu wymknęła się do miasta taksówką, ubrana w prostą, białą, luźną sukienkę.

– Jesteś piękna – powiedział Will.

Zarumieniła się. Miała rozpuszczone włosy, długą szyję okalał sznur drobnych pereł. Rozpoznał je: podarunek od jej matki chrzestnej. Jego pierścionek, maleńki diament, tkwił na lewej dłoni. W blasku porannego słońca wyglądała wprost olśniewająco.

Ustalił z pastorem, że udzieli im ślubu o wpół do dziewiątej rano, gdy większość studentów jeszcze śpi. Ponieważ sir Richard i lady Elmet nie wiedzieli o ślubie, nie przewidziano żadnych innych gości. Świadkiem będzie kościelny.

Ceremonia była krótka, ale zapamiętał każde słowo. Miłość, honor, troska, To, jak stała taka szczupła, lekko drżąca, oddychała szybko. Miał wrażenie, że eksploduje z miłości do niej. Przeciwstawiała się całemu światu, z którego pochodziła, by go poślubić. Jesteś moja, myślał, wsuwając jej obrączkę na palec. To był fakt dokonany, a jej rodzice na pewno to zaakceptują. Zresztą teraz już nie mieli wyjścia.

Odłożył trochę pieniędzy i wynajął pokój w Randolph Hotel w centrum Oksfordu – drogi, ale zaciszny. Zjedli ślubne śniadanie z szampanem, a potem kochał się ze swoją panną młodą godzinami. Melissa brała tabletki, ale on miał nadzieję, że nie zadziałają. Jego namiętność do niej była tak nieprawdopodobna. Chciał mieć z nią mnóstwo małych, szczęśliwych dzieci. Może i nie mieli pieniędzy, ale wszystko się ułoży. Tego ranka świat wydawał się promienieć nadzieją.

„Wszystko się ułoży” – pomyślał Will.

W porze lunchu pocałowała go i powiedziała, że wraca do domu.

– Pójdę z tobą – zaoferował.

Melissa pokręciła przecząco głową.

– Muszę to załatwić sama. Będą zdruzgotani. Przynajmniej sama im o tym powiem.

– W porządku – pocałował ją. – W porządku, kochanie.

Gdy potem myślał o tych wydarzeniach, trudno było mu powiedzieć, kiedy coś zaczęło się psuć. Nie potrafił wskazać konkretnego momentu. Nie wróciła na herbatę, nie wróciła na kolację. Zadzwoił do jej domu, a jej matka po prostu się rozłączyła. Zadzwoił ponownie.

– Ona nie chce z tobą rozmawiać – warknął w słuchawkę sir Richard.

– Bzdura – koniec z uprzejmościami, ten sukinsyn właśnie niszczył im tak piękny dzień. – Chcę rozmawiać z *moją żoną*, albo zaraz się tam zjawię osobiście.

W słuchawce zapadła cisza.

– Czekaj – warknął na Melissę.

Will czekał, a serce waliło mu jak młotem. Słyszał jak schodzi ze schodów, wiedział o niej wszystko, znał nawet odgłos jej kroków.

– Trzymaj – odezwał się sir Richard.

– Will?

Serce mu zamarło – ona płakała.

– Kochanie, co się dzieje? Wracaj do domu.

– Nie mogę... nie możemy się pobrać.

– Trochę już na to za późno – powiedział, chociaż wcale nie miał nastroju do żartów. – Co oni ci zrobili, Melisso, co powiedzieli?

– Już jadę.

– Nie! – znów usłyszał głos sir Richarda.

Słyszał jak się kłóca, a potem w słuchawce jedno, krótkie:

– Jadę.

Will czekał, chory z niepokoju. Przyjechała szybko, jakieś dwadzieścia minut totalnych męczarni. Miała czerwone, opuchnięte oczy i wyglądała na chorą i rozbitą. Miała na sobie dzinsy, podkoszulek i żadnego z jego pierścionków.

– Muszę unieważnić małżeństwo – powiedziała, gdy zamknął za nią drzwi.

– Na miłość boską, ty chyba nie mówisz poważnie.

– Mówię poważnie. Chodzi o mamusię.

– Chrzańć mamusię! – powiedział prosto z mostu.

Odsunęła się od niego.

– Ona umiera, Will! To rak. Powiedziała mi, tata mi powiedział. Trzymali to w tajemnicy. Ona płakała... mówiła, że nie może odejść, patrząc jak rujnuję sobie życie...

Will aż zatoczył się w tył, opadając ciężko na sofę z Ikei.

– Przykro mi. Tak bardzo mi przykro – bił się z myślami, co począć. – Moglibyśmy... moglibyśmy powiedzieć, że unieważniliśmy małżeństwo, ale tak naprawdę tego nie robić. Mogę być twoim chłopakiem, zabiegać o ciebie jeszcze dłużej. Przekonać ich do siebie.

Melissa pokręciła głową.

– Nie, nie. Will, mama wpadła w histerię. Gdybyś ją wtedy widział...

Miał bardzo złe przeczucie co do przebiegu tej rozmowy. W sercu poczuł gwałtowny przypływ nienawiści do jej rodziców.

– Skąd wiesz, że to wszystko nie jest tylko grą? – spytał.
– Nie jest – odparła ostro. – Nie zrobiłaby tego. Poprosiła mnie tylko... żebym to jeszcze przemyślała...

Spuściła wzrok, a on zdał sobie sprawę, dokąd to wszystko prowadzi.

– Nie chcesz mnie więcej widzieć, tak? To koniec... twoja matka jest chora, więc żegnaj, Will, i po sprawie?

– Nie bądź taki zawzięty – wyprostowała się. – To tylko na jakiś czas. Nasza miłość to przetrwa. Krótkie rozstanie...

– Na jakiś czas? Nie – potrząsnął głową, ujmując ją za rękę – kochanie... twoja matka mnie nienawidzi, bo uważa, że zasługujesz na kogoś lepszego. Słuchanie jej na nic się nie zda. Jeśli sprzeciwisz im się teraz, to za miesiąc czy dwa sama przekona się, że jesteśmy ze sobą szczęśliwi. *Że potrafię* o ciebie zadbać. O was wszystkich! To jedyny sposób, aby ich przekonać. Musimy przejść przez to *razem*.

Melissa wyszarpnęła dłonie, a on przez ułamek sekundy był zły i gardził jej słabością.

– Jesteśmy małżeństwem – nalegał. – Jestem twoim mężem. Należę do rodziny.

Chciał jeszcze dodać „a ty jesteś jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miałem”.

Jej ciałem wstrząsnął rozdzierający szloch. Podniosła się.

– Przepraszam – powiedziała. – Niech to wszystko ucichnie, nie dzwoń przez dzień czy dwa.

– Nie unieważnię tego małżeństwa! – wykrzyknął.

– To ja o tym zadecyduję – powiedziała. – Przepraszam, Will. Kocham cię.

W jej oczach zgasło światło. Serce rozpadało mu się na kawałki, gdy, patrząc na nią, dostrzegał straszną prawdę: ona już podjęła decyzję, z ich dwojga wybrała matkę.

– Ale to nie wystarczy, prawda? – spytał.

Melissa wyszła, a Will zamknął oczy. Także dlatego, żeby nie widziała jego łez. Słyszał zamykające się drzwi.

Nie zobaczył jej nigdy więcej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka, w swojej przegródce na portierni, Will znalazł zawiadomienie o unieważnieniu. Natychmiast wrócił do swojego pokoju i spakował się. Napisał listy do swojego opiekuna naukowego oraz do prodyktora, które doręczył za pośrednictwem uczelnianej poczty. To były krótkie, serdeczne listy. Podczas swojego drugiego roku na uczelni Will Hyde zrezygnował z miejsca na Oksfordzie.

Nie czekał na odpowiedź. Wykładowcy to dobrzy ludzie i dokładnie wiedział, co sobie pomyślą. Będą się zamartwiać, że marnuje sobie życie dla młodzieńczego zauroczenia, które za chwilę przeminie. Ale Will wiedział lepiej. Jego życie przeistoczyło się z ciemności samotnego dzieciństwa w miłość, prawdziwą miłość, a teraz Melissa zdradziła go, postawiła na drugim miejscu, zabrała mu wszystko. Nie mógł pozostać w tym samym mieście, co ona. Nie chciał nawet być w tym samym kraju.

Od razu pojechał do Aldershot i wstąpił do wojska. Sierżant, obecny przy rekrutacji, nie był zbyt dociekliwy. Hyde był okazem rzadko spotykanego, idealnego kandydata: muskularna klatka piersiowa, okazałe bicepsy, silne uda. Nie zdziwiła go również informacja, że grał w ataku. Wyleciał z Oksfordu, trudno, ale miał

świetne oceny i talent do matematyki i innych nauk ścisłych.

– Typuję cię na szkolenie oficerskie.

Will pragnął umrzeć, zniknąć. Nie chciał żadnej odpowiedzialności.

– Wolałbym szeregowego, panie sierżancie.

Starszy mężczyzna przyjrzał mu się:

– Gównu mnie obchodzi, co byś wolał. Szkolenie oficerskie.

Podpisz.

Życie w Sandhurst ¹⁴ było ciężkie, co bardzo odpowiadało Willowi. Dostawał regularną wypłatę i wystarczającą dawkę męczarni fizycznej, by przetrwać dzień. Złamane serce nie bolało, gdy ręce i nogi rozsadał ból z przetrenowania. Will wyróżniał się w każdej dyscyplinie. Był najinteligentniejszym kadetem na roku – inni, dorównujący mu intelektem młodzieńcy, nie szli prosto do wojska, tylko na uczelnie. Już na wejściu Will był silny fizycznie, ale opuszczał akademię wojskową jeszcze potężniejszy. Przerósł innych kadetów, ćwiczył podnoszenie ciężarów, przestrzegał diety, napychając się proteinami. Stał się smuklejszy i większy zarazem. Trzeba mu było wymieniać mundur, i to dwukrotnie.

¹⁴ Siedziba akademii wojskowej w hrabstwie Berkshire (przyp. tłum.).

Szybko zauważono jego pełne determinacji zaangażowanie. Był pewniakiem jako kandydat do najwyższego odznaczenia akademii – Miecza Honoru, jednak nigdy tak daleko nie zaszedł.

To był już drugi rok w akademii. Will miał dwadzieścia dwa lata. Opierał się właśnie o pień drzewa po swoim codziennym biegu. Miał czerwoną twarz i z trudem łapał oddech, kiedy nagle

się zjawili. Dwóch facetów w ciemnych garniturach, a nie mundurach wojskowych.

– William Hyde?

– Tak, sir – traktował wszystkich cywili z przesadną grzecznością, ale tak naprawdę był poirytowany.

Miał na sobie pociemniały od potu strój do biegania. Potrzebował chwili, by odzyskać równowagę po przebiegnięciu tych dziesięciu mil w swoim zawrotnym tempie.

– Musimy z panem porozmawiać.

Zerknął na zegarek.

– Obawiam się, że za dwadzieścia minut muszę się stawić na zajęcia, a trzeba się jeszcze wykapać i przebrać.

– Jest pan zwolniony z zajęć, kadecie Hyde.

William powoli się wyprostował. Instynktownie wyczuł, że ci goście nie żartują. Kto mógłby pojawić się bez munduru na strzeżonym terenie Sandhurst i zażądać spotkania z nim? Nie był przestępcą ani nie miał bogatych wujków, którzy mogli umrzeć nie spodziewanie, pozostawiając mu pokaźny spadek.

– MI5¹⁵? –zapytał.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a na twarzy szczuplejszego z nich Will zauważył przelotny uśmiech.

– MI6¹⁶.

¹⁵ Brytyjska Służba Bezpieczeństwa (przyp. tłum.).

¹⁶ Tajna brytyjska służba wywiadowcza (przyp. tłum.).

– Chcemy pana zwerbować – powiedział jego kompan, właściwie niepotrzebnie.

Na twarzy Willa pojawił się uśmiech, pierwszy autentyczny uśmiech od pół roku.

– Co was powstrzymywało? – odparł.

Przyuczyli go w nieprawdopodobnym tempie. Szpiegostwo miał we krwi. Jego umiejętności rozszyfrowywania, wtapiania się w otoczenie i oceny były pierwszorzędne. Dowodzący chcieli wysłać go w teren tak szybko, jak to tylko możliwe. Skierowano go do Jordanii, by wytropił agenta Abu Yusefa, głównego saudyjskiego terrorystę odpowiedzialnego za oszustwa bankowe – wyjątkowo trudny cel. Facet siedział głęboko wśród establishmentu i śmietanki towarzyskiej. Przez rok agenci próbowali go namierzyć, z miernym skutkiem.

Will przyłączył się do poszukiwań i zidentyfikował faceta po ośmiu tygodniach. Natychmiast awansował. Przez kolejne dziesięć lat miał pełne ręce roboty i bardzo to sobie chwalił. Był młody, bez zobowiązań. Żył wyjazdami i pracą, pomieszkiwał w hotelach i kryjówkach, bywało że i w zwykłych kwaterach. Jadł, co mu podano. Sypiał z lokalnymi kobietami, urzędniczkami konsularnymi, czasem z innymi agentkami. Były dobrymi kochankami. Kiedy zewsząd ciągle otacza cię śmierć, to czasem człowiek musi sobie udowodnić, że jest wciąż żywy.

Miał przyzwoitą pensję, na pewno lepszą niż wojskowi kadeci. Były jeszcze dodatki uznaniowe, dodatki za pracę w niebezpiecznych warunkach, kasa z łapówek, na które dowódca przymykał oko, twierdząc, że może je zatrzymać. A Will Hyde nie miał wydatków – żadnego mienia, korzeni. Gdy kończył jedno zadanie, zgłaszał się po kolejne.

Na koncie w banku w Lichtensteinie jego pieniądze zaczęły rosnąć.

Will znał się doskonale na interesach, a jego fach dodatkowo go do tego przyuczył. Faceci, których namierzał, byli ekspertami nie tylko od broni. Kradli, defraudowali, ukrywali, przenosili – pławili się w brudnych pieniądzach i wykorzystywali informacje. Will tropił ich i po jakimś czasie zaczął dostrzegać pewne prawidłowości.

Pewnego wieczoru, ze swego małego pokoiku motelowego w Kairze, Will Hyde wykonał telefon do Farrell & Gironde – najpewniejszego w Europie domu maklerskiego obsługującego klientów prywatnych. Powiedziano mu, że minimalny depozyt to pięćdziesiąt tysięcy funtów. Dał im siedemdziesiąt i zlecił trzy cele: Cordex, Brut GMB i Microsoft – małą firmę komputerową z Seattle.

Akcje Microsoftu natychmiast wzrosły o niewielką kwotę. Cordex podskoczył o dziesięć procent w przeciągu kolejnego tygodnia. Brut GMB straciło pieniądze.

– Możemy zamknąć pozycję i wycofać się – powiedział broker.

– Wstrzymajcie się – odparł Will.

Kolejny miesiąc znów przyniósł straty. Will nie zmienił swojego stanowiska. Było to praktycznie bez znaczenia, gdyż pozostałe dwie firmy ruszyły z kopyta. Miał już korzyści rzędu czterdziestu procent.

– Proszę pana, naprawdę sędzę, że...

– Wolałbym, by pan tylko kupował. Albo nie kupował.

– Dobrze – odparł ze złością broker. Był przekonany, że ten szczeniak zachowuje się zdecydowanie zbyt arogancko jak na kogoś, komu poszczęściło się dwa razy.

– Wstrzymamy się.

Dwa miesiące później Brut GMB zostało przejęte przez marokańską firmę spedycyjną, a wartość akcji Williama Hyde'a wzrosła czterokrotnie.

Gdy zadzwonił kolejny raz, broker nie miał żadnych pytań. W ciągu następnych dwóch lat William Hyde dokonał wielu transakcji. Było kilka niepowodzeń. Większość, jakieś osiemdziesiąt procent, to wzrosty, od zaledwie dobrych po absolutnie zdumiewające.

Po upływie sześciu miesięcy jego broker zaczął zastanawiać się, czy Hyde przypadkiem nie dokonywał tych nietrafionych wyborów celowo, by zatuszować poufną wiedzę, którą dysponował.

Po roku sam zaczął potajemnie kopiować technikę Hyde'a z własnym brokerem w innym domu maklerskim. To było jego najlepsze posunięcie.

William Hyde przetrwał w tej brutalnej rozgrywce, którą sam sobie wybrał, a jego wszystkie pieniądze szły w inwestycje. Gdziekolwiek był, sprawdzał rynek, nawet jeśli musiał wykorzystać do tego kopie *Wall Street Journal* z poprzedniego dnia. Gdy przekroczył kwotę czterystu tysięcy dolarów, pękła wreszcie jedna z mosiężnych obręczy upokorzenia, od zawsze zaciskających jego serce.

Czterysta tysięcy stanowiło dla niego magiczną kwotę. Tyle według Melissy wart był sir Richard.

Gdy przekroczył pierwszy milion, Will Hyde wreszcie się odprężył.

Właśnie legła w gruzach opinia Elmetów na jego temat, jakoby był nic niewart. Tego wieczoru rozważał odnalezienie Melissy,

lecz w końcu zarzucił ten pomysł. Miał do ukończenia misję w Tel Avivie i żadne kobiety nie są mu teraz potrzebne. A już na pewno nie *ta* kobieta. Melissa go zdradziła. Nie widział najmniejszego powodu, dla którego miałby dać sobie złamać serce po raz drugi. Już nie bolało, rana się zabiłiżniła, a on nie zamierzał rozgrzebywać jej od nowa.

Miesiąc później załatwił swój czternasty obiekt: zamachowca z Brygady Męczenników Al.-Asqa, w ciasnej uliczce w Tunisie. Pospieszenie sfotografował jego ciało, po czym ukradł jego samochód. Udał się do samego centrum dzielnicy turystycznej, kupił nowy, wizytowy garnitur i zarezerwował miejsce na niewielkim promie do Maroka. Dopiero w Fez wsiadł do samolotu lecącego do Londynu. Po wylądowaniu na Heathrow, Will Hyde wykonał tylko jeden telefon.

- Mówi Evans.
- Witaj, Roger – odezwał się głos niewzruszonej telefonistki.
- Przekaż Jasonowi, że się zgłaszam.

To było wbrew zasadom – powinien być teraz w paryskim hotelu i czekać na szczegóły kolejnego zlecenia.

– Jakies problemy z korkami na ulicach? – spytała uprzejmie, wymagając tym samym podania słowa-klucza od agenta, który prawdopodobnie działał pod jakimś przymusem.

- Tak, okrutne – odparł.
- W porządku. Przekażę.

Pomyślał, że żartobliwy ton tej rozmowy był cudny, biorąc pod uwagę, jakie zamieszanie powstanie teraz w centrali firmy. Będą latać, wrzeszczeć, dzwonić do hotelu i dowódcy bazy. Ale Willa już nie było. To koniec.

Po godzinie i czterdziestu minutach wchodził do jasnoszarego budynku przy brzegach Tamizy, gdzie rezydowały najbardziej zaawansowane agencje ochrony na świecie, i meldował się na recepcji. Jego hasło wciąż działało. Wjechał windą na dziewiętnaste piętro i wszedł do korytarza sekcji egipsko-marokańskiej.

– William Hyde do sir Rafe'a.

Sir Raphael Court za chwilę kończył sześćdziesiątkę, ale nawet nie myślał o przechodzeniu na emeryturę. Obejmował wysokie stanowisko w branży, o której nic nie mówiono, a jednym z elementów tej pracy, który szczególnie przypadł mu do gustu, było łowienie talentów. William Hyde wyróżniał się, i to już od czasów Sandhurst. Rafe zorientował się pobieżnie w pochodzeniu chłopaka, przekonał się, że będzie on wyjątkowo dobrym kandydatem. Przekonanie to okazało się być absolutnie uzasadnione. W siedzibie agencji wszyscy dobrze wiedzieli, że Rafe uważał Hyde'a za swojego najlepszego ucznia.

– Naturalnie. Proszę usiąść – recepcjonistka była starszą panią, kompletnie odporną na wdzięki młodszych agentów.

Willowi wyjątkowo to odpowiadało. Usiadł na nijakiej, skórzanej, brązowej kanapie, biorąc do ręki wydanie *Times'a*.

– Pan Hyde?

Przeglądał właśnie dodatek sportowy. Arsenal vs Portsmouth, to takie odległe od przepelnionych śmiercią i destrukcją, rojących się od much gett Bliskiego Wschodu.

Londyn wydawał mu się prawie nierzeczywisty.

– Tak?

– Dowódca pana prosi.

– Świetnie. Dzięki. – Nie było sensu tego odwlekać.

Starannie złożywszy gazetę, udał się do gabinetu.

Sir Raphael siedział za biurkiem, przeglądając codzienne raporty. Nie używał komputera – uważał, że zbyt łatwo było się do niego włamać. Był starym człowiekiem o młodym umyśle. Za jego kadencji obowiązywały żelazne zasady, lecz jego gabinet był tradycyjny: typowy, męski pokój w ciemnym drewnie, zielonym suknie i bordowej skórze.

William zamknął za sobą drzwi. Gabinet był całkowicie dźwiękoszczelny, szyby zabezpieczone przed urządzeniami szpiegowskimi o dużym zasięgu. Dwa razy dziennie całe pomieszczenie przeszukiwano pod kątem podsłuchów.

– Jakiś kryzys?

William wzruszył ramionami, wytrzymując przenikliwe spojrzenie szefa.

– Nie osobisty, ale przyszedłem złożyć rezygnację.

– Możesz wziąć wolne. To nużąca robota.

„Możesz powtórzyć?” – pomyślał Will.

Nużąca. Jakie to brytyjskie. Przypomniał sobie krzyki zamachowca, który umierał jako tchórzliwy tyran.

– Nie, sir. Mam już dość.

– Mamy wyśmienitych psychologów – odparł sir Rafe. – Bez urazy. Lepsi od ciebie korzystali z ich usług po ciężkich okresach w terenie. Umysł trzeba wyleczyć, gdy coś mu dolega. Zupełnie tak jak z ciałem.

Will pokiwał głową przecząco.

– Ja nie mam traumy. Ja po prostu chcę zrezygnować.

– I czym się zająć? Chcesz pracę za biurkiem? – przekrzywił głowę, rozważając własne słowa. – Cholerne marnowanie świetnego

agenta, ale jesteś też piekielnie inteligentny. Mogę wcisnąć cię do analitycznego. Może nawet bardziej nam się tam przydasz.

William uśmiechnął się lekko.

– Zamierzam przydać się samemu sobie, sir Rafe.

Ochodzę zupełnie ze służby. Mój patent wygasł sześć miesięcy temu. Dług został spłacony.

Dowódcę zadziwiła brzmiąca w głosie młodego mężczyzny determinacja.

– I planujesz...

– Otworzyć bank – odparł Will. – Dorobić się własnej fortuny.

Nie żartował. Sir Rafe odsunął się na fotelu, wyraźnie zaskoczony.

– Bank? Fortunę?

– To nie jest wbrew prawu.

– Chyba nie rozumiesz: jesteś jednym z naszych najlepszych agentów ostatniej dekady, Will. Wyznaczonym do awansu. Liczymy, że odegrasz wielką rolę w obronie tego kraju przed terroryzmem.

– To mogą robić inni.

– Królowa i kraj nic dla ciebie nie znaczą?

Will Hyde ponownie wzruszył ramionami, a sir Rafe, patrząc w oczy swojego protegowanego, zdał sobie sprawę, iż był on zupełnie pozbawiony tych wszystkich uczuć, które starał się mu wpoić. Jego niezwykła błyskotliwość oraz fizyczna niezniszczalność musiały mieć gdzieś swoje źródło. Jednak z pewnością nie było nim oddanie służbie.

– Patriotyzm może pan sobie zachować, sir. Nic dla mnie nie znaczy. Robiłem to, za co mi płacono. Kilku złych gości nie żyje. Teraz mój ruch.

Na ulicy Will Hyde przeciągnął się w słońcu. Odebrano mu wejściówkę, papiery podpisane. Był wolnym człowiekiem. Nie posiadał niczego poza ubraniami, które miał na sobie. Zabrano mu nawet komórkę i karty kredytowe.

Ale miał pieniądze, i to całkiem spore.

Will dokonywał niezliczonych transakcji i doskonale wiedział, co zrobić ze swoimi pieniędzmi. Zameldował się w Claridge's i spał przez większą część dnia. Potem zjadł średnio wysmażony stek z pysznymi, chrupiącymi, cienko krojonymi frytkami i niezłą sałatką oraz wypił pół butelki Chateau Margaux. Smakowało wymienicie. Nie żałował sobie dobrego jedzenia i doznań w świeżej, nienagannie wyprasowanej pościeli. Kończył właśnie pewien rozdział w swoim życiu. Jeśli tej nocy pojawiały się myśli o Melissie, to tylko przelotnie. Był gotów ruszyć z miejsca. Dosłownie.

Nie miał też absolutnie żadnego problemu ze snem tej nocy. Przez prawie rok Will funkcjonował, niczym maszyna na oparach paliwa i jego ciało przywykło do regenerowania się, gdzie się dało i jak tylko się dało.

Nastawił sobie budzik na wpół do szóstej, wstał i zszedł na siłownię. O tej porze było tam niewielu gości – kilku miejscowych – a ich zazdrosne spojrzenia na jego stalowe mięśnie nieco go zadziwiły. Will nie zamierzał zmarnować kondycji, którą osiągnął, pracując jako agent. Inni faceci po odejściu ze służby często porastali tłuszczem, wpadali w alkoholizm i depresję. Ale nie on. Ta praca była preludium do wyrzucenia z duszy czegoś, co zaczynało się już psuć: Melissy Elmet i tego, kim dla niego była.

To szaleństwo było już poza nim i był gotów na kolejny rozdział. Sprawdził się w ciężkiej próbie i osiągnął absolutną pewność siebie. Wziął prysznic i przebrał się w kolejny nowy garnitur. Wymeldował się z hotelu, nawet nie patrząc na rachunek, i udał się metrem na Heathrow – tak było szybciej. Na lotnisku szybko nabył bilet do klasy biznesowej na kurs z Delta Airlines do Newark. Will Hyde nigdy nie rezerwował biletów z wyprzedzeniem. Za bardzo ułatwiłoby to zadanie jego wrogom.

Dziewięć godzin później przechodził przez odprawę celną w Stanach Zjednoczonych. Cały lot przespał, toteż był wypoczęty i pełen energii. Wskoczył do żółtej taksówki i wynegocjował stawkę za podróż do Richmond w Wirginii, gdzie niezapowiedziany zadzwonił do Louie Ferranto – jednej z osób figurujących na liście faceta, którego niedawno załatwił w Tunisie. Pan Ferranto był właścicielem niedokapitalizowanego banku S&L – małej, rodzinnej firmy z dwiema filiami w Wirginii i jedną w Delaware. Niestety, będąc u szczytu kariery, pan Ferranto zaopiekował się pewnymi arabskimi klientami żądającymi od niego absolutnej poufności. Teraz bank miał problemy, a pieniądze nie były już bezpieczne. Mnóstwo ludzi chciałoby widzieć Louie Ferranto martwego.

Will Hyde o tym wiedział. Przedstawił się, niewiele mijając się z prawdą, jako prywatny inwestor ze świetnym zapleczem finansowym. Wyjaśnił, że ponieważ bank ma kłopoty, on mógłby temu zaradzić, podczas gdy standardowy kredyt nie załatwi sprawy. Zaproponował Louie Ferranto czternaście centów za każdego dolara, co ten z wdzięcznością zaakceptował. Chciał ocalić własną skórę.

Już w czerwcu tego samego roku, zaopatrzony w dopiero co przyznaną mu wizę inwestora, William Hyde mieszkał w Stanach Zjednoczonych i prowadził własny bank. A o Melissie Elmet słyszał, że wróciła do domu, rozpaczliwie stara się o stypendium naukowe i ledwo wiąże koniec z końcem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słońce wślizgiwało się za stare, poszarzałe iglice kościołów Oksfordu. Ten widok zawsze uspokajał Melisę. Robił na niej wrażenie. Kochała to miasto, bez względu na rozczarowania, jakie tutaj ją spotkały.

Tu przynajmniej zawsze otaczało ją piękno. Rozciągające się wokół miasteczka wioski i łąki były równie urodziwe. Jednak dziś miała przedziwne uczucie, że jej pobyt tutaj się kończy.

Zerwanie z Fraserem Macintoshem z pewnością nie będzie należało do przyjemności. Ubierając się, Melissa nalała sobie odrobinę sherry, by przytłumić zdenerwowanie i przygnębienie. Nie obawiała się jakoś szczególnie, że złamie mu serce: zarówno on, jak i ona byli w tym związku dość wyrachowani. Nie była to zbyt pocieszająca myśl, ale wiedziała, że taka właśnie jest prawda. Fraser szukał miłej, dość ładnej, wystarczająco inteligentnej dziewczyny, która zapewni odpowiedniej jakości materiał genetyczny. Chciał wychować kolejne pokolenie dzieci zasilających szeregi nagradzanych uczniów i studentów Worcester. Będzie jedynie odrobina zażenowania i trochę żalu z jego strony. Te czasy, gdy była w stanie zdruzgotać serce jakiemuś mężczyźnie, już dawno minęły. Melissa była zbyt inteligentna, by tego nie widzieć.

Gdy uniosła małą, kryształową karafkę i naląła sobie drinka, nagle zdała sobie sprawę z samotności bijącej z tego gestu. „Boże – zawrzało jej w sercu – oto, kim teraz jestem? Starą panną na posadzie wykładowcy ze szklaneczką sherry, nieeleganckimi ciuchami i stertami papierów na półce, czekających na ocenę?”

Musiała aż oprzeć się o mały, brązowy stolik, bo zrobiło jej się słabo. Po chwili wyprostowała się. Miała wilgotne oczy, które ze złością przetrąła chusteczką, gardząc własną słabością.

Kto tak powiedział? Kto powiedział, że tak musi być? Tatusia już dawno nie było. Umarł.

Wściekłość na ojca, która drzemała w jej sercu, znów niebezpiecznie zabulgotała. Sięgnęła po sherry i wypila jednym haustem. *Jesteś tu tylko przez niego* – odezwał się jakiś głos w jej głowie.

Rodzice. Wielcy manipulatorzy. Matka doprowadzająca do zerwania z Willem z powodu rzekomo nieuleczalnej postaci raka. A po dwóch miesiącach Melissa dowiedziała się, że oboje doskonale wiedzieli, iż mamie nic nie grozi. Na szczęście był to chłoniak Hodgkina, i to niezłośliwa odmiana. Rodzice nie mieli jednak żadnych obiekcji, by wykorzystać chorobę przeciwko Willowi.

Próbowała odnaleźć Williama w Londynie, ale zniknął bez śladu. Całymi miesiącami zrywała się na dźwięk telefonu i każdego ranka biegła po pocztę.

Aż wreszcie dotarło do niej, że on już nie wróci.

Ogarnęło ją wówczas wszechobecne znużenie. Wszyscy to zauważyli. Matka, która zaczęła narzekać, że dziewczyna straciła urok. Brzydulka Melissa – mawiała z delikatnym, ironicznym uśmiechem. Bolało, bo mimo wszystko Melissa naprawdę kochała

swoją matkę i zawsze będzie ją kochać. Bez Willa ciężko było jej mieszkać z rodzicami. Była studentką, lecz nie udzielała się towarzysko, nie chodziła na randki. Odpychała tych wszystkich nadzianych chłopaczków, których próbowała podsuwać jej lady Elmet. Przepaść między nią a rodzicami wzrastała. Melissa uciekla w studia.

Mama zmarła pięć lat później, ale nie na raka. Pojechała do szpitala na rutynowy zabieg stawu kolanowego i dostała zapaści na stole operacyjnym. Wyniki sekcji zwłok potwierdziły niewykrytą wcześniej dziurę w sercu Mirandy. Melissa i jej surowy, niewzruszony ojciec byli zdruzgotani.

Dzień po pogrzebie sir Richard poprosił Melissę do swojego gabinetu.

– Twoja matka zostawiła nam obojgu niewielką spuściznę.

Melissa wzruszyła ramionami. Jej serce rozpadło się na kawałki: utrata Willa i teraz to. Nie chciała pieniędzy, chciała mieć matkę z powrotem przy sobie.

– Twoja część znajduje się w funduszu i czeka, aż ukończysz trzydziestkę. Po tych nieprzyjemnościach – zawsze tak określał jej przedwczesne małżeństwo – twoja matka nie chciała, byś dziedziczyła cokolwiek w młodym wieku.

– W porządku.

– Nie mów do mnie monosylabicznymi burknięciami – głos sir Richarda aż przesiąknięty był nerwami. – I nigdy więcej nie chcę słyszeć od ciebie o Williamie, nie w mojej obecności. To twoje ciągle biadolenie o nim wpędziło twoją matkę w niewyobrażalną nerwicę. To całe cierpienie, jakiego jej przysporzyłaś, snując

się po domu, odmawiając spotkań z młodzieńcami, których ci przedstawiała...

Melissa aż się wzdrygnęła. To było okrutne. Tylko dlatego, że nie zgadzała się spotykać z tymi mięczakami, których podtykała jej matka, teraz jej ojciec obwiniał ją o kondycję matczynego serca?

– Ja go kochałam! – wykrzyknęła.

Sir Richard zbladł, a Melissę, natychmiast dopadły wyrzuty sumienia. Ojciec skulił się, a zrozpaczona Melissa wpadła w panikę, myśląc, że zaraz umrze.

– Już dobrze. Dobrze, tato – powiedziała kojąco. – Koniec rozmów o nim. Zniknął, zapominam o Williamie.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. Pora zacząć żyć – wysiliła się na uśmiech.

Te słowa wypłynęły z jej ust, bo były prawdziwe. Od odejścia Willa minęło już kilka lat. I najwyraźniej on już dawno zapomniał o Melissie Elmet.

Dotrzymała słowa, pogrążając się bez reszty w nauce, rozpaczliwie starając się zasłużyć na miejsce na Oksfordzie. Będąc utalentowaną absolwentką, Melissa wyróżniała się dokładnością i inteligencją. Jej zamiłowanie do historii, kolejnego świata, gdzie można się ukryć, było oczywiste. Podczas gdy rodzice czepiali się jej i narzekali, wykładowcy nie szczędzili jej pochwał. Melissa odcięła się od środowiska innych doktorantów i nie miała ochoty na żadne flirty. Wśród facetów uchodziła za zimną i nijaką. Raczej nie chodziła na randki.

No i musiała się opiekować ojcem. Jej genialny ojciec uwielbiał teorie, nie ludzi. Gdy już był w domu, zamykał się w swoim gabinecie i tonął w papierach. Białe kartki, usiane jakimiś

tajemnymi równaniami, dosłownie pokrywały cały dom. I wszędzie maleńkie kawałki metalu – część jego badań nad klimatologią.

Melissa miała nadzieję, że się do siebie zbliżą. Sama stawiała się naukowcem i mogli przynajmniej rozmawiać o nauce.

– Twoja dziedzina jest inna – mówił beznamyślnie sir Richard, gdy starała się zacząć dyskusję. – W naukach ścisłych jest inaczej.

Melissa zjeżyła się.

– To znaczy?

– Każdy fizyk może dokonać odkrycia, które wpływa na cały świat. Taki Stephen Hawking. Sławny. Bogaty. – Ojciec był szanowany, ale rozpaczliwie marzył o sławie. – Historycy tego nie mogą.

– Nauka o człowieku jest równie istotna, jak badania nad słońcem i chmurami, tato.

Sir Richard uśmiechnął się lekko.

– Ty nigdy nie byłeś bliski odkrycia na miarę Hawkinga, prawda? – zapytała Melissa zgryźliwie, chcąc go zranić. – A masz już pięćdziesiątkę na karku. Nie będziesz miał wpływu na świat.

– Nie masz pojęcia, co ja mogę – odparł zimno sir Richard. – Pewnego dnia moje badania będą światową publikacją. A ty myślisz, że co znaczą słońce i chmury? Hawkinga to ja będę miał w przypisach.

Melissa uniosła brwi i odczuła satysfakcję z tego, że go rozzłościła.

Ojciec odmawiał zatrudnienia gosposi. Melissa przygotowywała mu kolacje i sprzątała w domu, nawet wtedy, gdy sama studiowała. Po krótkim czasie była wykończona i jeszcze mniej zainteresowana

romansami. Założyła, że pójdzie w ślady ojca i że zajmie się nim, gdy będzie już gderliwym, skrzywionym staruszkciem. Smutek z powodu matki nie pozwalał jej na narzekania. Wciąż czuła się tak bardzo winna.

Po obronie doktoratu i otrzymaniu upragnionego stypendium naukowego, Melissa coraz rzadziej pojawiała się w domu. Ojciec wycofał się z nauczycielskiego życia i stał się nie do zniesienia: przygnębiony i ponury. Pracował zawzięcie nad swoimi doświadczeniami z energią, dzięki którym zamierzał obalić ogólnie przyjętą tezę o rzekomym ocieplaniu się klimatu na Ziemi. Nie mogła go opuścić, ale gdyby tylko dostała uniwersyteckie mieszkanie, mogłaby wydzielić sobie odrobinę niezależności.

Pewnej sierpniowej niedzieli podała mu w domu jego ulubiony jogurt z kawałkami ogórka i jabłka. Na kuchni skwierczała baranina z duszoną kapustą i porem. Sir Richard wziął łyk, spojrzął na córkę i chrząknął. Wydawał się zdenerwowany, co było dość nietypowe.

– Kochanie – powiedział równie nietypowo, ponieważ, jeśli w ogóle się do niej zwracał, to tylko po imieniu.

Coś ścisnęło ją za serce. W końcu był jednak jej ojcem.

– Tak, tato? Dobrze się czujesz?

Podniósł głowę i wydawało się, że był zmieszany troską, jaka brzmiała w jej głosie. Na twarzy pojawił się ulotny grymas, coś na kształt żalu.

– Ach, tak, doskonale. Nie martw się. Posłuchaj, muszę coś załatwić. Zostałem zaproszony przez dużą korporację do przeprowadzenia pewnych specjalistycznych badań w Rzymie. Dostali grant – dofinansowanie przez Davida Fella.

Melissa знаła to nazwisko.

– Tego potentata naftowego?

– Tak. Ma mnóstwo pieniędzy do wydania, więc płaca jest bardzo dobra, zapewniają też zakwaterowanie. – Sir Richard wziął oddech. – Wyjadę wkrótce. Może jutro, jeśli załatwi mi bilet. Wszystko to trochę na ostatni dzwonek, ale zastanawiałem się nad pracą poza uniwersytetem.

Zawahał się i po chwili dodał.

– Mogą się też pojawić szanse na jakieś interesy, granty na cele badawcze. W klimatologii dzieje się teraz tyle fascynujących rzeczy.

Fascynujące rzeczy w klimatologii! Oczywiście.

– To może zająć mi trochę czasu – kontynuował sir Richard.

– Myślisz, że sobie tu poradzisz?

Starła się nie pokazywać, jaką ulgę poczuła.

– Tak, naturalnie. Mam mnóstwo pracy, przygotowywanie konsultacji na osiem tygodni.

– Będę się odzywał – ojciec wypuścił powietrze. – Przeniesiesz się tutaj z uczelni?

– Raczej nie – powiedziała niechętnie Melissa. – Tam jest wszędzie blisko...

Nie chciała tkwić samotnie w tym zatęchłym, starym, wiktoriańskim domu.

– Możesz wynająć dom, jeśli chcesz. Przed wyjazdem ustalę dla ciebie pełnomocnictwo w Simpson & Partners.

– Długo cię nie będzie?

– Może sześć miesięcy – odparł.

Melissie aż zrobiło się głupio, że poczuła tak wielką ulgę. Tak dużo czasu spędziła z rodzicami. Odrobina wolności była bardzo kusząca.

– W takim razie wszystkim się zajmę – powiedziała. – Podać kolację? Jesteś głodny?

Ojciec posłał jej kolejne, dziwaczne spojrzenie, po czym nachylił się i niezręcznie pocałował ją w czoło.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiedział. – Uważaj na siebie, dobrze?

Wyjechał następnego ranka po śniadaniu złożonym z jajek na bekonie, a Melissa nie zobaczyła go przez sześć kolejnych miesięcy.

Były telefony, listy – bardzo nieregularne. Zawsze wydawał się strapiony i zapracowany. Melissa wynajęła dom innemu naukowcowi i jego żonie i zajęła się własnym, skromnym życiem.

Odległość naświetliła wiele spraw. Od czasu do czasu odwiedzali się nawzajem. Melissa latała do Rzymu lub Wenecji, a jej ojciec spędzał z nią czas, niechętnie opuszczając swoje laboratorium. Szli coś zjeść, zwiedzali kościoły. Jednak atmosfera była zawsze krępująca. Melissa rzadko kiedy zostawała na dłużej niż weekend. To jej matka była spoiwem utrzymującym ich razem. Teraz, gdy jej nie było, brak zainteresowania ze strony ojca był oczywisty. Zachowywał się odpowiednio: dzwonił w jej urodziny i przylatywał na Boże Narodzenie. Ale tym dwojgu było zdecydowanie lepiej, gdy żyli osobno. W miarę, jak miesiące zmieniały się w lata, dzieląca ich odległość wydawała się być coraz wygodniejsza.

Gdy dotarła do niej wiadomość o śmierci ojca – w wypadku na łądź w okolicach Wenecji – Melissa opłakiwała go, ale nie długo. Poleciała po trumnę i zorganizowała pogrzeb w miasteczku. Pochowała go obok matki. Na pogrzebie pojawił się pełen komplet jego dawnych współpracowników.

„Byłby zadowolony” – pomyślała.

Nie czuła się bardziej samotna niż za życia ojca.

Była jego jedynym spadkobiercą, ale nie miała specjalnie czego dziedziczyć. Sir Richard posiadał spore, nieujawnione długi, a po sprzedaży domu zostało jej zaledwie pięćdziesiąt tysięcy. Po odliczeniu podatku okazało się tego jeszcze mniej. Przez jakiś czas pieniądze te stanowiły uzupełnienie jej pensji, lecz teraz właściwie już nic z nich nie zostało.

Czy to dlatego uczepliła się Fräsera? Ostatniej deski ratunku?

Była wdzięczna, gdy Fräser zdobył się wreszcie na odwagę, aby się z nią umówić. A więc nadal ktoś się nią interesował. Porządny, miły facet. Fräser wyzwoli ją ze staropanieństwa. To już coś, prawda?

Był dobrym człowiekiem. Ale nie dla niej.

Sherry paliło ją w gardle. Melissa rozejrzała się po swoich pięknych pokojach i poczuła, jakby ściany zamykały się wokół niej. Były własnością uczelni. Musiała zmienić swoje życie. Zdecydowanie za długo już siedziała w Oksfordzie. Serce już od dawna miała w kawałkach, ale wciąż jeszcze oddychała – czy jej się to podobało, czy nie. Czas skończyć z Fräserem, zrobić to z wyczu-
ciem i w końcu zacząć żyć.

Przyzwoite rozstanie, a potem nowy początek – gdzieś indziej,

Spojrziała na siebie w lustrze. Fräser lubił taki strój: ciepła, kra-
ciasta, granatowa sukienka z perłowymi guzikami i biały swete-
rek. I oczywiście pasująca, granatowa torebka oraz płaskie buty,
by mogła szybko odejść, jak już będzie po wszystkim. Nagle jej
ubrania wydały się jej straszliwie niemodne i pretensjonalne. Ciało

było szczupłe, lecz już nie tak jędrne jak kiedyś. Chciała to zmienić, wszystko zmienić. Kupić jakieś tanie buty i zacząć biegać.

Z wieszaka na drzwiach zdjęła torebkę, zamknęła drzwi i poszła. Poczucie ulgi mieszało się z nerwami. Teraz przynajmniej podejmie właściwą decyzję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Fraser wsypał jeszcze trochę brązowego cukru do swojego espresso.

„Teraz to już musi przypominać syrop” – pomyślała.

Uwielbiał słodczyce, a nigdy nie przytył ani grama. Nie mogła tego samego powiedzieć o sobie.

Przed nimi, na środku stolika, paliła się świeczka w butelce. W zasadzie przez cały czas Melissa tylko słuchała, jak Fraser opowiadał o swojej wyprawie na pchli targ w Witney. Potakiwała. Chciała przejść do sedna, ale nie znalazła dobrego momentu, w którym mogłaby się odezwać. Stoliki w pubie stały zbyt blisko siebie, a kelnerzy wyjątkowo troszczyli się o klientów.

– Weźmy rachunek – zaproponowała.

– Chciałbym jeszcze jedną kawę, tym razem po irlandzku.

Miał, lekkie rumieńce; wypił trzy kieliszki wina, a nie miał zbyt mocnej głowy. Melissa wykorzystała okazję.

– W takim razie chodźmy do ciebie. Po drodze możemy kupić gdzieś jakąś świetną whisky. Będzie taniej, intymniej.

– Mmm – zainteresował się nagle; nie kochali się prawie od miesiąca. – W porządku, kochanie.

Słynny oksfordzki most Magdalen Bridge zaczęła spowijać już noc. Przechadzało się po nim mnóstwo studentów, tubylców i turystów. Gdzieś tam mijali ich rowerzyści, którzy jechali główną ulicą. Piesi spacerowali do mostu lub kolegium St Hilda's. Dom Fräsera znajdował się po stronie południowej, jakieś piętnaście minut pieszo od Christ Church. Melissa zebrała się na odwagę, gdyż nie chciała przeprowadzać tej rozmowy w jego salonie. Chciała mieć już to za sobą.

– Fraser... – zaczęła. Chciał wziąć ją za rękę, ale zrećnie się wywinęła. – Musimy porozmawiać.

– Nie brzmi to dobrze – zachichotał wysokim tonem, który strasznie ją irytował. – Coś ze ślubem?

– Obawiam się, że coś dużo poważniejszego.

Teraz zaczął jej słuchać. Zwolnił tempo i spojrzał na nią tak, jakby naprawdę się niepokoił. Melissa straciła nadzieję. Może to wcale nie będzie krótkie cięcie, na jakie liczyła.

– O co chodzi, Melisso?

– Dużo ostatnio myślałam... – wykrztusiła – i...

– Ty ze mną zrywasz? – odezwał się nieco zbyt głośno.

– Nie – odpowiedziała i urwała w pół zdania. – Fraser... było nam dobrze ze sobą, tobie i mnie, i jesteś mi bardzo bliski...

– Nie wierzę. Zrywasz – zatoczył się do tyłu. – Zrywasz ze mną. Wycofujesz się.

– Po prostu nie wydaje mi się, żebym była teraz gotowa na małżeństwo – powiedziała błagalnym głosem. – Pospieszylimy się.

Fraser przygryzał wargę, jakby został właśnie publicznie upokorzony.

– Mogłaś powiedzieć mi to wcześniej. Wydałem tysiące na ten ślub. Powiadomiłem wszystkich przyjaciół, krewnych. Co ja niby mam im powiedzieć?

– Że ja nie mogłam tego zrobić, albo że wspólnie wszystko odwołaliśmy... – czuła się bezradna, a on wyglądał na rozzłoszczonego i zranionego. – Napiszę do wszystkich, jeśli dasz mi swoją listę. Ciebie nikt nie będzie winił.

– Oddaj mi pierścionek babci – wyciągnął trzęsącą się dłoń. – Byłaś cholerną szczęściarą, że ci się oświadczyłem, Melisso. Powinienem być się tego spodziewać, zadając się z kimś takim, jak ty...

Wyciągnęła z torebki pudełko z pierścionkiem i podała mu. Nawet nie zauważył, że nie miała go na palcu podczas kolacji.

– Kimś takim, jak ja?

– Przecież ty już to przerabiałaś, prawda? Wystawianie faceta do wiatru?

Melissa aż się cofnęła, jakby trafiona ciosem. Nikt nie wspominał przy niej o Willu, odkąd ojciec wyjechał.

Zaśmiała się obrzydliwie.

– Zdziwiona? No wiesz, ludzie gadają. Dałem ci drugą szansę, a ty tak mi się odwdzięczasz. Nie sądzę, żeby wielu facetów chciało spróbować po raz trzeci.

Otuliła się swetrem.

– Przykro mi, że tak uważasz.

Fraser zaczął się zataczać. Być może wypił więcej, niż sądziła.

– Fraser, odprowadzę cię do domu, zrobię kawy. Porozmawiamy jutro.

Pokiwał głową przecząco.

– Nie ma o czym rozmawiać. Sam dotrę do domu, dziękuję, *kochanie...*

Skręcił gwałtownie, by nie zostać potrąconym przez jakiegoś biegnącego człowieka słuchającego iPod'a i kompletnie nie zważającego na ludzi wokół. Stracił równowagę. Melissa wychyliła się, bojąc się, że skręci sobie nogę, i chwyciła go za ramiona.

Wtedy kula roztrzaskała mu głowę.

Ludzie na chodniku rozbiegli się z krzykiem we wszystkich kierunkach. Melissa zamarła w przerażeniu. Na czole Frase-ra widniała dziura, wielka rana. Widziała szary mózg. Z rany wypływało mnóstwo jasnoczerwonej krwi, która spływała na jej ręce. Oczy jej narzeczonego wciąż były otwarte, ale zmętniałe i martwe. Ciało zachwiało się i osunęło na ziemię.

Wtedy jakby otrzeźwiała – dobiegł do niej odgłos drugiego wystrzału, kolana się pod nią ugięły, osunęła się obok ciała Frase-ra i poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Dookoła słyhać było histeryczne wrzaski. Dźwięk rozbijanego samochodu. Melissa pochyliła się do przodu, starając się oprzeć rękoma o ziemię, by nie upaść. Wszystko wokół wirowało. Fraser był martwy. Poczowała silne męskie ramiona, chwytające ją w pasie. Ktoś obrócił ją i powiedział „żyje”. Potem zemdląa.

W Radcliffe brakowało miejsc. Pielęgniarki najchętniej by się jej pozbyły, a ona chętnie by na to przystała. Musiała wyjść, ale

ciągle przychodziła policja, i lekarze nalegali, by jednak została. Ubranie i buty zabrano jako dowody. Przesłano do niej kogoś z uczelni z rzeczami z jej mieszkania: džinsy, bluza, tenisówki, a nawet czysta bielizna. Kolejne upokorzenie.

Przy jej łóżku ciągle stali policjanci i wciąż zadawali jej pytania, aż robiło jej się niedobrze i sięgała po szare, plastikowe naczynie stojące pod stolikiem. Co robiła z Fraserem? Dlaczego z nim zerwała? Czy miał jakichś wrogów? A ona? Czy była jego spadkobiercą? Czy był ubezpieczony? Czy czerpała jakieś korzyści z jego śmierci?

W końcu Melissa przekonała ich, że była jedynie niewinnym świadkiem zdarzenia. Podała im pełne dane rodziców Frasera. Oni wszystkim się zajmą. Gdy w końcu policjanci wyszli, była totalnie wykończona, zbyt zmęczona na cokolwiek, zbyt zmęczona na żalobę. Powiedziano jej, że nikt więcej nie został postrzelony. Wyglądało to bardziej na morderstwo niż przypadkowy atak uzbrojonego szaleńca. Melissa była bezradna; nie mogła sobie wyobrazić, kto mógł chcieć skrzywdzić Frasera.

Policja proponowała pomoc specjalisty, ale Melissa odmówiła. Była w szoku, była pogrążona w żalobie, ale psychiatra nic tu nie mógł jej pomóc. Po wyjściu detektywów pojawiły się pielęgniarki i trochę się nią zajęły – była ich chwilową gwiazdą. O incydencie huczało teraz w mediach, a cały personel szpitalny jakby złagodniał. Stała się niemal sławna.

Melissa nie życzyła sobie wizyt ani telefonów od przejętych kolegów z Christ Church. Następnego dnia obudziła się z zupełnie trzeźwym umysłem. Poprosiła o kartkę i długopis i napisała długi, poprawny list do matki Frasera. Postanowiła nie informować jej o

zerwanych zaręczynach. Napisała natomiast prawdę o jej synu: jakim był fantastycznym mężczyzną, jak dobrym dla niej.

Nie była w stanie spotkać się teraz z panią Macintosh. Zrobi to dopiero na pogrzebie. Napisała, że musi się otrząsnąć. Wyjeżdża na parę dni; wiedziała, że Fraser wolałby, aby to jego rodzina zajęła się przygotowaniem pogrzebu.

Gdy tylko Melissa wrzuciła sztywną kopertę do szpitalnej skrzynki pocztowej, poczuła nagły, obezwładniający przypływ paniki. Teraz, kiedy załatwiła jedną sprawę – pożegnanie z Fraserem i jego rodziną – dotarła do niej groza tej całej sytuacji. Szła z nim, gdy został zamordowany. Widziała, jak tuż obok niej roztrzaskuje się jego głowa. Zrozumiała, że brakowało kilku centymetrów, by mogła to być ona. A co, jeśli to byłaby ona?

Obrzydliwe widmo śmierci, śmierci Frasera, tego, co widziała, unosiło się nad szpitalem i nad Oksfordem. Dławiło Melissę. Pragnienie wyrwania się stamtąd, odzyskania trzeźwości umysłu, wydostania się z miasta, gdzie morderca był wciąż na wolności (w żadnych wiadomościach nie mówiono o jego ujęciu), było zbyt silne. A co, jeśli ten mężczyzna będzie teraz szukał jej, tylko dlatego, że tam mieszkała? W końcu Fraser był jej narzeczoną. Serce Melissy waliło jak młotem, nie czuła się bezpiecznie.

Instynkt podpowiadał jej, że powinna uciekać. Natychmiast i najciszej, jak to możliwe. W każdej chwili może tu wrócić, lecz w tym momencie wszystko wskazywało na to, że zdecydowanie musi zniknąć.

Wyjęła nagie stopy spod kołdry. Jej ubrania leżały przy stoliku, spakowane w plastikową torbę. Ostrożnie odlepiła plaster i odłączyła

kroplówkę. Wciągnęła dzinsy, koszulkę, bluzę, buty i przeszukała torbę. Była tam jej torebka z jakąś gotówką i paszportem. Pomyślała, że pojedzie windą do głównego wyjścia, ale jedna z pielęgniarek mówiła coś o ekipie lokalnej stacji telewizyjnej, a ona zdecydowanie nie miała ochoty na to, by być filmowaną.

Na końcu oddziału drzwi były otwarte. Melissa przeszła przez nie i błąkała się po korytarzach, aż zauważyła tabliczkę z informacją o wejściu dla dostawców. Znalazła windę towarową, rozejrzała się, nacisnęła przycisk i zjechała w dół do podziemia. Na parkingu stało kilka samochodów; Melissa przeszła pomiędzy nimi i wyszła na ulicę. Jedno spojrzenie do tyłu upewniło ją, że faktycznie przed drzwiami wejściowymi szpitala ulokowała się gromadka dziennikarzy.

Skierowała się na południe. Nie pójdzie na stację kolejową – zbyt wielu znajomych dojeżdża o tej porze do Londynu, a ona nie zniosłaby tych pytań. Od Folly Bridge do Gaversham Bridge w Reading dwa razy dziennie kursowały łodzie. Pojedzie tam i stamtąd wsiądzie w bezpośredni pociąg do Londynu, jeżdżący inną trasą niż ta oksfordzka. Nie wiedziała, co zrobi później. Szła tak szybko, że prawie biegła. Tuż koło niej zamordowano Frasera i każda najmniejsza komórka ciała nagliła ją, by uciekać. Musiała się wyrwać, odpocząć, zebrać w sobie, zastanowić się, co począć z własnym życiem. Może po raz pierwszy zabrać się solidnie za wymazanie z pamięci Williama Hyde'a.

Tymczasem na oddział pomocy doraźnej wszedł młody mężczyzna: oliwkowa cera, atrakcyjny, sportowe ubranie. Niósł przed

sobą wielki bukiet kwiatów. Podeszedł pewnie do dyżurki pielęgniarek i zapytał o Melissę Elmet.

– Nie przyjmuje gości – odparła siostra Linda Smith. – Przykro mi.

– Może pani ją zapytać, czy mnie przyjmie? – spytał, szukając w kieszeniach prawda jazdy. – Nazywam się Carlos Elmet, jestem jej kuzynem.

– Carlos...

– Moja mama, jej siostra, wyjechała do Andaluzji – uśmiechnął się przekonująco.

Żadna z tych kobiet nigdy więcej go nie zobaczy. Mężczyzna zarejestrowany przez kamery szpitalnego monitoringu nie istniał, zatem nie mógł być namierzony. Proteza nosowa, peruka i soczewki kontaktowe były dziełem najlepszych ludzi w swoim fachu. Fakt, iż szpital objęty był nadzorem przez policję z Thames Valley, nie robił na nim absolutnie żadnego wrażenia.

– Naturalnie. Proszę za mną – pielęgniarka wyszła zza biurka.

Była gruba, co stanowiło dla niej wyraźny problem. On mógł poczekać. Nic paliło się.

Toksyna, którą zamierzał zabić Melissę Elmet, działała powoli. Od razu straci przytomność, ale nie umrze przez kilka najbliższych dni, a wtedy on będzie już w Brazylii, zabawiając się z małoletnimi dziewczętami i dwoma milionami dolarów amerykańskich.

Szedł korytarzem za drepzczącą kaczym krokiem pielęgniarką. Kobieta odsunęła zasłonkę. Łóżko było puste.

– Ojej! No proszę, nie ma jej. Nie mówiła, że wychodzi. Musiała się wypisać. Ma pan numer jej telefonu?

Mężczyzna patrzył na łóżko z niedowierzaniem. Był pewny siebie i nie spieszył się. Powinien był pojawić się tu godzinę wcześniej. Lola Montoya nie będzie zadowolona.

– Proszę się nie martwić – zdobył się na olśniewający uśmiech, – Znajdę ją.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Moira Dunwoody była kierowniczką Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Zajmowała ważne stanowisko i była z tego dumna. Osiągnęła szczyt swojego spokojnego życia poświęconego pracy w sektorze publicznym. Była żoną bibliotekarza Jacka, którego poznała już w kwiecie wieku. Nie mieli dzieci, ale nie przeszkadzało jej to. Moira miała mnóstwo kuzynek i kuzynów, a jedną z rzeczy, które wysoce sobie ceniła, była cisza i spokój.

Uwielbiała książki, niestety jej wzrok stawał się już coraz słabszy.

Moira wiodła wygodne życie. Mąż odziedziczył dom w Brooklyn Heights, na który nigdy nie byłoby go stać, gdyby mieli go sami nabyć. Pierwsze piętro przekształcili w odrębne mieszkanie i żyli z opłat wnoszonych przez państwa Kravits – emerytowanego policjanta i jego żonę – dobrych lokatorów ze świetną policyjną emeryturą. Moira kupowała porządne ubrania, ekologiczne owoce i warzywa. Od lat sześćdziesiątych oboje z Jackiem nie jedli mięsa. Byli szczupli i cieszyli się dobrą formą – każdego dnia spacerowali po kilka kilometrów i liczyli na długie życie na spokojnej, godnej emeryturze.

We wtorkowy ranek, wychodząc do pracy, Moira cmoknęła męża w policzek. Tego wieczoru miało odbyć się przyjęcie –

zbiórka funduszy dla biblioteki – a Moira musiała wszystkiego dopilnować: główną atrakcją stanowiła prywatna wystawa niektórych najsławniejszych manuskryptów. Moira planowała wygłosić także powitalne przemówienie. Pojawi się gubernator, przedstawiciele senatu: Allen i Jospin, bazowy zawodnik Yankees oraz cała plejada najbogatszych ludzi Manhattanu. Była doskonale przygotowana i nie mogła doczekać się tego wielkiego wieczoru. Zaplanowała płatne wejściówki, jej wypłata będzie zatem uzależniona od frekwencji.

– Dziś już się nie zobaczymy – powiedział Jack, mieszając swoją cynamonową kawę.

– Przed północą impreza się nie skończy. Możesz do nas przyjść, kochanie, jeśli chcesz.

Jack lubił wcześniej kłaść się spać; był od niej o pięć lat starszy i potrzebował odpoczynku.

– W porządku. Pooglądam sobie do późna Sports Center.

Oboje zaśmiali się z tego kłamstewka. Zainteresowanie Jacka sportem było porównywalne do jego zainteresowania grami komputerowymi. Zerowe.

– W takim razie do zobaczenia jutro.

Poklepał ją lekko po plecach. Byli dobrym małżeństwem. Rzadko spali razem. Życie pełne było sennych przyjemności, bez szarpania czy też szalonego szczytowania.

Moira wzięła lekki płaszcz przeciwdeszczowy Burberry i wyszła na ulicę.

Lola obserwowała ją przez trzy przecznice – nie było pośpiechu. Moira Dunwoody będzie łatwym celem. Uwielbiała swoją

rutynę i świeże powietrze. Na czwartej przecznicy zatrzymała się przy kiosku, by po chwili odejść z kubkiem kawy i czasopiśmem. Po drodze do metra zawsze powtarzała ten sam schemat.

Gdy Moira skręciła do metra, Lola poszła prosto.

Trzymała się w odległości dwóch, trzech osób za nią, schylając głowę za każdym razem, gdy ofiara się rozglądała. Wsiadły do tego samego wagonu – Lola stała pośrodku, trzymając się uchwyty, a kilka centymetrów od niej, ze złączonymi kolanami, siedziała Moira Dunwoody, patrząc w przestrzeń. Lola ubrana była w wąskie dzinsy, wypłowiła koszulkę, czapkę i okulary: większość facetów nie zatrzymałoby na niej wzroku. Moira miała na sobie czerwoną sukienkę, która utrudni jej ucieczkę, a później ukryje krew.

Wsiadły na Penn Station – doskonale. Weszła za Moirą po schodach, wmieszana w zalewający stację tłum.

Lola była zupełnie anonimowa. Szła z lekko pochyloną głową, by oszukać kamery. Nagrywano ją już na pięciu kontynentach i nigdy nie złapano. Dbała o okresowe zmiany wszystkiego – nawet sposobu chodzenia.

Nucąc pod nosem, Moira wyszła na zewnątrz i skierowała się do biblioteki. Nie czuła żadnego zagrożenia, ale w końcu były przecież na środku Manhattanu. Lola rozważała różne opcje: miśniejsza robota, którą można będzie odkryć dopiero po jakimś czasie, była realna, ale ona wolała jednak zrobić co trzeba i zniknąć. Nic będzie raczej wielkiego śledztwa. Gdy Moira skręciła w Ósmą Aleję, Lola zbliżyła się do niej, lewą ręką wyciągając strzykawkę z kieszeni torebki. Szturchnęła bibliotekarkę, przeklinając:

– Cholera! Przepraszam.

– Nie szkodzi – odparła Moira. – Nic się...

Wydała stłumiony okrzyk – najpierw zadziwienia, potem przeżenienia. Lola ukłuła ją, a do jej krwiobiegu zaczął przedostawać się cyjanek.

– Nie mogę... – wybulgotała.

Oddychać. Nie. Nie, gdy w organizmie krąży cyjanek.

Przez chwilę się dławiała, a gdy się zachwiała, Lola podtrzymała ją. Stały przy wejściu do podziemnego garażu, na ścianach były kamery. Lola przeniosła drgające ciało Moiry Dunwoody do garażu, tylko kawałek, przy ścianie. Wyciągnęła nóż i zadała kilka ciosów: w plecy, brzuch i serce, odsuwając się, by nie ubrudzić się krwią. Potem chwyciła jej torebkę. Moira nie czuła ciosów, nie żyła już od dziesięciu sekund. Jednak krew wciąż krążyła i lekarz sądowy też tak ustali. Moira Dunwoody – kolejna ofiara rozboju na ulicach Manhattanu.

Lola oddaliła się z wyszkolonym spokojem. Przechodziła na południe, potem na zachód, w stronę Helis Kitchen, z dala od miejsc, gdzie udałby się zabójca. Na Dziesiątej Alei weszła do restauracji na omlet. Będą przeczesywać ulice i nigdzie jej nie znajdą. Gdy gliny dadzą już sobie spokój z metrem, pojedzie taksówką na Brooklyn, a potem pociągiem na lotnisko, gdzie pokręci się parę godzin. Na grubą rybę, panią senator, przyjdzie czas tego wieczoru. A wtedy będzie miała swoje zasłużone pieniądze.

Denerwowała się. To była duża robota. Profesją Loli rzadko kiedy zajmowały się kobiety – zbyt często brakowało im odwagi i odpowiedniego temperamentu. Ona miała wyrobioną reputację, a ta robota jeszcze dodatkowo ją wzmocni.

Lola już się nauczyła, że nie może pozwolić sobie na empatię. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się w jej dzieciństwie. To, co zrobiła jej matka.

Urazy psychiczne nie przeszkadzały jej jednak być świetną w swoim fachu. Dzięki nim była dobra. Najadła się, a w myślach czyniła przygotowania do wieczoru. Klient płacił wyjątkowo dobrze i spodziewał się wykonania zadania. Sprawna, niewykrywalna robota znaczyła dla takiego agenta jak ona więcej niż pieniądze. Tajemnica wciąż była tajemnicą, a dzięki temu klienci kochali cię i bali się ciebie. To była podstawa. Gdy tylko przestaną się jej bać, zaczną ją tropić.

Lola miała cel i plan. Dwadzieścia milionów. Dolarów.

Wiedziała, gdzie je ukryć, a gdy sama zniknie, to już na dobre.

Dla klienta Moira Dunwoody była warta sto patyków.

Ale Ellen Jospin – dwa miliony.

Tak. Dziś wielki dzień.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z całego jego apartamentu Will najbardziej lubił ogród na dachu. Mieszkanie było okazałe – sześć sypialni na trzech piętrach i ten widok na niebo. To miejsce stworzył dla niego jeden z najlepszych na świecie projektantów hoteli – sprytne wykorzystanie ścian wewnętrznych jako wiatrochronów, górskie rośliny i fontanny. Lubiał wrażenie otwartego nieba i uwielbiał oddychać powietrzem, które na odpowiedniej wysokości wciąż było świeże. W dole wolno płynął ruch uliczny, a oświetlone słońcem samochodowe szyby błyszczały niczym maleńkie diamenty. Tu na górze wszystko było spokojne.

Pośrodku ogrodu umieścił kosztujący gigantyczne pieniądze okazały basen otoczony szklanymi ścianami. Każdego dnia William przepływał pięćdziesiąt długości basenu – rano i wieczorem. Przeleciał tam niezliczoną liczbę kobiet, czasem leżał na dmuchanym materacu i gapił się w gwiazdy. Tutaj nikt mu nie przeszkadzał, żadnych telefonów, rubryk plotkarskich, fałszywych pochlebców.

W środku Olivia czekała na niego. Lubiała pływać przed nim naga – miała niezłe ciało, smukłe, ze sterczącymi, sztucznymi piersiami, które zupełnie mu nie przeszkadzały. Widywał piękniejsze kobiety, ale Olivia była w porządku. Wiedziała, jak z nim

postępować. To była właśnie ta subtelna różnica między bywalczyniami salonów a seksownymi dziewczynami. Dla większości facetów była nieosiągalna, ale naturalnie nie dla niego. Inne też próbowały tej sztuczki, ale Olivia Wharton była wyjątkowa: zabawna, słodka, a jednocześnie była znakomitym lekarzem.

Tej bezchmurnej nocy gwiazdy świeciły jasno. Zadrzał. W swojej sukni Olivia wyglądała zabójczo. Siedziała na krawędzi basenu, mocząc stopy w ciepłej wodzie, a za nią migotały światła betonowych budowli miasta. Widział jej szpilki stojące na kafelkach. Jej swobodne ruchy były urzekające.

Will wszedł przez szklane drzwi. Olivia uśmiechnęła się. Była niesamowicie piękna, piękniejsza niż wiele modelek, z którymi kiedyś sypiał. Przeszedł do niej wzdłuż krawędzi basenu. W nocy woda była podświetlana, a na szklanych ścianach tańczyły cienie. Podobały mu się te cętki rzucane na szyby. To takie odprężające, znajome, bezpieczne – jak ta dziewczyna, którą znał już jakiś czas i która nigdy nie działała mu na nerwy.

– Hej.

– Hej – odparła. – Niezłe przyjęcie, prawda?

Zaśmiała się szczerze.

– Nie przepadasz za tym?

– Lubię dobre przyjęcia, tylko że one wszystkie sprowadzają się do jednego, prawda? Do interesów.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Senator Jospin ma jakąś obsesję na twoim punkcie, kotku.

Zgryźliwa uwaga. To w niej lubił. Tak, to był dobry moment, właśnie teraz.

– Olivio – czuł się trochę głupio, nie planował tego – nie mam pierścionka, kupię, kupię wspaniały.

– Will? – odwróciła się do niego z błyszczącymi radością i nadzieją dużymi, niebieskimi oczami i klasnęła dziecinnie w dłonie.

– Wyjdiesz za mnie, skarbie?

Zapiszczała z zachwytu.

– Tak! Oczywiście, że tak.

Pocałował ją, wziął w ramiona i zaczął zsuwać z niej ubranie, gładząc kciukami jej delikatną skórę, a ona przyłgnęła do niego rozpalona i chętna.

Kiedy Will obudził się o szóstej, Olivia wciąż spała. Nie przeszkadzało mu to, nie potrzebował dużo snu. Zostawił ją w łóżku i wskoczył pod szybki prysznic. Prysznic był zrobiony z jednej płyty czarnego jak smoła bazaltu i wysadzany wewnątrz odznaczającymi się na złoto gwiazdami i księżycem. Produkcja kabin prysznicowych to jedna z tych rzeczy, które Amerykanie robią najlepiej.

Poprzedniego wieczoru służący przygotował dla niego ubranie. Will ogolił się i ubrał w niecałe pięć minut. Nie znosił marnować czasu, a szczególnie, gdy miał sprawy do załatwienia. Tego ranka wszedł do kuchni, gdzie gospośia przygotowała mu śniadanie: kubek kawy Jamaican Blue Mountain, bajgla i wędzonego łososia. Zjadł szybko, rozkoszując się wypełniającym pomieszczenie zapachem kawy. Miał niewiele czasu – dziś, jak i każdego innego dnia. Czekwały na niego *New York Times* i *Wall Street Journal*, a także *Times* i *Telegraph*, dostarczone pierwszym, porannym lotem z Londynu. Dwadzieścia minut przy śniadaniu wystarczało na

przejrzenie ich wszystkich i wyszukanie ewentualnych istotnych informacji. Nudne nagłówki: kryzys cenowy paliw, powódź w Cotswolds, prezydencki syn aresztowany za jazdę po pijanemu.

Will odłożył gazety i sięgnął po *Journal*. Wciąż warto było go czytać, nawet w dobie Internetu. Wyjął telefon i sprawdził listę dzisiejszych spotkań. Japońscy bankierzy z Nomura w południe, jacyś goście z KKR o dziesiątej, o ósmej trzydzieści spotkanie z zarządem przejmowanej firmy...

Każda minuta jego dnia była zagospodarowana. Wpisał notatkę: skrócić popołudniowe spotkanie z brokerami. Potrzebował pół godziny, by jechać do Tiffany'ego po pierścionek dla Olivii. Amerykanie lubili pojedyncze brylanty, Brytyjczycy – kolorowe kamienie. Kupi coś idealnego: kolorowy brylant. Pomyślał o perfekcyjnym, mieniącym się kanarkowym brylancie, cztero lub pięciokaratowym, o głębokim kolorze. Mogą nie mieć takiego w sklepie, ale zdobędą go dla niego. Złoty kamień dla jego złotej dziewczyny.

Jego wzrok zatrzymał się na nagłówku na jednej ze stron angielskiego *Telegraph* leżącego tam, gdzie rzucił go od niechcienia.

Nauczyciel z Oksfordu zastrzelony.

Nauczyciel z Oksfordu? To bardzo nietypowe. Przecież Anglicy nie wydają nawet pozwoleń na broń. Przysunął gazetę, przejrzał artykuł i zamarł.

Nauczycielka Melissa Elmet, narzeczona zamordowanego niedawno Frasera Macintosha, uciekła w czwartek z lokalnego szpitala. Panna Elmet była świadkiem morderstwa i nadal odgrywa ważną rolę w prowadzonym śledztwie. Policja prosi, aby zgłosiła się na komendę.

Czekający w garażu kierowca i spotkanie o siódmej z facetami z Bear Sterns przestały nagle być tak istotne.

Melissa Elmet zamieszana w strzelaninę. Uciekła ze szpitala.

Zamierzała ponownie wyjść za mąż.

Odłożył gazetę na granitowy blat. Zimne, czarne, wydrukowane słowa nic dla Willa nie znaczyły.

Celowo wziął *New York Timesa*, chcąc przejrzeć amerykańską gazetę i sprawdzić, czy trafi na więcej informacji. Przekartkował ją – żadnej wieści o niejasnym morderstwie w Anglii.

Jednak na trzeciej stronie znalazł coś, co przykuło jego uwagę. Zabito kierowniczkę Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Napad. Zaciągnięta do garażu przez jakiegoś chuligana, wiele ciosów, skradziona torebka...

Moira Dunwoody. Znał to nazwisko. A ona знаła...

William Hyde poczuł, że robi mu się niedobrze.

„Napad – pomyślał. – Wyluzuj. Ale kim był Fraser Macintosh? Zastrzelony przez snajpera? Snajper... W Oksfordzie, tym małym, sennym miasteczku. Powiązania. Przypadki” – w te nie wierzył.

„Przestań. Popadasz w paranoję – pomyślał. – To stare nawyki. Wypadłeś z gry wieki temu. Przemoc jest na porządku dziennym”.

Włączył telewizję na Bloomberg, by sprawdzić nocne informacje z Japonii. Bank prowadził wiele inwestycji u brzegów Oceanu Spokojnego.

Pod listami giełdowych notowań pojawiał się pasek informacji. Tornado w pobliżu Dallas, strzelanina w kościele w Wyoming.

„Na dzisiejszy ranek prognozowana jest obniżka cen ropy, ze względu na...”

– Przepraszam, że przerywam, Dave, ale otrzymałam ważne informacje – powiedziała prezenterka, której wręczono kartkę papieru. – Dotarła do nas wiadomość, że senator z Nowego Jorku, Ellen Jospin, została znaleziona martwa w swoim domu na Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie. Przypuszczalnie było to morderstwo. Ciało senator Jospin odnaleziono wraz z ciałami jej kierowcy oraz agenta Tajnych Służb Specjalnych w podziemnym garażu budynku. Przyczyna śmierci nie została jeszcze ustalona.

Will Hyde zadrzał z przerażenia, jakby został uderzony. Przełączył się na kanał informacyjny. Rozpoznał okazały budynek Jospin, nieopodal Białego Domu. Odbył tam z nią kilka spotkań w czasach, gdy sprawowała urząd w Departamencie Energii. To już jakiś czas temu, ale utkwilo mu to w pamięci, bo...

Odstawił kubek na granitowy blat i zadzwonił do kierowcy.

– Jack, jesteś gotowy?

– Tak, proszę pana.

– Schodzę. Jedziemy do biura.

Było wiele miejsc, gdzie mógł to zrobić, ale biuro było najpewniejsze. Sprawdzano je rutynowo, a łącza telefoniczne były absolutnie bezpieczne.

– Tak jest.

Will usadowił się w swojej limuzynie na srebrnoszarym, skórzanym siedzeniu i wyjął telefon. Było jeszcze wcześniej, ale pomyślał, że Rob już nie śpi, o ile wciąż można było ufać jego starym

nawykom. Will pieczołowicie utrzymywał kilka kontaktów z dawnych lat. Niewiele, zjedną czy dwoma najistotniejszymi osobami. Rob Wilson był facetem od łączności telefonicznej. Miał dojsście do danych większości firm telekomunikacyjnych i znał takich, którzy mogli dotrzeć tam, gdzie on nie mógł.

– Tak?

– Rob, tu Will Hyde. Potrzebuję numeru.

– Będzie kosztować. Jak szybko?

Will zerknął na ruch uliczny.

– Dziesięć minut. Możesz wysłać mi go na telefon?

– Mogę prawie wszystko, ale za takie tempo będzie pięćdziesiąt.

– Zrób to szybciej, a dam ci stówę.

Zaśmiał się:

– Uwielbiam interesy z nadzianymi sukinsynami. Dobra, czemu nie? Twoja kasa. Kogo szukamy?

– Melissy Elmet, z Anglii, mieszkanki Oksfordu, ostatnio zaginionej.

Nikomui nigdy nie wspominał o Melissie. To nazwisko nie Wilsonowi nie mówiło.

– Oddzwonię – odezwał się i rozłączył.

Will zastanawiał się, ile czasu mu to zajmie. Gdy jego telefon odezwał się po mniej niż dwóch minutach, nie był zaskoczony. Numer Melissy nie mógł być zabezpieczony; zastrzeżenie numeru i tak byłoby bez znaczenia. Rob z pewnością zrobiłby to dla faceta oferującego mu sto tysięcy dolarów za kilka sekund roboty. Will uśmiechnął się i przy pomocy telefonu przelał pieniądze. Robiąc tego typu przelewy, nigdy z nikim nie rozmawiał. Im mniej sładów, tym lepiej.

Za jego przyciemnionymi szybami przewijały się trąbiące limuzyny Lincolna i żółte taksówki – bankowcy i handlowcy Manhattanu w drodze do pracy. Dzielnica finansowa była kompletnie zakorkowana. O tej porze często dokonywał transakcji w samochodzie. Will Hyde był absolutnie mobilny. Jednak tego ranka nie mógł się skupić. Interes z Japończykami, przejęcie, wszystko stało się mało ważne. Świat skurczył się do rozmiarów niewielkiego numeru telefonu wyświetlonego na ekranie jego komórki.

Mógł się mylić, myśląc jak szpieg, jak żołnierz, którym był dawno temu. Melissa Elmet z pewnością nie była nikim ważnym. A co, jeśli nie ma to z nią żadnego związku? Jeśli była zupełnie bezpieczna? Nie rozmawiał z nią od dnia, gdy go rzuciła, i teraz też nie miał na to ochoty. Wczoraj wieczorem oświadczył się urzekająco pięknej kobiecie. Był bogatym człowiekiem obracającym się w innym świecie. Melissa wciąż wykładała na Oksfordzie. Była z innym mężczyzną, a Willa Hyde'a nawet to nie obchodziło. Oboje żyli własnym życiem. Telefon do niej przywoła wszystko to, co powinno pozostać zapomniane.

Myślał o tym przez kolejne osiem minut, w czasie których limuzyna dojechała i zaparkowała na jego prywatnym miejscu parkingowym przy biurowcu banku. Prywatna winda wywiozła go z samochodu prosto do biura.

Jego dyrektor i zastępcy byli już w pracy.

– Żadnych telefonów, Janet – powiedział.

– Tak, proszę pana – jego sekretarka była piękną brunetką, mężatką z dwójką dzieci w podstawówce. Podkochiwała się w nim, ale tolerował to, gdyż nigdy niczego nie próbowała. Janet pragnęła Willa Hyde'a, ale jeszcze bardziej pragnęła swojej

dziewięćdziesięciotysięcznej wypłaty i hojnego planu emerytalnego.

Will zamknął drzwi. Jego gabinet był wielki, ale funkcjonalny: ściany w boazerii i dość małe okna. Widok mógł sprzyjać rozkojarzeniu, a on sam nie chciał też być obiektem obserwacji kogoś wyposażonego w solidny teleskop.

Spojrzał na zegarek. W Anglii było południe. Podeszedł do telefonu, lekko wzdychając. Nie robił czegoś podobnego od dziesięciolecia.

- Szpital Radcliffe.
- Proszę połączyć mnie z pielęgniarkami ambulatorium.
- Kto mówi?
- Sierżant Brooks z policji Thames Valley. Muszę wyjaśnić okoliczności wypisu Melissy Elmet.

- Proszę poczekać, sierżancie – w słuchawce zapadła cisza.

Natychmiast przypomniało mu się szkolenie. Jakby nigdy nie przestał być agentem. Will mówił w wiarygodny sposób; jego głos nabrał oksfordzkiego brzmienia.

Z tego, co się orientował, to ochrona szpitalna w Anglii nie była najlepsza.

- Sally Mount.
- Sierżant James Brooks, Thames Valley. Przykro mi, że znów zawracam głowę, ale muszę coś sprawdzić w oświadczeniu.

Westchnięcie.

- W porządku, ale mamy mnóstwo pracy...

- Pani Elmet wypisała się.

- Mówiliśmy już, nie wypisała się. Po prostu wyszła.

- I wciąż się nie skontaktowała?

– Nie spodziewamy się jej zobaczyć. Była jedynie na obserwacji. Odmawiała terapii, przypuszczam więc, że w razie problemów uda się do swojego lekarza rodzinnego.

Will zadał swoje koronne pytanie.

– Rozumiem, to prawie wszystko. Ile osób pytało o nią?

– Tylko jej kuzyn. Ten Hiszpan – Will usłyszał chichoty i przykrywanie dłonią słuchawki telefonu; Sally dawała znaki koleżankom, by przestały się wygłupiać – Carlos.

– Niezłe ciacho, prawda?

– Oj tak – rozluźniła się, rozumiejąc, że żart nie był zupełnie nie na miejscu. – Dziewczyny mają nadzieję, że jeszcze tu wróci.

– Carlos pojawił się po tym, jak wyszła?

– Przyniósł jej kwiaty.

– Dzięki, siostrze, bardzo mi pani pomogła – rozłączył się i przycisnął kolejny przycisk w telefonie. – Janet, odwołaj wszystkie spotkania.

– Ale proszę pana, pierwsze jest już za dziesięć minut. Już czekają.

Cholera. Will nie znoślić być nieuprzejmy.

– Dobrze, przyślij tu Jacka Sansone'a, żeby się tym zajął. Powiedz mu, że kazałem porozmawiać, niczego nie oferować. Odwołaj wszystkie moje spotkania. Sprawa osobista. Ustalimy inne terminy. Dziś nie ma mnie już w biurze.

Jack był wiceprezesem. Z pewnością poradzi sobie z kilkoma drobnymi biznesmenami ze Środkowego Zachodu. Był starszy od Willa, zwerbowany z Wachovii i wyjątkowo ambitny. Will umieścił go w zarządzie, ponieważ był on kompetentny. Żądza władzy

u innych zupełnie Willowi nie przeszkadzała.

– Tak, proszę pana – Janet Navarro nigdy z nim nie dyskutowała. Niewielu próbowało.

Will wziął swój telefon i udał się do drugiej windy. Pospiesznie zjechał do holu. Zamierzał porozmawiać z Melissą i chciał to zrobić na zewnątrz. Sama myśl o tym, że będą ze sobą rozmawiać, okazała się dla niego bardzo osobliwa, a nawet niepokojąca, ale nie miał wyboru.

Postanowił pójść w stronę Tiffany'ego i skoncentrować się na wyborze najpiękniejszego pierścionka dla Olivii. Takiego, który jego żona będzie nosić z dumą. Ta myśl złagodziła nieco poczucie winy. To było nielogiczne czuć się winnym, a Will nie znoślił, gdy jego emocje wymykały mu się spod kontroli.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Melissa stała na środku stacji Paddington i czuła się nieco głupio. Znalazła pociąg i niemal automatycznie udała się do Londynu. Nie posiadała żadnych innych ubrań, poza tymi, które miała na sobie. Torba z paszportem i portfelem stanowiły cały jej bagaż. Nie miała nawet szczoteczki do zębów. Plan ucieczki aż tak daleko nie sięgał. To czego właściwie teraz chciała, wakacji? Gdzie? Co zrobi teraz ze swoim życiem?

Tłum na stacji sprawiał, że czuła się klaustrofobicznie.

Na Magdalen Bridge też były tłumy. Wciągnęła powietrze i wyszła ze stacji, przed którą ustawiła się długa kolejka oczekujących na taksówki. Melissa do nich dołączyła, właściwie bardziej po to, by dać sobie chwilę do namysłu. Może pojedzie gdzieś, gdzie jest cisza i spokój. Do Muzeum Brytyjskiego. Nie, zbyt wielu turystów. Lepiej do National Portrait Gallery. Mogłaby pochwycić, popatrzeć na ulubione obrazy i zdecydować, co począć z własnym życiem.

W torebce odezwał się telefon. „Uspokój się – próbowała przezwyciężyć nagły niepokój – za bardzo się denerwujesz. Jesteś na Paddington, w środku dnia”. Sięgnęła po telefon i spojrzała na wyświetlacz. Niewiele osób znało jej numer telefonu, a ci, którzy go mieli, byli wpisani na jej listę. Wyświetlacz pokazywał nieznamy numer.

Pewnie telemarketing. Wstydziała się swojego zdenerwowania. Musiała z tym skończyć – tym, co stało się z Fraserem i tą całą bezsensowną przemocą – bo inaczej do końca życia będzie zachowywać się jak jakiś tchórz trzęsący się na widok cienia. Mogła liczyć tylko na siebie.

– Melissa Elmet – powiedziała.

– Melisso, tu Will Hyde. Dawno nie rozmawialiśmy.

Jej palce zacisnęły się wokół telefonu.

– Will? – złapała powietrze.

Dobry Boże. To naprawdę był on. Wszędzie rozpoznałaby ten głos. Dziesięć lat, a nawet więcej, przeleciało jak z bicia strzelił, przy wtórze kilku mocniejszych uderzeń jej serca. Głos Willa – ten sam co tego dnia, gdy od niego odeszła.

Poczuła, jak całe ciało oblewa pot, a twarz pokrywa rumieniec. Zrobiło jej się słabo i z wrażenia musiała poszukać jakiegoś oparcia.

– Skąd masz ten numer?

– Mam swoje dojścia. Nieważne. Słyszałem, co się stało i jest mi bardzo przykro – powiedział energicznie.

To jej odpowiadało, nie chciała współczucia, tego potrzebowała teraz najmniej. Odzyskała trzeźwość umysłu.

– Dziękuję – odparła spokojnie. – Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze.

– Nie dzwonię, by sobie pogadać, Melisso. Nie chcę cię straszyć, ale musisz wysłuchać mnie bardzo uważnie.

Zamrugwała zaskoczona.

– Tak?

– Chcę, żebyś była bezpieczna. Bez względu na to, co się kiedyś między nami wydarzyło.

– A dlaczego nie miałabym być bezpieczna? – zapytała przeżrana.

Żadna z jej niezliczonych fantazji o ponownej rozmowie z Willem nie przewidywała czegoś takiego. Znów poczuła się słabo.

– Posłuchaj, nie da się tego inaczej przedstawić. Według mnie kula, która trafiła twojego narzeczonego, była przeznaczona dla ciebie.

Niepewnym krokiem wyszła z kolejki i oparła się o ścianę.

– Pani czeka? – spytała gruba kobieta w niebieskim płaszczu.

Melissa bezwolnie pokiwała przecząco głową, pokazując jej, by się przesunęła.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Tutaj też zginęło kilka osób. Senator Ellen Jospin z Nowego Jorku, kobieta o nazwisku Moira Dunwoody – kierowniczka Nowojorskiej Biblioteki Publicznej – i biznesmen David Fell w Wenecji.

– Przepraszam, ale... – jej sprzeciw nagle przygasł, ostatnie nazwisko biło na alarm. David Fell. Sponsorował tatę.

– Każda z tych osób jest powiązana z twoim ojcem. On też zginął w jakimś wypadku, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak – odparła biernie – ale Will, ja nigdy nie słyszałam o tej bibliotekarce... czy tej pani senator. A z tatą straciłam kontakt jakiś czas przed jego śmiercią.

– Twój ojciec odbył dwa spotkania z senator Jospin tuż przed tym, jak wyjechał do Włoch i zginął na lagunie. Pamiętam notatki prasowe. To nie były jakieś ważne spotkania. Ona zasiadała wtedy w komisji energetycznej, a on przyjechał na rozmowy o oszczędzaniu

energii. Spotkali się prywatnie. Siedzę to, czym zajmują się politycy w moim otoczeniu, bo to pomocne w moim biznesie.

Melissa potrząsnęła głową. Więc jej ojciec spotkał się z jakąś panią z komisji, no i co z tego? Był naukowcem i uwielbiał się popisywać – nic w tym dziwnego. Mógł w tym czasie przyjechać do niej, do Anglii z wizytą, ale jego kariera zawsze była na pierwszym miejscu.

– A ta bibliotekarka?

– Ta sama wizyta. Siedział koło niej na kolacji dobroczynnej tego samego wieczoru; był gościem Uniwersytetu Kolumbii. Wiem, bo patronowałem tej organizacji i byłem tam. Widział mnie – przerwał na moment. – Jak się pewnie domyślasz, to była dość dziwna sytuacja. Utkwiła mi w pamięci.

Melissa skrzywiła się. Co za męka i upokorzenie dla jej ojca. Widzieć Willa Hyde'a w chwale miliardera na tej samej, cholernej, nowojorskiej kolacji. Chłopaka, którego odrzucił, od którego odciągnął Melissę, który teraz mógłby go milion razy kupić i sprzedać.

– Rozmawialiście? – spytała, udając, że ten szczegół nie zrobił na niej wrażenia.

– Byliśmy obaj bardzo zajęci – odparł dyplomatycznie Will.

Melissa zamknęła oczy i wzdrygnęła się ze wstydu.

– Dwie kobiety spotkały mojego ojca i są teraz martwe? Daj spokój, z pewnością poznał tysiące ludzi.

– Nie wierzę w przypadki. Nie z moją przeszłością. A David Fell, trzecia ofiara, finansował badania twojego ojca w Rzymie.

– Ale kto ich zabił? I dlaczego?

- Tego jeszcze nie wiem. Dowiem się.
- W jaki sposób? Jesteś bankowcem, a nie detektywem, Will.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Prawie widziała, jak bił się z myślami. Bardzo starał się przekonać ją, że mówi poważnie o zagrożeniach, jakie według niego na nią czyhają.

– Zanim przejąłem ten bank, przez wiele lat pracowałem w MI6 – powiedział.

Zamurowało ją. Poczula dziwną mieszankę emocji. Żal. Pożądanie. Strach. Za strach była niemal wdzięczna, gdyż czuła, jak lód w jej sercu roztapia się wbrew jej woli, niczym niknący z nadejściem wiosny lodowiec.

Will Hyde, jej Will, szpiegiem. Tak odważny. Brytyjski szpieg, a teraz tak potężny człowiek.

- To tak zdobyłeś mój numer – spróbowała zażartować.
- Właśnie.
- Nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek ze mną, Will.
- Masz jakieś rodzeństwo?

Naprawdę wszystko już zapomniał?

- Wiesz, że nie.
- Przyrodnie, kogokolwiek?
- Nie.

– Melisso, zaraz po twoim wyjściu do szpitala Radcliffe przyszedł mężczyzna, podający się za twojego siostrzeńca. Carlos z Hiszpanii. Przyniósł kwiaty. Pielęgniarki zaprowadziły go do ciebie.

Strach wzmógł się, powodując nagły przyływ tęsknoty za nim.

– Dziennikarz, z jakiegoś tabloidu – zasugerowała. – Dlaczego nie sprawdzili mu dokumentów?

– Sprawdzili. Miał autentyczne prawo jazdy na nazwisko Carlos Elmet. Dziennikarze zwykle nie zadają sobie aż tyle trudu. I nie byłoby w stanie załatwić sobie takiego dokumentu między strzelaniną a twoim zniknięciem. To wskazuje na profesjonalistę.

– Profesjonalnego zabójcę – zaschło jej w gardle.

– Mogę się mylić. Nie chcę, byś ryzykowała.

Dziękowała Bogu za tę ścianę za plecami. Za chwilę świat znów może zacząć wirować, a ona nie chciała zemdleć. Nie chciała, by Will Hyde pomyślał, że jest słaba.

– Mam... mam paszport. Mogę pojechać do Paddington, złapać Heathrow Express. Barcelona, Genewa, gdziekolwiek...

– Absolutnie nie – odpowiedział ostro. – Będą cię teraz szukać w portach i na lotniskach. Może później. Ale nie używaj kart kredytowych, nie melduj się w hotelu, nie wyciągaj pieniędzy z bankomatu.

Teraz to już naprawdę panikowała.

– Ale ja mam tylko sześćdziesiąt funtów w kieszeni, Will. Co ja do cholery mam niby zrobić?

Znowu na chwilę zapadła cisza.

– Will?

– Myślę. Nie panikuj, Melisso. Nie znaleźli cię w Radcliffe i nie wiedzą, gdzie teraz jesteś. Chcę, żebyś poszła do hotelu Victrix w Covent Garden. Będzie tam na ciebie czekała rezerwacja na nazwisko Olivia Wharton.

– Olivia Wharton? Kto to jest?

– Moja narzeczona. Nie będzie miała nic przeciwko.

Te słowa uderzyły w nią niczym pięść w splot słoneczny.

„To się oczywiście musiało wydarzyć – powiedziała sobie Melissa. – Jedynym zaskoczeniem jest to, że tak długo był sam”.

Mimo to oczy jej zawilgotniały i była szczęśliwa, że nie mógł zobaczyć, jak wyciera je rękoma.

– Nie będziesz musiała pokazywać żadnych dokumentów. Będzie na ciebie czekał apartament z jedzeniem. A teraz bardzo ważne.

– Tak?

– Nie otwieraj drzwi nikomu poza mną. Ani obsłudze, ani sprzątaczkom, nikomu. W hotelu będą wiedzieli, by ci nie przeszkadzać. Nie zamawiaj niczego, nie wychodź z pokoju. Rozumiesz?

– Rozumiem doskonale.

– Może przesadzam, ale jeśli nie, to od tego może zależeć twoje życie. To jest poważna sprawa.

– Rozumiem, Will – wydusiła słowa, prawie się nimi krztusząc. – Dziękuję ci.

Kolejna krótka przerwa.

– Jedź tam teraz. Weź taksówkę. Przyjadę i zastanowimy się, co robić.

– Jesteś w Londynie?

– W Nowym Jorku, ale przylecę najbliższym samolotem.

– Dobrze. Już jadę – powiedziała oszołomiona.

– Do zobaczenia.

Rozłączył się, a Melissa zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, jak się z nim skontaktować. Łzy płynęły już swobodnie, a ona cała się trzęsła. Ludzie odsuwali się od niej zdezorientowani. Melissa

miała to gdzieś. Otarła twarz chusteczką wyjętą z torebki. Musiała doprowadzić się do porządku, żeby nie zrobić przedstawienia w hotelu. Żałowała, że nie miała ze sobą żadnych kosmetyków do makijażu. Co prawda tuż za nią, na stacji, było stoisko Boots, ale Will kazał jej uciekać, a ona wywnioskowała z tonu jego głosu, że nie żartował.

Ludzie pakowali się do szybko podjeżdżających taksówek. W ciągu pięciu minut Melissa znalazła się z przodu kolejki. Poprosiła o kurs do Victrix, a kierowca ruszył z kopyta bez dalszych pytań.

Hotel był olśniewający, ale Melissa nie miała czasu na zachwyty. Wielki, marmurowy hol z olbrzymią fontanną i okazałymi, współczesnymi obrazami na płótnie. Eleganckie, minimalistyczne, włoskie kanapy i kinowej wielkości ekrany telewizyjne wyświetlające wiadomości. Kawalek Manhattanu w środku Londynu.

Była onieśmielona, ale podeszła do recepcji.

– Czy mogę pomóc?

Melissie wydawało się, że zauważyła cień pogardy w oczach kobiety, która zerknęła na jej dzinsy i bluzę.

– Tak. Zdaje się, że macie dla mnie pokój, na nazwisko Olivia Wharton.

Kobieta wystukała coś na klawiaturze. Na ekranie najwyraźniej pojawił się jakiś komunikat. Zerknęła na niego i delikatnie zbliżyła.

– A tak, oczywiście, pani doktor. Proszę wybaczyć. Apartament jest gotowy. Czy mogę przejść bagaże... ?

– Nie, dziękuję.

– Zawołam portiera, by zaprowadził panią do apartamentu.

– Nie trzeba – powiedziała zaskoczona Melissa. Kobieta była pełna szacunku, wręcz wychodziła z siebie, żeby się jej podlizać. – Wezmę tylko kartę. Wolę zostać sama, jeśli to nie problem.

Po chwili dodała z wymuszonym uśmiechem.

– Jestem wykończona i potrzebuję dobrze się wyspać.

– Naturalnie, proszę pani. Chwileczkę.

Chwila szalonego stukania w klawiaturę, a potem recepcjonistka podała jej niewielki portfelik.

– Przygotowaliśmy dla pani Apartament Windsor, najlepszy w hotelu, pani doktor. W każdej windzie jest osobny przycisk specjalnie dla tego apartamentu.

– Dziękuję.

– Mamy nadzieję, że pani i pan Hyde są zadowoleni z naszych usług. Jeśli czegokolwiek pani potrzebuje lub chciałaby pani coś zmienić, proszę tylko powiedzieć.

– Dziękuję – powtórzyła Melissa, czując się nieco niekomfortowo.

Wzięła kartę i skierowała się do windy, mając niejasne wrażenie, że jest obserwowana. Myśleli zapewne, że jest tą nową królową imperium Hyde'a i zastanawiali się z pewnością, dlaczego tak się ubrała. Nacisnęła guzik. Na szczęście winda czekała na miejscu. Gdy ruszyła, Melissa odetchnęła z ulgą. Wcisnęła przycisk do Apartamentu Windsor i winda szybko uniosła ją z odpowiednio cichym warkotem.

Drzwi zasyczały i znalazła się na wyłożonym grubym dywanem, orzechowym korytarzu. Karta wpasowała się w drzwi, jedne drzwi na tym korytarzu, a te otworzyły się.

Melissa wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. Było jak w bajce: gigantyczny pokój rozciągający się prawie na całym hotelowym

piętrze. Było tam olbrzymie, barokowe łoże z baldachimem, dwie kanapy, biurka z komputerami i faksami. Po lewej stronie zobaczyła przeogromną łazienkę wyłożoną alabastrem, z jacuzzi, prysznicem i wanną, w której dałoby się pływać. Po prawo osobny salon z wiszącym na ścianie telewizorem wielkości kinowego ekranu. Za sypialnią znajdowała się garderoba i mała siłownia; sprzęt do podnoszenia ciężarów, bieżnia i rower treningowy. Wszędzie świeże kwiaty.

Pośrodku pokoju dziennego stał stół zastawiony jedzeniem. Dzbany z wodą i sokiem, srebrny kubek z butelką Kruga – Melissa uśmiechnęła się, raczej nie będzie miała ochoty na szampana – oraz taca z kanapkami. Zauważyła wędzonego łososia, ogórki i pieczeń wołową, a także piezonego kurczaka w całości, ogromny kosz warzyw, tackę ciasta, bułeczek i croissantów. Ktoś przygotował również małą zamrażarkę, po otwarciu której Melissa ujrzała torebki z sałatką, kraba w panierce, lody, mleko i śmietankę. Na stole leżało wielkie pudełko czekoladek Charbonnel et Walker i mała koperta z karteczką.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl o takim gigantycznym marnotrawieniu pieniędzy. Być może Will sądził, że jest chorobliwie otyła. W życiu nie poradziłaby sobie z taką ilością jedzenia. Mała karteczka w kopercie nadal tam leżała. Melissa nie mogła się powstrzymać; rozerwała kopertę. Karteczka – wykalfografowana starannie pismem pracownika hotelu – głosiła, co następuje:

Zjedz coś, proszę, i staraj się nie martwić. Przyjadę najszybciej, jak to możliwe. Will.

Życzliwość i litość płynące z tych słów szarpnęły strunami jej serca. Nic dla niego nie znaczyła, widziała to; nie przejął się, że

miała narzeczonego i sam miał się żenić. Nie, nie jechał do niej na białym rumaku, by ratować swoją miłość, ale z poczucia jakiejś lojalności, ochrony dawnego płomienia, któremu grozi wygaszenie.

Melissa próbowała wyobrazić sobie, jak piękna i młoda musiała być ta kobieta, z którą był teraz. Przeraziło ją to, że tak bardzo ją to obchodzi właśnie teraz, gdy Fraser, biedny Fraser, zginął niecałe czterdzieści osiem godzin temu. Miała ochotę wcisnąć się w myśłą dziurę i umrzeć. William już do niej jechał i zobaczy ją w takim stanie: bez makijażu, z włosami wymagającymi interwencji fryzjera, wielkie odrosty, lata zmartwień odcisnięte na twarzy plus brak snu i parę dni lęku. Nic nie mogła teraz z tym zrobić.

Pewnie zrozumiał ją zupełnie inaczej, ale wcale nie miała zamiaru ryzykować – mimo wszystko kochała życie. Chciała zacząć od nowa i nie miała zamiaru umierać.

Niech więc przyjeżdża.

Weszła powoli do łazienki i ściągnęła ubranie. Na wieszaku grały się dwa białe, frotowe, luźne szlafroki. Wzięła szybką kąpiel i, korzystając z hotelowego mydła, wyprała ręcznie swoje ubranie. To, co mogła, powiesiła na gorących drążkach, a resztę ułożyła na parapetach w słońcu. Wszystko to nieco prowizoryczne, ale nie zamierzała powitać Willa w brudnym ubraniu. Już prędzej w wilgotnym.

Był wczesny wieczór. Za wielkimi oknami słońce zachodziło nad Londynem, niebo przepasały koralowozłote smugi. Nagle poczuła się kompletnie wykończona. Spuściła wodę, napełniła wannę ponownie i wślizgnęła się do niej. Umyła włosy hotelowym szamponem, na szczęście był tam też mały zestaw z golarką,

szczoteczką do zębów i małą tubką pasty.

Założyła jeden ze szlafroków i wsunęła stopy w pasującą parę śnieżnobiałych, kaszmirowych kapci ze znaczkiem hotelu. To najbardziej wystawny pokój, w jakim Melissa kiedykolwiek była. Wreszcie poczuła się świeżo i okryła się puszystym szlafrokiem, niczym kocem.

Była sama i wreszcie pozwoliła sobie na płacz. Z powodu Frasera, biednego, nieszkodliwego Frasera, postrzelonego w głowę, a także z powodu ojca i tego, w co się tam wplątał, bo on też pewnie został zamordowany. Musiał być przerażony. Płakała też z powodu niebezpieczeństwa, w którym się znalazła. I dlatego, że za chwilę znów zobaczy Willa Hyde'a. Ale nie będzie wcale tak, jak sobie wyobrażała, żadnych radosnych uniesień, o jakich latami marzyła po ich rozstaniu.

Nie chciała go widzieć, a z drugiej strony strasznie chciała go zobaczyć. Jak dziecko dłubiące przy zaschniętej ranie, chociaż boli. Nie mogła się powstrzymać.

Wyglodniała po tym ataku płaczu, Melissa zmusiła się do zjedzenia kilku kanapek. Wypiła sporo wody i umyła zęby. Wciąż było wcześniej, może powinna pooglądać telewizję. Ale bała się, bała się, że zobaczy tam siebie, zdjęcia ciała Frasera ładowanego do ambulansu. Zdjęła szlafrok i wsunęła się do wielkiego łóżka. Pościel była cudownie chłodna i świeżo wyprasowana. Nie zwykła kłaść się do łóżka nago, ale była fizycznie wykończona. Zamknęła oczy, wilgotne włosy opadły na poduszkę. Już po chwili spała głęboko.

Obudziła się o piątej rano. Zdezorientowana, nie miała pojęcia, gdzie jest. Usiadła przestraszona i, mrugając oczami, rozglądała

się po hotelowym pokoju, aż wszystko jej się przypomniało.

Ostrożnie poszła pod prysznic i wysuszyła włosy. Nie mogła wyglądać pięknie dla Willa, ale przynajmniej mogła wyglądać przyzwoicie. Sięgnęła po ubrania – dzięki Bogu zdołały prawie wyschnąć przez noc.

Ubrała się. Umierała z głodu – kanapki nieco przeschły i ich rogi zaczęły zawijać się do góry, ale nadal były zjadliwe. Zjadła dwie kanapki oraz banana. Nalała sobie angielskiej herbaty z czajnika, który stał na tacy, obok wielu różnych saszetek kawy i ziołowych herbat. Była na tyle głodna, że wszystko wyjątkowo jej smakowało.

Na dużym biurku pod oknem obsługa hotelowa przygotowała papier i długopis Mont Blanc. W świetle wschodzącego nad miastem słońca Melissa zaczęła robić notatki. Will Hyde zabierze ją stąd, ale z nią nie zostanie.

Melissa nadal nie rozumiała części z tego, co powiedział jej wczoraj, ale wierzyła, że Will ochroni ją przed niebezpieczeństwem; kimkolwiek bądź czymkolwiek by ono nie było. Ale poza tym nie miała żadnych planów.

Popijała herbatę i rozmyślała. Może pojedzie w jakieś spokojne miejsce i napisze powieść. Jednak to nieco ryzykowne, niepewne. Postanowiła udać się na południe, do Rzymu. Tam miała kontakty w rządowym departamencie archeologicznym, gdzie pracował jej ojciec. Podejmie pracę ze studentami albo będzie oprowadzać bogatych turystów. Władziała dwoma językami i знаła kilku urzędników w mieście. To nie powinno być niewykonalne. W ostateczności wyląduje w mieście pełnym pysznego jedzenia, wyśmienitego wina i słońca. Mogło być znacznie gorzej.

A może znajdzie się tam też jakiś mężczyzna dla niej. Rozwodnik, wdowiec. Ktoś, kto ją zafascynuje.

Myśli Melissy przeskoczyły na Willa i poczuła chęć natychmiastowego spojrzenia w lustro i dokładniejszego wyprostowania włosów. „Weź się w garść – skarciła się w myślach. Jego już nie ma. Od dawna. Nie możesz myśleć, że jest jedynym na świecie facetem dla ciebie. Trochę za stara już jesteś na bajki, Melisso Elmet”.

OK, Fraser Macintosh okazał się nie być tym jedynym, ale czy miała szanse kogoś spotkać? Schowała swoje serce tak głęboko, że teraz sama nie potrafiła go odnaleźć.

To się musi zmienić, jeśli nie chce umrzeć starą panną. Melissa wiedziała, że paskudnie potraktowała Willa, podjęła złą decyzję, ale zdążyła już ukarać się za to stokrotnie...

Zaczęła zapisywać z pamięci nazwiska różnych ludzi: profesor Gina d'Almattia, Don Angelo Ruffini, Carlotta Leone, Signor Buttuoco...

Rozległo się pukanie do drzwi. Melissa porządnie się wystraszyła, zrywając się automatycznie z miejsca. Krzesło przewróciło się na podłogę, a ona aż przycisnęła rękę do serca.

- Nie, dziękuję – zawołała głośno – niczego nie potrzebuję.
- Melisso, to ja – odezwał się Will.

Nie musiała prosić, by powtórzył. Rozpoznałaby ten głos zawsze i wszędzie. Bezmyślnie podniosła krzesło i ustawiła. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Stał tam w ciemnym garniturze i pogniecionej koszuli – najwyraźniej dopiero co wysiadł z samolotu. Był większy, niż pamiętała.

Mięśnie szyi stały się szersze, a bicepsy ogromne. Mogła je zobaczyć nawet spod tych jego świetnie skrojonych ciuchów. Wyglądał na zmęczonego i miał kilkudniowy zarost, ale był opalony, silny i niesamowicie atrakcyjny.

Nie mogła się powstrzymać – oblała się rumieńcem. Will wszedł do pokoju ostrożnie, zamykając za sobą drzwi.

– Hej – przyjrzał jej się, a ona miała nieodparte i bardzo nieprzyjemne wrażenie, że był zszokowany, i to nie w pozytywnym znaczeniu tego słowa. – Jak się czujesz, Melisso?

– W porządku – odparła. – Biorąc pod uwagę fakt, że to wszystko wydaje mi się absurdalne.

– Bardzo możliwe. Jestem po prostu ostrożny.

– Nie mam zbyt wiele gotówki przy sobie, Will. Muszę mieć dostęp do moich pieniędzy, bo inaczej co mogę zrobić?

Nie słuchał jej – rozglądał się uważnie po pokoju. Do Melissy dotarło nagle, że zauważył ją, przyjrzał się jej i okazała się dla niego niepociągająca. Nie był ani wstrząśnięty, ani wzruszony jej widokiem. Była tylko jego dawną dziewczyną, czymś, co należy ochronić. Olivia Wharton nie miała się czego obawiać.

– Nie martw się, wszystko załatwimy. Pójdiesz ze mną?

Przełknęła ślinę, przełknęła dumę i własne serce.

– Naturalnie. I zdaję sobie sprawę, że nie spałeś całą noc, żeby po mnie przyjechać. Dziękuję, Will.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się delikatnie, a jej serce pękło. Zobaczyła współczucie, życzliwość, a nie pożądanie i namiętność. Poczula się straszliwie nieatrakcyjna.

- Sądzisz, że zostawiłbym cię, gdy coś ci grozi?
Musiała to powiedzieć.
- Will, to, co się stało... przepraszam.
Spojrzał na nią, jego ciemne oczy patrzące w jej niebieskie.
- Nie przepraszaj, Melisso. Oboje byliśmy młodzi. Żyjemy teraz inaczej. Chodź, wydostańmy się stąd.
- Gdzie mnie zabierasz?
Wzruszył ramionami.
- Może Nowy Jork? Tam pracuję i mam mnóstwo miejsc, gdzie mógłbym cię ulokować. Będiesz wystarczająco bezpieczna. Przynajmniej do czasu, aż nie dowiem się, co się dzieje.
Odwrociła wzrok, nie chcąc spojrzeć mu w oczy.
- Nie mogę przecież zostać na zawsze w jednym z twoich mieszkań. Muszę wracać do Oksfordu, do pracy.
Will nie wiedział, że rzuciła pracę, i chciała, żeby tak zostało.
- Na Manhattanie jest wiele dobrych szkół.
Szkół, nie uniwersytetów. Tak długo był już w Ameryce, że jego głos nabrał delikatnego amerykańskiego brzmienia.
- Uniwersytet Columbia – idealny dla ciebie. Jestem pewien, że chętnie przyjęliby wykładowcę z Oksfordu.
- A ty masz znajomości?
- Mam znajomości.
Zarumieniła się, nie mogąc znieść tego, że wciąż go pragnęła. To było takie poniżające. Gniew sprawił, że zaczęła mówić do-
sadnie.
- Pojadę, ale muszę zdobyć trochę pieniędzy. Kupić parę podstawowych rzeczy: świeże ubrania, pastę do zębów, kosmetyki.

Will westchnął.

– Może to przesada, ale wolałbym cię jednak zabrać do Stanów. Jeśli cię śledzą, to sklepy są świetnym miejscem. Mój odrzutowiec czeka na ciebie. Mogę zadzwonić i zorganizować pasujące ubrania wraz z porządnym zestawem do makijażu. Będą czekały w mieszkaniu. Pasta, szampon, zaopatrzona kuchnia i cała reszta.

Spięła się.

– Nie jestem biedaczką, Will. Mam oszczędności z pensji. Sama mogę kupić sobie jedzenie i sukienki.

– Wiem o tym. Ja nie twierdzę... – rozdrażniony przeciągnął dłońią po włosach, ten dobrze znany gest przypomniał jej ich spotkanie. – Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Jeśli pozwolisz mi załatwić to telefonicznie, zaoszczędzę kilka godzin. Mamy zarezerwowany czas na odlot. A w Nowym Jorku bank jest w trakcie finalizowania przejęcia pewnej firmy. Jeśli mnie tam nie będzie, to może mnie to kosztować setki tysięcy dolarów. Wyświadczy mi przysługę, Melisso i pozwól zorganizować dla siebie te rzeczy. Ten jeden raz. Staram się działać efektywnie.

Wiedziała, że nie ma o czym dyskutować. Przewiesiła sobie torebkę przez ramię.

– W porządku, to twoje pieniądze. I jeszcze raz dziękuję.

– Nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził. Możemy już iść – odparł szorstko.

Przytaknęła i rozejrzała się, szukając klucza od pokoju.

– Nie przejmuj się tym. Chodź.

Melissa poszła za Willem wzdłuż korytarza do wind.

– Pójdziemy schodami – powiedział. – Zrób to dla mnie. Siła przyzwyczajenia.

– Jasne – odpowiedziała, ale on już był daleko przed nią.

Widziała, jak się porusza – zupełnie inaczej, niż to zapamiętała i zupełnie nie jak bankowiec. Napięte ramiona, sprężyste ciało, uniesiona głowa, niczym u kota. Nasłuchiwał, naprężył szyję, oczy obserwowały klatkę schodową. Podbiegła, nie chcąc się od niego oddalać. Był wojownikiem, w garniturze czy bez. Nie wiedziała, czy dreszcz, który czuła, to pożądanie, czy przerażenie.

Dotarli na parter. William przemaszerował przez hol. Melissa nieśmiało położyła dłoń na jego ramieniu.

– O co chodzi? Chodźmy. Samochód czeka.

– Nie wymeldowałam się – powiedziała. – Wzięłam butelkę wody mineralnej.

Przyjrzał się jej, a potem zaśmiał.

– Emmo.

– Tak, proszę pana? – odezwała się recepcjonistka w firmowym stroju, przechodząc koło nich w drodze do biurka.

– Dopisz pokój tej pani do mojego rachunku, dobrze? Wymelduj nas.

– Oczywiście, panie Hyde.

Kobieta przeszła dalej bez mrugnięcia okiem. Melissa wrzuciła ramionami, odwracając wzrok, by nie mógł zobaczyć jej wyrazu twarzy. Spędziła w Oksfordzie dziesięć lat i nigdy nie spotkała takiego mężczyzny, jak Will. Z Fraserem włącznie. A zaraz potem pogardziła swoim brakiem lojalności.

Na zewnątrz czekała limuzyna Lincoln. Stał przed nią kierowca w mundurze. Na widok Willa uchylił kapelusz.

- Siemasz, Jake – powiedział Will. – Na Heathrow, poproszę.
- Naturalnie, panie Hyde – uśmiechnął się do Melissy i pochylał się, by otworzyć jej drzwi.

Właściwie nie wiedziała do końca, co się potem wydarzyło. Rozległ się delikatny, ledwo słyszalny dźwięk, *puf*, i Jake stanął zdumiony... a w rękawie jego marynarki była dziura, wielka dziura.

- Co do cholery...

Will ruszył do przodu i popchnął ją mocno. Melissa wzięła gwałtowny wdech, wpadając na tylne siedzenie, a Will trzasnął drzwiami. Odwróciła się i zobaczyła niewyraźne zarysy ciał. Will Hyde wskoczył na siedzenie kierowcy, a szofer potykał się na hotelowych schodach. Will chwycił za kierownicę. Samochód ruszył z piskiem opon, a Will zręcznie przeciskał się przez ulice, jadąc ze znaczną prędkością. Rozległ się głośny hałas, a odwróciwszy głowę, Melissa zobaczyła pęknięcie w tylnej szybie.

Jęknęła przerażona.

- Ktoś do nas strzela.
- Owszem – odparł Will ponuro. – Ten samochód ma kuloodporne szyby, ale ja nie jestem uzbrojony. A powinienem być, Melisso. Przepraszam.

Patrzył na ulicę, na coraz większy ruch przy Tottenham Court Road.

- Zrobię teraz coś wyjątkowo nielegalnego i chcę, żebyś zrobiła dokładnie to, co ci powiem. Nie zastanawiaj się. Rozumiesz?
- Tak – odpowiedziała drżącym głosem.
- Trzymaj się blisko drzwi. Będziesz wyskakiwać.

Szarpnął kierownicą i wjechał na pas dla autobusów. Melissa odwróciła się, by spojrzeć wstecz, ale szyba była cała biała od cieniutkich pęknięć. Rozległ się kolejny głuchy odgłos i jeszcze jeden; kule wbijały się w karoserię i tylną szybę.

– Boże – wyszeptała. – Zginiemy.

Chciała się modlić, ale gdy tak siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, żadne słowa modlitwy nie przychodziły jej do głowy. W głowie miała jedynie drogę, korki i pytanie, jak bardzo kuloodporny był ten samochód...

– Tak, ale nie dzisiaj.

Skręcił gwałtownie.

Samochód przeskoczył wysepkę i wbił się na przeciwległy pas ruchu. Melissa krzyknęła, ale Will dodał gazu i auto precyzyjnie się przez niewielką lukę wprost w boczną uliczkę. To wszystko przy akompaniamencie wyjącego klaksonów i rzuconych przez innych kierowców przekleństw.

Piesi rozpiechli się. Limuzyna wpadła na krawężnik.

– Wsiadaj. Biegnij za mną – powiedział Will, a ona szarpnęła drzwi i precyzyjnie się obok wrzeszczącej na nią kobiety z wózkiem.

Will biegł przodem, ona za nim. Wiedziała, że specjalnie dla niej biegnie wolniej. Przyspieszyła i dogoniła go. Przed nimi stał biurowiec – drukarnia.

– Tutaj?

– Nie. To ślepek.

Nie miała pojęcia, co miał na myśli, ale biegła za nim.

Przebiegł przez alejkę do Grafton Way.

– Pośpiesz się!

Zmęczenie o mało nie rozsadziło jej serca, ale zauważyła, że

Will wskazuje coś po drugiej stronie ulicy: przysadziste, ceglane portiernie prowadzące na osadzoną na kolumnach fasadę University College. Budynek wylaniał się niczym azyl. Will odwrócił się i złapał ją za rękę.

– Weź głęboki oddech, musisz być teraz wyluzowana. Wyglądać normalnie. Rozumiesz?

Przytaknęła. Ale gdy tylko to zrobiła, usłyszała charakterystyczny odgłos kroków tuż za rogiem. Ktoś biegł, zbliżał się. Will chwycił jej rękę i poprowadził przez Gower Street. Melissa zaczerpnęła powietrza, starając się wyregulować oddech. Will Hyde był już spokojny. Podejrzewała, że tak to właśnie jest, gdy ma się superkondycję.

Will podszedł do portierni.

– To profesor Melissa Elmet z Uniwersytetu w Oksfordzie, jest umówiona z kwestorem.

– Mogę prosić o jakiś dokument? – odezwał się strażnik.

Melissa wygrzebała z torebki kartę biblioteczną z Bodleian. Wydawało się wystarczać. Mężczyzna wcisnął guzik otwierający elektroniczne bramki. Wszędzie roило się od studentów; śmiali się, taszczyli stopy książek i papierów. Will milczał, ale jego ręka kurczowo obejmowała ją w pasie. Pozwalała mu się prowadzić w górę po schodach, wśród kamiennych filarów. Odwróciła się i zobaczyła zakapturzoną postać rozmawiającą ze strażnikiem; głowa uniosła się. Zauważył jej spojrzenie, przeskoczył przez bramkę i zaczął biec...

– Nigdy nie wolno ci się oglądać za siebie – zasyczał Will.

Pchnął ją do przodu, a cienie wysokich, białych, kamiennych filarów pochłonęły ich. Byli teraz w jakiejś głównej hali. Aż kłębiło się od dzieciaków.

Wziął ją za rękę.

– Po prostu idź ze mną. Jakbyśmy byli razem.

Uśmiechnęła się nerwowo. Ich palce dotknęły się. Wokół nich tłoczyli się studenci. Szedł szybko, ale nie biegł. Przeszli kolejnym korytarzem przez jakieś pomieszczenie i dotarli na dziedzińiec.

– Ruszamy z powrotem na główną ulicę. Skręć w lewo – nakazał.

Przed sobą zobaczyła stację metra Euston Square.

Minimalnym ruchem głowy Will obejrzał się za siebie.

– Zgubił nas tam. Wchodź.

Posłuchała. Will wydobyl elektroniczną kartę, przyłożył dwukrotnie do czytnika i już szła w stronę tuneli.

– Linia Metropolitan – powiedział.

Znów posłuchała. Serce waliło jej w piersiach. Spodziewała się za moment usłyszeć znów ten dźwięk, kroki zbliżającego się do niej zabójcy, biegnącego tunelami, z kapturem na głowie. Ale nie było nikogo. Gdy wchodzili na peron, pociąg właśnie wjeżdżał. Will przesunął ją na tył wagonu przy drzwiach, a sam stanął przed nią, zasłaniając ją swoim ciałem. Obserwował peron.

Nic. Pociąg ruszył w stronę tunelu.

Melissa wiedziała, że wolno jej się teraz do niego odezwać i zapytać, dokąd jadą. Wysiadł na Baker Street. Melissa pospieszyła za nim, a on poprowadził ją tunelami do linii Circle.

– Wracamy tą samą trasą?

Nie odpowiedział.

– Masz paszport, tak?

– Tak – sprawdziła torebkę.

– Jedziemy do Belgii. Eurostarem¹⁷ – uśmiechnął się. – Byłaś kiedyś w Brugii?

¹⁷ Przewoźnik kolejowy obsługujący trasę pomiędzy Londynem, Paryżem i Brukselą (przyp. tłum.).

– Nie – odparła Melissa – ale chciałabym pojechać, słyszałam, że tam jest pięknie.

Zarumieniła się, bo zdała sobie sprawę, że prowadzi sobie rozmówki, podczas gdy ktoś tu próbuje ją zabić.

– Ale twój samolot...

– Będą czekać cały dzień. Albo do momentu, kiedy będę mógł się z nimi skontaktować – uśmiechał się ponuro. – Podejrzewam, że ci ludzie mają mnóstwo swoich na lotnisku. Polecimy do Nowego Jorku z kontynentu.

– Dobrze – Melissa chciała jeszcze coś dodać, podziękować jeszcze raz, uchwycić się go, błagać, by jej nie zostawiał. Zażenowanie już minęło, pożądanie raczej też. Nie mogła się teraz martwić brakiem makijażu i swoim trzydziestoletnim, nauczycielskim ciałem. Will Hyde utrzymywał ją przy życiu. Tylko o tym była w stanie myśleć.

Z tunelu wytoczył się stary, trzeszczący pociąg, niczym anioł dobroci. Will upewnił się, że w wagonie nie ma żadnych zabójców i Melissa udała się ponownie do St Pancras. Siedziała przy nim ze spuszczoną głową, unikając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego z pasażerami.

Wjechali na lśniącą, nową stację. Will poprowadził ją do stanowisk biletowych.

– Jesteśmy na randce – wyszeptał. – Wyglądaj na szczęśliwą, jakbyśmy byli zakochani.

Melissa wymusiła uśmiech, Will zachowywał się bardziej naturalnie. Objął ją silnym ramieniem, a ona wyczuła jego mięśnie przez swoją cienką, bawełnianą koszulkę.

Na skutek jego dotyku przeszył ją dreszcz, dostała gęsiej skórki.

„Jasne – pomyślała – bo jesteś o krok od hysterii, a ten mężczyzna jest wszystkim, co stoi pomiędzy tobą a kulą”.

– Witam pana, mogę w czymś pomóc?

– No, nie wiem, a może pan? – Melissa zauważyła, że brytyjsko-amerykański akcent zniknął, a w jego miejsce pojawiło się oksfordzkie bulgotanie. Mówił nieco niewyraźnie, jakby wypił odrobinę za dużo.

– Chcę zabrać moją dziewczynę za granicę. Tak tylko na lunch. Bo możemy sobie na to pozwolić – uśmiechną się radośnie do sprzedawcy. – Mamy paszporty. Znajdą się dla nas dwa miejsca?

– Dokąd? – zapytał czterdziestokilkuletni sprzedawca, kompletnie obojętny na wdzięki Willa.

– Obojętnie, stary. Gdziekolwiek. Last minute, rozumiesz? – wrzucił ramionami. – Może Belgia? W Paryżu byłem rok temu.

Stukanie w klawiaturę przeciągało się w nieskończoność. Melissa spięła się. Z każdą sekundą spodziewała się zobaczyć zakapturzonego mężczyznę wyskakującego zza rogu i celującego w nią tą długą lufą broni z tłumikiem...

– Mam dwa bilety do Brugii na dwunastą pięćdziesiąt siedem, ale tylko w pierwszej klasie.

– Nie ma sprawy, stary – ścisnął Melissę i przytknął wargi do jej czoła. – Może być gotówka?

Wyciągnął nabity pięćdziesięciofuntowymi banknotami portfel i wyłożył pieniądze. Sprzedawca zgarnął je i wydrukował bilety. Dodał lekki uśmiech, mówiąc.

- Miłej podróży.
- Taka będzie – odparł Will.

Wziął bilety, schował do kieszeni marynarki i poprowadził Melisę w stronę barierek.

- Nie – powiedziała stanowczo – potrzebuję pięciu minut.
- Na co? Oni mogą być wszędzie.
- Gdyby mogli nas trafić, nie czekali by – powiedziała – prawda, Will?
- Pewnie tak – wzruszył ramionami.
- Muszę umyć zęby. Po prostu muszę. Tu za rogiem jest Boots, na stacji.

Zawahał się.

- W porządku, ale załatw to jak najszybciej – uśmiechał się – i weź mi wodę mineralną.

Prawie pobiegła do sklepiku za rogiem. Mieli całą sekcję z podróznymi przyborami toaletowymi; chwyciła pastę i szczoteczkę. Z utęsknieniem spojrzała na kosmetyki. Chciała coś wziąć, umalować się dla Willa. Próżność podczas ucieczki? Wyśmiała samą siebie – przecież nie ma na to czasu, prawda? I nie ma sensu. Will Hyde przeminął, jak jej młodość.

Melissa wzięła butelkę wody, zapłaciła i pobiegła do toalety. Fantastycznie było umyć zęby. Nie było nic lepszego niż poczucie czystości. Patrząc w lustro, wygładziła włosy i wróciła do niego.

- Dzięki za wodę – powiedział Will. – Wyglądasz na odświeżoną.

Uśmiechnęła się niewyraźnie. Starał się być uprzejmy, ale leżało mu tylko na tym, aby ją uratować. Było absolutnie oczywiste, że już mu się nie podobała. Przepelniała ją chęć ucieczki w bezpieczne miejsce, a potem ucieczki od niego. Kiedy się bała, serce nie bolało, ale skutki tego spotkania będą brutalne.

Chciała jedynie przez to przebrnąć. A potem pojedzie gdzieś daleko, daleko od Willa i...

Tutaj urywały się koncepcje. Nie miała pojęcia, co zrobi potem. Jej cały świat legł w gruzach.

– Nie zatrzymamy się na szampana. Przynajmniej nie na razie. Złapmy ten pociąg.

– Dobrze – powiedziała Melissa; czuła napięcie w każdym milimetrze ciała. – Jestem zmęczona.

Przytaknęła.

– Prześpisz się w pociągu. Będę tam z tobą, nic ci się nie stanie. Trudniej zaatakować Eurostar niż samolot. I nie sądzę, żeby tam nas szukali.

Odwrócił się i poprowadził ją do odprawy. Było tam mnóstwo podróżnych i Melissa przysunęła się blisko Willa. Ten podał bilety i paszporty do końcowej kontroli i wkrótce stali już na peronie, na który wtaczał się ze świstem lśniący czerwono-żółty pociąg. Pasażerowie wysiedli, a wokół Melissy zrobiło się tłoczno. Starła się nie wpadać w panikę. Will trzymał ją za rękę, gładząc uspokajająco kciukiem jej dłoń.

Melissa pochyliła głowę, przysuwając się do niego.

– Will – spytała znów nieśmiało – kim są ci ludzie? Dlaczego chcą mnie zabić? Jestem tylko wykładowcą. Nie mam żadnych pieniędzy...

Pokiwał głową.

– Za dużo ludzi...

Przygryzła wargę. Czowała się głupio. Była kompletnie wytrącona z równowagi.

– Porozmawiamy o tym później. Powiem ci wszystko, co wiem. Zaufaj mi, dobrze?

– Oczywiście – jakby miała jakiegokolwiek inne wyjście.

Will położył jej rękę na ramieniu i poprowadził do pociągu. Odnaleźli swoje miejsca w pierwszej klasie, przy oknie.

– Byłoby dobrze, gdybyś teraz zasnęła – powiedział.

Była zdezorientowana. Pasażerowie przepływali obok nich, szukając swoich miejsc i upychając bagaże.

– Jak to? Teraz?

Will machnął ręką i poruszył się. Za oknami wstawał nowy dzień.

– Tak, jak teraz? – wymamrotała Melissa. Odwróciła się twarzą do okna, plecami do przedziału, chowając twarz w siedzeniu. Nikt, przechodzący teraz w pociągu, nie mógł zobaczyć jej twarzy.

– Dokładnie tak – powiedział cicho do jej ucha. – A jeśli faktycznie możesz zasnąć, Melisso, to zrób to. Profesjonalista odróżni, gdy ktoś udaje.

– Postaram się.

Zamknęła oczy. I tak nie chciała na niego patrzeć. Fizycznie był tu z nią, ale jego serce było mile stąd. Odległość całego oceanu i długich lat. Zbyt wiele myśli kłębiło jej się w głowie. Straszliwe wydarzenia kilku ostatnich dni przewinęły się niczym film. Miała pytania... tak wiele pytań. A ktoś właśnie usilnie się starał, by nigdy na nie nie odpowiedziano. Widziała chwiejącego się kierowcę, dziurę w rękawie jego marynarki. Widziała upadającego

Frasera i tę paskudną ranę na jego czole, światło dosłownie gasnące w jego oczach. Widziała Willa u drzwi, jego przyjazne zatrokanie i zupełną obojętność w jego oczach...

„Nie zniosę tego” – pomyślała Melissa.

Musiała. Musiała wytrwać. Po pierwsze musi dotrzeć w jakieś bezpieczne miejsce, a po drugie – uwolnić się od niego.

A właściwie to dlaczego mu ufała? Zdobył jej nierejestrowany numer. Pojawił się znikąd, jak duch. Wiedział o wszystkich powiązaniach jej ojca z trzema osobami, które zostały brutalnie zamordowane.

Odpowiedź była w jej duszy. Will Hyde nigdy nie skrzywdziłby jej fizycznie. Znała go, to po prostu nie leżało w jego naturze. Nierealne. Jakkolwiek mocno jego obecność ją bolała i łamała jej serce, ufała mu bezgranicznie i będzie ufać, aż do dnia swojej śmierci. A ten może nadejść raczej wcześniej niż później.

Pociąg zadrzał lekko i ruszył. Nic się nie działo, nikt nie celował z broni. Emocjonalnie wykończona, Melissa pozwoliła sobie odpłynąć w sen.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obudził ją delikatny dotyk dłoni na ramieniu, to Will ją szturchał. Z zatłoczonego pociągu wysypywali się pasażerowie.

– Dworzec Południowy. Tutaj się przesiadamy.

– Czyli wciąż jeszcze żyjemy.

– Nie wydajesz się być specjalnie szczęśliwa z tego powodu – dotknął delikatnie jej przedramienia. – Będzie lepiej, Melisso. Poradzimy sobie z tym. Chodź.

Wyszła z nim z wagonu, ciesząc się, że może rozprostować nogi.

– Gdzie przesiadamy się do Brugii?

– Nie jedziemy do Brugii. Chodź.

Nie miała zamiaru się z nim spierać. Zabrał ją w centralne miejsce stacji i kupił bilety na metro. W ciągu dwudziestu minut opuścili Iśniącą stację Eurostar i znaleźli się na starszej, obskurnej stacji w centrum Brukseli.

Przeszli na stanowiska autobusowe. Posługując się płynnym francuskim, Will rozmawiał ze sprzedawcą biletów; Melissa też nieźle znała francuski, ale była zbyt zdenerwowana, by nawet spróbować coś powiedzieć. Will pokazał paszporty, żartując cały czas z mężczyzną, który nie zadał sobie nawet trudu, by na nie spojrzeć. Will zapłacił gotówką za bilety, wyciągając z kieszeni kilka banknotów o wartości dwudziestu euro, marudząc coś na

temat opłat za przejazdy. Jakby był jednym z tych turystów podróżujących z plecakiem. Ludzie burczeli w kolejce. Wsiedli do autokaru, który bardzo szybko się wypełnił. Will zerknął na zegarek; dokładnie w południe wielki, skrzypiący pojazd wjechał w brudną ulicę. Wyruszyli.

- Rotterdam – powiedział do niej cicho.
- Brugia fajniejsza – odpowiedziała.
- Ale nasze bilety są do Brugii.
- Szpiegowskie zagranie? – zadrzała.
- Podstawowe zagranie.

Zdenerwowała się nagle. Ratowała swoją skórę w towarzystwie ostatniego faceta, którego miała ochotę teraz widzieć, a on kompletnie nic jej nie mówi. – Domagam się odpowiedzi – powiedziała. – Nie jestem dzieckiem, Will.

– Jedziemy publicznym transportem – odparł spokojnie. – Rozejrzyj się – autokar wypełniony był zubożałymi studentami, mamroczącym pijaczkiem i kilkoma przemęczonymi rodzicami ze swoimi małymi pociechami. – Żaden z nich nie jest Carlosem.

Will przyjrzał się jej i w jej podkrążonych oczach dostrzegł determinację. Dzielna, zawsze myślał, że jest dzielna, przynajmniej do czasu, gdy go rzuciła.

- W porządku.

Przysunął głowę bliżej do niej, zniżył głos. Jego ciepły oddech na jej szyi był dezorientujący. Odwróciła się od niego i słuchając go, patrzyła na szare brukselskie budynki.

- Powiedz mi dokładnie, co chcesz wiedzieć.
- Kto próbuje mnie zabić i dlaczego?

– Nie wiem. Tego musimy się dowiedzieć. Są pewne poszlaki, które mogę zbadać. Wszystkie pozostałe ofiary są w jakiś sposób powiązane z twoim ojcem. Musiał być kimś więcej niż zwykłym pracownikiem naukowym. Giną ludzie z jego otoczenia – Will mówił ściszym, pewnym głosem, jak mężczyzna szepczący jej czule słówka. – Ale te wszystkie związki są bardzo wątle i wydaje mi się, że może chodzić o jakąś wiedzę. Powierzył tym ludziom jakiś sekret i dlatego teraz nie żyją.

– Mnie nie powierzał żadnego sekretu – starała się nie brzmieć, jakby była rozżalona. – Odsunęliśmy się od siebie, a pod sam koniec prawie nie rozmawialiśmy.

– To nie wszystko.

– Nigdzie się nie wybieram, mów wszystko, co wiesz, Will.

– Dobrze. Ale nie chcę cię straszyć.

– Akurat *ten* statek już płynie – uśmiechnęła się. – Posłuchaj, nie mam czasu na strach. Mów.

– Ci goście są profesjonalnymi zabójcami. Poprzednie ofiary zdjęli bardzo ostrożnie. Dopatrzyłem się pewnego schematu dlatego, że wyszkolono mnie do takiego szukania. Niepowodzenie z tobą jest dla nich szokiem. Miałaś bardzo dużo szczęścia, Melisso. Mnóstwo szczęścia, że to właśnie wtedy wyszłaś z tego szpitala.

– I że mnie znalazłeś?

– Tego nie powiedziałem.

– Skąd to wszystko wiesz, Will? Co się z tobą stało?

Zesztywniał nagle, co Melissa od razu zauważyła, zanim cokolwiek powiedział.

– Ciebie mógłbym zapytać o to samo. Byłaś moją żoną.

– Moja matka...
– Byłem twoim mężem – wciąż mówił ściszym głosem. – Twoja rodzina chciała, bym czuł się jak śmieć. Nie udało im się, gdybyś nie dała im na to przyzwolenia.

Spuściła głowę.

– Co ciebie to obchodzi? Masz swoje pieniądze, swoją dzwiny.

– Nigdy nie zadzwoniłaś – usiadł wyprostowany i zamilkł.

Gdy znów przysunął się do niej, jego głos był już inny, jakby zdążył się pozbierać. Teraz był beznamiętny.

– Ale masz rację, to już przeszłość. Wstąpiłem do armii, potem do oddziałów specjalnych. A jeszcze później wyjechałem do Ameryki, gdzie kupiłem niewielki bank, który następnie przekształciłem w sporą placówkę.

– Służby specjalne. Było jak u Jamesa Bonda?

– To nie takie fascynujące. Często giną ludzie.

– Żadnych kobiet?

– Kobiety były zawsze. Nie zamierzałem zostać mnichem.

Chciała zażartować, rozluźnić atmosferę. Zabolał ją ten jego gniew oraz fakt, że straszliwie chciałyby móc być jedną z tych kobiet. On jednak zdawał się być nieugięty i nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

– Co zamierzasz zrobić?

– Chronić cię – odparł.

Jej ciało przeszły delikatny dreszcz pożądania, który zignorowała.

– W jaki sposób?

– Zawiozę cię do Nowego Jorku. Żarty na bok, umieszczę cię w bezpiecznym domu. Wykonam kilka telefonów. Mam bazę,

dobrą bazę kontaktów. Dowiemy się, kto płaci tym zabójcom za śledzenie cię i dlaczego. Wtedy będę mógł to ukrócić. Ty o niczym nie wiesz, a jeśli damy im to jasno do zrozumienia, to okaże się, że polowanie na ciebie jest tylko niepotrzebnym zamieszaniem – położył dłoń na jej ramieniu. – Nie będę cię okłamywał, Melisso, ale to może nie wystarczyć. Zdarza się, że taki morderca zabija tylko dlatego, że jeśli nie uda mu się tego zrobić, okaże się słabeuszem. Dlatego nie odpuszcza.

Zadrzała.

– Nie chcę umierać, Will.

– Jeśli zorientuję się, że to wendeta, też będę mógł ci pomóc.

To okaże się traumatyczne, ale będziesz bezpieczna.

Melissa odwróciła się od okna. Autokar wyjeżdżał z Brukseli w kierunku autostrady, wtaczając się między nieciekawe domy na przedmieściach.

– To już teraz jest dość traumatyczne – powiedziała. – Nie powinniśmy tego zgłosić na policję?

Will uśmiechnął się.

– Co cię tak śmieszy? – spytała Melissa zaskoczona i zdenerwowana.

– Przepraszam. Policja... dobra, posłuchaj, to są profesjonalni zabójcy. Amatorzy nie dostają zleceń na amerykańskich senatorów i ich ochroniarzy z tajnych służb. Prawdopodobnie policja nie dała rady ich powstrzymać, a wszystko, co im powiesz, możesz równie dobrze ogłosić na pierwszej stronie *New York Timesa*.

– Chcesz powiedzieć, że są skorumpowani?

– Niekoniecznie. Policja przechowuje informacje w wielu miejscach, łatwych do spenetrowania komputerach, papierowych

raportach. A do siedzib policji na całym świecie łatwo jest się przedostać, jeśli jest się szpiegiem z kontaktami. Nawet niepotrzebne są specjalnie dobre kontakty, wystarczy jakiś naiwny znajomy w organach ochrony porządku publicznego. Gdy chodzi o przestępcę, idzie się na policję. Kiedy o zabójcę – idzie się do innego zawodowca.

– Tajnych służb specjalnych?

– Zginęła senator. Są już na tropie, ale jak na razie niezbyt wiele zyskali.

– Skąd wiesz?

Will spojrzął na nią, a ona poczuła się głupio. Usiłowała zdławić nagły przypływ pożądania. Był w tym taki dobry. Najwyraźniej w czasie służby w MI6 był kimś więcej.

Musiała skupić się na tym, jak dzięki temu zyska bezpieczeństwo, a nie jakie to męskie. „Weź się w garść, dziewczyno” – skarciła się.

– No dobrze. Żadnej policji. To co możesz zrobić, Will? Jak pomóc, jeśli to wendetta?

Milczał przez sekundę.

– Profesjonaliści zaimprovizują twoją śmierć – odparł – a potem umieszczą cię w rządowym programie ochrony świadków koronnych. Nowa tożsamość, nowe życie. Być może operacja plastyczna. Są w tym doskonali, ukrywali ludzi przed mafią przez całe lata.

Zrobiła wielkie oczy.

– Ochrona świadków koronnych? Nowe życie urzędnika bankowego w małym miasteczku, tak?

– W ostateczności oznaczałoby to przyjęcie całkiem innej tożsamości – przyjrzał się uważnie jej twarzy. – Żadnych znajomych, kontaktów, nawet z rodziną.

– Ja nie mam rodziny – nie tęskniłaby specjalnie za znajomymi z uniwersytetu, a jedyna osoba... Fraser, nie żyła. No i Will, który teraz był tu z nią.

– My też nigdy więcej się nie zobaczymy.

– Nigdy nie spodziewałam się, że cię kiedykolwiek zobaczę.

Uśmiechnął się oziębło.

– Czyli nie ma problemu. Zapewnię ci jakąś dobrą pracę i odpowiednią pensję. Jakies sto tysięcy dolarów rocznie. Trochę więcej, a małe miasteczka zaczynają gadać.

– Dziękuję – wymamrotała.

– Być może do tego nie dojdzie. Zabierzemy cię najpierw do Nowego Jorku.

Autokar wytoczył się na główną ulicę i dostrzegła napisane w trzech językach drogowskazy do Rotterdamu. Monotonna autostrada prowadziła prosto, a wokół rozpościerał się płaski i mulistozielony widok. Melissa strasznie chciała być znów w Peckwater, w swoich pięknych pokojach, ze swoją szklaneczką sherry.

– A co powie twoja narzeczona, gdy pojawisz się ze mną?

– Pewnie: „Jak się masz” – uśmiechnął się. – Ona jest inteligentna, nie będzie robiła problemów.

„Jasne” – pomyślała Melissa.

– Miło będzie ją poznać – skłamała. – Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Będziemy w Rotterdamie koło drugiej, zjemy coś i będziesz mogła kupić sobie jakieś ubrania.

Ucichł, a Melissa oparła głowę o siedzenie, zamykając oczy. Jednak tym razem sen nie przychodził już tak łatwo.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nie rozumiem – powtórzył Dymitr, choć tak naprawdę wszystko doskonale rozumiał. – Miałas być jedną z najlepszych na świecie. Dostałaś za tę robotę pięć milionów dolarów.

Siedzieli razem na pokładzie jego niemal trzydziestometrowego jachtu, jednej z mniejszych, dyskretniejszych łodzi w prywatnej flotyli. Wokół nich krystalicznie czyste wody mariny Al Seef chlupotały o jasnobezowe drewno kadłuba. Po drugiej stronie zatoki falujące od upału powietrze zacierało widok starej części Dubaju – niskie budynki mieszkalne, dziwaczny, opuszczony dom i wylaniające się w tle drapacze chmur.

Był to kraj pełen nowych pieniędzy, mnóstwa nowych pieniędzy z Zachodu. Angielski był prawie tak popularny w barach i restauracjach jak arabski. Wokół Al Seef faktycznie żeglowało bardzo wielu wyjątkowo bogatych ludzi. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na klienta Loli.

– Rozumiem – powiedziała Lola.

– Mówili, że głupiec ze mnie, że zatrudniam cię jako zamachowca – Dymitr zacisnął wargi. – W końcu jesteś tylko kobietą.

Agentka obserwowała go bacznie.

– Inni też tak myśleli, a teraz są martwi.

– Ale nie ta stara panna z Oksfordu.

Odgarnęła niecierpliwie włosy z oczu, a Dymitr przez chwilę przyglądał jej się jako kobiecie. Była zdecydowanie ładna, ale zniszczona; zimna jak lód. I właśnie dlatego była tak doskonała w zabijaniu. Niesamowicie inteligentna psychopatka, która całą swoją energię skupiała na pościgach. Mówi się, że jej pierwszą ofiarą był agresywny nauczyciel. Potem zgarnęła kasę i nikt w biznesie nie wiedział, gdzie ją schowała.

Jej rejestr wykonanych zadań był stuprocentowy. Aż do teraz.

Miała rację: sprzeczność kryjąca się w kobiecie zamachowcu działała na jej korzyść. Mówili na nią Lola, chociaż był pewien, że nie było to jej prawdziwe imię. Miała drobną budowę, dzięki czemu jedynie nieliczne ofiary upatrywały w niej zagrożenie. Znała sztuki walki i zdarzyło jej się załatwić kiedyś dwóch facetów naraz. Ważąc zaledwie 36 kilogramów, przywaliła im z otwartej dłoni w grzbiet nosów i dosłownie wcisnęła im je w czaszki. Choć drobna, była też jednym, chodzącym mięśniem.

„A jednak – pomyślał Will – mógłbym ją łatwo powalić na ziemię w jakieś trzydzieści sekund”.

Właśnie dlatego unikała bójek. Używała sznura i kul. Atakowała z zaskoczenia. Nie było lepszego strzelca wśród kobiet. Mogła podejść blisko, użyć strzykawki. Była ekspertem w podawaniu trucizny.

Ale nie udało jej się załatwić córki profesora, nawet przy pomocy współnika mającego uchronić ją przed szpitalnym monitoringiem. Wprawdzie ta córka przyszła mu do głowy dopiero po chwili i prawdopodobnie nie miała o niczym pojęcia, ale nie osiągnął w swoim życiu tego, co ma, bazując jedynie na przypuszczeniach.

Melissa Elmet to tylko drobny, ostatni szczegół – musi zginąć.

A teraz głównych zawodników już nie ma. Sekret Richarda Elmeta był w zasadzie bezpieczny. Wciąż pałętała się po świecie jedynie ta ostatnia drobnostka i bał się potwornie, że wszystko wyśpiewa.

Spojrzał z dezaprobatą na atrakcyjną, młodą kobietę siedzącą naprzeciwko. Był wybitnie bezwzględny facetem. Jeśli w ciągu miesiąca nie wykona roboty, to się jej pozbędzie. Ale jeśli to będzie możliwe, najpierw ściągnie ją tu i przeleci – postanowił, patrząc na jej falujące piersi i fantastyczną, wysportowaną talię. Miał ogromny apetyt na seks i nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety. Fajnie będzie ją przelecieć. I nie będzie żegnała się z tym światem, myśląc o sobie jak o równej mężczyznom.

– Ona ma wsparcie.

Wiedział o tym. Z jej ponurego tonu wywnioskował, że szczegóły tej informacji nie będą niczym przyjemnym.

– Mów.

– To amerykański bankowiec, William Hyde.

Usiadł wyprostowany na leżaku. Na dole schodów prowadzących pod pokład pojawiła się jedna z modelek. W rzeczywistości były to zwykle dziwki, które zaprosił na łódź. Wyszła z sypialni, by posłać mu jeden ze swoich uśmiechów. Pochodziła z Francji, miała błyszczące, orzechowe włosy, białe zęby i solidną opaleniznę. Ubrana była w dolną część skąpego bikini, które z tyłu składało się jedynie z cieniutkiego, jedwabistego sznureczka, oraz jedwabny, biały, króciutki, przezroczysty szlafrok. Mrugając porozumiewawczo, pozwoliła, by ubranie zsunęło się z niej, ukazując, że pozbyła się górnej części bikini.

Odesłał ją. Nadąsana weszła z powrotem do środka, aby wciągnąć kolejną dawkę kokainy. Na kobiety przyjdzie czas później, jeśli będzie miał ochotę.

– William Hyde. Z Virginian Prospect Bank?

Na jej kamiennej twarzy coś drgnęło.

– Tak.

– Wiesz, że jest jednym z najstynniejszych graczy na Wall Street?

– Ja zabijam. Nie jestem szpiegiem. Nie stanowi mojego celu.

Walnął dłonią w stojący obok nich antyczny, marokański stół.

– Durna suka. On ma kasę, mnóstwo kasy. Jest zaradny. Dobrze znany. Ściągniesz sobie na kark prasę. Jakim cudem biznesmen ci się wymknął?

Autentycznie się zarumieniła.

– Hyde to nie tylko garniturek. Był szpiegiem, dla Brytyjczyków. Dobrym.

– Żartujesz.

– Podzwoniłam w parę miejsc po tym, jak dowiedziałam się, że tamta zameldowała się w hotelu. Jego numer był zastrzeżony, ale sprawdzając jej telefon, zorientowałam się, że dzwonił z Nowego Jorku.

– Dlaczego wart miliardy dolarów bankowiec miałby dzwonić do jakiegoś zera z angielskiego uniwerku?

Westchnęła.

– W młodości byli małżeństwem przez krótką chwilę. Unieważniła je, a on wstąpił do armii, a potem do MI6. Z tego co wiem, skontaktował się z nią dopiero po strzelaninie w Oksfordzie.

Gniew szybko minął; musiał się zastanowić.

- Kocha ją?
- Podobno zaręczył się tuż przed przyjazdem do Londynu. Ona też była zaręczona. Zdaje się, że to tylko potrzeba chronienia jej.
- Dlaczego rozpadło się to małżeństwo?
- Jej współpracownicy twierdzą, że rodzice byli przeciwni. Hyde był sierotą, bez żadnych perspektyw.
- Jej rodzice – wzięł gwałtowny wdech. – Więc Hyde znał sir Richarda.
- Jakies dziesięć lat temu, tak.
- Czyli przyjechał chronić swoją dawną kobietę. A to znaczy, że wie, że coś jej grozi.
- Zastanawiałam się nad tym – przyznała, siedząc przed nim i wierząc się. – Musiał rozszyfrować wcześniejsze trzy zabójstwa. Policji się to nie udało. Była dumna, że w całej branży nikt nie potrafił tak po sobie „posprzątać” jak ona.
- Tak jak powiedziałam: przez bardzo długi czas pracował jako szpieg i był w tym świetny. Jest prawdziwym zawodnikiem. Dymitr podniósł się i przespacerował po relingu.
- Odbicie palącego słońca tańczyło w wodach zatoki. Za godzinę musiał być gotowy na obiad z emirem. To miał być uroczysty bankiet, podczas którego pojawi się temat regionalnego rurociągu naftowego. Interes wart był kilka miliardów dolarów. Miały w nim swój udział także państwowe fundusze majątkowe, a tymczasem spartaczona przez tę kobietę robota przyprawiła go o ból głowy.
- No to teraz mam jeszcze byłego szpiega z potężnym zapleczem finansowym, który prawdopodobnie znał sekrecik sir Richarda

i który teraz chroni tę kobietę. Jakiś pomysł, gdzie mogą teraz być?

– Pojechali do Belgii. Mam swoich ludzi na lotniskach...

– Ale pojechali pociągiem. Możesz ich namierzyć przez jej telefon komórkowy albo kartę kredytową?

– Nie korzystali z komórek i wydaje się, że używają gotówki.

Są poza zasięgiem. Na razie.

Zastanawiał się pięć minut.

– On ma bank, którym musi się zajmować, i czekającą na niego narzeczoną. Będzie musiał się odezwać. Teraz on jest twoim celem. Ma być martwy. Z pewnością będzie próbował się dowiedzieć, kto ściga tę profesorską córeczkę i dlaczego. Nie jesteś na tyle dobra, żeby sama zdjąć ich oboje.

Poczerwieniała.

– Dopadałam ważniejszych i dużo bogatszych.

– Ale nie profesjonalistów. To nie były skomplikowane przypadki. To była łatwizna.

Przez chwilę rozważał, czy jej nie załatwić. Tu i teraz.

Tuż za nim stali jego dwaj najlepsi ochroniarze – potężni, byli współpracownicy KGB. Na jego znak przyszpililiby ją do ziemi, gotowi pozbyć się jej w jakikolwiek wymyślony przez niego sposób. Niechętnie odrzucił jednak ten pomysł. Była wyszkolona i znajdowała się już na właściwym tropie – obserwowała Elmet i zbliżyła się do Willa Hyde'a. Nie było sensu jej teraz karać. Wiedza Loli była przydatna.

– Przydzielę ci zespół. Trzech agentów i dwóch członków naszych służb wywiadowczych – agenci to ładne słówko określające zabójców. – Wprowadzisz ich we wszystko, co wiesz. Ze szpiegami będziesz w kontakcie, żeby przekazywali ci przydatne w

teren informacje – planował na bieżąco. – Agenci będą pracowali osobno, a ty zajmiesz się koordynacją roboty i składaniem mi raportów. – Zabójcy nigdy nie pracowali dobrze w grupie.

Lola przygryzła wargi. Widział, że kompletnie jej się ten pomysł nie podoba, ale w końcu to ona nawaliła. A on niestety miał rację: Will Hyde nie był typowym zleceniem. Mógł sprawiać problemy – nadziany gość mogący jednocześnie chronić samego siebie.

- To *ja* zdejmę Hyde'a.
- Ma się rozumieć – przytaknął.

Musiała mieć czym się pochwalić; od tego zależała jej reputacja.

- Wracasz do Belgii?

Potrząsnęła głową, a jej jasnorude loki podskoczyły przy twarzy. Znowu wróciła mu ochota. Z pewnością prędzej czy później przeleci ją. A to, czy potem pozwoli jej odejść żywej, będzie zależało od wykonanego zadania.

Musi się zrehabilitować.

– Nie będę marnować czasu na szukanie zawodowca, który zniknął z radaru. Pojadę do Nowego Jorku. Musi tam wrócić.

„To prawda” – pomyślał jej klient i nagle go oświeciło.

Will Hyde przywiezie swoją byłą kobietę do Ameryki. A on, Dymitr, postara się, by czekało tam na niego więcej problemów.

Lola jako zamachowiec podlegała jemu, ale on sam też miał swoich szefów. Dla nich to gra o najwyższą stawkę i nie interesowałyby ich żadne wykręty.

Machnął ręką, burcząc coś w języku Persów. Zjawił się jeden z członków załogi i zaczął płynąć z powrotem do przystani. Zamruczał

mały silnik i łódź ruszyła po spokojnej wodzie.

– Jutro podam ci nazwiska – powiedział i wstał.

Ta cholerna suka sprawiła, że poczuł, że musi teraz pokazać swoją władzę. Gdy wykona robotę, będzie nietykalna. Ale dziewczyna w bikini leżała na łóżku w jego kabynie – kształtna, zręczna i uległa.

Will Hyde sądził, że jest panem wszechświata, ale jego pieniądze były niczym w porównaniu z fortuną, do której dostęp miał Dymitr. A jego bank? To żaden problem.

Odwrócił się od Loli i zszedł po schodkach. Lepiej żeby ta czekająca na niego dziewczyna dobrze się sprawiła. Nie miał nastroju na kolejne rozczarowanie. Zabójczyni nie zasłużyła na serdeczne pożegnanie. Spieprzyła sprawę i gdy tylko jacht dobije do portu, Lola od razu uda się na lotnisko.

Nie z takimi jak ona dawał sobie radę. Zabójcy najbardziej starali się właśnie po doznaniu porażki – tyle chcieli udowodnić, tacy wściekli i wygłodniali. Nie zazdrościł teraz Willowi Hyde'owi. Co prawda celem pozostawała dziewczyna, ale była teraz mniej istotna. A gdy Hyde'a już nie będzie, z nią pójdzie łatwo.

Drzwi do jego kabiny były otwarte. Francuzka siedziała na krześle, przeglądając magazyn. Gdy wszedł, zauważyła błysk w jego oku zadrżała lekko przestraszona. Uśmiechnął się. Chcąc go udobruchać, wstała bez słowa i zsunęła prześwitujący materiał na ziemię. Podeszedł do niej i wszelkie problemy natychmiast się rozpierchły.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Olivia Wharton starała się ukryć rozdrażnienie:

– Powiedziałam, że nie. Willa nie ma, Jack. Przykro mi. Wyszłam do pracy w czwartek rano i od tej pory go nie widziałam.

Nie widziała i nie miała żadnych wieści. Ani SMS-a, ani e-maila. Miał jakiś kryzys? Obiecał jej piękny pierścionek i nagle zniknął.

Upór Jacka Sansone'a był w pewien sposób uspokajający. Will coś kombinował, bo w przeciwnym razie skontaktowałby się z bankiem. Nie chodziło o nią. Przecież nie zdobyłaby go wreszcie, po długich staraniach, tylko po to, by patrzeć, jak zwiewa w popłochu. Poza tym, to nie w stylu jej Willa. On był inny. Opiekun, czy, taki męski. Nigdy jej nie okłamał. Było im ze sobą tak dobrze. To nie typ faceta, który odstawia kobiecie taki numer.

Na Willu można było polegać. Olivia wciąż sobie to powtarzała. Ale w tym właśnie cały szkopał: nigdy nie zaniedbałby banku, a z tego, *co* kojarzyła, byli w trakcie załatwiania jakiegoś poważnego interesu.

Gdzie się więc podziewał?

I jeszcze ten bezczelny Sansone wydzwanający dwa razy dziennie.

– Jeśli coś się zmieni, na pewno dam znać – powiedziała.

Olivia mówiła grzecznie i spokojnie. Nieustanne przesłuchanie do roli pani Williamowej Hyde wciąż trwało i z pewnością jedną z jego części było odgrywanie uprzejmej pani domu, nienaskakującej na asystentów Willa.

– Dobrze – powiedział zdenerwowany Sansone. – Rzecz w tym, że tutaj w banku Will musi podjąć pewne strategiczne decyzje. I to niebawem.

– Jestem pewna, że Will zna się na tym, co robi. Ja trzymam się pracy nad moją kliniką dermatologiczną.

Za kilka godzin doktor Wharton miała pojawić się w pracy na Piątej Alei. Zdała sobie sprawę, że nie może już doczekać się dnia, kiedy będzie mogła to rzucić. Żona Willa winna skoncentrować się na dobroczynności. Wszystko inne byłoby niedorzeczne.

– Ale nie sądzisz, że coś mu się *stało*?

Uśmiechnęła się. Will był najsilniejszym i najtwardszym facetem, jakiego kiedykolwiek poznała. Gdyby podszedł do niego jakiś uliczny rozbójnik, ten zdarłby z niego skórę. Wpadnięcie pod autobus też było mało prawdopodobne.

– Nie. Chyba musimy poczekać i się przekonać. To tylko kilka dni. Jeśli nie odezwie się w ciągu kolejnych czterdziestu ośmiu godzin, zgłosimy zaginięcie – powiedziała niechętnie.

Will nie byłby wdzięczny za robienie zamieszania. Olivia wyczuwała instynktownie, że wolałby, aby jego narzeczona zachowywała zimną krew w kryzysowych sytuacjach.

– Może to najlepsze wyjście – westchnął Sansone. – Nie będę cię okłamywał, Olivio, zarząd zaczyna się bardzo niecierpliwić.

Mamy wielkie zamieszanie z zabezpieczeniami hipotecznymi. Kryzys kredytowy jest okrutny i jeśli nie zmniejszymy ryzyka, to możemy mieć problemy. I to o wiele szybciej, niż myślisz.

Zadrzała. Każdy nowojorski biznesmen znał kogoś, kto poszedł na dno, akcja po akcji. Na przykład taki bank Lehman Brothers. Jedno z najstarszych i największych nazwisk na Wall Street. Jednego dnia kierownictwo zajada się w Nobu ręcznie przygotowanymi fugu, popijając szampana, a kolejnego – bank pada i zostaje sprzedany za bezcen. Fortuny to domki z piasku. *Nawet fortuna Willa.*

– Jesteś teraz w domu? – kontynuował Sansone. – Czy nie ma tam czegoś, dzięki czemu moglibyśmy się z nim skontaktować? Komputera z zabezpieczoną pocztą e-mail, specjalnego telefonu...

Zawahała się. Czy Will życzyłby sobie, żeby wpuszczała kogokolwiek do domu? Ale przecież się oświadczył... więc teraz to także jej dom. A Jacka Sansone'a poznała przez Willa. Był kierownikiem wyższego szczebla w Prospect. Will mu ufał.

Olivia podjęła nagłą decyzję. Wpuści Jacka Sansone'a. Strasznie chciała skontaktować się ze swoim narzeczonym, a poza tym, jeśli pomoże Jackowi, to zapunktuje w banku.

Doktor Olivia Wharton była tradycjonalistką w wielu kwestiach: kolekcjonowała imprezy charytatywne, obrazy i ludzi. Oraz długi.

– Przyjedź, Jack – powiedziała miękko głosem – i sprawdź, czy w jego gabinecie jest coś, co może nam pomóc.

– Świetnie – powiedział wniebowzięty Sansone. – Nie może mi pozwolić sobie na straty.

– Do zobaczenia wkrótce. Każę przygotować kawę.

Odłożyła słuchawkę i przygryzła wargę. Gdzie on się podzie-
wa, do cholery? Chciała już mieć ten pierścionek na palcu. Jechać
do Le Cirque albo Trump Tower i przechwalać się nim, wykonu-
jąc niezliczone, rzekomo przypadkowe gesty dłonią. Kobiety –
patrzcie i płacicie.

Will przeżywał gdzieś jakieś przygody. Odkrywał nową kopal-
nię diamentów w Ameryce Południowej lub coś w tym stylu. Albo
siedział w ukrytej kopalni gazu ziemnego na Syberii i prowadził
kolejne wielkie interesy.

Niestety jej wielka przygoda nie może się rozpocząć, dopóki
on nie wróci.

Olivia spróbuje wszystkiego, byle tylko sprowadzić Willa z
powrotem do domu.

Jack Sansone wyszedł na Lower Wall Street, gdzie czekała je-
go limuzyna. Kierowca otworzył drzwi, a on wsiadł do środka, nie
mówiąc nawet „dziękuję”. Kierowca również nie próbował nawią-
zywać rozmowy. Sansone był surowym człowiekiem i nie bratał
się ze służbą. Wszyscy o tym wiedzieli. Żadnych napiwków, ży-
czeń urodzinowych czy świątecznych. Hojnie płacił i wymagał od
podwładnych, by wtapiali się w tło. Całkiem sporo było takich,
którym taki układ odpowiadał.

– Dokąd dziś jedziemy, proszę pana?

Jack nie zadzwonił wcześniej z instrukcjami, jak to miał w
zwyczaju. Lepiej, żeby to była mała, prywatna wycieczka.

– Do domu pana Hyde'a. Jestem umówiony z panną Wharton
– dodał i zaraz ugryzł się w język: nigdy się nie skarż i przed ni-
kim nie tłumacz.

– Tak, proszę pana – kierowca chyba nie załapał.

Ruszyli. Wyciszony przez dźwiękoszczelne, przyciemnione szyby samochód szybko włączył się do ruchu. Sansone uwielbiał zalety bogactwa. Czuł się jak gwiazda rocka. Jak Will Hyde.

Skrzywił się w zaciszu samochodu. Tak bardzo miał już dość ciągłego uśmiechania się do swojego młodszego szefa, śmiania się z wszystkich jego dowcipów. Sukces Willa Hyde'a straszliwie go drażnił. To prawda, że pozycja banku Prospect uczyniła z niego bardzo bogatego człowieka. Will podźwignął ten bank, a Jack był wiecznym numerem dwa.

Z początku Will niesłuchanie o niego zabiegał. Zwerbował go z Wachovii, gdzie u szczytu koniunktury wprowadzali właśnie jakieś śmiałe praktyki finansowania kredytów i wkrótce czterokrotnie zwiększyli swe wpływy. Jack Sansone nie chciał się zgodzić. Po jaką cholereę jeden z najlepszych kierowników banku w jego wieku miałby zamieniać słoneczne Los Angeles, pełne silikonowych modelek i białych, piaszczystych plaż na ponurą Wirginię z burymi, drewnianymi domami i zimnymi, przygnębiającymi zimami? W swoim banku był dyrektorem do spraw operacyjnych. Miał wyrobioną renomę na lokalnym rynku. Za rok miał odejść Ernest Stein, dyrektor generalny, a on zostałby jego następcą. Nie brał pod uwagę tej przeprowadzki.

Ale Will Hyde był uparty. Zaoferował Jackowi akcje – dziesięć procent banku, stałe miejsce w zarządzie, kierowcę przez dwadzieścia cztery godziny i kredyt na zero procent. A i to jeszcze nie wszystko.

– Uczynię z Virginian Prospect najlepszy bank w historii Wall Street – powiedział. – Za pięć lat będziemy tacy, jak Wachovia. Za

dziesięć pograżymy Bank of America. To twoja wielka szansa, Jack.

Pauza.

– A jeśli jej nie wykorzystasz, pójde do Ricka Connella.

Jack Sansone dobrze znał to nazwisko. Connell był młodym, byстрыm asystentem w Berkshire Hathaway, z rosnącą reputacją poważnego gracza.

Zaschło mu w gardle. Nagle zobaczył, jak szansa na świetlaną przyszłość, jaką daje mu ten dużo młodszy mężczyzna, wymyka mu się z rąk i przepada. A to wszystko za cenę odrobiny słońca i kilku tanich, pięknych uśmiechów.

– Rozumiem. Chciałbym przyjąć pańską propozycję.

Stłumiony śmiech.

– Doskonale. Może pan być jutro rano w samolocie do DC? Mamy mnóstwo pracy. Aha, Jack, mów mi Will, bo inaczej cię zwolnię.

– Will – wymusił uśmiech. I wkrótce był w tym samolocie.

A jednak bolało, nawet wtedy. Will Hyde był młodszy od Sansone'a o dziesięć lat. To Hyde powinien się cieszyć, że jest przyjmowany do pracy. Hyde powinien chcieć się przypodobać. Jack otrzymał funkcję kierowniczą i bardzo dobrze sobie radził, za co był hojnie nagradzany. Ale Will grał własnymi pieniędzmi i władał całym bankiem. Jack miał dostać dziesięć procent za wprowadzenie banku na giełdę, ale to Hyde dostanie dziewięćdziesiąt.

Jack Sansone miał jasno określone priorytety. Przyjął propozycję, przeniósł się do Wirginii i każdą wolną chwilę poświęcał na budowanie sukcesu Virginian Prospect. Will Hyde robił spore,

rozsądne inwestycje, a Jack rozdzielał wtórne wierzytelności. Jego młody szef miał oko do talentów i kobiet. Było jeszcze kilku innych zwerbowanych pracowników, którzy przysłużyli się podobnie jak on. Rozrosły się wszystkie działy – od ubezpieczeń po dział fuzji i przejęć. Will Hyde połączył ze sobą bank inwestycyjny i bank detaliczny. W przeciągu dwóch lat przenieśli się z Wirginii na Manhattan. Zimy nadal były mroźne, ale białe, drewniane domki należały już do przeszłości – chyba, że leciał helikopterem postrzelać w Dutchess County.

Jack faktycznie był teraz bardzo bogatym człowiekiem, częściowo dzięki pracy w Prospect. Ale bez wątpienia to do Willa Hyde'a należała lwia część transakcji i taktycznych posunięć. To on spijał śmietankę.

Jack wart był prawie pięćdziesiąt milionów dolarów. Kupę forsy. Znacznie więcej niż pensja pracownika w jakiegokolwiek kasie oszczędnościowej.

Ale jego młody szef był pieprzonym miliarderem. Jack nie mógł tego znieść, nienawidził tej różnicy.

A teraz Will gdzieś sobie zniknął, diabli wiedzą gdzie. Bez możliwości kontaktu, informacji, niczego. A był *potrzebny*. Musieli obniżyć ryzyko najszybciej, jak to możliwe. A co, jeśli tamte banki zgłoszą się po ich pieniądze? Zapasy stopniały. Obecnie Prospect nie miał wolnych środków. Potrzebne były decyzje, a nikt poza Williamem nie mógł ich podjąć.

Przesrane. Jack był wiceprezesem. Powinien mieć taką władzę.

Czy William był ranny? Martwy?

„Nie mógłbym być aż takim szczęściarzem – pomyślał Jack. Przez krótką chwilę czuł się winny, ale natychmiast stłamsił to

uczucie. – Nie – powiedział sobie w myślach. – Nie szanują mnie”.

A jeśli jednak leżał gdzieś martwy...

W głowie przewijały mu się słodkie wizje nagiego Willa Hyde'a uwięzionego w apartamencie z dziwką, może po dawce jakichś środków. Z pewnością chciałby zobaczyć go tak upokorzonego. Naturalnie broniłby go przed prasą, odgrywał zdumienie i powagę: „To nie w stylu Williama Hyde'a, jakiego znam... Więcej nie mam nic do powiedzenia”.

Oparł się o szare, skórzane siedzenie i uśmiechnął się.

A jeśli Will nie wróci? Kto przejmuje bank... jego akcje? Will nigdy nie wspominał o swojej przeszłości i rozprawiał się z każdym, kogo przyłapał na spekulacjach. Dziennikarze zbyt się go bali, by go drażnić – miał przyjaciół wśród wszystkich wydawców w mieście. Ale Jack dowiedział się od pewnych informatorów, że William nie ma żadnych spadkobierców. Żadnych krewnych. Will pochodził z Anglii, gdzie przebywał w sierocińcu. Wspierał kilka organizacji charytatywnych, ale to nie był typ człowieka rozdającego swoje akcje instytucjom. Przyjaciele? Chrześciani? Miał znajomych, mnóstwo znajomych, ale żadnych przyjaciół. Co ambitniejsi pracownicy prosili go, by został ojcem chrzestnym ich dzieci, ale grzecznie odmawiał.

Czyli co?

Zostaje tylko jego dziewczyna.

Ta myśl trafiła go jak pięść między oczy, odwrócił się i gapił bezmyślnie przez szyby na przesuający się Manhattan.

Olivia Wharton bez wątpienia wyprzedzała o krok te śliczne laleczki, które przez lata wieszały się Willowi na ramieniu. Ona

uchowała się dłużej; była dyskretniejszą naciągaczką.

Jack kilkakrotnie sam słyszał, jak Will śmiał się w jej towarzystwie. Może to właśnie dlatego wprowadził ją do siebie. To była pierwsza dziewczyna, z którą dzielił swój dom. W razie czego, to z pewnością ona zostanie spadkobierczynią.

Jack niedawno się rozwiódł, a jego była żona wraz z ośmioletnim synem mieszkała w bogatej posiadłości w Connecticut. Poflirtuje z Olivią, bez żadnych konsekwencji. A jeśli Will rzeczywiście zginął, Jack będzie zabiegał o jej względy, ożeni się z nią i przejmie nad wszystkim pełną kontrolę.

Sama myśl o przeleceniu kobiety Willa Hyde'a była podniecająca. Ale Jack nie był głupi. Hyde pewnie żył. Jack nie wyobrażał sobie swojej przyszłości w banku – ani w ogóle nigdzie – gdyby Hyde przyłapał go choćby na robieniu słodkich oczu do Olivii. On był terytorialnym zwierzęciem i to w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Jack udawał, że pokpiwa sobie z jego samczej siły, ale tak naprawdę nienawidził tego. Wkurzał się. A jednak... jakieś miłe słówka dla doktor Wharton były jak najbardziej na miejscu.

Samochód wjechał w Piątą Aleję. Jack pogrzebie w papierach Willa Hyde'a, przejdzie się po całym jego domu w towarzystwie jego kobiety. Jeśli chodzi o Jacka Sansone'a, to Will mógł sobie nie wracać, jak długo tylko chciał.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wydostali się z autokaru. Melissa czuła, że się lepi, była zmęczona, głodna jak wilk i chciało jej się pić. Tak okropnie burczało jej w brzuchu przy Willu. Poziom adrenaliny, na której jechała od samego rana, teraz właśnie opadał; w autokarze nikt nie próbował ich zabić.

Chciała wziąć prysznic, założyć świeże ubranie. Will oddalił się z nią od tłumu pasażerów. Melissa poczekała, aż odejdą na odpowiednią odległość, i dopiero wtedy ośmieliła się odezwać. Wyglądało na to, że są w centrum miasta. Rotterdam był eleganckim miastem o nowoczesnej architekturze, z mnóstwem szkła oraz pieczołowicie zaprojektowanymi budynkami, wieżowcami i ulicami.

Sprawał wrażenie doskonałego miejsca, aby się w nim zgubić. Niezbyt wzmożony ruch turystyczny, znaki głównie w języku holenderskim.

– I co teraz? – wymamrotała. – Pewnie zabierzesz nas do jakiegoś zapchlonego motelu, gdzie będziesz mógł płacić gotówką?

Zachichotał, a ona zjeżyła się na myśl o tym, że traktuje ją jak głupią.

– Nie. Wydaje mi się, że dość już przesłaś. Pojedziemy do porządnego, dyskretnego hotelu. Znam kilku tamtejszych kierowników.

Hotel jest tuż obok wielkiego centrum handlowego. Możesz tam najpierw pójść, kupić jakieś ubrania, i to czego potrzebujesz. A potem razem się zameldujemy.

Hotel! Poczuła taką ulgę, że omal nie zemdląła. Prysznic. A nawet wanna. Obsługa hotelowa. Kiszki znów zagrały marsza.

– Własny pokój?

Will pokręcił głową.

– Znam tych kierowników właśnie dlatego, że nieraz już zabierałem tam różnych ludzi. Przywykli do tego, że płacę gotówką i używam fałszywego nazwiska. Będziesz w pokoju ze mną.

– Jakich ludzi? – nie mogła się powstrzymać. – Kobiety?

Przytaknął.

– Dziwki? Drogie panienki do towarzystwa? Modelki?

– No, wiesz, to nie to samo – wzruszył ramionami. – Jedno i drugie. Masz coś przeciwko?

– Jakże bym śmiała – odparła chłodno. – Twoje życie, twoja sprawa.

– Tak właśnie myślałem – powiedział zdziwiony.

Cholera! Był wnerwiający Wyglądziła pomiętą, bawełnianą bluzę.

– W hotelu będą gadać. Nie wyglądam specjalnie na dziwkę. Ani na modelkę.

Idący tuż przed nią Will zatrzymał się. Odwrócił się i uważnie jej się przyjrzał, wodząc oczami po jej twarzy, biuście i całym ciele. Melissa wstrzymała oddech, waliło jej serce.

– Nie doceniasz się – powiedział.

A potem jakby się otrząsnął, zebrał w sobie i znów odwrócił.

- To tutaj. Centrum handlowe Plaza.
- Spojrzała w górę: olbrzymi, szary budynek.
- Mają tu wszystko. Sklep z torbami bagażowymi. Ubrania. Aptekę. Potrafisz szybko robić zakupy?
- Bardzo szybko. Nie znoszę zakupów – powiedziała zgodnie z prawdą.

Uniósł brew.

- Ja też. Moja dziewczyna uwielbia. Na samym przymierzaniu butów potrafi spędzać godziny.
- Potrafię się sprężyć – musiała, bo umierała z głodu. – Chcę już iść do hotelu.
- No to chodźmy.
- Sama mogę to zrobić – dobrze byłoby zostać choć na chwilę bez niego. – Spotkamy się przed wejściem.

Uśmiechnął się.

- Uważaj, jak cię spuszcze z oczu.
- Ale przecież nie śledzą nas.
- Nie możemy być tego pewni.

Kiwnął ręką i weszła za nim przez podwójne drzwi wejściowe. Byli w jakimś gigantycznym sklepie. Melissa szła przodem, Will za nią. Chwyliła kilka długich koszul, dwa swetry, parę butów na obcasie i półbuty. Potem znalazła jakieś dzinsy, koszulki, dwie bawełniane piżamy w malutkie kaczuszki. Will parsknął, ale Melissa zignorowała go. Była zbyt zmęczona, by się obrażać. Podała mu ubrania, które on zawiesił sobie na ramieniu. Znaki w sklepie były w języku holenderskim, ale jakoś sobie radziła. Bielizna była na tyłach: bez skrępowania, zbyt na to zmęczona, wybrała kilka par majtek, dwa biustonosze, rajstopy i czarne skarpety. Na koniec,

pod wpływem impulsu, chwyciła jeszcze strój sportowy: niedrogi, jednoczęściowy kostium kąpielowy, sportowy stanik, dres i parę Nike'ów

„Buty do biegania naprawdę mogą mi się przydać – pomyślała smętnie. – Przecież uciekałam”.

Will zaniósł jej zakupy do kasy. Rachunek wyniósł pięćset euro.

– Oddam ci – powiedziała, rumieniąc się.

– Nie wygłupiaj się – podał banknoty. – Musisz wiedzieć, że takie pieniądze nie są dla mnie problemem.

Przecież wiedziała. Zrobiło jej się głupio. Will zauważył, jak się czerwieni, i dodał:

– Ale miło z twojej strony, że proponujesz, Missy.

„Nie mów do mnie Missy” – tak ją nazywał, gdy się spotykali, gdy wolno było mu tak mówić.

– Teraz jestem Melissą – powiedziała ostro.

– W porządku – odebrał jej zakupy. – Tędy.

Will najwyraźniej znał to miejsce. Zastanawiała się, *co* kupował tutaj dla tych swoich panienek. Wyszedł na główny pasaż, skręcił w lewo i byli już w sklepie z walizkami; wybrał zwykłą, niebieską walizkę i zapłacił za nią. Otworzył ją na miejscu w sklepie i wrzucił tam jej wszystkie zakupy, włącznie z małą torebeczką, którą niosła od St Pancras z ich beznadziejnymi kosmetykami i szczoteczką do zębów.

– Apteka – powiedział, niosąc walizkę i prowadząc ją do dużego sklepu o nazwie Escura, pełnego francuskich kosmetyków. – Weź wszystko, czego potrzebujesz.

Melissa patrzyła, jak wybiera mydło, szczoteczkę do zębów i pastę. W pośpiechu chwyciła kosmetyki firm, które kojarzyła:

Maybelline, Oil of Olay i płyn do twarzy Clinique. Nie było po co sprawdzać cen. Powiedział przecież, że go stać. Ni z tego, ni z owego złapała kwadratowe opakowanie perfum Amariage od Givenchy. Jedne z jej ulubionych. Will zabrał wszystko do kasy i zapłacił kolejnymi banknotami.

Zastanawiała się, ile pieniędzy ma jeszcze przy sobie. Spojrzał na perfumy, a ona pożałowała, że sobie na nie pozwoliła. Po co jej były perfumy? A właściwie dla kogo? Rozważyła wtrącenie, że chciała tylko poprawić sobie nastrój, ale nie będzie dłużej skupiać na tym jego uwagi. Will był zbyt bystry, a ona już miała dość naśmiewania się z niej.

Wrzucił jej zakupy do zewnętrznej kieszeni miękkiej walizki.

– Skończyliśmy?

– Ja tak.

Will zerknął na swojego Rolexa.

– Jedenaście minut. Nieźle.

– To gdzie ten hotel?

Potykała się, próbując za nim nadążyć; szedł szybko, niczym sportowiec. Nie miała za grosz kondycji. Naturalnie nie była gruba, była szczupła, ale taka nauczycielsko niezdarza. Od lat nie miała tylu ćwiczeń jednego dnia, co dziś.

– Tuż po drugiej stronie ulicy. Zobacz.

Wyszli z centrum handlowego, a on skręcił w lewo w boczną uliczkę i skierował się do samego centrum miasta. Po jednej stronie było jakieś muzeum i znak zapraszający po angielsku do zoo.

Najwyraźniej Will znał drogę. W Rotterdamie i wielu innych miejscach. Poczula się taka malutka i prowincjonalna. Ale nie da mu tej satysfakcji. Co z tego, że nie była obieżyświatem? Miała wykształcenie i szanowano ją jako nauczycielkę z Oksfordu. I niczym nie zasłużyła sobie na coś takiego.

„Nie prosiłam go o przyjazd” – pomyślała.

Zignorowała uczucie radości, że jednak to zrobił.

Will wskazał elegancki, nowoczesny hotel Westin z falistą elewacją. Dziwny wymysł ze szkła i stali. Wyglądał na drogi i luksusowy.

– Poważnie? – spytała z nadzieją.

– Jasne. Musisz odpocząć.

Podniósł walizkę i poszedł dalej wzdłuż ulicy. Melissa pospieszyła za nim.

Hol był elegancki – w szkłe i marmurze, ze sklepieniem sufitem. Wszędzie krążyli biznesmeni w swoich dobrze skrojonych garniturach. Kelnerzy w hotelowych strojach podawali kawę gościom usadowionym na minimalistycznych poduszkach. W recepcji panowała cisza.

Melissa trzymała się z tyłu, gdy Will podszedł do lady i gawędził z uśmiechającą się do niego zalotnie pracownicą w schludnej, granatowej koszuli. Kobieta zerknęła na Melissę, posłała jej pospieszny uśmiech i podała Willowi klucz. Zachichotała, a Melissa usłyszała śmiech Willa.

Wrócił do niej i objął ją w talii. Przez bluzę poczuła jego twarde mięśnie. Pochylił się nad nią i pocałował w skroń, muskając ustami jej skórę. Melissa zadrżała bezwiednie. To było jak tortura. Tak bardzo go pragnęła. Za bardzo.

Natychmiast odsunęła się od niego. Nie ma mowy, żeby zorientował się, co myśli. Zmarszczył brwi, byli na randce, która stanowiła dla nich przykrywkę. Melissa wymusiła uśmiech i położyła smukłą rękę na jego rosłej piersi.

– Chodźmy na górę – zamruczała jak potrafiła najlepiej.

Uśmiechnął się.

– Jasne, kotku. Windy są tam.

Melissa ruszyła we wskazanym kierunku, a Will radośnie pacnął ją w tyłek. Skrzywiła się, gotowa trzepnąć go w rękę, ale on stał już z ich walizką przy windach. Drzwi otworzyły się z sykiem. Melissa słaniała się na nogach, a gdy dotarli na piąte piętro, ledwo mogła doczekać się otwarcia drzwi. Każdy krok wzdłuż korytarza był męczarnią.

Will zatrzymał się przy drzwiach na samym końcu korytarza. Melissa spojrzała na nie: Apartament Króla Wilhelma.

– Apartament? – zapytała, gdy wydobył klucz.

– Gdybym wziął coś skromniejszego, zaczęliby gadać. Zwykle biorę ten na ostatnim piętrze.

– Oczywiście.

Spojrzał na nią i pchnął drzwi. Apartament był ogromny. Nowoczesne, minimalistyczne meble, okna rozciągające się od podłogi aż po sufit wychodziły na miasto, salon z komputerem, na orzechowej skrzyni misa owoców i wielka łazienka w brązowym kamieniu z oddzielnym prysznicem, jacuzzi i głęboką, kwadratową, kamienną wanną. Na drzwiach zachęcająco wisiały dwa pukszyste, białe szlafroki.

Melissa stała jak sparaliżowana. Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Podeszła chwiejnie do misy z owocami i wzięła brzoskwinę. Była pyszna, pachnąca i dojrzała.

Wgryzła się w nią zgłodniała. Po policzku poleciała kropelka soku. Zlizła ją zmieszana i podniosła wzrok, napotyając spojrzenie Willa.

Natychmiast odwrócił wzrok.

– Zgłodniałaś.

Nie odpowiedziała.

– Zamówię coś do jedzenia, dobrze? Możesz się przespać lub wykapać, jeśli chcesz.

– Jest tylko jedno łóżko.

– Wystarczająco duże dla nas dwojga.

To było gigantyczne łóżko królewskie.

– Nie martw się, nie będę cię molestował.

– Dlaczego niby miałabym się o to martwić? – odgryzła się i zamilkła. – Przepraszam, Will, jestem zmęczona.

– Proszę – przysunął walizkę. – Zabierz jakieś ubranie, zamknij drzwi na klucz, weź kąpiel... wiem, że nie znosisz pryszni-
ca...

„Zapamiętał – pomyślała i zarumieniała się. – Przedziwne, że właśnie ten drobny szczegół utkwiał mu w pamięci”.

– Jak skończysz, wyjdiesz w pełni ubrana. Nie musisz się mnie obawiać, Melisso. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

– Wiem – złagodniała.

– Poza tym mogę zadzwonić do Olivii.

To jego narzeczona. Melissa prawie wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia, ale Will niczego nie zauważył.

– Będzie odchodzić od zmysłów. Powiniennem dać im znać, że jesteśmy bezpieczni. Muszę wykonać też kilka innych telefonów.

Jutro z samego rana ruszamy do Nowego Jorku.

– Dobrze.

Chciała wiedzieć, jak się tam dostaną, ale nie odważyła się zapytać. A poza tym, wycieńczonej emocjonalnie i głodnej, było jej i tak wszystko jedno. Przykucnęła i wyjęła z walizki swoje ubrania, odkładając je pośpiesznie na bok. Wybrała jeden z nowych staniczków i piżamę i niepewnym krokiem poszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Po raz pierwszy od czasu Londynu była zupełnie sama.

„Dzięki Bogu” – pomyślała.

Weszła szybko do wymyślnej wanny i odkręciła kran.

Hotel serwował darmowe przybory L'Occitane. Pod strumieniem wody opróżniła płyn do kąpieli, pozwalając, by pomieszczenie wypełniło się błogim zapachem lawendy. Rozebrała się i weszła do wody.

Ciepła woda opływała jej zmęczone ciało jak pieszczoty, a ona pozwoliła sobie na krótki relaks. Upajała się uczuciem czystości – spływały z niej brud i pot. Ciało odpoczywało po biegu, podróży pociągami i autokarem. Znalazła też szampon, chwyciła za kran i po umyciu włosów i nałożeniu na nie odżywki, zaczęła wreszcie czuć się jak człowiek. Gdy skończyła, wyszła z wanny, osuszyła się, założyła stanik i piżamę i owinęła się miękkim, białym szlafrokiem. Ponownie umyła zęby i spojrzała w lustro. Lepiej, nieco lepiej. Chciała się podmalować, ale nie odważyła się. On odczyta to jako próbę wywarcia na nim wrażenia. Była przecież już w piżamie.

Łazienka miała osobną garderobę, a w niej znajdowały się grzebień i suszarka do włosów. Energicznie rozczesała splątane po

całym dniu włosy i rozpuściła je, pozwalając im opaść na ramiona. Cudownie było być po prostu czystą.

Melissa zorientowała się, że była w łazience zbyt długo. Will będzie chciał skorzystać z prysznicza. Poderwała się i z poczuciem winy otworzyła drzwi.

Uderzył ją cudowny zapach: cytryna i rozmaryn. Na środku pokoju zobaczyła uginającą się od jedzenia tacę i przysunięte przez Willa dwa krzesła.

– Nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę, więc zamówiłem kilka dań. *Pollo al limone*, robią tu dobre włoskie jedzenie. *Stamppot* – tradycyjny, holenderski gulasz, bardzo smaczny. Południca wołowa. Makaron wiosenny.

Prawie zajęczała z głodu.

– Dziękuję, Will. Nie martw się, zjem wszystko.

Zaśmiał się zaskoczony.

– Żartujesz, to dobry znak.

Siedział przy stole. Melissa wślizgnęła się na krzesło naprzeciwko niego i zabrała się za gulasz. Był wyśmienity, ziołowy, z wołowiną i warzywami. Czuła, jak po kościach rozchodzi się ciepło.

– Nie będziesz jadł?

Siedział i tylko na nią patrzył. To było niepokojące.

– Tak, oczywiście – oderwał wzrok i sięgnął po makaron. – Też zgłodniałem. W takich sytuacjach faktycznie trzeba jeść, ile się da. Nigdy nie wiesz, kiedy będzie następna okazja. Siła jest potrzebna.

– A ty byłeś w takich sytuacjach.

To nawet nie było pytanie.

– Wielokrotnie – potwierdził.

– Więc jak stałeś się bankowcem?

– To ciężka robota, bardzo ciężka.

Zamilkł, a ona zastanawiała się, co widział. Czy widział, jak giną ludzie? Czy to on ich zabijał? Zdała sobie sprawę, że odpowiedź na to pytanie z pewnością była twierdząca.

– Jak długo byłeś szpiegiem?

– Szpieg to trochę niewłaściwa nazwa. Zbierałem informacje, wywiązywałem się z misji. Nie wszyscy zbierają mikrofiszki KGB z ambasad rosyjskich.

– Jakich misji?

Jakaż ekscytująca była jego praca. Pomyślała o sobie, sprawdzającej prace gburowatych studentów (skacowanych lub leniwych), mieszkającej na łasce uczelni, spotykającej się z mężczyzną, który w zasadzie jej nie pociągał. Bezpieczne życie, fakt. Ale teraz wydawało się, jakby to było całe wieki temu. Melissa zjadła kolejną porcję gulaszu. Był taki pyszny. Kiedy ostatnio czuła taki głód?

Mimo że była przerażona i oszołomiona, nagle zdała sobie sprawę, że od lat nie czuła bardziej, że żyje.

Will uśmiechnął się.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Jasne – zmieniała temat. – To dlaczego zajmowałeś się tym tak długo? Najwyraźniej świetnie ci idzie z... z pieniędzmi. Czemu od razu się tym nie zająłeś?

Upił łyk wody. Na stole stały dwie butelki wody mineralnej i dzbanek świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, ale żadnego wina ani wódki. Nie musiała pytać, by zrozumieć, że alkohol był niedozwolony. Gdyby nagle jakiś wyborowy strzelec wywalił szybę, Will wolałby, żeby ich percepcja była na najwyższym poziomie.

– Dobrze pytanie – odwrócił od niej wzrok. – Musiałem się z czymś uporać.

– Z czym? – nieomal wyszeptała.
– Ty już dobrze wiesz, z czym – zacisnął palce wokół nóżki kieliszka z wodą, a Melissa cofnęła się. – Nie pogrywaj ze mną.
– Dla ciebie to takie proste – powiedziała rozgoryczona. – Ty nie miałeś rodziców, których trzeba zadowolić. Może nie masz pojęcia, jak to jest, gdy się kocha dwoje ludzi jednocześnie. Moja matka umierała. A ty byłeś okrutny.

Jego oczy błysnęły.

– *Ja* byłem okrutny?

Odsunęła od siebie talerz i chciała wstać.

– Straciłam apetyt.

Dłoń Willa zacisnęła się niczym imadło wokół jej nadgarstka. Delikatnym ruchem usadził ją z powrotem na krześle.

– Jedz – rozkazał.

W oczach Melissy pojawiły się łzy wściekłości.

– Nie jestem dzieckiem.

– A ja nie narażam siebie i moich interesów, żeby oglądać twoje napady złości. Wciąż nie jesteśmy bezpieczni. I nie będziemy, dopóki nie ulokuję cię w bezpiecznym domu w Nowym Jorku. Ryzyko jest niewielkie, ale jest. Jeśli znów się pojawią, musisz być w najlepszej formie fizycznej, rozumiesz?

Przygryzła wargę ze złości. To było jeszcze gorsze, bo wiedziała, że on ma rację.

– Tak jest.

– To nie jest randka. Zjedz trochę makaronu, mięsa i wypij sok. To dostarcza węglowodanów, białka, witamin. Jeśli ci to przeszkadza, chętnie usunę się w drugi koniec pokoju.

– Nie. Nie trzeba. Rozumiem.

Chwyliła talerz i napełniwszy go makaronem, zaczęła jeść konsekwentnie. Will patrzył na nią, ale ona nawet na niego nie zerknęła. Po chwili i on zaczął jeść. Melissa wzięła sobie kawałek steka i nalala nieco złocistego soku pomarańczowego.

„Mechanicznie, wszystko mechanicznie – powtarzała w myślach. – Słuchaj go, gdy ma rację. Nakarm ciało. Doładuj się”.

Skończyła – wystarczy, by zaspokoić głód, a jednocześnie się nie rozchorować. Will wciąż jadł. Naturalnie był o wiele większy niż ona. Po steku zajął się kurczakiem.

Melissa odsunęła krzesło i podeszła do komody. Wyjęła kilka ubrań i skierowała się do łazienki.

– Co robisz? – spytał władczo.

– Przebieram się – odparła, zerkając na niego zuchwale. – Nie powinnam być w pizamie. Być może za chwilę trzeba będzie uciekać.

Przytaknął, a ona z przyjemnością zauważyła, że był zaskoczony. Zamknęła za sobą drzwi i przebrała się sprawnie w dres, skarpety i sportowe buty. Praktycznie i wygodnie. Gdy skończyła i wyszła z łazienki, zobaczyła, że Will skończył jeść i stał, gapiąc się przez okno.

Melissa żałowała, że nie może zapobiec niezręczności tej sytuacji. Nie pozwoli, by Will dowiedział się, że wciąż za nim szaleje. Nie wolno jej dać się ponieść. Sytuacja była napięta, a ona była zdeterminowana, by nie pogrążyć się jeszcze bardziej. On miał dziewczynę, modelkę i swoje wyśnzione życie bez niej. Do tego właśnie wracał. Gdy tylko ulokuje ją w bezpiecznym miejscu, pewnie nigdy więcej go już nie zobaczy.

Przygotowała się. Jej zadaniem było teraz dotrzeć do Nowego Jorku. Zacząć nowe życie. Albo chociaż robić coś z pasją. Żadnego uczenia. Żadnego akademickiego świątka. Może dziennikarstwo, czy coś w tym rodzaju. Musi skoncentrować się na swoim nowym życiu, a nie upokarzać się w oczach Willa.

– Mam nadzieję, że twoja narzeczona ucieszyła się, gdy cię usłyszała – powiedziała odważnie. – Musiała odchodzić od zmysłów.

Spiął się nieznacznie.

– Nie rozmawiałem z nią. Koniec końców to zbędne ryzyko. Jutro o świcie będziemy już w samolocie.

– Ach, czyli wkrótce się spotkacie. To dobrze – no proszę, całkiem łatwo brzmieć radośnie, kiedy robi się to celowo. – Z firmą podobnie?

– Tak. Chociaż przechodzą teraz niezły kryzys. Ale nie jest to nic, czego nie mógłbym naprawić po powrocie.

– Gdy już będę bezpieczna, muszę zadzwonić do matki Frase-ra. Nie wiedzą, dlaczego uciekłam – westchnęła. – Mam nadzieję, że policja nie sądzi, że byłam w to wszystko zamieszana.

– Jeśli po morderstwie znika kochanka, to ludzie snują przypuszczenia. Będziemy musieli to wyprostować.

Melissa zaczęła przeglądać hotelową broszurkę. Kochanka. Faktycznie, czasami była nią dla Frase-ra. Bardzo sporadycznie i zawsze z niesmakiem. Z poczuciem winy przypomniawszy sobie to uczucie, ten wstyd, gdy nieudolnie macał jej ciało, gdy leżała w ciemnościach – zawsze po ciemku, bo nie chciała oglądać na sobie tej jego chudej klatki piersiowej. Najbardziej pozytywną cechą Frase-ra było to, że szybko kończył. Melissa zawsze musiała się

wcześniej lekko upić, żeby to wszystko znieść. Tłumaczyła sobie, że nieudany seks był ceną, jaką musi płacić za towarzystwo i zabezpieczenie małżeństwa.

Ale nie zapomniała, jak było dawno temu z Willem. Serce zabiło jej z poczucia rozczarowania samą sobą. „Nie zrobię tego nigdy więcej – przysięgła sobie. – Już lepiej żyć samotnie, milion razy lepiej, niż sypiać z mężczyzną, którego trzeba znosić zamiast kochać”.

– Fraser był dobrym człowiekiem – powiedziała, łagodząc własne poczucie winy. – A jego rodzice to też mili ludzie. Teraz już zawsze będą zastanawiać się, dlaczego został zastrzelony. Muszę im powiedzieć.

– Rozumiem – powiedział, nie oglądając się.

– Will – nie mogła znieść już tego napięcia, pożądania, frustracji, strachu... Kłębilo się w niej zbyt wiele emocji i chciała się ich wszystkich natychmiast pozbyć – w tym hotelu jest porządna siłownia. Nie jestem taka jak ty, nie mam dobrej kondycji. Nie była mi potrzebna do sprawdzania esejów w Christ Church. Chciałabym pójść i... i poćwiczyć.

Obejrzał się, zdziwiony.

– Chcesz poćwiczyć?

– Sam mówiłeś, że być może będziemy uciekać dłużej, niż się wydawało – nie lubiła tego swojego miękkiego, bezbronnego ciała. – Mogę? Sądzisz, że to bezpieczne?

– Traktujesz to bardzo serio.

– Tak bywa, gdy ktoś próbuje cię zabić – było to dla niej ważne. – A co, jeśli wciągniesz mnie w ten program ochrony świadków? Więcej mnie nie zobaczysz. Nie będziesz mógł mi pomóc. Muszę być w dobrej formie i... nauczyć się strzelać.

– To prawda – przytaknął. – Przykro mi to mówić. Taka dziewczyna jak ty... nie powinna być zamieszana w takie sprawy. Istnieje ewentualność, że nigdy nie będziemy mogli na dobre się odprężyć. Na razie muszę dowiedzieć się, kto cię szuka i dlaczego.

Melissa przełknęła ślinę.

– Więc muszę się zmienić. Zaczynając od dobrej kondycji. Mogę zejść do siłowni, Will?

– Ale nie sama. Będziesz zbyt widoczna – westchnął. – Pójdę z tobą.

Weszła na bieżnię. Za nią Will Hyde podnosił ciężary. Miał na sobie strój prywatnego trenera hotelowego – wyczarowany po krótkiej rozmowie z recepcjonistą. Melissa odwracała wzrok. Nie chciała oglądać Willa w białym podkoszulku rozciągającym się na jego potężnej klatce piersiowej, gdy unosił wielkie stalowe ciężary. Nie korzystał z ławeczki, więc w każdej chwili mógł ją chwycić, gdyby ktoś próbował ją zaatakować.

Will zawsze dobrze wyglądał, ale obecnie był innym człowiekiem. Sukces sprawił, że przepelniała go pewność siebie. A jego ciało było jak z żelaza. Nie mogła na nie patrzeć bez nagłego pożądania. „Co za bzdura – zadrwiła z siebie – zastraszona, malutka pani profesor ćwicząca pod okiem takiego typowego wzoru męskości”.

Ale uczyć nie mogła się wyzbyć. Nie była w stanie spokojnie patrzeć na jego umięśnione ciało dźwigające ciężary. Gapiła się na niego. Prędzej by umarła, niż pozwoliła mu dostrzec jej pożądanie. Poruszała się żwawo. Zwiększyła tempo maszyny, aż się zadyszała i musiała zwolnić. On pewnie patrzył na nią za jej plecami, rozbawiony jej amatorszczyzną.

„Nie szkodzi” – pomyślała.

Uczyła się tego od nowa. Musiała znaleźć swoje tempo. Nawet Will kiedyś zaczynał. W końcu odnalazła swoją prędkość na poziomie sześciu mil na godzinę i w miarę jak jej ciało rozgrzewało się, zaczęła czerpać przyjemność z ćwiczeń. Z każdym głębokim oddechem i każdym głośnym krokiem czuła, jak cała burza uczuć cudownie cichnie, aż w końcu pozostała tylko ona i bieżnia – walące serce i krew tańcząca z tlenem w jej żyłach. Biegła tak, wyciskając z siebie siódme poty, przez pół godziny. A gdy skończyła, zwolniła, zeszała i rozciągnęła się. Bolały ją wszystkie mięśnie, ale to był dobry ból.

Gdy wyprostowała się i otarła twarz ręcznikiem, podszedł do niej Will.

- Jestem pod wrażeniem, Missy. Masz żelazną wolę.
- Mam motywację – wydyszała, nie zadając już sobie trudu poprawiania imienia.

Uśmiechnęli się oboje. Nagle zrozumiała, że bardzo go lubi. Mogliby nawet zostać przyjaciółmi, gdyby tak strasznie jej się nie podobał.

- Skończyłaś?
- Chciałabym poćwiczyć z ciężarkami.
- Wolałbym, żebyś wróciła do pokoju. Każda chwila, którą tu spędzamy, jest w pewnym sensie ryzykiem.
- W porządku – westchnęła.
- Ale nie martw się. Nie potrzebujesz ciężarów do ćwiczenia siły. Robiłem to każdego dnia, bez względu na to, w jakiej cholernej dziurze akurat siedziałem.

Poszła za nim w kierunku wind.

- W jaki sposób?

– Pompki, brzuszki, ćwiczenia na tricepsy, boczne wymachy nóg. Pokażę ci.

– Dobrze.

– Zapamiętaj, ciężar twojego ciała jest najlepszym ciężarem. To przydatna rzecz.

– Uczysz mnie rzemiosła? – uśmiechnęła się.

Ta cała sytuacja była komiczna. Gdy zamknęły się za nimi drzwi windy, położył dłoń na jej ramieniu i spoglądając jej głęboko w oczy, powiedział:

– Sama się uczysz. I to bardzo dobrze. Chcę, żebyś przetrwała.

Melissa nie odpowiedziała. Bo ją kochał? Troszczył się o nią – to wszystko. Nie ma szans, by to wystarczyło.

– Kiedy wyruszamy?

– O świcie – odparł.

– W takim razie pójde pod prysznic i położę się – jej wypowiedź zawisła w powietrzu.

– Będę spał na drugim krańcu łóżka – powiedział stanowczo.

– Dobry sen jest istotny. Jestem nauczony spać bardzo płytko. Nawet cię nie dotknę, nie będę cię niepokoił.

– W porządku – powiedziała Melissa.

Nie mogła przecież wymagać, by położył się na podłodze. Żyją tylko dzięki jego dobrej woli. Opiekował się nią, nic poza tym.

Wściekała się, że tak bardzo czuła się przez to rozczarowana.

Melissa czekała, aż Will wyjdzie spod prysznicza. Potem umyła się, założyła koszulkę, dzinsy i weszła do łóżka. Poczowała ruch narzuty, to jak kładł się obok niej, odwracając się twarzą do drzwi. Leżała odwrócona do niego plecami. Prawie w ogóle się nie ruszała. A poza tym wiedziała, że on ją ochroni. Póki co, była całkiem bezpieczna.

To był długi dzień, a ćwiczenia ją wykończyły. Zamknęła oczy i zapadła w spokojny, niezmacony sen.

– Obudź się – jego ręka spoczywała na jej plecach, na jej talii – już czas.

– Will – powiedziała zasnana, a zaraz potem świadomość obudziła się ze zdwojoną siłą; odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka, patrząc z przerażeniem na drzwi.

– Hej, hej – uspokajał ją. – Wszystko w porządku. Umyj się najszybciej, jak potrafisz. Musimy już iść.

Na zewnątrz miasto pogrążone było w ciemnościach. Za oknami czarna noc z neonami i słabym, pomarańczowym światłem ulicznych lamp. Widziała iluminatory wpływających do portu statków.

– Jasne.

Nie spytała nawet o godzinę. Jeśli Will mówi, że czas iść, to znaczy że trzeba. Melissa chwyciła jakieś ubranie i wskoczyła pod prysznic. Umyła się i wyszczotkowała zęby dokładnie w dwie minuty. Zrobiła podstawowy makijaż i ubrała się w ciągu kolejnych trzech i wyszła z łazienki, zbierając swoje długie włosy w kitkę.

– Szybko – podsumował.

Uśmiechnęła się.

– To prawda. Nie jestem specjalnie babska, jeśli chodzi o te rzeczy. Idziesz się myć?

– Już to zrobiłem.

– Spakuję się.

– Wszystko spakowane. Wymeldowałem nas – podniósł małą, białą kopertę, a ona zobaczyła stojącą przy drzwiach niebieską walizkę. – Idź za mną i trzymaj się blisko.

Tym razem zeszli schodami. Melissa zaczynała rozumieć: w dzień, gdy było mnóstwo ludzi, Will wybierał windy. Gdy hotel był pusty, zagrożenie było znacznie większe. Więc teraz schodzili schodami z ósmego piętra.

Na pierwszym piętrze poprowadził ją korytarzem i dopiero wtedy przywołał windę. W ten sposób pojawią się w holu w najmniej podejrzany sposób.

W recepcji był pracownik z nocnej zmiany, a dozorca szorował marmurowe podłogi. Nikt ich nie zauważył, gdy Will wrzucił kopertę w przegródkę dla wcześniej wyjeżdżających gości. Na zewnątrz już czekały taksówki. Melissa mruknęła zdziwiona.

– W tym hotelu zatrzymuje się mnóstwo biznesmenów. Wielu wcześniej wyjeżdża. Jak my.

Wyprowadził ją przez szklane drzwi do pierwszej czekającej taksówki i odezwał się po holendersku do kierowcy. Facet burknął i wrzucił ich walizkę do tyłu.

– Ile znasz języków?

– Osiem – odparł obojętnie. – Gdy musisz, to uczysz się ich bardzo szybko.

Oparła się o zniszczone siedzenie. W samochodzie czuć było stęchliznę i dym papierosowy. Gdy kierowca wgramolił się do środka i ruszył, Melissa uchyliła okno. Zaciśnęła nerwowo ręce na kolanach.

– O co chodzi? Wracamy do domu.

Nie do jej domu, ale nie chciała się z nim o to spierać.

– Chodzi o to, że byłeś bardzo sprytny, Will, podsuwając im bilety i wybierając autokary, za które płaciłeś gotówką. Ale teraz jedziemy na lotnisko. Nasze nazwisko pojawi się w końcu na liście

pasażerów, prawda? Nie da się inaczej; nie wejdzie się do samolotu bez okazania paszportu. A co, jeśli oni... jeśli... no, nie wiem, jeśli włamią się do komputerów? A jak tylko zorientują się, że lecimy, to wystawią swoich ludzi?

Uśmiechnął się.

– Bardzo szybko się uczysz.

– Znaleźli cię na początku. Nawet ciebie. Nie spodziewałeś się ich przed tym hotelem.

– Nie spodziewałem się.

– A to dla mnie oznacza, że oni muszą być w tym naprawdę dobrzy. Kimkolwiek są.

– Tak.

– Mogą na nas czekać – powiedziała, przysuwając się bliżej do niego.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sułtanat Nadrah, tuż przy cieśninie Ormuz, był niewielki, ale bogaty. Ogromne pola naftowe rozciągały się na południowych równinach, a od północy pustynię otaczał soczyście zielony pas górski, poprzecinany rzekami. W latach sześćdziesiątych płynęły do kraju petrodolary, a wraz z nimi inwestycje. Emir został sułtanem, populacja rozrosła się, a z każdej strony zaczęły wyrastać lśniące, białe drapacze chmur. W Nadrah nie było zbyt wiele ziem nadających się do zamieszkania. Płaskie, suche równiny przydawały się do odwiertów; jedynym spichlerzem kraju były rzeki i równiny zalewowe. A w tych kilku niewielkich miasteczkach, które się uchowały, nie sposób było pomieścić takiego napływu ludności. Burzono domy, a na ich miejscu pojawiały się kompleksy mieszkaniowe. Potem również i one musiały ustąpić miejsca strzelistym budynkom. Wśród wysokich pensji i snów handlowców oraz właścicieli firm deweloperskich wzrastała monarchia absolutna wraz z liberalną odmianą islamu. Polityka imigracyjna wkrótce się zaostrzyła. Sułtan zwolnił z podatku tych bogaczy, którzy mogli zatrudnić jego ludzi. Działanie polityków zaczęło upodabniać się do poczynań rodziny Grimaldich z Monako – nikt, kto nie był wart co najmniej milion dolarów i nie miał pieniędzy na koncie w banku, nie otrzymywał pozwolenia na stały pobyt.

Będąc niewielkim miejscem na mapie, Nadrah stał się rajem dla mieszkających tam szczęśliwców. Mówiło się o nim „Manhattan Bliskiego Wschodu”, skrawek ziemi o sporej wartości i miejsce, gdzie każdy chciałby się znaleźć.

Stojący na wzgórzu sułtański pałac górował nad migoczącymi wodami cieśniny. Był to tradycyjnie pobielony budynek z kopułą, otoczony wysokimi murami. Za nim znajdowały się ogrody we włoskim stylu, wille i dodatkowe schronienia, kilka prywatnych meczetów, baraki dla strażników, fontanny, rzeki i strumyki. Ochrona na najwyższym, współczesnym poziomie – od wieżyczek strażniczych począwszy, a skończywszy na działających non stop laserowych alarmach. Patrolujący każde wejście żołnierze w tradycyjnych chustach i luźnych, białych szatach byli świetnie wyszkolonymi najemnikami, w większości z Ukrainy lub Serbii. Władca kraju, Haroun bin Faisal, nie miał zamiaru dać się zabić czy zastrzelić.

Strategią było trzymać się w cieniu. Kraj był bogaty, ludzie byli bogaci, sułtan siedział w swoim domu i rzadko podróżował, a jeśli już, to tylko po okolicy. Na konferencje OPEC wysyłał swoich emisariuszy. Jednak cały czas miał nad wszystkim kontrolę, i to zupełną. Niczym pająk na środku swojej sieci. Gdyby świat w ogóle nie zauważał Nadrah, Haroun nie zasmuciłby się. Dyskrecja i neutralność były dewizą tego kraju i wszystkich jego ministrów.

Jego wysokość sułtan, jak określiłby go człowiek z zachodu, zasiadł zrelaksowany na jednym ze swoich prywatnych tarasów. Ze względów politycznych udawał wiarę w Boga, ale w przeciwieństwie do swojego pobożnego ojca i dwóch sióstr, tak naprawdę zawsze był ateistą. Miał tylko jedną żonę, którą traktował dobrze,

ze wszelkimi należnymi jej pozycji honorami. Miała wszystko, czego tylko mogła pragnąć, a on odwiedzał jej łożę przynajmniej raz w miesiącu. Sułtanka – młoda, piękna, rodowita mieszkanka Nadrah, popularna wśród obywateli, uszczęśliwiła ich wszystkich, wydając na świat dwóch synów i prześliczną księżniczkę. Wszyscy mieszkali w osobnych apartamentach w pałacu, a swojego ojca traktowali jak przyjaznego nieznanego. Idealna sytuacja – w miarę jak chłopcy rośli, Haroun zamierzał się do nich zbliżyć. Jego spadkobiercy staną się w końcu istotni. Zarządzanie królestwem leżało całkowicie w jego gestii, to on będzie musiał zdecydować, który z synów zasiądzie na tronie z kości słoniowej. Ten dystans między nim a rodziną pozwalał mu troszczyć się o własne przyjemności. Czynił to niezmiernie chętnie. Na skraju sułtańskich posiadłości miał willę. Właśnie przebywał na jej balkonie, pełnym chętnych dziewcząt. Niektóre były zawodowymi dziwkami, najwyższa półka z Paryża czy Beverly Hills. Inne to małe, puszczałskie modelecзки kręcące się po Riwierze Francuskiej w poszukiwaniu bogatych mężów. Tam właśnie łowcy talentów znaleźli je dla niego. Bywało, choć z rzadka, że sprowadzał jakąś lokalną kobietę. Niestety było to nieco niebezpieczne, bo ludzie nie zniesliby skandalu. Jednak ciemne oczy, lekkie zmieszanie i oliwkowa skóra tubylców zawsze wydawały mu się szczególnie atrakcyjne. Niczym zakazany owoc.

Nie musiał ich gwałcić ani do niczego zmuszać. Wszystkie rozumiały swoje zadanie. Taka dziewczyna siedziała w królewskiej

willi do momentu, gdy zostawała wezwana i przez cały ten czas trzymała się z dala od innych mężczyzn. Będąc przed obliczem sułtana, robiła wszystko to, co jej kazano. Zdarzało się, że stając w progu jego komnaty, dziewczyna zaczynała się bać, a jemu sprawiało to przyjemność. Było wręcz podniecające. Nigdy dotąd nie skrzywdził żadnej kobiety, choć miał absolutną władzę i uwielbiał, gdy robiły wszystko, by go zadowolić. Takie dziewczyny dawały mu szczególną satysfakcję. Bywało, że potem wyznawały mu miłość, ale on nigdy nie był zainteresowany dziewczynami.

Gdy sułtan znudził się kobietą, odsyłał ją z królewskiego kampusu. Zwykle działo się to po miesiącu. Konkubina, która została najdłużej, przebywała tam aż pięć miesięcy. Kiedy sułtan miał dość, kobiety wzywane były przez zarządcę, który wręczał im pieniądze w kopercie – Haroun nigdy nie zadawał sobie trudu kupowania klejnotów; chciał, by kobiety były w pełni świadome, że są prostytutkami. Były odwożone z powrotem na lotnisko w Fadiz, na którym czekały na nie bilety bez powrotu, w pierwszej klasie, do miejsca, z którego przybyły. Kobiety lokalne same mogły wybrać sobie cel podróży. Ostrzeżenie, by nie pokazywać się więcej w Nadrah, było dyskretne, ale bardzo czytelną.

Niewiele z nich się uskarżało. W kopercie było sporo pieniędzy – więcej, niż większość z nich zarobiłaby przez całe życie, leżąc na wznak czy jakkolwiek inaczej. Haroun nie życzył sobie żadnego ryzyka skandalu. Pragnął natomiast przyjemności. I miał pieniądze, dzięki którym mógł je sobie zapewniać.

Dziewczyna, która właśnie przyszła, była dwudziestodwuletnią blondynką z Ontario. Dość wyjątkowa. Działała na niego uspokajająco. Jej jasna cera zmieniła się pod bliskowschodnim słońcem w mocno złotą. Była chętna i wrażliwa i najwyraźniej lubiła seks z królem. Zatrzymał ją na dłużej niż większość kobiet – już prawie trzy miesiące – i wcale nie spieszył się z odsyłaniem jej na lotnisko.

Gdy Haroun spojrzął na zapierający dech w piersiach widok wieżowców stolicy Jabaz, wzbijających się nad portem ku niebu, jego spokój zaczął słabnąć. Dziewczyna była świetną odskocznią, ale wszystkie jego problemy były rzeczywiste. Istniało prawdopodobieństwo, że cały jego świat legnie w gruzach. Znikną pieniądze, tak samo jak praca i dobrobyt. W bogatych i tłustych latach nikt nie przejmował się jego dyktaturą, ale co będzie, gdy to się zmieni? Może nie doczekać zachodu słońca. Wszyscy najemnicy razem wzięci mogą nie dać rady sile rozwścieczonego ludu. Historia wielokrotnie widziała już takie przypadki. Szach Iranu miał szczęście, że uszedł z życiem.

Dotknie to też innych – jego braci. Cały ten region zostanie całkowicie zdewastowany, a odbije się to echem jeszcze dalej, poza Bliskim Wschodem, aż do Rosji. Cała gospodarka światowa zatrzęsie się w posadach. Nie miał najmniejszego zamiaru spędzić swoich ostatnich dni, drżąc gdzieś w zimnym domku w Londynie. Nie. Jeśli odbiorą im pieniądze, Haroun bin Fasail spodziewał się wojny. Wielkiej wojny. Od zatoki po stepy. Wstrząsnęło nim święte oburzenie. Zaiste, należało to uczynić – zlikwidować Anglika

i jego kontakty. Elmet sam się o to prosił. Miał chęć patrzeć w niebo i czytać w boskich myślach. Chciał bogactwa i władzy, a w zamian za to dostał beznadziejną, cichą śmierć na wodzie. A ci, którym wszystko wygadał, wkrótce do niego dołączyli.

To dobre rozwiązanie: kilka zbędnych istnień zamiast prawdziwej katastrofy – dla Harouna, dla Nadrah, a może i dla całego świata.

Znów byli bezpieczni, dopóki przy tej pospolitej, młodej nauczycielce nie pojawił się ten amerykański bankier. I teraz znów jego świat stał nad przepaścią.

Pstryknął palcami i natychmiast pojawił się służący odziany w złoto-purpurowe, królewskie barwy. Haroun wyszczeekał polecenie, a po kilku sekundach stanęła przed nim wysoka szklanka z lodowatym miętowym napojem z dodatkiem burbona. To jego ulubiony koktajl i bezsprzecznie najlepsza rzecz, jaka udała się Amerykanom. Wziął porządną łyk. Zanim się zrelaksuje, pieprząc tę małą, kanadyjską blondyneczkę, musiał jeszcze odebrać telefon, który zaniepokoił go wyjątkowo. Z Kataru. A potem jeszcze jeden, z Jeddah. Wszystko szło przez zabezpieczone linie. Prezydenci i regenci łączeni byli bezpośrednio, bez włączania w to ministrów. Nie mogli sobie pozwolić na ministrów. Im mniej ludzi wie, tym lepiej. Wcześniej tego dnia rozmawiał z prezydentami Nigerii i Meksyku. Już robiły się przecieki. Katastrofa. Dla Nigeryjczyka był oschły, twierdził, że o niczym nie wie i obrócił wszystko w żart.

To się nie może roznieść. Muszą dopaść tego bankowca i jego kobietę, za wszelką cenę.

– Panie – odezwał się jeden z jego wezyrów, stojący przy stole. Ukłonił się, kładąc dłoń na piersiach. – Gość oczekuje w gabinecie.

– Wyprowadź go tu – powiedział Haroun. – I zabierz wszystkich z gabinetu, nikt nie może tu wchodzić, rozumiałeś?

– Tak, *Sidi* – pokłonił się ponownie i oddalił.

Haroun spojrział wyczekująco na szklane drzwi prowadzące na taras. Faktycznie – był tam ten Rosjanin.

Ciemne oczy Harouna spotkały jego wzrok.

– Wasza Wysokość – odezwał się Rosjanin bez specjalnego szacunku w głosie.

– Siadaj – powiedział Haroun, marszcząc brwi. – Zdajesz sobie sprawę, że nie jest dobrze.

– Tak. Agentce udzielono nagany, ale ona dobrze rozumie swoje zadanie. Zwiększyłem pole działań.

– Ilu *hashashinów*? – zapytał z oryginalną wymową.

– Wyznaczyłem trzech z najlepszych. I Lolę. Znasz jej statystyki. Człowiek, którego nie udało jej się zdjąć, sam pracował jako agent – podał mu zza pleców teczkę dokumentów. – Jest czysty, ale oto, co udało nam się zdobyć. Teraz jest miliardrem. Posiada średni bank w Ameryce. Detaliczny plus fuzje i przeniesienia.

Haroun zaklął.

– Gdzie jest?

Dymitr strasznie nie chciał odpowiadać na to pytanie. W myślach przeklął Lolę.

– Nie jesteśmy pewni. Podejrzewamy, że musiał wrócić do Nowego Jorku.

– Będziesz potrzebował więcej niż trzech ludzi. Będziesz potrzebował trupów na ziemi, dużo trupów – Haroun myślał intensywnie.

– Mogę zaangażować CISEN ¹⁸, tajną policję meksykańską. Centro de Investigacion y Seguridad Nacional oraz Mukhabarat ¹⁹. Są sprawdzeni. Nie będą wiedzieli, dlaczego szukają, ale będą szukać.

¹⁸ Meksykańskie Centrum Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego (przyp. tłum.).

¹⁹ Służby specjalne.

Dymitr wypuścił powietrze z płuc. Więc sułtan nie zamierzał kazać go zabić. Zaczął zastanawiać się nad rozwiązaniem problemu.

– Jeśli możesz udostępnić mi takich ludzi, to postaw przynajmniej po jednym człowieku na każdym lotnisku.

– Załatwione.

– Jeśli będą mieli czystą sytuację, niech strzelają. A jeśli nie, niech dają znać centrali i wtedy wkroczą agenci. Nie ułatwiłoby nam to zadania, gdyby cały świat wierzył, że panna Elmet jest ścigana. A jeszcze bardziej ten jej nadziany przyjaciel.

– Czy jego majątek jest problemem?

– Zdecydowanie, Wasza Wysokość. Jest sławny i ma środki. Ani jedno, ani drugie nam nie sprzyja.

Haroun spojrział na Rosjanina, jakby ten był głupkiem.

– Więc pozbądźcie się środków.

– Pracuję nad tym.

– W Ministerstwie Wywiadu mamy świetny zespół specjalistów od banków.

Dymitr skinął głową.

– Byłoby to niezwykle pomocne. Mój plan to doprowadzić do bankructwa jego firmy lub ewentualnie jego samego.

– Są ludzie, którzy przejmą jego bank?

– Niejeden.
– W takim razie zniszcz tylko jego. Dobieraniem się do banku ryzykujesz rozgłos.

Dymitr przytaknął.

– Naturalnie, jeśli najpierw go zabijecie, to reszta będzie do przedyskutowania.

– Dopadniemy go. Od lat nie jest już w zawodzie, to tylko trochę więcej niż szczęściarz-amator.

– Spraw, żeby tak było – sułtan wrócił do swojego drinka. Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca.

Dymitr wstał.

– Jak szybko mogą pojawić się ludzie na lotniskach?

– Odezwie się do ciebie mój urzędnik – odparł Haroun. – Ludzie wyruszą, zanim ty opuścisz ten pałac.

– Dziękuję.

Dymitr nie pokłonił się, ale skłonił głowę. Ten gość był ostry, nie tak, jak ci, z którymi miał ostatnio do czynienia: korpulentni i zuchwali albo pijani i skorumpowani. Odniósł wrażenie, że sułtan bezbłędnie oszacował niebezpieczeństwo. Odwrócił się na pięcie i pozostawił Nadrahijczyka sam na sam z jego drinkiem.

Carlos Morales to było nazwisko, którego używał przez ostatnie sześć miesięcy. Poruszał się cicho po lotnisku w Rotterdamie. Obserwowanie żalosego, lokalnego miejsca to naturalnie strata czasu. Wszystkie loty międzynarodowe były na Schiphol. Zerknął znów na swój telefon i zamieszczony w nim zdjęcia poszukiwanych. Myszwata dziewczyna i bogaty, amerykański bankowiec, wyglądający jak bożyszcze kobiet. Gość najprawdopodobniej spędził całe lata w zawodzie i był w tym piekielnie dobry. Jego

szef dodał też, że tamten odszedł już ze służby i od lat był obecny na Wall Street. Porządna kasa. Porządne środki.

Włączył się koło strefy wolnocłowej, skanując wzrokiem stanowiska odprawy i sklepy. To durny pomysł, żeby go tu wysłać. Powinni porozstawiać więcej par oczu na Schiphol. Ta obskurna dziura była dla pijanych, angielskich turystów oraz grubych Holendrów i Belgów ładujących się do tanich linii latających do Włoch. Miliarderzy stąd nie latają. A szpiegdy wiedzą, że to miejsce jest zbyt małe i niewystarczająco zatłoczone, by się prześlizgnąć.

Ale i tak się rozglądał.

– Hotele.

Sułtan Haroun kombinował. To ukryte w jego stołecznym mieście biuro było jednym z najlepiej wyposażonych na całym Bliskim Wschodzie. Stał przed rzędem ekranów, komputerów i urządzeń satelitarnych. Osobiście nakazał szejkowi odpowiedzialnemu za system bezpieczeństwa, by odszedł od tradycyjnej broni i drogich siatek szpiegowskich, a zainwestował w technologię. W Nadrah znajdowały się teraz jedne z najlepszych na świecie urządzeń przechwytyjących. Byli na trzecim miejscu zaraz za Amerykanami i Chińczykami, ale wiedziało o tym bardzo niewiele. Haroun uważał, że robotę zawsze można zlecić jakiemuś agentowi, ale najważniejsze było to, by wiedzieć, gdzie go wysłać.

Komendant tego centrum spojrział na sułtana z uznaniem. Choć książę nie był szpiegiem, to miał wrodzony zmysł skupiania się na tym, co w chwilach kryzysu najistotniejsze. Ten mężczyzna, ten angloamerykański bankowiec, ten dekadenski syn Zachodu, który

zadawał się z dziwkami i żył niczym kalif – to on był teraz dla sułtana bardzo ważny. Ważniejszy nawet niż obecnie główni poszukiwani na jego terenie.

Komendant widział to wyraźnie. Nakaz ścigania został wydany tak nielicznym i z takim udawanym spokojem, że można było domyślić się, iż działanie po cichu było tu sprawą najważniejszą. Zazwyczaj polowali jak wataha szakali.

Inne agencje też były w to wciągnięte, a to już naprawdę rzadkość. Co miał ten człowiek? Co zrobił? Komendant nigdy o nim nie słyszał, a znał każdą ważną osobę z ostatnich pięciu lat. William Hyde był absolutnie poza zasięgiem. Co jakiś przypadkowy amerykański biznesmen obchodził nadrahijski Mukhabarat? Jedźcie sobie na Mauritius, a dopadniecie sobie takich dziesięciu.

A jednak sułtan przybył tu osobiście. Zależało mu ogromnie. Komendant zdał sobie sprawę, że to najważniejszy cel, jaki trafił mu się od czasu awansu. Za tym człowiekiem uganiać się będą też inni komendanci, inni szefowie służb. Był zdeterminowany, że to właśnie on musi okryć się chwałą namierzenia tego człowieka.

Z przegranymi sułtan Haroun rozprawiał się bezwzględnie, ale ci, którzy zyskują jego uznanie, wiodą żywot obfitujący we wszystko. Komendant pragnął śmierci Willa Hyde'a, desperacko chciał zaimponować swemu władcy.

Obserwowali lotniska i stacje. Nawet terminale promowe. To było polowanie na wielką skalę. Dziewczyna i jej bogaty ochroniarz nie mieli szans. Teoretycznie. Ale on, Abdul al-Ishmael, nie kierował się teoriami i właśnie dlatego, już w wieku trzydziestu pięciu lat, był komendantem.

– Hotele, panie?

– Każ ludziom przepytuć dyskretnie wszystkie hotele w... – sułtan zastanowił się. Udali się do Belgii. Spojrzał na mapę – każdym obiekcie w promieniu trzech godzin jazdy od Brukseli. Nie poprzestańcie na głównych sieciach. Wyciągnijcie co się da z mniejszych miejsc, pensjonatów, pośredników wypożyczających nieruchomości, nawet z hoteli.

Komendant Abdul przytaknął.

– Tak, panie. Będziemy oczywiście potrzebować wielu godzin i wielu ludzi.

– Załatw to – nie przyjmował wymówek.

Komendant zwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

– Rashid, zbierz dziesięcioosobowy zespół, żeby dostał się do komputerów biur podróży. Wszystkie rezerwacje do większych hoteli, wszystkie pokoje zarezerwowane na mężczyznę i kobietę.

– Tak jest – starszy mężczyzna odwrócił się, by wykonać rozkaz.

Zniżył głowę do grupy maniaków komputerowych – młodych pasjonatów z tęgimi mózgami i zaawansowanymi umiejętnościami komputerowo-programowymi. Był wśród nich nawet jeden przekabacony Amerykanin, który wyhodował długą, rozwichrzoną brodę, a którego umiejętności hakerskie nie miały sobie równych w całej organizacji.

Komendant sam też zasiadł na pustym krześle przed komputerem i zaczął szaleńczo stukać w klawiaturę. Dawanie przykładu podczas bitwy było bardzo ważne, nawet jeśli ta bitwa toczyła się

jedynie w głowie. Sam był programistą, włamał się do bazy danych hotels.com i dokładnie studiował każdą rezerwację w Brukseli.

– Zadzwoń, jak coś znajdziecie – powiedział sułtan, wychodząc.

Nie minęła godzina, gdy przez klimatyzowane pomieszczenie przebiegł Jamal bin Khaled, jeden z najmłodszych pracowników komendanta i stukając go w ramię, powiedział:

– Szefie, mamy ich!

Komendant zamrugał ze zdziwienia.

– Macie ich?

– Tak, jeśli Bóg da. Jeden z naszych w Holandii wypytywał wśród swoich kontaktów. Byli w hotelu w Rotterdamie.

Komendant pokręcił głową.

– Ja już sprawdziłem dane we wszystkich miejscach w tym mieście.

Ale dzieciak nie dał się łatwo zbyć.

– Nie ma ich w komputerach. Ten kontakt to hotelowa pokojówka. Zameldowali się na fałszywe nazwisko i poprosili, by rezerwacja w ogóle nie została wprowadzona do systemu... Kobieta twierdzi, że hotel się na to zgadza, bo gość ma kasę, jest dobrym klientem i daje solidne napiwki.

Komendant skoczył na równe nogi.

– Doskonała, naprawdę doskonała robota, Jamal. Rotterdam. – To był węzeł komunikacyjny, port. – Natychmiast wyślij ludzi do portu, na każdą stację kolejową, do metra, do wypożyczalni samochodów.

- Tak, *Sidi*.
 - Na lotniskach mamy już ludzi?
 - Tak.
 - Wyślij więcej. Wszyscy muszą być uzbrojeni. Jeśli ich zobaczą, mają strzelać, do niej też.
 - Na lotniskach jest uzbrojona policja.
 - Niezbędne ryzyko. Ten, który zginie, zdejmując tego człowieka, zginie jako męczennik – nie był pewien słuszności własnych słów, ale w takiej sytuacji była to dość pomocna fraza, bo w oczach Jamala dostrzegł fanatyczny błysk.
 - Tak, *Sidi*.
 - Skontaktuj się z ludźmi tam, na miejscu. Są na dobrym obszarze. Muszą być gotowi.
- Jamal pobiegł wykonywać polecenia.

Pager Carlosa zabrzączał mu na biodrze, zaskakując go. Podszedł niezwłocznie do stoiska z gazetami i wyciągnął urządzenie. Był to kod dla jego holenderskiego zwierzchnika. Podszedł energicznie do telefonu i wystukał serię numerów, a potem kolejny, jako kod.

– Opuścili Rotterdam czterdzieści minut temu – CISEN nie bawił się w żadne hasła, to dobre do filmów, a gdy trzeba szybko przekazać informacje, to nie ryzykuje się żadnych pomyłek. – Zwiększcie swoje wysiłki. Inni agenci są już w drodze. Strzelajcie tak, by zabić, zrozumiano?

Serce zabiło mu mocniej. Nienawidził Holandii – było tam zimno i paskudnie. Jeśli załatwi tę pieprzoną dwójkę, to może przeniosą go z powrotem do Caracas albo chociaż do Madrytu.

– Tak, zrozumiano.

– Niech wam się nie wydaje, że nie pojawią się na regionalnym lotnisku. Gość jest dobry. Używajcie pomocy wizualnych – on zmienia tożsamość.

– Zrozumiano.

Rozłączył się, odwrócił i szybkim, ale celowo powłóczyłym krokiem przeszedł lotniskowymi korytarzami.

Nie było ich. Carlos doszedł do wniosku, że jeśli ten gość faktycznie był tak piekielnie dobry, to nie stawi się nigdzie do odprawy. Niech inni pilnują bagażowych i kolejek do kontroli paszportowej. On rusza do samolotów.

Tuż za nim, przy pomieszczeniu sanitarnym, były uchylone drzwi. Carlos wślizgnął się do środka. Schiphol i to lotnisko znał doskonale. W obskurnym, zielonym pokoju trzymano stopy uniformów. Wybrał strój bagażowego i ubrał się w ciągu dwudziestu sekund. W kieszeni miał przygotowaną podróbkę plakietki, którą przypiął do ubrania i wyszedł w kierunku taśmociągu z bagażami. Teraz już pójdzie łatwo...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Will poczuł, jak Melissa przysuwa się bliżej niego. Położył uspokajająco jedną rękę na jej ramieniu. Biedna dziewczyna, miała pełne prawo się bać. Cokolwiek zrobiła, nie zasłużyła na to wszystko.

Serce jej waliło, była przerażona. Zdusił w sobie pragnienie przytulenia jej. Nie spodobałoby się to Olivii. Musi tam odchodzić od zmysłów. Wcale nie spieszyło mu się do tej rozmowy, którą z pewnością przeprowadzą po jego powrocie.

„Olivia nie jest typem kobiety, która będzie mu się sprzeciwiała czy prowokowała. Nie to, co Melissa” – pomyślał zaskoczony.

Była wyjątkowo piękna, dziesięć razy atrakcyjniejsza od Missy i dużo bardziej zaangażowana w zadowalanie go. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ona pragnie małżeństwa i nie zrobi niczego, co mogłoby temu zagrozić. Nie przeszkodzi jej to jednak w cichym chowaniu urazy za każdą chwilę, którą spędza ze swoją dawną miłością. Will nie chciał patrzeć, jak na jej ślicznej twarzy malują się ból i smutek.

Pierścionek załatwi sprawę. Niedokończona sprawa do załatwienia w Nowym Jorku. Teraz pewnie będzie musiał być jeszcze okazalszy, niż planował.

Olivia musiała jednak zrozumieć, że zdecydowanie nie mógł pozwolić, by coś stało się Melissie Elmet. Chronienie jej było jego obowiązkiem. On wiedział, co to znaczy obowiązek. I wiedział coś jeszcze. Dzięki temu będzie w końcu mógł pozbyć się duchów przeszłości. Przez całe jego życie Melissa była obecna gdzieś w tle, od momentu, gdy wyszła z jego mieszkania. W wojsku, w MI6, nawet w Wirginii. Przynajmniej raz lub dwa razy w miesiącu jego myśli bieły do niej. Była obecna, gdy był z większością swoich dziewczyn, bez względu na to, jak były piękne i czy w łóżku były ją na głowę. Bo nie była prawdziwa. Była duchem jego pierwszej miłości, a jak wiadomo, ducha nie da się zniszczyć.

Ale gdy znajdowała się teraz przy nim, ratując własne życie, nie była już duchem. Widział prawdziwą kobietę. Żadnej magii – prawdziwy człowiek. Realny. A on czuł głównie litość.

Mógł być teraz zupełnie obiektywny. Twarz jej się nie zmieniła, nie przytyła, ale wszystko to, w czym się tak bardzo i namiętnie zakochał, zniknęło. Oczy były mętne, skóra straciła gładkość, żadnego płomienia. Ubierała się tak, aby być niewidzialną. Uszła z niej cała werwa. Była kobietą rozczerowaną i nie dało się tego nie zauważyć. Gdyby umieścić ją w jednym pomieszczeniu z Olivią Wharton, żaden mężczyzna nie spojrzalby na nią dwukrotnie.

On igrał ze swoim życiem i wygrał w wielkim stylu. Melissa była córeczką tatusia – została w Oksfordzie, poszła utartym szlakiem. Odziedziczyła jego dom, który na pewno był coś wart. Miała posadę wykładowcy i, zanim pojawiły się te kanalie, narzeczonego. Zastanawiał się, czy ten facet spodobały się sir Richardowi.

Pewnie tak. Kolejny nauczyciel akademicki z jakimiś własnymi pieniędzmi i rodziną. Melissa dostała dokładnie to, czego pragnęli dla niej rodzice. Bezpieczne życie. Zwyczajne życie. Will sądził, że zasługiwała na znacznie więcej, ale może patrzył na to przez pryzmat własnych marzeń, własnych dążeń, a ona była po prostu Melissa Elmet – nie lepszą, nie gorszą od milionów innych dziewczyn.

W pierwszej chwili szokiem było ją taką zobaczyć. Poczul, że ledwo ją rozpoznał. To już nie to, co kiedyś.

Nie było w niej żadnej namiętności.

Will natychmiast postanowił, że odstawi ją w bezpieczne miejsce i wróci do własnego życia. Z Olivia. Cień Melissy nie będzie już tak okazały. Przykro było na nią patrzeć. Jego gniew i uraza przemieniły się we współczucie. W porównaniu z Melissą, on wiódł godne życie.

A jednak...

Coś się zmieniło, gdy jego kierowca odsunął się, by wpuścić ją do samochodu, gdy zabójca zaczął strzelać. Naturalnie Will był ostrożny, ale tak naprawdę nie spodziewał się, że zamachowcy ich odnajdą. A jednak odnaleźli i byli mocno zdeterminowani. Melissa go zaskoczyła – biegła jak należy, nie sprzeciwiała się mu, instynktownie oceniała niebezpieczeństwo. Żadnego marudzenia. Wciąż była dzielna. I choć nie chciał się do tego przyznać, od czasu do czasu zdarzały się chwile, ułamki sekund, kiedy wracało stare zauroczenie. Zaskakiwała go. Ktoś usiłował ją zniszczyć, wyrwał ją z jej świata. Will zdawał sobie sprawę, że zjawił się w jej życiu przy wtórze wystrzałów i zapowiedzi, że wszystko teraz się zmieni, że odetnie ją od wszystkiego, co zna. A ona nadal była

silna. Wywarła na nim duże wrażenie, kiedy zapytała, czy może pójść poćwiczyć. Nie miała dobrej kondycji, ale natychmiast postanowiła się za to zabrać.

Melissa nie była już beztroską dziewczyną o słodziutkiej twarzy, ale... nawet dziś mógł wciąż dostrzec ślad jej dawnego wdzięku. Jak wtedy, gdy się z nim sprzeczała, przekomarzała. Na jedną czy dwie krótkie chwile wróciło nawet do niego pożądanie. Gdy widział, jak na niego patrzy.

Na pewno mylnie to odbierał. Nie usychała z tęsknoty za nim przez te wszystkie lata. Rzuciła go, a potem nawet się zaręczyła. Czy pragnęła go teraz? Will wiedział, że dobrze wygląda; miał na to dowody od niezliczonych, dobijających się do niego kobiet. Zdarzało się to tak często z kompletnie obcymi mu kobietami, że wiedział, że nie chodzi wyłącznie o jego pieniądze. Melissa знаła go jednak lepiej niż te dziewczyny. Z tych wszystkich kobiet, z którymi był, żadna nie reagowała tak namiętnie, tak mocno jak ona. Nawet obecnie. Nawet Olivia.

Zatem może coś w niej drzemało, jakieś echo tego, co sam odczuwał. Will postanowił to zignorować. Ona potrzebowała bezpieczeństwa i przestrzeni. Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że sprawy życia i śmierci podsycają ogień w goniących i gonionych. Jakikolwiek chwilowe fale pożądania, które teraz mu towarzyszyły, nie przetrwają lądowania w Nowym Jorku i spotkania z jego narzeczoną. A jeśli Melissa go pragnęła... cóż. Nie szukała go, gdy pojawił się ponownie w Wirginii, czy choćby Nowym Jorku. Nawet wtedy, kiedy było o nim głośno w większości gazet, a ona nie mogła nie zauważyć wiadomości o banku. Nigdy się z nim nie skontaktowała, więc na ile mogło to być teraz realne?

Nawet chwila słabości była w stanie uspić jego czujność. Musiał uważać. To kwestia silnej dyscypliny i samokontroli do momentu, gdy dotrze do domu.

Wyprostował się automatycznie, odsuwając się od niej. Melissa natychmiast zareagowała – wycofała się dumnie, nie szukając już u niego ukojenia. Zdusił w sobie wrażenie braku czułości. Między nimi nic się nie wydarzy.

– Chciałaś wiedzieć, czy mogą czekać na nas przy odprawie. Bardzo możliwe. Najlepsi agenci z łatwością mogą włamać się do systemu rezerwacji lotów.

Melissa pobladła.

– Ale jak to ominąć? Przecież, żeby przedostać się do Stanów, trzeba mieć paszport. Musimy zarezerwować lot, prawda?

– Trzeba mieć paszport, to prawda. Nie lecimy jednak zwykłym lotem. Nie będzie nas na żadnej liście pasażerów ani w żadnej sali odlotów.

Milczała przez chwilę.

– Powiesz mi, co się dzieje, Will?

– Nadal mam swoje kontakty.

Zbliżali się do drogi na lotnisko. Will wyjął z kieszeni jakąś karteczkę i podał kierowcy, mówiąc coś po holendersku.

– *Einde hier, tevreden.*

– *Hier? Bent u zeker? De luchthaven is die manier* – burknął kierowca.

Will kiwnął głową i uśmiechnął się. Mężczyzna zatrzymał się, a Will skinął na Melissę, by wysiadła. Facet otworzył bagażnik i wydobyl ich żalosaną, małą walizkę.

To było mniej więcej wszystko, co teraz posiadała.

Spojrzała na Willa, ale poczekała, aż kierowca odjedzie. Stali na trawiastym poboczu drogi, a po ich lewej stronie rozciągało się

druciane ogrodzenie. Will zobaczył dużą połąć zielonej trawy i kilka samolotów stojących już na pasach kołowania. Jego cel był po drugiej stronie.

– Chodź za mną. Idź najszybciej, jak potrafisz, ale nie biegnij. Nie chcemy przyciągać uwagi.

Melissa przytaknęła, ale w oczach tliło się rozdrażnienie. Will nie mógł powstrzymać uśmiechu – jak na zbiega bez grosza przy duszy, była całkiem charakterna.

– Dokąd idziemy?

– Po prostu idź za mną.

– Hej! Jeśli oni tu są i zastrzelą cię, a mnie się uda uciec, to chcę wiedzieć, dokąd mam biec.

Zaśmiał się głośno.

– No, w sumie masz rację. W porządku, idziemy do tego dużego samolotu, tam daleko.

Przymrużyła oczy – ludzie w mundurach pakowali coś do środka: wielkie pudła i skrzynie.

– Samolot transportowy?

– Tak. Wojskowy samolot transportowy. Amerykańskie Siły Powietrzne.

Wzięła głęboki oddech. Widział, że była pod wrażeniem. Walczyła sama ze sobą i w końcu odwróciła wzrok.

– Jak udało ci się zdobyć wejście na wojskowy samolot, Will?

– Dowódca jest moim kolegą jeszcze z czasów służby. Dzwoniłem do niego wczoraj wieczorem, kiedy się kąpałaś. Zabiera nas do domu bez zbędnych pytań.

– Świetnie. Chodźmy – Melissa odwróciła się i ruszyła.

Will szedł obok, niosąc małą, niebieską walizkę. Cokolwiek czuła ta dziewczyna, nie ulegnie mu. Podobało mu się to.

Carlos dyskretnie przeszedł od lotów KLM do Heathrow. Nagle odezwał się jeden z bagażowych, coś wykrzykując. Carlos obejrzał się, zaklął po holendersku na swojego kierownika i wzruszył ramionami. Tamten odwrócił się i zajął robotą.

Za niewielkimi maszynami stało kilka czarterowych odrzutowców. Carlos przyjrzał im się dokładnie. Nic. Pewnie nic tam nie znajdzie. Agent raczej nie leciałby odrzutowcem; nie latały wystarczająco wysoko i zbyt łatwo było je zestrzelić. Nieważne. Skończyły mu się pomysły. Szukał dalej.

Melissa szła po pasie z oczami wlepionymi w transportowy samolot. Żołnierze, dzięki Bogu. Młodzi, uzbrojeni, szkoleni do walki mężczyźni i ten cały drogi sprzęt armii amerykańskiej. To był naprawdę przebłysk geniuszu ze strony Willa, że załatwił im ten lot. Musiał mieć nieprawdopodobne wejścia, żeby umieścić dwoje cywili w wojskowym samolocie. Taka życzliwość nie zdarza się za nic. Zastanawiała się, co on dokładnie robił w MI6, w jakich misjach brał udział, ramię w ramię z Amerykanami. Idąc, próbowała mówić sama do siebie: „No, dobra, to imponujące, ale nie mogę pozwolić, żeby zrobiło to na mnie wrażenie. Nie mogę pozwolić, żeby on zrobił na mnie wrażenie”. Tam byli ludzie usiłujący ją zabić i tylko to się liczyło.

Will kazał jej iść przed siebie.

Denerwowała się. Szła wciąż naprzód, ale zerknęła w lewo ku wejściu na lotnisko, gdzie parkowały odrzutowce, a autobusy dowoziły do nich turystów i biznesmenów. Pasażerowie poruszali się niczym mrówki, a między nimi kłębili się pracownicy obsługi.

I wtedy go zobaczyła.

– Will.

– Nie zatrzymuj się.

– Will, proszę cię. Tam jest jakiś facet. Idzie tutaj. Proszę!

Wiedziała, że tak było. Mężczyzna miał na sobie lotniskowy kombinezon, ale zatrzymał się i patrzył na nich z drugiej strony pasa kołowania, a jej bardzo się to nie podobało. Will był tuż za nią, prawie czuła jego gorący oddech na ramieniu.

– W porządku – jego głos brzmiał poważnie. – Melissa, biegnij do samolotu, kochanie. Biegnij i nie oglądaj się za siebie.

Spróbowała go posłuchać, ale nieodparta pokusa zwyciężyła i na ułamek sekundy zerknęła w prawo. Mężczyzna biegł w ich kierunku w nieprawdopodobnym tempie, w jednej dłoni miał broń, a w drugiej telefon, przez który rozmawiał.

Z broni wyleciała kula. Świsnęła o włos od niej.

– Biegnij! – wrzasnął Will. – Biegnij!

Krzyczała, ale biegła – niepewnie, potykając się – w stronę transportowego samolotu. Słyszała dźwięki: *puf-puf*. Kolejne kule. On strzelał. On strzelał. Odwróciła głowę, potem całe ciało: „Will! Boże!”.

– Will!

Był tam. Skulony wpół, klęczał na jednym kolanie. Melissa była przerażona. Krzyczała.

– Will!

Zawróciła i pobiegła w jego stronę. Jęknął i krzyknął, by biegła do samolotu. Zignorowała to. Nic nie istniało, nic poza strachem i nim, i kulami.

– Will! Nie!

Melissa wpadła w popłoch. Trafili go, Boże, trafili! Dotknęła go – ramię krwawiło. Bezmyślnie szarpnęła nim, by wstał.

– Na miłość boską, kobieto! Biegnij do tego pieprzonego samolotu!

– Chodź, Will. Proszę, chodź...

Ale on biegł, już biegł. Był ranny, a biegł szybciej niż ona cała i zdrowa. Trzymał ją jedną ręką niczym imadłem i właściwie za sobą ciągnął. Mężczyzna za nimi krzyczał i strzelał, a ona zauważyła, że za nim byli kolejni. Pojawiali się znikąd. W tle wyła syrena, słychać było pisk wozów policyjnych...

Wycie syren było coraz głośniejsze. Obok niej świstały kule; byli coraz bliżej, strzały coraz celniejsze, a z naprzeciwka nadbiegali inni. Pod Melissą ugięły się kolana, ale ręka Willa przytrzymała ją, nie pozwalając jej się przewrócić, ciągnąc ją dalej. Gdzieś podświadomie zarejestrowała, że to bolało. Miał stalowy uchwyt, mimo że przez koszulę przesiąkała krew i lała się po ręce. Straszliwie się bała, że on może stracić zbyt dużo krwi i zemdlec...

Znowu strzały, a naprzeciwko pędzili ku nim jacyś ludzie – żołnierze, biegli z samolotu, wyciągając broń. Tuż obok niej przysadzisty mężczyzna padł na jedno kolano, nie zważając na nią, i ustawił broń. A potem kolejny.

– Rzuć broń – ktoś krzyknął – rzuć tę cholerną broń!

Następny wystrzelił, tuż obok niej. Straszny huk. Zorientowała się, że zabójca musiał używać tłumika. Rozbolały ją uszy. Upadłaby, gdyby Will jej nie podtrzymał, nieczuły na ból, nieczuły na wszystko. Nagle pojawiły się inne ramiona, umundurowane, rozdzieliły ich i Will zniknął otoczony przez mundurowych. Krzyknęła, ale

unosilo ją już mnóstwo rąk. Tłum mężczyzn niosł ją do samolotu. Gigantyczna maszyna toczyła się powoli, sunąc po pasie startowym.

– Amerykańskie oddziały specjalne – odezwał się krępy, wąsaty mężczyzna. – Już w porządku, jest pani bezpieczna. Zabierzemy panią do samolotu.

Za jego plecami usłyszała jeszcze dwa wystrzały. Melissa poczula nagłą, nieludzką radość. Strzelali. Ten człowiek próbował zabić Willa, a teraz strzelają do niego żołnierze.

Nie byli bezradnym celem. Podjęła natychmiastowe postanowienie, że jeśli przeżyje, nauczy się strzelać. Posiadanie broni było w Ameryce legalne. Ale – legalne czy nie – ona musiała ją mieć. To się działo naprawdę. Ona, Melissa, potrzebowała szkolenia z użycia broni palnej.

„Boże – pomyślała – Co ja tu robię! Co się ze mną dzieje?”

– Dziękuję – powiedziała słabo.

I tak jej nie słuchali. Wpakowali ją na tył samolotu, jakby była workiem ziemniaków. Po jednej stronie siedzieli jacyś ludzie i chwyciło ją jeszcze więcej rąk, które przeniosły ją na jej siedzenie i przypięły ciasno pasami. Melissa odwróciła głowę, by spojrzeć na Willa. Był w rogu samolotu, przywiązany do noszy. Pochylał się nad nim jakiś żołnierz i bezlitośnie mocno zawiązywał opaskę uciskową na jego ramieniu.

Ludzie krzyczeli. Żołnierze, którzy, jak sądziła, strzelali, wbiegli za nimi do samolotu. Właz podnosił się. Mężczyźni wtoczyli się na podłogę samolotu, krzycząc *coś* o AK-47. Samolot ruszył do przodu, rozpędzał się.

Melissa siedziała przy małym, owalnym okienku. Z walącym

w piersiach sercem wyjrzała na zewnątrz. Na płycie lotniska twarzami w dół leżały dwa ciała, wszędzie wyły syreny, ale w stronę samolotu biegła jeszcze większa – przynajmniej pięcioosobowa – grupa strzelających mężczyzn. Jeden z nich miał karabin maszynowy. Samolot wciąż był w ruchu, rozpędzał się. Oparła się o ścianę, kręciło jej się w głowie, zamknęła oczy. Zrobiło jej się niedobrze. O Boże. O Boże. A co, jeśli któryś miał wyrzutnię rakietową? Wszyscy zginą; zabije Willa i tych wszystkich dzielnych ludzi. Samolot się rozpadnie albo spłoną żywcem. Poruszali się już zbyt szybko dla tych na lądzie; obejrzała się i spostrzegła, jak zwalniają...

Samolot unióś się w powietrze. Zdawało się, że całe ciało Melissy, jej oddech, były w zawieszeniu. Spojrzała na siedzących wokół żołnierzy. Sprawdzali swoje kolana albo patrzyli przed siebie. Byli zupełnie spokojni. Jeden żuł gumę. Jak oni to robią? Jak mogą zachować taki spokój?

Samolot leciał wyżej i wyżej. Melissa czekała na wstrząs, ale nic takiego się nie wydarzyło. Samolot wciąż się wznosił. Wydawało się, że leci pod ostrzejszym kątem niż loty komercyjne. Pilot nie marnował czasu. Żołądek aż jej podskoczył.

Spojrzała na Willa. Odwrócił leżącą na noszach głowę i patrzył na nią. Melissa nie mogła odczytać niczego z jego twarzy.

– Nie powinnaś była wracać – powiedział. – Do cholery, mówiłem, że masz biec.

Wszystko było z nim w porządku. Będzie dobrze.

Jęknęła. Byli już wysoko na niebie, nad chmurami i daleko od lotniska. Bezpieczni. Poczują nagle mdłości. Przełknęła ślinę, nie chcąc wymiotować. Krew dudniła jej w głowie. Zrobiło jej się

słabo, przed oczami pojawiły się plamki, głowa opadła. Zemdlała.

Melissa ledwie zarejestrowała lądowanie. Była półprzytomna, na w pół śpiąca. Usłyszała głos Willa i znów straciła przytomność. Uniosły ją jakieś dłonie i zabrały gdzieś jej bezwładne ciało. Próbowowała poruszyć kończynami, ale odmówiły posłuszeństwa. Znowu zapadła w sen. Po chwili usadowiono ją na tylnym siedzeniu samochodu i okryto miękkim, kaszmirowym kocem. Will komuś dziękował. Był tam, z nią. Oparła o niego głowę, a on podtrzymał ją ramieniem. Zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, samochód wjeżdżał na wielki zwodzony most. Melissa poruszyła się niespokojnie, starając się skupić. Pod nimi była woda, bardzo szeroka rzeka. Na przeciwległym brzegu dostrzegła drapacze chmur.

Rozejrzała się. Siedziała w limuzynie, długim aucie z perłowo-szarymi wykończeniami. Opierała się o szybę.

Na kolanach miała granatowy koc. Will Hyde siedział po przeciwległej stronie auta i rozmawiał przez komórkę.

– Zaczekaj. Oddzwonię później – odłożył telefon. – Witaj z powrotem. Jak się czujesz?

– Gdzie jesteśmy?

– Wjeżdżamy na Manhattan.

Zamrugła oczami.

– Na tak długo odleciałam?

– Zemdlałaś, a potem podali ci środek uspokajający.

– Co?

– Jest zupełnie niegroźny. Poza tym to był tajny samolot, a ci ludzie to elitarna jednostka. Nie miałaś prawa znać planu lotu ani

widzieć wielu rzeczy na pokładzie tej maszyny. Pomyślałem, że środek uspokajający będzie lepszy niż zawiązywanie oczu. Wyłądowaliśmy również w bazie wojskowej.

Już chciała się sprzeczać, ale w organizmie wciąż krążyły leki. Może nie było sensu.

– Co z twoją ręką?

– Chłopcy mnie naszprycowali i poobwiązywali. Jak wyłądowaliśmy, założyli mi szwy. Jest dobrze.

– Tam było tyle krwi...

– Niewielka rana. Najważniejsze, że wciąż mogę poruszać palcami, o, widzisz? – zacisnął pięść, a potem zmarszczył brwi – Melisso, ty po mnie wróciłaś.

– Leżałeś na ziemi. On mógł cię zabić.

– Moje ryzyko. Jestem żołnierzem.

– Jesteś bankowcem, Will – zakpiła.

Zignorował tę uwagę.

– Kimkolwiek bym nie był w tym całym bagnie, musisz być gotowa, by mnie słuchać. Chcę, żebyś żyła.

– Nie miałam zamiaru stać tam i patrzeć, jak umierasz.

Twarz nieco mu pojaśniła.

– I co mogłabyś zrobić, żeby do tego nie dopuścić? Miałaś broń? Kask albo kamizelkę kuloodporną schowane w torebce?

Poczerwieniała.

– Wypchaj się Williamie.

– To było słodkie z twojej strony.

Nie odezwała się, lepiej żeby teraz nie zdradzała swoich uczuć. Zmieniła temat.

– A co z tą całą sceną na lotnisku? Co będzie?

– Tym będziemy się martwić, gdy przyjdzie czas, dobrze?
– Dobrze. Gdzie teraz mnie wieszysz?
– Do tego bezpiecznego mieszkania, o którym rozmawialiśmy. Melisso, chcę, żebyś przez jakiś dzień czy dwa robiła dokładnie to, co powiem, dobrze? Żadnych telefonów – do ciebie ani od ciebie. Zostawię ci zabezpieczoną komórkę z kodem do mnie. Nie używaj jej do niczego więcej.

– Dobrze – wyglądało na to, że rozmowa o praktycznych aspektach całej sprawy przyniosła mu ulgę. Niezmiernie ją to złościło.

– Wyślę różne rzeczy do twojego mieszkania: ubrania i takie tam. Jedzenie już tam jest. Wszystko będę ci dostarczał osobiście. Nie zamawiaj niczego do pokoju i na miłość boską, pod żadnym pozorem nie wychodź z mieszkania.

Przytaknęła.

– Posłuchaj, to może wydawać się jak więzienie, ale nie potrwa długo. Kilka dni, podczas gdy ja przyjrzę się całej sprawie. Kto za tym stoi, dlaczego i jak cię ochronić.

Zauważył jej przerażenie i pochylił się, sięgając do schowka umieszczonego w siedzeniu przed nimi. Znajdował się tam minibarek oświetlony maleńkimi lampkami. A w nim kryształowa karafka z whisky, dzin, tonik i butelki wody mineralnej.

– Chcesz drinka?

– Jestem tylko spragniona.

Nalał jej wody z lodem i dołożył plasterek cytryny.

Melissa sączyła napój powoli – był przepyszny. Od kierowcy oddzielał ich dźwiękoszczelny ekran.

– Dzięki – mruknęła.
– Apartament jest na ostatnim piętrze, będziesz miała mnóstwo światła. Są tam książki, wielki telewizor, nie ma komputera, wybacz, ale mogą namierzać ludzi przez komputery.

– W porządku – zastanowiła się przez chwilę. – Mają tam sprzęt do ćwiczeń?

Will uniósł brew.

– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie. Nie wiem, jak długo przyjdzie mi uciekać.

– W piwnicach jest w pełni wyposażona sala i basen, ale nie wolno ci opuszczać mieszkania.

Wziął telefon, wybrał numer.

– Leon, tu Will. Tak. Dobrze, dzięki. Słuchaj, mógłbyś kazać wstawić do Apartamentu B zestaw ciężarków i bieżnię? I jakieś DVD z ćwiczeniami. Pilates. Olivia prosiła. Tak, od razu. Dzięki. I wyproś wszystkich z holu. Będę za dwadzieścia minut i chcę mieć spokój. Ochronę też. Dam ci znać, kiedy będą mogli wrócić.

Rozłączył się.

– To powinno wystarczyć. Na wyćwiczenie gibkości polecam pilates.

– Nigdy o tym nie słyszałam – odparła Melissa.

– Działa, wykorzystując siłę twojego ciała, więc możesz ćwiczyć nawet wtedy, gdy nie masz sprzętu pod ręką.

Melissa przełknęła.

– Będę próbować czegokolwiek.

Milczał przez chwilę.

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiała wечно uciekać.

Wzruszyła ramionami.

– Od teraz, cokolwiek by się nie działo, będę zawsze gotowa do ucieczki.

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę i Melissa musiała zmusić się do odwrócenia wzroku. To była męczarnia, tak straszna męczarnia. Pragnęła go. Z pewnością to tylko żądza – taka naturalna reakcja na niebezpieczeństwo zagrożenia życia. „Musisz się dostać do tego mieszkania, z dala od niego. Niech wraca do swojej narzeczonej i swoich ogromnych pieniędzy”. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją życie świadka koronnego. Nigdy więcej nie zobaczy Willa, który ożeni się z tą dziewczyną i będzie bardzo szczęśliwy. Melissa musiała wybić go sobie z głowy, i to szybko.

– Wiem – powiedział.

– Strzelnicy nie da się tam zamontować, prawda? – zażartowała.

– Nie bez robienia porządnego zamieszania – uśmiechnął się. – Ale jak cię już stamtąd wydostaniemy, to sam cię nauczę.

Zarumieniła się, wyobrażając sobie, jak Will stoi za nią, jego pierś przyciśnięta do jej pleców, silne ramiona wokół jej smukłych ramion, ręka ustawiająca jej dłoń na spust. Ogromnie podniecająca wizja.

– Nie, dziękuję – powiedziała stanowczo. – Wolałabym załatwić to sama z instruktorem.

– Jestem bardzo dobrym strzelcem.

– Niepozbawionym pewnością siebie, co? – odgryzła się – Nie będziesz przy mnie non stop, tak? Muszę się nauczyć radzić sobie sama. Nie możesz mnie od siebie uzależniać.

– Nieźle – powiedział, a ona z wściekłością zauważyła, jak próbuje powstrzymać uśmiech.

Przygryzła wargi ze złości i odwróciła się od Willa Hyde'a do okna.

Zaprowadził ją do nierzucającego się w oczy wieżowca na Upper West Side. Lśniący granitem budynek stał wśród podobnych jemu wysokich drapaczy chmur. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Przed nimi szedł ubrany w garnitur Koreańczyk. Melissa trzymała głowę opuszczoną, w ten sposób zakrywała twarz swoimi mysibrazowymi włosami. Will prowadził ją do windy, idąc blisko niej.

– Głowa na dół. Kamera monitoringu.

Przez dziewięćdziesiąt sekund gapiała się w wypolerowaną podłogę, podczas gdy winda wywoziła ich na szczyt budynku.

„Musi być wysoko” – pomyślała Melissa, czując, jak zatykają się jej uszy.

Drzwi otworzyły się, a ona poczuła radość, że może wysiąść. Stali na małym półpiętrze. Zdała sobie sprawę, że rozgląda się w poszukiwaniu schodów – były przy windach.

Na tym poziomie znajdowały się tylko dwie pary drzwi.

– Te drzwi wychodzą na dach, są dla pracowników konserwacji. Będziesz słyszała, jak kręcą się tu ludzie. Zignoruj to. Ten budynek jest najbezpieczniejszy ze wszystkich. Na każdym piętrze rozstawiłem ochroniarzy, najlepszych. Niektórzy to byli agenci izraelskiego Mossadu. Trzech pracowało w SAS²⁰.

²⁰ Brytyjska jednostka antyterrorystyczna (przyp. tłum.).

– To musi strasznie kosztować.

– Prawda – wziął mały kluczyk i otworzył drugie drzwi. – Twój tymczasowy dom.

Melissa weszła i rozejrzała się, a Will zamknął za nimi drzwi. Wydała okrzyk zachwyty, nie mogąc się powstrzymać.

A to był dopiero początek – apartament rozciągał się na całym ostatnim piętrze budynku. Stała w korytarzu wiodącym do salonu. Salonu większego niż cały parter domu jej ojca, wyposażonego w piękne, niskie, skórzane, minimalistyczne meble, szklane stoliczki, zmyślnie zaprojektowane półki na książki. Na jednej ze ścian wisiał gigantyczny ekran telewizora. Melissa niepewnie weszła dalej. Przez otwarte drzwi zobaczyła wnętrze głównej sypialni: wielkie, królewskie łóżko, antyczne kredensy i szafy, a na tyłach łazienka z ogromną wanną i oddzielnym prysznicem.

– Po drugiej stronie, za kuchnią, jest jeszcze jedna sypialnia – powiedział Will. – Pokażę ci.

– Jasne – odpowiedziała zmieszana, nie wiedząc, gdzie najpierw patrzeć.

Miała świadomość, że Will jest bardzo bogaty, ale konfrontacja z tym faktem była wyjątkowo wstrząsająca. A to przecież nawet nie był jego dom. To tylko jeden z jego wielu apartamentów. Jeden z całej kolekcji.

Kuchnia była ogromna i przytłaczająca, wyposażona w błyszczące, stalowe sprzęty, lśniącą czarnym marmurem podłogę i gładkie, nowoczesne, orzechowe szafki.

„To jeden z takich projektów, które ogląda się w czasopiśmie – pomyślała – gdzie wszystkie uchwyty są tak pochowane, że człowiek nie ma pojęcia, gdzie trzyma kubki”.

Wypytywała o wszystko. Chichocząc, Will pokazywał po kolei każdą rzecz. Stalowy panel okazał się być lodówką, orzechowa ściana otwierała się, ukazując chłodnię wina i półkę z owocami, była tam również ukryta spizarka i wszystko, czego tylko dusza zapagnie.

– Tarka do gałki muszkatolowej? – prowokowała go.

Zaskoczony, zaśmiał się.

– Tarka do gałki, a tak. Tutaj. A tutaj – otworzył szufladę, ukazując ponad półmetrową półkę z przyprawami – jest świeża gałka muszkatolowa.

Melissa zaśmiała się wraz z nim. Potrząsnęła głową.

Poczuła tak wielką ulgę, że żyje i może pośmiać się z powodu gałki muszkatolowej.

– Will – poczuła nagle, że musi coś w końcu powiedzieć, że by skończyło się to omijanie tematu szerokim łukiem – świetnie sobie poradziłeś, zdobyłeś tyle pieniędzy. Gratuluję. Naprawdę się cieszę. Zaslugujesz na to, by być szczęśliwym. Jestem pewna, że Olivia jest fantastyczną kobietą i będziesz z nią szczęśliwy. I cokolwiek by się nie wydarzyło...

– Melisso...

– Nie, proszę cię. Pozwól mi to powiedzieć. Strasznie ci dziękuję, że po mnie przyjechałeś i ocaliłeś mi życie. Przykro mi, że zostałeś ranny.

– To nic wielkiego – podszedł do niej, a ona nie mogła rozszyfrować wyrazu jego twarzy. – Nigdy nie pozwoliłbym, żeby ktoś cię skrzywdził, Melisso. To zupełnie oczywiste. Ja...

Odezwał się jego telefon. Spojrzał.

– To Olivia.

Wszystko przysło jak bańka, a z nią cały czar.

– Muszę iść – wyciągnął telefon z kieszeni i położył go nieco niezręcznie na marmurowym blacie. – Jestem pod numerem jeden. Telefon tak ustawiono, że tylko ja mogę się do ciebie dodzwonić, możesz więc odbierać bez obaw. W szafie są ubrania, buty, tam sprzęt do ćwiczeń – wskazał. – Okna są dość duże, ale możesz spokojnie do nich podchodzić: szyby są przyciemniane jak w limuzynach. Nie odbieraj żadnych innych telefonów. Uciekam, muszę wykonać kilka telefonów. Spróbuję się zorientować, co się do cholery dzieje. Dasz sobie radę?

– Oczywiście – powiedziała, wymuszając uśmiech.

Za nim, w korytarzu, stała jej mała, niebieska walizeczka z Holandii i wyglądała żałośnie.

– Nie spiesz się. Nie spodziewam się, że szybko się odzwiesz.

Podszedł bliżej, położył dłoń na jej ramieniu.

– Odezwę się – omiół wzrokiem jej twarz, jakby chciał coś powiedzieć, coś zrobić. Ale powstrzymał się i odwrócił.

Wyszedł z mieszkania, ciężko zamykając za sobą drzwi. Została zupełnie sama.

Przez chwilę po prostu tam stała. Nie pojawiła się ani jedna łąza. Była całkiem sama, tak jak chciała. Po chwili podeszła do drzwi po walizkę. Zaniosła ją do głównej sypialni i zaczęła rozpakowywać. Gdy skończyła, wykąpała się i położyła. Trzeba było przespać działanie tych środków uspokajających.

Kiedy już się wyspała, Melissa postanowiła wejść na tę piekielną bieżnię. Przepych tego apartamentu nie zamydlił jej oczu: była w bezpiecznym miejscu, ale nie przestała uciekać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W sypialni Olivii Wharton odezwał się telefon. Wystraszyła się tak bardzo, że upuściła na lśniącej, kuchennej podłodze szklanke z ciętego szkła, wypełnioną sokiem z zielonych warzyw.

Pstryknęła palcami na przechodzącą służącą.

– Szybko, sprzątnij to.

– *Si, Señora.*

Telefon w sypialni. To Will, tak właśnie do niej dzwonił. Tylko on miał ten numer. O Boże! Jest, jest w domu!

Serce waliło jej jak małolacie. Jack Sansone nie znalazł kompletnie nic, żadnych wskazówek, żadnego sposobu kontaktu. Zaczęła się obawiać, że Will zginął. Teraz jednak dzwonił.

Olivia puściła się biegiem, nie zważając na swoje chwiejne buty na wysokim obcasie od Christiana Louboutin. Gdy chciała, potrafiła się pospieszyć. Rzuciła się swoim małym, chudym ciałem przez satynowe nakrycie ich perłowobiałego łóżka i chwyciła telefon.

– Halo? – prawie krzyknęła.

– Livy – odezwał się. – To ja, Will.

– Gdzie ty byłeś? Wszystko w porządku?

– W Europie. Wszystko dobrze.

– Odchodziłam od zmysłów, Will. I Jack też. Oni tam wariują w Prospect...

– Jack i Prospect mogą sobie poczekać, do cholery.

Olivia delikatnie zmieniła taktykę. Pozorowana troska o sytuację jego banku nie zadziała.

– Gdzie ty jesteś? Tęsknię, Will. Ja tu szaleję ze zdenerwowania..

– Teraz jestem na Manhattanie. Dzwonię z budki telefonicznej. Już jadę, będę za jakieś dziesięć minut. Powiem ci wszystko, co mogę – westchnął. – To długa historia, Livy.

– Mam mnóstwo czasu – powiedziała słodko. – Pospiesz się, kochanie.

Rozłączyła się i położywszy słuchawkę na widelki, stała w sypialni kompletnie niezdecydowana. To się nie nadaje – ten poważny kostiumik od Chanel, który miała na sobie podczas lunchu z Emily Drasner. Była w nim towarzyską lwicą, a nie seksownym kociakiem. Pomocy! Miała tylko dziesięć minut.

Olivia trzasnęła drzwiami sypialni i pobiegła do garderoby. Rzuciła się na wieszaki. „Uspokój się – tłumaczyła sobie. – Masz świetny gust”. Aż podskoczyła instynktownie. Śliczna, skromna, letnia sukienka od Armaniego, na ramiączkach, z podniesionym stanem. Żółta bawełna z wyhaftowanymi motylami – wbrew pozorom była seksowna, bo bardzo krótka i obcisła na piersiach. Skromny kawałeczek śliskiej, jasnokremowej dzianiny, podkreślający jej opaleniznę. Szarpnęła za włosy, wyjmując wszystkie diamentowe spinki, które tak pieczołowicie wpinał jej osobisty fryzjer Gianfranco. Pozwoliła swoim kruczoczarnym lokom opaść luźno na ramiona, tak jak Will lubił. Zapach – uwielbiał ją w

Hermes Stockings... Tak. Wyjęła z pudełeczka parę pończoch i naciągnęła je na swoje zgrabne łydki. Dopasowała do nich blado-żółty pasek i skromne, białe, bawełniane figi – niemal dziewicze, dopóki nie dotarło się do pojedynczej tasiemki z tyłu. W przeblysku geniuszu nie sięgnęła po wysokie obcasy, lecz wsunęła stopy w parę drobnych, białych butów na płaskim obcasie.

Obróciła się, patrząc na swoje odbicie w sięgającym od podłogi do sufitu lustrze. Perfekcyjnie. Wyglądała jak seksowna dziewczyna z sąsiedztwa – tak gorąca, że nie daje się dotknąć. Will Hyde nigdy nie lubił tych epatujących seksem kobiet. Widziała już, jak wiele z nich nieudolnie zabiegało o jego względy, prowokując go zbyt wyzywającym wyglądem. Kiedy chciała być seksowna dla Willa, to zawsze było to częściowo zamaskowane.

Schyliła się szybko i pozbierała kostium od Chanel i koszulkę, które wrzuciła do kosza na brudne ubrania. W szafie z butami ukrywała tubkę nawilżającego żelu intymnego; wykorzystwała odrobinę. Will był dużym facetem i czasem ją bolało. Na początku ich spotkań nie musiała korzystać z pomocy żelu. Był zbyt namiętny, zbyt pociągający. A ona była uległa i sprawiało jej to przyjemność, ale z czasem – gdy zorientowała się, kim był – wiedziała już, że musi za niego wyjść. Paradoksalnie właśnie wtedy zaczęły się te problemy. Wszystko, co robiła, miało doprowadzić do oświadczyn. Sypianie z nim stało się prawdziwym przedstawieniem. Musiała się starać, by go zadowolić, niesamowicie się starać. To ją denerwowało.

Teraz nie było go kilka dni, a zawsze był mężczyzną pełnym pożądania. Po części bała się tego, ale przynajmniej tym razem nie

będzie bolało i, co ważniejsze, Will nie zorientuje się, że była spięta.

„OK. – pomyślała Olivia – jestem gotowa. *Nie musisz się tak denerwować. Oświadczył się. Masz go*”.

Nie powie ani słowa o wizycie Jacka Sansone'a. Do diabła z nim.

Przypomniała sobie wizytę Jacka w domu. Mnóstwo słów uznania dla jej stroju i gustu, uśmiechające się do niej, zachwycone oczy. Była taka wdzięczna, a on był pełen pochlebstw. Uśmiechał się szeroko, otwarcie z nią flirtował. Gdy wyszedł z pustymi rękoma po zajrzeniu do komputera Willa i przejrzeniu jego biurka, Olivia pożałowała swego zachowania. Stała i patrzyła, jak wychodził...

Z poczuciem winy puściła wodze fantazji. Naturalnie nie chciała romansu z Jackiem Sansone'em. Mógł co prawda okazać się wrażliwszy od Willa, pewnie nie zostawiłby jej bez słowa na kilka dni, ale co z tego. Pracował dla Willa. Miał dziesięć procent, a Will dziewięćdziesiąt.

Nie była typem dziewczyny, która zadowoli się jakimś samcem beta...

– Hej.

Olivia pisnęła i o mało nie wyskoczyła ze skóry. Zerwała się i odwróciła w stronę drzwi. Will stał tam w koszuli i spodniach, na prawym ramieniu miał jakiś bandaż, wyglądał na zmęczonego, bardzo zmęczonego.

– O Boże – pisnęła. – Wystraszyłeś mnie!

– Przepraszam, kochanie.

Kochanie. Dobrze było słyszeć to czułe słowo. Wciąż jej pragnął, wciąż kochał. Ten mały wypad do Europy nie był jakąś tchórzliwą ucieczką przed zobowiązaniem.

Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, unosząc starannie wyszminkowane usta do pocałunku. Rozchyliła wargi, wysuwając język...

– Och – skrzywił się i odsunął. – Skarbie... nie teraz.

– Nie teraz? – zająknęła się i opadła na stopy.

– Ręka mnie boli. Postrzelono mnie, ale wszystko jest w porządku – objął ją lewą ręką. – Chcę tylko odetchnąć dzień czy dwa.

– Ojej – skrzywiła się, by ukryć ulgę, a potem dotarło do niej, co powiedział. Rozszerzyły się jej oczy. – Zaraz. *Postrzelono cię?*

– Nie martw się tym.

– Ale ja się właśnie martwię. Mogę obejrzeć?

Cofnął rękę.

– Zaufaj mi, jestem lekarzem – zażartowała i z ulgą zarejestrowała jego śmiech.

– Lekarz już się tym zajmował. To długa historia, Livy. Późno już. Opowiem ci przy kolacji.

– Dobrze. Randka, cudownie!

Czuł się dobrze, więc ona znów była tą wesołą, energiczną dziewczyną, którą tak lubił.

– Dokąd pójdziemy? – odezwała się pieszczotliwie. – Twenty One? Jean Georges? Może Le Bernadin? Dawno już tam nie byłam. Podobno mają teraz boski suflet brzoskwiniowy.

Will spochmurniał.

– Chcesz wyjść?

– Nie, jeśli ty nie chcesz – poprawiła się natychmiast.

– To było kilka długich dni. Może spędzimy po prostu spokojny wieczór. Chcę być teraz tylko z tobą, Livy.

Rozpłynęła się, całując go w policzek.

– Ależ oczywiście, skarbie. Oczywiście. Każę kucharzowi przygotować nam coś prostego. Może... – zapomniała, jakie są jego ulubione dania – może stek, frytki i sałatka? I butelka Margaux? Co ty na to?

– W porządku – usiadł na łóżku. – A nawet lepiej, bo będzie szybko. Powiedz im, że chcę krwisty.

– Oczywiście. Podadzą za dwadzieścia minut.

– Świetnie – potarł oczy. – Wyglądasz fantastycznie, Liv. Wezmę prysznic i przebiorę się. Większość dnia spędziłem w samolocie. Opowiem ci wszystko przy kolacji, dobrze?

Pękała z ciekawości, ale odrzuciła głowę do tyłu i uśmiechnęła się ujmująco. Nie dyskutuj, nie marudź – to była jej główna zasada.

– Doskonale, kochanie.

Światło świec migotało w ich prywatnej jadalni. Will kazał zbudować im ją na tarasie wychodzącym na otoczony murem ogród. Jedna ze ścian była szklana, a pozostałe pokrywały dębowe panele; pomieszczenie było idealne dla czterech osób, a wchodziło się do niego z sypialni. Oficjalna jadalnia, znajdująca się na dole, była wielka i wykorzystywano ją głównie podczas przyjęć charytatywnych. To do prywatnej jadalni Will przychodził, gdy był w nastroju na randkę, a nie wieczór poza domem.

Świece z pszczelego wosku, ciężkie, srebrne świeczniki, irlandzkie serwetki i wykwinna porcelana – wszystko komponowało się idealnie. Olivia kazała szefowi kuchni podać kolację na stoliczku na kółkach wraz z podgrzewanymi talerzykami, po czym odprawiła obsługę. Sama nalewała wody i wina oraz ostrożnie pomogła Willowi przy jedzeniu, pochylając się przy tym, by na pewno zwrócił uwagę na jej biust.

– Już lepiej wyglądasz – zauważyła, krojąc mu wołowy stek.

Był przepyszny. Kucharz Willa używał wołowiny z Kobe, którą marynował w piwie i nigdy nie smażył choćby o sekundę za długo. Will jadł mięso z apetytem, podobnie jak chrupiące frytki – idealnie gorące i obsuszone. Ona oczywiście nigdy nie tknęłaby takich węglowodanów. Dobry wygląd wymagał wiele pracy.

Will zerknął na wlewające się do jego kieliszka wino. Olivia nalewała je bardzo ostrożnie. Zawsze podziwiał jej kobiecą grację. Wyglądała równie cudownie; przeciwieństwo zmęczonej, zwykłej Melissy. Miała wymodelowane, miękkie; cudnie kruczoczarne włosy z czekoladowo-karmelowymi przebłyskami. Strój dobrany idealnie – dziewczęcy, ale elegancki. Dobrze widział, jak pięknie, ale niewyzywająco wyglądał w nim jej biust. Olivia Wharton nigdy nie była wyzywająca. Ładnie opilowane paznokcie, a na nich delikatny, francuski manicure, brwi ukształtowane w elegancki łuk, idealna para niedrogich butów, odpowiednia ilość różu, tuszu na rzęsach, a na ustach i powiekach jedynie muśnięcie delikatnego koloru.

Była uosobieniem trudnej w uprawie odmiany amerykańskiej róży: świeża, cudna, wypielęgnowana w każdym calu. Gdyby wszedł teraz któryś z jego partnerów biznesowych, Will byłby dumny, że Olivia jest jego dziewczyną. Mimo to przyjrzał się jej – tak pięknej i zadbanej. Czy ona kochała jego? Czy może jego pieniądze?

„Pewnie i jedno, i drugie” – pomyślał bez cienia urazy.

Olivia Wharton była pięknością, pochodzącą z dobrej rodziny. Sama miała jakieś kilka milionów. Oczekiwano od niej, że zwiąże się z jakimś bogatym facetem. Była jedną z najatrakcyjniejszych

wolnych dziewczyn, a w czasie, gdy on postanowił zwrócić na siebie jej uwagę, uganiało się za nią kilku niezłych kawalerów. A jednak wybrała jego. Poza tym Will wolał myśleć o sobie, że nie jest naiwny. Kobieta nie potrafi oddzielić mężczyzny od jego pieniędzy, chyba że by je odziedzyczył. A on sam na nie zapracował. To stanowiło o jego wartości w tej dzisiejszej hormonalnej dżungli; był łowcą zdolnym powalić najpotężniejszego mamuta. Nie miał za złe kobiecie, że pociągał ją jego sukces. W pewnym sensie Olivia była do niego podobna: parla po najwyższą wygraną, jaką widziała na horyzoncie.

Miała poczucie humoru, była miła i kobieca.

Dlaczego więc czuł się tak dziwnie?

„Musisz wziąć się w garść – powiedział sobie w myślach. – Przestań pograżać się w nostalgii. Przyznaj, że miło było chronić Melisę”.

Wracał w myślach do tych dni i nocy spędzonych na ucieczce, gdzie trzeba było martwić się o następny posiłek, a nie następny interes.

A tu Olivia – młodsza, szczuplejsza, bardziej zadbana niż Melissa Elmet. Ślepo posłuszna; nie grymasi, nie dyskutuje. Rozumie jego nowy świat w sposób kompletnie obcy Melissie. Jest ochocza w łóżku – nawet jeśli już nie tak, jak kiedyś – i będzie idealną panią domu...

Czas przestać się obijać i kupić ten pierścionek.

– Powiedz mi, dlaczego mój mężczyzna ma ranę postrzałową – droczyła się Olivia.

Ruchem ręki poprosił, by usiadła. Posłuchała, biorąc łyżeczek wina. Piła, by dotrzymać mu towarzystwa, ale obsesyjnie dbała o swoją figurę. Nigdy nie widział jej pijanej, czy choćby wstawionej.

– Oto, co się działo – wzięł głęboki oddech. – Zrób to dla mnie i wysłuchaj mnie do końca, zanim zadasz pytania, dobrze? Sądzę, że kiedy poznasz całą historię, lepiej wszystko zrozumiesz.

Przytaknęła i uśmiechnęła się.

– W porządku, kochanie.

Najspokojniej jak potrafił, Will powiedział jej wszystko to, co mogła wiedzieć. Same suche, ale prawdziwe fakty. Wspomnił o wczesnym małżeństwie i o tym, jak Melissa je unieważniła, a także o swoim wstąpieniu do armii oraz do służb specjalnych. O tym, że widział sir Richarda przed jego śmiercią i że to pozwoliło mu dostrzec związek między tymi wszystkimi zabójstwami.

– Sądziłem, że jest w niebezpieczeństwie. Nie mogłem pozwolić, by zginęła, przez wzgląd na to, kim byliśmy dla siebie – zobaczył delikatny grymas na twarzy Olivii, najwyraźniej ledwo mogła powstrzymać pytania.

– Słucham cię.

– Czyli wciąż ją kochałeś... odrobinę?

– Nie – cieszył się, że może brzmieć stanowczo. – Nawet odrobinę. Zatrzaszczyłem się o nią, a to co innego. To zupełnie co innego. Była zaręczona z tym facetem, którego zastrzelili.

Olivia skrzywiła się. Najwyraźniej nie sądziła, że jakiś martwy, ubogi profesor może być specjalnie konkurencyjny dla przystojnego, żywego miliardera.

– Czy ona jest ładna, Will?

Znowu mógł powiedzieć prawdę.

– Nie w porównaniu z tobą, skarbie. To nawet nie ta sama liga – poczuł ukłucie nielojalności wobec Melissy, ale co tam. To

ona go zraniła. I nie było jej przy tym, jak ją oceniał.

– Co pomyślałeś... no wiesz, kiedy zobaczyłeś ją znowu po tylu latach?

Olivia powinna była zostać prawniczką. Większość facetów ugięłoby się pod tym krzyżowym ogniem pytań.

Uderzała od razu w najczulsze miejsca.

– Pomyślałem... jakaż ona mizerna – wytrzymał wzrok narzeczonej. – Jeśli chcesz znać prawdę, to zrobiło mi się jej po prostu żal.

– No cóż – opowiedziała Olivia zaskakująco ostrym tonem. – Powinna była zostać przy tobie. Zmarnowała okazję.

– Strzelali do nas przed hotelem – kontynuował.

Olivia uniosła swą delikatną dłoń i zakryła usta.

– Gonili nas po Londynie, wywoziłem ją bezpiecznie, zabrałem pociągiem do Belgii, a potem autokarem do Rotterdamu. Następnego dnia znaleźli nas na lotnisku i wtedy mnie trafili. Ale to tylko powierzchowna rana, niczym się nie martw. A potem czarterowym samolotem przylecieliśmy tutaj – skłamał. – Teraz jest bezpieczna, a ja muszę się dowiedzieć, kto chce ją skrzywdzić. Może uda mi się ich powstrzymać. A jeśli nie, ulokuję ją w jakimś bezpiecznym miejscu na stałe. Zajmie mi to jakiś miesiąc, ale nie pozwolę, by coś jej groziło.

To ostatnie zdanie wypowiedział odpowiednio stanowczo. Olivia musiała zrozumieć, że w tej kwestii nie było żadnej dyskusji.

– I to jest wszystko, co mogę ci powiedzieć, kochanie. Nikt poza mną nie może wiedzieć, gdzie ona jest, ani jaka jest jej sytuacja. Ci, którzy ją ścigają, traktują to bardzo serio. Lepiej będzie

dla ciebie, jeśli nie będziesz o niczym wiedziała, więc ta rozmowa jest naszą ostatnią na ten temat.

Olivia mocno przygryzła wargi.

– Powiem ci, gdy ulokuję ją już w jakimś bezpiecznym miejscu – dodał – żebyś wiedziała, że już po wszystkim.

Olivia machnęła swoimi wypielęgnowanymi dłońmi w geście rzekomego zlekceważenia jego ostatnich słów.

– Czyli spędziliście noc w Rotterdamie? W oddzielnych pokojach?

– Spaliśmy na tym samym łóżku, dla bezpieczeństwa. Nie martw się, nie dotknąłem jej ani razu. Nie chciałem – czy to aby na pewno była prawda? Zignorował to pytanie. – To było wielkie łóżko.

Olivia spojrzała na stół, a Will zauważył ze smutkiem, że w jej oczach pojawiły się łzy.

– Skarbie, proszę cię. To przyjaciółka, której groziło śmiertelne niebezpieczeństwo – wyciągnął do niej rękę przez stół, a ona potulnie podała mu dłoń. – I to nie *dla niej* jadę jutro do Tiffany'ego po pierścionek zaręczynowy.

Olivia uniosła głowę, oczy już błyszczały radośnie.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Przecież obiecałem, prawda? – chciał, żeby była szczęśliwa. – Nie jest to specjalnie romantyczne, ale jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną i wybrać.

Radośnie klasnęła w dłonie, niczym dziecko.

– Kochanie! Dziękuję!

„Kobiety są dziwne” – pomyślał czule. Tak mała rzecz, a je uszczęśliwia. Jakaś biżuteria, nowa sukienka. On sam kupował szyte na miarę ubrania i markowe zegarki, ale żadna z tych rzeczy

nie cieszyła go jakoś szczególnie. Były praktyczne. Ale jeśli ten pierścionek miał sprawić, że Olivia będzie szczęśliwa, to w porządku.

Miała go. Melissa przysparzała jej tylko nerwów i zmartwień. Stresowała się przez nią, przez dziewczynę, która wyszła za niego, rzuciła go, złamała mu serce, zniszczyła go całkowicie na ponad dziesięć lat. Melissa, która nie była tak ładna, tak zadbana, w ogóle nie była taka, jak Olivia. Może poza inteligencją i odwagą...

Nieważne. Spojrzał na starannie oświetlony maleńkimi reflektorami ogród. Melissa zasługiwała na jego ochronę i nic więcej. Zraniła go okrutnie. Olivia Wharton robiła wszystko, by go zadowolić, i jej największą ambicją było zostać jego żoną.

– Po kolacji zadzwoń do *New York Timesa* – po dziś dzień nie nazywał tej gazety po prostu *Times* – i daj ogłoszenie.

Olivia pisnęła z radości. Odsunęła krzesło, podskoczyła i podbiegła do niego. Pokryła jego twarz pocałunkami, uważając jednocześnie na zranioną rękę.

– Och, Will, dziękuję. Jesteś cudowny. Kocham cię – kolejny pocałunek. – Wyzdrowiej szybko – mruknęła. – Chcę mieć cię w łóżku. Och, skarbie, uszczęśliwię cię jak nigdy dotąd. Przysięgam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Melissa opuściła ośmioletnie hantle, jej twarz była czerwona od wysiłku. Ciało miała spocone, włosy potargane. Powoli przeszła do wykroków w bok i kopnięć; uspokajała się, doprowadzając temperaturę ciała do normalności. Nie należy kończyć ćwiczeń zbyt gwałtownie. Nauczyła się tego z płyt DVD znalezionych w bibliotece w mieszkaniu.

Minęły dwa dni, a jej ciało już było inne. Nie miała zbyt wielu zajęć, więc narzuciła sobie rygorystyczny program ćwiczeń. Codziennie godzina na bieżni, rano i wieczorem; późnym rankiem ciężarki, po południu siłowe ćwiczenia pilates. Jeśli stosowała odpowiednie przerwy, mogła ćwiczyć właściwie bez ograniczeń. Czas spędzany na bieganiu był relaksem; jej bieżnię ustawiono przodem do okna i Melissa mogła patrzeć na stalowo-szklane jaskinie Manhattanu oraz maleńkie samochodziki uwijające się na drogach. Gdy tylko zmęczone nogi i całe ciało odnajdywały właściwy rytm, a serce pompowało pełną tlenu krew, wszystkie obawy i smutki malały i przez chwilę nie liczyło się nic innego, tylko niebo, miasto i ona.

Tętno zwolniło, wróciło do normy. Melissa pochyliła się i rozpoczęła długą serię ćwiczeń rozciągających. Nie było sensu niczego przyspieszać. Zamierzała odzyskać kondycję w jak najkrótszym

czasie, ale nie mogła dopuścić do kontuzji.

Czuła przyjemne rozciąganie się mięśni łydek i ud. Była już spokojna, oddychała normalnie. Miłe uczucie, jakiego doświadczała po ćwiczeniach, zaczęło rozprzestrzeniać się po ciele – żadne gigantyczne uniesienie, po prostu świadomość porządnie zrobionej roboty i dobre samopoczucie. Tego się trzymała, dzięki temu wciąż była jeszcze przy zdrowych zmysłach i mogła odgonić ten smutek, który zawisł w powietrzu z chwilą, gdy Will wyszedł z tego mieszkania. Zdobycie dobrej kondycji było teraz jej misją, czymś, czego mogła dokonać, będąc tu uwięzioną. Zapewniało to jej poczucie kontroli, czego właśnie potrzebowała w tych pogmatwanych, przerażających dniach.

Wróciła do salonu i, włączwszy pilotem ogromny telewizor, położyła się na kanapie. Telenowełe, lokalne wiadomości, skecze. Melissa przełączała kanały. Mecz baseballu – tkwiąc w tej swojej pułapce, Melissa zaczynała powoli rozumieć zasady tej gry. Z początku był to dla niej jedynie uspokajający dźwięk w tle, potem zaczęła się w niego z uwagą wsłuchiwać. Jednak teraz nie była w odpowiednim nastroju. Potrzebowała czegoś lekkiego.

Przyda się trochę nierzeczywistości, kiedy człowiek jest zamknięty w więzieniu na ostatnim piętrze budynku, po którym przechadza się ochrona składająca się z uzbrojonych byłych żołnierzy Mossadu. Zwłaszcza, kiedy człowiek boi się o własne życie. Melissa przełączyła na E! Entertainment²¹ i zamarła.

²¹ Kanał telewizyjny emitujący programy informacyjne oraz rozrywkowe (film, muzyka, show-biznes) (przyp. tłum.).

Na ekranie zobaczyła Willa. Brał udział w jakiejś gali i właśnie stał na czerwonym dywanie. Ubrany był w smoking. Jej oczy zarejestrowały dyskretny opatrunek pod rękawem koszuli. W wiadomościach nie było żadnej wzmianki o Willu i o niej, ani słowa o wydarzeniach na lotnisku w Rotterdamie. Jakoś udało mu się to wszystko zataić.

Był wytworny i przystojny. Pomyślała o tych ukrytych pod wyprasowaną, białą koszulą i smokingiem silnych mięśniach. Wołała go w koszulce, pokrytego kurzem, widoczna była wtedy klatka piersiowa i bicepsy. Już na sam jego widok w jej sercu odezwało się pragnienie. Wzięła gwałtowny oddech.

Ale potem było jeszcze gorzej. U jego boku stała kobieta. Nieprzeciętnie piękna kobieta. Melissa gapiła się na nią zauroczona. W porównaniu z nią, tamta wyglądała jak laleczka: drobna, szczupła, jakiś metr sześćdziesiąt wzrostu, błyszczące, kruczoczarne włosy zebrane lśniącą, diamentową klamrą. Elegancka, długa do podłogi suknia, pokryta szczerozłotymi cekinami, przylegała do jej opalonej skóry i prawie całkowicie zakrywała stopy. W dłoniach trzymała połyskującą złotem torebkę z niewielkim łańcuszkiem i uśmiechała się szeroko swoimi starannie pomalowanymi, szkarłatnymi ustami. Spokojnie mogła równać się z najlepszymi supermodelkami. Melissa odgarnęła wilgotne włosy z rozgrzanej twarzy. Nie sposób wyobrazić sobie tej dziewczyny z kompletem hantli w dłoniach. Jeśli cokolwiek ćwiczyła, to musiał to być balet lub pływanie w basenie. Z pewnością nie pocila się i nie stękała jak Melissa, a i pewnie w porze lunchu nie przygotowywała sobie porcji makaronu.

– Jest z nami dwójka wspaniałych dobroczyńców naszej Gali Czerwonej Wstążki dla AIDS – odezwała się jasnowłosa prezenterka o wyglądzie słodkiej idiotki. – Miliarder Will Hyde, od dawna znany jako jedna z najlepszych nowojorskich partii do wzięcia, oraz zawsze cudownie wyglądająca bywalczyni salonów Olivia Wharton. Podobno ogłosiliście dziś pewną fantastyczną nowinę, prawda?

Podsunęła im mikrofon, a Melissie zdawało się, że dojrzała jakiś grymas na twarzy Willa, jakiś cień zniesmaczenia, choć może tylko tak się jej wydawało. Natomiast Olivia nie miała nawet najmniejszych skrępowań – zbliżyła się z szerokim uśmiechem do mikrofonu i przeniosła wzrok z reporterki na kamerę, jakby patrzyła z ekranu wprost na Melissę.

– Tak – powiedziała lekko zachrypniętym, wysokim, ale łagodnym i dziewczęcym głosem. – Dziękuję, Elsie, rzeczywiście mamy cudowną wiadomość. Will oświadczył mi się i ogłosiliśmy zaręczyny – zamilkła, jakby chciała podkreślić wagę tych słów. – Zamierzamy się pobrać i jesteśmy przeszczęśliwi.

– Ojej! To cudownie! – zapiszczała prezenterka. – A pierścionek? Możemy zobaczyć pierścionek?

Olivia zaśmiała się i zarumieniła, Melissa jednak dostrzegła, że narzeczona Willa zdążyła już wcześniej wyciągnąć rękę. Na jej trzecim palcu błyszczał wielki, pojedynczy brylant – masywny i prostokątny. Nawet w tym sztucznym świetle reflektorów Melissa zauważyła jego delikatne zabarwienie.

– O mój Boże! – wykrzyknęła reporterka. – Cóż to takiego? Prawdziwy?

– To diament kanarkowy – odparła skromnie Olivia. – Naturalnie od Tiffany'ego! Will kazał wczoraj wygrawerować nawet moje imię. Zrobili to wyjątkowo szybko. Tylko dla mnie.

– Ilu karatowy?

– Nie jestem pewna... pewnie... jakieś dwanaście.

Melissa parsknęła. Mogłaby się założyć, że dziewczyna znała wagę tego kamienia do trzech miejsc po przecinku, jak i wszelkie inne szczegóły na jego temat.

– Niesamowity!

– Jest cudny – zgodziła się Olivia. – I to bez ani jednej skazy w środku – ścisnęła ramię Willa. – On jest dla mnie taaaaaki dobry!

Will uśmiechnął się.

– Możemy już iść, kochanie?

– Oczywiście – Olivia pomachała reporterce. – Wybaczenie! Kocham was!

– My ciebie też, Olivio! Gratulacje! Gratulacje dla was obojga! A oto kolejna zachwycająca, wielka para.. Donald i Melania Trump...

Will i Olivia szli teraz po czerwonym dywanie, oddalając się od zasięgu mikrofonu. Suknia Olivii miała głębokie wycięcie na plecach i wiązana była na szyi; dłoń Willa spoczywała na jej talii. Rozmawiali ze sobą, a jego palce delikatnie muskały jej skórę.

Melissie zrobiło się niedobrze. Wyłączyła telewizor.

Nie polaty się łyzy, bo i po co. Wstała i udała się do łazienki. Will zaopatrzył ją w ogromną ilość kosmetyków poustawianych w lustrzanych łazienkowych szafkach. Były tam nawet farby do włosów we wszystkich możliwych kolorach. Wspominali coś, że być

może będzie musiała zmienić swój wygląd. Melissa sięgnęła po kasztanową farbę. Zamierzała przefarbować włosy. Coś, czego nie robiła nigdy przedtem. Zrobi cokolwiek, co tylko zbije ich z tropu. Nie będzie już mysich loczków – teraz będzie ruda. A skoro już się za to zabrała, to również je obetnie. Chwyliła nożyczki, zanim zdążyła zmienić zdanie, i ucięła dobre kilka centymetrów.

Musiała być przygotowana najlepiej, jak to możliwe, bo Melissa miała jedno wielkie postanowienie. Wydostanie się stąd i uwolnić od Willa Hyde'a. Może ją umieścić w programie świadków koronnych, czy gdzie sobie chce, ale kontakty z nim i codzienne rozmowy okazały się zbyt bolesne. Właśnie zdała sobie z tego sprawę i mogła spokojnie o tym pomyśleć. Naprawdę musiała to zrobić. Przyznała to otwarcie sama przed sobą, biorąc do ręki plastikową buteleczkę i wyciskając na głowę silnie pachnącą farbę. Mogła teraz opłakiwać utratę Willa i spróbować się z tym pogodzić.

Will wrócił, a ona po raz kolejny bezradnie i rozpaczliwie się w nim zakochała. Ale nie będzie żadnego zlitowania, wybaczenia jej błędu młodości. Być może pewnego dnia daruje jej winy, ale miłości już nie ma. Czas, odległość, doświadczenia, pieniądze – dzieliło ich wszystko. Jeśli wiedział, że go kocha, to będzie sądził, że to ze względu na jego pieniądze. Dzisiejszy Will Hyde nie był już dla niej.

To sprawiło jej pewną ulgę. Melissa wmasowała farbę, nałożyła plastikowy czepek i, założywszy frotowy szlafrok, usiadła w oczekiwaniu. Myśl o tym, że mógł wziąć ją za naciągaczkę, była nie do zniesienia. Już lepiej być wrogo nastawioną. Poczucie dumy nakazało jej przetrzeć ręką załzawione oczy. Zmieni kolor

włosów, będzie ciężko ćwiczyć i trochę odczeka. Zastanowi się, co zrobić po wyjeździe z Nowego Jorku, gdzie się ukryje. Z dala od ludzi, którzy chcieli ją zabić, i z dala od Willa.

Will był w swoim domowym gabinecie. Zniecierpliwiony spojrział na swój pager. Jack Sansone znowu się do niego dobijał. Ten gość naprawdę potrafił być wkurzający. Najwyraźniej potrzebowali go teraz w sali posiedzeń. Bo Sansone i inni z zarządu, którym płacił rocznie milion dolarów, nie potrafili nawet nalać wody do wanny, a co dopiero kierować bankiem.

Spojrzał znów na ekran i z powrotem na swoje notatki. Były to bazgroły czytelne jedynie dla niego – zaszyfrowany stary kod stenograficzny. Nie było szans rozgryźć go inaczej, niż stosując staroświeckie tortury, na poddawanie się którym Will nie miał najmniejszej ochoty.

Melissa. Jej ojciec. David Fell. Senator Ellen Jospin. Biedna, skromna bibliotekarka Moira Dunwoody. Co ich łączyło? Dlaczego zginęli?

Kto za tym stał?

Drugim pytaniem zajął się w pierwszej kolejności. Było łatwiejsze. Will miał fotograficzną pamięć, coś niezwykle przydatnego zarówno w bankowości, jak i w szpiegostwie. Wszystko sobie przypomniał, wielokrotnie odtworzył w głowie wydarzenia kilku ostatnich dni. Strzelaninę w Londynie. Pościg. Zakapturzoną postać w tłumie. Człowieka w Rotterdamie, którego wkrótce wspomogli inni.

Wszystko, co się wydarzyło, niosło jakąś informację.

Zacznijmy od początku. Problem tkwi w ojcu Melissy. Will był przekonany, że ona sama nie zrobiła w życiu niczego, by na to

zasłużyć. Nie miała żadnego związku z Jospin czy Dunwoody. Nie, to Richard Elmet był łączącym ogniwem. Kilka telefonów i dowiedział się, *co* ojciec jej pozostawił – bardzo niewiele: dom z mnóstwem długów. A gdy już wszystko zostało załatwione, zostały jej jakieś nędzne grosze. Jego znajomy prawnik zadzwonił z szacunkową kwotą czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu tysięcy funtów brytyjskich. A może to było względnie dużo. Will miał obecnie do czynienia z tak wielkimi sumami pieniędzy, że stracił rachubę, co przeciętny zjadacz chleba może uważać za bogactwo. Tak czy inaczej, kwestie dziedziczenia nie miały tu absolutnie nic do rzeczy.

Pięćdziesiąt kawalków nie było warte zachodu. A gdyby chodziło o coś fizycznego jak mikrofiszka, czy jakieś skradzione plany reaktora nuklearnego, czyli typowe przedmioty, dla których szpiegdy na całym świecie deptali sobie nawzajem po piętach, to niepotrzebni byliby zabójcy. Cykliczne włamania, czystki w biurach pod osłoną nocy – oto, co by się działo. Może jakieś porwanie, żeby wymusić na rodzinie wyjawienie lokalizacji. Na samą myśl przeszły go ciarki. Szkolono go, jak znosić tortury i jak w końcu przekonująco podawać fałszywe informacje. Zmuszony był kilkakrotnie sam sprawdzić działanie tych metod. Missy nie przechodziła takich szkoleń. Myśl o tym, że ktoś może ją skrzywdzić, była nie do zniesienia.

Żadnych przedmiotów, żadnych pieniędzy. Żadnego podarunku w postaci ziemi, która mogłaby popsuć jakieś plany budowlane, być źródłem ropy czy diamentów. Pozostawały informacje, jakieś druzgocące informacje. Zabija się, żeby zapobiec wyciekowi informacji. To pasowało.

Will myślał intensywnie. Jego mózg przetwarzał dane niczym komputer, analizując je.

Po pierwsze: informacja. Coś, co ona wiedziała, bądź oni sądzili, że wiedziała. Wiedza, do której dostęp miały również Moira Dunwoody i Ellen Jospin.

Ten fragment układanki odłożył na później – potrzeba więcej faktów.

Po drugie: kto. Byli bogaci. Bez wątpienia. Łatwo jest wynająć jakiegoś świra z bronią; rozwścieczeni mężowie i żony robili to codziennie. Zatrudnienie profesjonalisty, który wytropi ukrywającą się pod fałszywym nazwiskiem Melissę w hotelu Victrix, strzelanina – to wymagało kasy.

I nie chodziło mu wcale o polowanie na niego samego. Pomyśłodawcy mieli wystarczające środki, by wysłać agentów do Ameryki i Europy. Ellen Jospin grała tu ważną rolę. Zasiadała w senacie amerykańskim. Niezwykle trudno jest zdjąć senatora. Większość profesjonalnych zabójców nie przyjęłaby takiego zlecenia. Wszystkie siły CIA i amerykańskich służb specjalnych natychmiast deptałyby im po piętach. Kto chciałby narobić sobie takiego bagna? Zabójstwo Jospin dostarczyło mu pewnych niepodważalnych faktów. Ta organizacja, kimkolwiek byli jej członkowie, miała dużo pieniędzy i charakteryzowała się absolutną bezwzględnością. Zabójca Ellen Jospin nie był jakimś pospolitym strzelcem. To gruba ryba, ktoś ze światową reputacją, ktoś, kto ściga i dopada członków rządu, nawet amerykańskiego.

To nie wróżyło dobrze Melissie Elmet, nauczycielce z Oksfordu.

Jednocześnie zawężyło obszar poszukiwań.

W sprawie zabójstwa Jospin do dziś nie było żadnego postępu. Zabójca był kompletnie czysty. Czyli światowa liga. Nie było ich zbyt wielu.

Miał jeszcze więcej faktów. Ktoś czekał na nich w Rotterdamie. O swoich planach nie mówił nikomu, poza dobrym przyjacielem Chuckiem Robertsonem z jednostki Rangers, z którym służył w Jordanii. Niemożliwe, żeby przeciek wyszedł od niego. Musiał być ktoś inny. Hotel zawsze był jakąś opcją. Znali go z widzenia.

„Myśl, Will, myśl. Cofnij się jeszcze do tamtych wydarzeń” – rozkazał sam sobie.

Zatem przeciek z hotelu. A to znaczy, że mają wystarczające środki, by wypytać we wszystkich okolicznych hotelach. Mogli go zauważyć na Eurostar, wtedy po raz ostatni użył swojego paszportu. A tego rodzaju przeszukiwanie danych było domeną... rządowych służb specjalnych.

Will poczuł falę adrenaliny. Serce przyspieszyło, a na skórze pojawił się pot. Melissę ścigał jakiś organ państwowy. To była zdecydowanie niedobra wiadomość. Z nimi raczej nie da się pertraktować. Zdejmowanie ich agentów też nie miało większego sensu – zawsze mieli więcej ludzi i więcej pieniędzy.

Pojawiali się wciąż nowi. Zabijasz jednego, przysyłają więcej. Mieli ich mnóstwo, a ich cel posiadał tylko jedno życie.

Uspokoił się. Nie pozwoli jej umrzeć. Informacje. Potrzebował więcej informacji. Jeszcze raz odtworzył w głowie sceny pościgu, każdą chwilę...

Poczynając od tej pierwszej kuli.

Biegająca ulicami postać. W kapturze. Gibka. Will zamknął oczy i skupił się, aż mógł usłyszeć odgłos stóp dudniący głucho na londyńskich ulicach.

Podświadomość podała informację.

To kobieta.

Omiał nie wyskoczyć ze skóry. Boże. Tak. Kobieta. Jej drobna budowa i lekkie, zbyt lekkie kroki na kamiennych płytach. Krok biegnącego mężczyzny brzmiałby inaczej. Zdenerwowało go to, że nie zorientował się wcześniej. Rozproszony przez Melisę i swoje emocje. Głupi błąd debiutanta.

Nie tylko Willa. Ich też.

Dziś było pewnie mniej niż pięć światowej klasy kobiet zabójców. Łatwo będzie ją zidentyfikować. Były nagrania z kamer z zabójstwa Moiry Dunwoody – zwykły napad z nożem. Zabójca miał kaptur i jego twarz była niewidoczna, ale już po samej sylwetce Will będzie w stanie rozpoznać, kim jest. Jeszcze dziś zadzwoni do One Police Plaza. Miał świetne kontakty w każdym oddziale organów ochrony porządku publicznego i każdej agencji w Anglii i Stanach, aż do Wydziału Komunikacji. Zobaczy taśmy i dowie się, kim jest ta dziewczyna. Kilku innych śledczych dotrze do listy jej ostatnich klientów czy czegoś w tym stylu.

Po raz pierwszy tego dnia Will poczuł iskierkę nadziei. Jeśli znasz swojego wroga, to zawsze znajdzie się sposób na jego pokonanie.

Nie miał zbyt wiele czasu. Tamci przegrupują się po Rotterdamie. Najwyraźniej wiedzieli, że on stacjonuje w Nowym Jorku. Będą szukać Melissy. Najważniejsza sprawa była oczywista:

zabrać ją z tego mieszkania we właściwe, bezpieczne miejsce. A co potem? Nie miał pojęcia.

Will nie chciał zostawiać jej samej,

Tutaj było jego życie. Jego bank, jego firma. Jego dziewczyna. Słuchanie szaleńczych pisków i gruchania Olivii o pierścionku i zaręczynach było nieco nużące, ale to w końcu ważny moment w życiu kobiety. Znosił to, podobnie jak przez cały ranek musiał znosić dźwięk dzwonka do drzwi – jego zazdrosne dziewczyny prześcigały się w przesyłaniu kwiatów. To była parada zwycięstwa Olivii. On miał być po prostu uprzejmy.

Starła się go zadowolić. Nalegała, by się z nią kochał, gdy wrócili z tej gali dobroczynnej; to była jego druga noc w domu i Olivia nie mogła doczekać się, by ruszyć w miasto. Przez cały wieczór był nieswój, bawił się kawiozem i menu składającym się z wędzonego łososia, sosu z mango i imbirowego sernika – wyborne jedzenie. Jednak on mógł myśleć wyłącznie o Melissie. Siedzącej w tamtym mieszkaniu, przerażonej i samotnej. Była bezpieczna, ale to marne pocieszenie.

Olivia wmusiła w niego kieliszek bordo, aby się trochę zrelaksował. Ci, którzy go obserwowali – a na pewno tam byli – musieli widzieć, że wrócił do swojego normalnego życia, a Melissa przepadła. Zdawał sobie sprawę z tego, że zabójcy nie chcieli zostać odkryci. Mogłyby pojawić się pytania. W swoim świecie był bezpieczny; jeden z ważniejszych wśród towarzyskiej śmietanki Manhattanu. Pewnie obawialiby się, że wręczył już jakiemuś dziennikarzowi zaklejoną kopertę ze swoimi wstępnymi ustaleniami i, na wypadek jego śmierci, wszystko ukaże się drukiem. Fakt, że za Melisę zabrali się na końcu, dowodził, że była najmniej

ważna na ich liście. Była najłatwiejszym ze wszystkich celów. Prawdopodobnie nie mieli nawet pewności, czy cokolwiek wie. Kolejny powód, by nie zabijać Melissy w miejscu publicznym, na Manhattanie. Za dużo bałaganu. Zbyt wiele pytań.

Tańczył zatem z Olivią, rozkoszując się jej wdziękiem, fantastycznym ciałem, niezrównanym obyciem towarzyskim. Lśniła u jego boku i to nie tylko za sprawą diamentów. Poza tym minęło już kilka dni, odkąd się kochali. Była tak chętna. Nie mógł się oprzeć i nie chciał. Napięcie związane z minimalnym uniknięciem śmierci... z Melissą... OK, to może też... Potrzebował ulgi. Gdy wrócili do domu, Olivia, szarpiąc i rozwiązując jego krawat, niemal wciągnęła go po schodach. Mruknął coś o swojej ręce, ale pchnęła go na plecy i wprawnie dosiadła, zanim zdążyła zdjąć ubranie. Była dobra, a on tego potrzebował. Wziął ją mocniej niż przez ostatnie miesiące, zdzierając z siebie poczucie winy. Była teraz jego kobietą, zamierzali się pobrać, więc nie było nic złego w pieprzeniu jej. Absolutnie nic złego. A ona była chętna, nieco wstawiona, zrelaksowana i rozpalona. Było miło.

Zerknął na swój telefon. Był zabezpieczony. Nie miał żadnej wymówki, żeby do niej nie zadzwonić.

Wstając, wybrał numer. Potem będzie musiał jechać do biura. Bank miał problemy. A kto ich nie miał?

Wszystko, czego wymagał, to utrzymanie równowagi, ale najwyraźniej nawet coś tak banalnego wykraczało poza umiejętności jego słono opłacanych asystentów.

– Tak?

Spłoszył się. Wciąż nieco dziwnie było słyszeć jej głos.

„To normalne” – pomyślał.

Nie rozmawiali ze sobą przez lata, zanim to wszystko się zaczęło.

– Tu Will.

– No, mam nadzieję. Powiedziałeś, że nikt inny nie ma tego numeru.

Uśmiechnął się.

– Muszę jechać do biura, Kłopoty w pracy, ale wymyśliłem coś. To krok do zapewnienia ci bezpieczeństwa.

Stuknięcie.

– Widziałam cię w telewizji z Olivią, Will. Wielkie gratulacje.

Uśmiech zniknął. Ta cholerna ekipa telewizyjna na tym durnym przyjęciu. To obnoszenie się, przechwalanie i popisywanie się pierścieniem, w wyborze którego w zasadzie nie miał żadnego udziału, poza płaceniem.

Nie chciał, by Melissa to widziała. Sam właściwie nie wiedział, dlaczego. Może dlatego, że to żenujące.

Tak, z pewnością. Żenujące. To dobre słowo.

– Dziękuję – odparł. Wydawało się to zupełnie nieodpowiednie, ale trudno.

– Co się dzieje? Jak długo to potrwa?

– Dzień lub dwa – skłamał. Nie miał pojęcia, jak długo, ani jak ją zabezpieczyć. Wiedział tylko, że trzeba to zrobić.

– Will, jestem ci naprawdę wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Naprawdę – była to wyraźnie przygotowana przemowa. – Ale nie mogę tu zostać. To nie jest życie, a ja czuję, że powinnam się gdzieś przenieść.

– Melisso, jestem zawodowcem w tym fachu.
– Nie mogę zostać z tobą – powiedziała stanowczo, a on usłyszał w jej głosie łzy. Łzy, które usilnie starała się powstrzymać.
„Mój Boże – pomyślał. – Czy chodzi o Olivia? Zależy jej? *Kocha mnie?*”

Ale to była przecież lodowata, arogancka Melissa Elmet, która odwróciła się od niego, pozwoliła, by wyrzucił go z domu jej własny ojciec.

„Może teraz pożałowała tego brylantowego pierścionka – pomyślał surowo. – Nie mnie. Nigdy nie próbowała się ze mną skontaktować”.

– Sądzę, że twoje zabójstwo planuje jakiś rząd, a być może nawet rządy. To oznacza wielu agentów i mnóstwo środków. Zatem każda stacja kolejowa, lotnisko, każda stacja metra i każdy przystanek autobusowy na Manhattanie są teraz obserwowane.

Przerażona wzięła oddech. Był poważny. Lepiej, żeby zrozumiała skalę niebezpieczeństwa i przestała się użalać. Miał już wystarczająco dużo problemów, próbując ratować jej skórę, zwłaszcza że nie miał z nią żadnego kontaktu od tak dawna.

– Jesteś totalną amatorką i jeśli bez mojej opieki spróbujesz wydostać się z tego miasta, zginiesz w ciągu godziny. Rozumiesz, Melisso?

– Tak, sir – powiedziała.

– Do cholery!

– Posłuchaj – usłyszał pociągnięcie nosem i wyobraził sobie, jak przeciera ręką oczy. – Ty masz swoje życie, Will, wspinałeś życie. A ja chciałabym odzyskać swoje. Musisz skupić się na planach

ślubnych, swoim banku, a ja... ja muszę się stąd wynieść. OK, mogą mnie zabić, ale będę musiała się pogodzić z tym ryzykiem. Nie mogę zostać tu jako twój gość, Will. Nie chcę być blisko... – jej głos ucichł. – To znaczy, muszę radzić sobie sama. Wiele się już nauczyłam, na pewno sobie poradzę – mówiła odważnie.

Znów odezwał się jego telefon.

– Muszę kończyć, Melisso. Przyjadę wieczorem, dobrze? Wtedy o tym porozmawiamy.

– Dobrze, ale...

Usłyszał Oliwię idącą do jego prywatnego gabinetu.

– Muszę kończyć. Cześć – powiedział i rozłączył się, sięgając po marynarkę.

– Och, kochanie, wychodzisz do biura? – Olivia stanęła w drzwiach w szokująco krótkiej, fioletowej, obszytej frędzelkami minisukience i butach na zabójczo wysokich obcasach. – Bo dzwonił Jack Sansone i pytał, czy wiem, gdzie się podziewasz...

Stanął jak wryty.

– Dzwonił do ciebie Jack Sansone?

Zarumieniła się i zmieszła.

– Ach, zadzwonił na mój telefon, pewnie wcześniej próbował się do ciebie dodzwonić.

– Czyżby? – zapytał Will oziębło. – Nie wiedziałem, że jesteś zatrudniona w Prospect, kochanie.

– Och, mam nadzieję, że się nie gniewasz, ja tylko... – płątała się.

– Nie życzę sobie, by Jack czy ktokolwiek z nich nękał cię w domu – wściekał się. – Do zobaczenia później, nie będzie mnie na kolacji.

- Dobrze, skarbie – odparła nerwowo Olivia.
Wyszedł z domu, nie oglądając się za siebie.

Sala posiedzeń Virginian Prospect Bank znajdowała się na sześćdziesiątym trzecim piętrze biurowca Deloitte Tower w centrum Manhattanu. Były tam długie wąskie okna niczym otwory strzelnicze w średniowiecznym zamku. Dawały mnóstwo światła, ale widok był na tyle ograniczony, by nie rozpraszał. Will Hyde wolał żeby jego kadra kierownicza skupiała się na interesach. Podłogę pokrywał miękki, bordowy dywan, na którym leżał ogromny, bezcenny, ręcznie tkany chodnik. Znajdował się tam także długi, mahoniowy stół obrad, a ściany wyłożone były panelami ze sprowadzonego z Francji brązowoczarnego dębu. Na jednej ze ścian wisiał ekran ustawiony na ciągły odbiór stacji Bloomberg. Na stole stały terminale komputerowe i laptopy. Tutaj też dyskretnie ukryto ekrany do wideokonferencji, które w razie potrzeby natychmiast można było aktywować jednym przyciskiem.

Gdy Will wszedł do sali, byli tam już jego najważniejsi asystenci. Z prawej strony siedział Jack Sansone z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Will przeszedł do szczytu stołu i usiadł. Patrzyli na niego wyczekująco.

- W ostatnim tygodniu byłem zajęty, sprawy osobiste. Co słyhać?

- Bank miał bardzo poważne problemy z płynnością środków.

Will powstrzymał chęć przewrócenia oczami. W obecnym klimacie w biznesie brzmiało to tak, jakby ogłosić, że sekretarki

zaczęły plotkować lub że w centrum miasta był spory tłok na ulicach.

– I co się stało, gdy zgłosiliście się do FED-u²² po wsparcie?

²² Federal Reserve Bank – Bank Rezerwy Federalnej (przyp. tłum.).

Spojrzeli na siebie nad stołem.

– Nie zrobiliśmy tego.

– Dlaczego nie?

– Nie chcieliśmy, żeby się wydało – Sansone znów przejął pałeczkę. – Stawiałoby to bank w złym świetle.

Will zrobił groźną minę.

– Absurd. Przecież trwa właśnie globalny kryzys płynności finansowej. Mamy doskonałe wyniki w kredytach, a nawet trochę kredytów subprime²³. Ubieganie się o terminowe wsparcie od rządu jest dziś w biznesie czymś zupełnie naturalnym.

²³ Kredyt z wyższym niż standardowe oprocentowaniem, przyznawany kredytobiorcom o tzw. „złej historii kredytu”, czyli mającym problem z terminowym spłaceniem innych zobowiązań. Rozwiązanie szczególnie popularne w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Widział, jak współpracownicy wymieniają nerwowe spojrzenia.

– Jeśli Virginian Prospect wejdzie na giełdę – odezwał się Jack – moglibyśmy zaoferować emisję praw poboru.

No proszę. I jest. Omijany szerokim łukiem temat tabu. *Chcieli wprowadzić jego firmę na giełdę.*

– Znacie moją opinię na ten temat – Will powstrzymał się od grzotności w stół. – Posiadam dziewięćdziesiąt procent udziałów. Żaden z was nie jest w stanie zmusić mnie do zrobienia cokolwiek z moją firmą.

– My też jesteśmy udziałowcami – odezwał się Michael Watson. Był pucołowatym, malutkim wiceprezesem z Fuzji i Przeniesień, a do tego był chciwym gnojkiem.

– Jack ma dziesięć procent, ja dziewięćdziesiąt. Sami sobie policzcie.

Był szczerze zawiedziony.

„Niech to wszystko szlag trafi – pomyślał – niech trafi tych, którzy właśnie *teraz* ścigają Melissę”.

Gdyby ci idioci wycięli taki numer miesiąc temu, to już wywodziłaby ich stąd ochrona, a on rozmawiałby z head hunterami. Ale być może będzie zmuszony zabrać dziewczynę w inne miejsce. Teraz potrzebował, by to jego pracownicy zajmowali się bankiem. On nie miał na to czasu.

Zarządzanie. Nagle poczuł się tym zmęczony. Śmiertelnie zmęczony. Po jaką cholere siedział tutaj, w tej luksusowej sali obrad, niańcząc bandę dusigroszy, z których każdy był od niego o dziesięć lat starszy? Mieli mu za złe, że mu się udało. Przedstawił im najdrobniejszy problem, a już załamują ręce.

– Jack – zwrócił się do Sansone'a – myślisz, że czas na IPO?

²⁴ Initial Public Offering – pierwsza oferta publiczna, czyli pierwsze wprowadzenie akcji spółki do obrotu giełdowego (przyp. tłum.).

– Niektórym udawało się nawet przy tendencji niżkowej – zapewniał Sansone. – Prospect jest niepowtarzalny. Jak mówiłeś, masz dobre wyniki kredytowe, porządne pożyczki, dobry oddział Fuzji i Przejść. To jest jak skała w czasach, gdy inne banki się miotają. Moglibyśmy się utrzymać.

– Will – odezwał się Yogi Brillstein. Will szanował go, bo nie odzywał się zbyt często, a jak już coś mówił, to Will chętnie go słuchał – tak naprawdę wcale nie chodzi o pieniądze. Takie fundusze zapewniłyby nam pełną płynność. Uspokoilyby klientów detalicznych. Oni są przerażeni. Banki padają. Rodziny z kredytami na karku też panikują. My się utrzymaliśmy, bylibyśmy jednym z lepiej skapitalizowanych banków. Moglibyśmy przyciągnąć nowych klientów. Uspokoilibyś wiele głów.

Will milczał. Yogi przedstawił jedyny argument, który mógł na niego wpłynąć. Od samego początku stawiał na kontrolę, aż do momentu wykupienia akcji przez kierownictwo.

Zza stołu patrzyły na niego chciwe, ziemiste twarze, poszarzałe od zbyt licznych godzin spędzonych w biurze.

Will wyrzwał przez jedno z wąskich okien i zobaczył profil jednego z wieżowców.

A niech tam! Ma trzydzieści dziewięć lat.

Nagle zdał sobie sprawę, że przez te kilka ostatnich dni, gdy uciekał z Melissą Elmet, z ciężarem odpowiedzialności za życie ich obojga, bardziej czuł, że żyje, niż przez całe ostatnie pięć lat. Nie chciał stać się podobnym do tych mężczyzn. Nie chciał spędzić reszty swojego życia na dusznych, wartych tysięcy dolarów od osoby dobroczynnych przyjęciach.

– Zatrzymam czterdzieści pięć procent udziałów – powiedział. – Cholera, sprzedawać.

Następnie wstał i wyszedł z biura.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Melissa była naga. Uważnie przyglądała się swojemu ciału w lustrze.

„Niewiarygodne – pomyślała. – Niewiarygodne, jak bardzo się zmieniłam. Nawet w marne kilka dni można odmienić sylwetkę, jeśli ćwiczy się systematycznie”.

Oczywiście czekała ją jeszcze długa droga. Jej ramiona były jędrniejsze, ale bicepsy i tricepsy – mizerniutkie. Mimo to prawie się nie rozpoznała. Jej drobne, wiotkie ciało było teraz szczupłe i prężne. Ciągłe ćwiczenie brzusków i przysiadów wyrzeźbiło jej kształty. Pośladki były naprężone i uniesione, łydki i uda twarde jak skała. Mogła biec przez godzinę bez przerwy i zmęczyć się minimalnie, a wcale nie zaczęła jeszcze trenować na poważnie.

W takim ukierunkowanym wysiłku było coś fascynującego. Pogodziła się z tym, że już zawsze będzie się oglądać za siebie. Nie będzie już leniwego,ikliwego życia, nie zazna już spokojnych dni spędzanych na czytaniu w fotelu, czy siedzeniu przy bibliotecznej lampce. Jakikolwiek będzie miała zajęcie, musi być gotowa do ucieczki. Musi dbać o swoją kondycję i mieć zawsze naszykowany paszport i odłożone pieniądze. Popracuje nad samoobroną. Kobieta nigdy nie pokona mężczyzny – przekonała się o tym

dość dobrze na własnej skórze podczas ucieczki z Willem. Nawet starszy, chudy czy słabowity mężczyzna jest w stanie dość łatwo pokonać w walce nawet najsprawniejszą kobietę. Telewizja i filmy sprzedające wizerunek boksującej Amazonki tylko oszukiwały dziewczyny myślące, że tak jest naprawdę, że mogą przyłożyć facetowi i nie zostać wyśmiane. Walka z jej prześladowcami skończyłaby się gwałtem i śmiercią, ale ona nauczy się pewnych technik w nadziei, że element zaskoczenia zapewni jej ten ułamek sekundy na ucieczkę. A wtedy szczupła i odpowiednio przygotowana, będzie w stanie zwać.

I jeszcze kilka ważnych umiejętności. Uniki. Języki obce. Nauczy się hiszpańskiego i portugalskiego. Może pojedzie do Brazylii i skryje się wśród turystów na plaży. Ukrywać się w tłumie, to ważne. No i oczywiście ona, Melissa, która nie znosiła broni palnej wszelkiej maści oraz przemocy, zamierzała zostać świetnym strzelcem. Będzie ćwiczyć z pistoletem i karabinem snajperskim. W torebce będzie nosić niewielki, damski rewolwer. Być może Will będzie mógł załatwić jej coś takiego, co kiedyś widziała na filmie: pistolet z plastiku, który rozkładał się na części, a którego kule chowa się w breloku do kluczy. Byłoby świetnie, gdyby się udało. Mogłaby zabrać broń w podróż do Ameryki Południowej, znaleźć posadę nauczycielki angielskiego dla dzieci jakiegoś handlarza narkotyków czy coś w tym stylu...

Tego jeszcze nie wiedziała. Nieważne. Może za minimalną stawkę pracować jako kelnerka do czasu, aż czegoś nie znajdzie.

Jeszcze wypłynie na powierzchnię. Już teraz, przyglądając się sobie, Melissa poczuła pod warstwą strachu i smutku oznaki czegoś

jeszcze. Być może buntu i szacunku dla samej siebie.

Jej szczupłe i wiotkie ciało nauczycielki zaczynało ożywać. A bezpieczne, nudne życie, które osłabiło w niej nadzieję i radość właśnie, legło w gruzach. Od teraz będzie poszukiwaczką przygód, czy jej się to podoba, czy nie. Znajdowało się w tym jakieś drobne ukojenie. Spotkanie Willa Hyde'a, dostrzeżenie tego, co tak naprawdę straciła, to, jakim był teraz człowiekiem, sprawiło, że Melissa rozpaczliwie zatęskniła za namiętnością.

A jej nowe życie będzie toczyło się z dnia na dzień.

Walka o przetrwanie i odkrycie siebie na nowo miały jedną, wielką zaletę: nie będzie miała czasu na lamenty. Cierpienie, ból, jaki sprawiła jej patrzenie na Willa z Olivią – to wszystko będzie musiało zaczekać.

Wyprostowała się. Nigdy nie miała dzieci, więc jej piersi były wciąż kształtne i jędrne. Jej szczupła sylwetka sugerowała brak cellulitu, z którym należałoby walczyć. Nowo wyrzeźbione mięśnie nadal były kobiece i zgrabne, zarys łydek i ud był atrakcyjny i sprawiał, że wyglądała młodziej.

A tych zmian było jeszcze więcej. Mając mnóstwo czasu, Melissa zabrała, się za zmianę swojego wyglądu. Im mniej będzie rozpoznawalna, tym lepiej. Ta farba koloryzująca okazała się rewelacyjna – Melissa wyglądała zupełnie inaczej, gdy jej mysi, nijaki kolor włosów zmienił się w soczysty złotorudy. Współgrał z kolorem jej oczu; zarumieniała się, gdy, odłożywszy suszarkę, spojrziała w lustro.

No proszę. Co za różnica. Melissa była ruda. Jej skóra promieniała, włosy wyglądały oszałamiająco. Przełknęła ślinę – czy

naprawdę zmarnowała te wszystkie lata? Znała odpowiedź na to pytanie – gdy Will odszedł, była tak załamana, że nic ją nie obchodziło.

Przeczesała palcami swoje równo ścięte włosy – ułożone i lśniąco różowawe. Dzięki tubce kremu samoopalającego jej twarz i ciało nie były już blade i białe, ale pokryte złotawą opalenizną, niezbyt mocną, ale taką zdrową i słoneczną, niczym u dziewczyny z Kalifornii. Poeksperymentowała także z makijażem – coś, czego nie robiła nigdy: brązowy cień do powiek, by uwydatnić oczy, tusz, bronzer na policzkach, złotawy błyszczak do ust. Efekt zaskoczył ją samą.

Trzeba było się dobrze przyjrzeć, by ją rozpoznać. Nie wyglądała oczywiście jak jakaś nastolatka, ale była teraz silniejszą, odważniejszą, lepszą wersją dawnej Melissy. Jako nauczycielka pogardzała dbałością o powierzchowność, wygląd i te sprawy, ale teraz zrozumiała, jak ważną rolę odgrywały twarz i ciało. Wystarczyło się do tego zabrać, nałożyć kosmetyki, zmienić kolor włosów i z kobiety, na której nikt nie zawiesiłby wzroku, przekształciła się w tryskającą energią, śliczną, opaloną, pewną siebie dziewczynę.

Na zewnątrz była zupełnie inną osobą, a przez to zmieniło się również jej wnętrze. To była prawdziwa transformacja, dzięki której poczuła się choć odrobinę lepiej.

Naturalnie nie mogłaby równać się z Olivią Wharton, ale Melissa nie chciała, aby Will się nad nią użalał. Ogromnie zależało jej na tym, by przy ich ostatnim spotkaniu wyglądać piekielnie atrakcyjnie i żeby właśnie taką ją zapamiętał, całując na pożegnanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lola była pod wrażeniem. Will Hyde okazał się nie tylko przebiegły. Cieszyła się, że wymknął się Carlosowi w Holandii. Nawet mimo tych co najmniej sześciu facetów, rozstawionych przez Dymitra na niewielkim, regionalnym lotnisku, Hyde i jej cel odlecieli wojskowym samolotem. To oznaczało brak planów lotu i możliwości namierzenia ich drogą radarową. Po prostu zniknęli i to tak skutecznie, jakby co najmniej teleportował ją z tego Rotterdamu. A w dodatku Amerykanie zabili trzech najemników.

Carlos uciekł, ale nie uniknął gniewu swoich przełożonych. Przynajmniej zrozumieją teraz, że załatwienie tego faceta wcale nie jest takie proste. A już praktycznie niemożliwym było zabicie go po cichu. Był prawdziwym profesjonalistą. Wrócił do Nowego Jorku – nie była pewna, kiedy dokładnie, bo nie wiedziała, o której godzinie wylądował na terenie Stanów Zjednoczonych – i, najwyraźniej, gładko wślizgnął się z powrotem w swoje normalne życie w kapitalistycznym centrum Manhattanu. Przechadzał się nieustraszenie przed kamerami telewizyjnymi, prezentując się na otwartych terenach bez opancerzenia i sprawiając wrażenie, jakby nic się nie wydarzyło. Po tej dziewczynie, Melissie, nie było ani śladu. U jego boku znajdowała się inna kobieta. Lola potwierdziła

wiadomość, że był z nią od ponad roku. Właśnie ogłosili, że zamierzają się pobrać.

To wszystko sprawiało, że zabicie go stało się brudną robotą.

„Lola mięknie na stare lata” – pomyślała.

„Stare lata” czyli przed trzydziestką. Zaczynała nawet lubić Willa Hyde'a – jej cel. Bardzo pociągający cel. Pozwoliła sobie na krótką fantazję o życiu u boku prawdziwego mężczyzny, takiego jak on. Nie wyzyskiwacza jak Dymitr czy ci wszyscy inni faceci. A może jak skończy z tą robotą, to rzuci to wszystko i zniknie. W najlepszym momencie swojej kariery. Nikt jej nigdy nie odnajdzie. Czy mogłaby, nawet ona, prowadzić inne życie? Takie, w którym byłoby miejsce na mężczyznę jak Hyde?

Poza tym, to on sam się w to wpakował. To dziewczyna była pierwotnym celem. Lola szanowała Willa Hyde'a jako zawodowca. Da się go zdjąć, ale nie od razu. Będzie spodziewał się ataku, a to tylko kolejny powód, by odczekać. Tej dziewczyny nie było u niego w domu, więc musiał ją ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu. Lola bardzo dobrze rozumiała Willa. Był przywiązany – to wada – ale był też sprytny. Melissa znajdowała się w jakimś miejscu, z którego nie mogła zagrażać jego bliskim ani interesom. Gdzieś, gdzie mógł ją chronić.

Amator zabiera taki cel do głuszy, ukrywa w chatce z bali w górach Adirondack albo u babci w jakiejś zabitej dechami wiosce. Tam rzucają się w oczy i są łatwi do namierzenia. Ileż z jej ofiar najpierw zastygało ze zdziwienia, a dopiero potem ze strachu, gdy rozwalala im głowy? Przecież to niemożliwe, że ktoś znalazł ich

w małym miasteczku w Dakocie Południowej. A jednak.

Will Hyde nie wysłałby swojej podopiecznej w takie miejsce. Przebywała w mieście. Prawdopodobnie w Nowym Jorku, bo on tu był. A Lola sądziła, że nie byłby w stanie jej zostawić.

Spojrzała na znajdujący się przed nią monitor przekazujący obraz z kamer monitoringu. Hyde wyszedł wcześniej ze spotkania z zarządem i wsiadał do limuzyny. Pewnie jechał do domu, żeby przelecieć modeleczkę. Dymitr podkreślał, że ma go nie zabijać. Jeszcze nie teraz.

Mógł więc się odprężyć. Lola wzruszyła ramionami. Pewnie nawet chciałby, żeby go tropiła. Zachowywał się irracjonalnie – ta kobieta musi być dla niego niezmiernie ważna, skoro tak ją chroni. Nieważne, ona nie zboczy z kursu. Pytanie brzmi, gdzie ukrył dziewczynę? Gdzie się teraz znajdowała?

Lola odwróciła wzrok od ekranu, gdy limuzyna przemknęła tuż obok, udając się ku Dziesiątej Alei. Wyszła na ulicę. Trzy przecznice stąd znajdowała się kafejka internetowa, gdzie będzie mogła zebrać dalsze informacje.

Nowy Jork był wspaniałym miastem do poszukiwań. Tam zawsze było wszystko, co trzeba.

Dymitr zatrzymał się rozdrażniony. Szedł wzdłuż alei w Sabana Grande w Caracas i miał już pięciominutowe opóźnienie. Miasto było dziś parne, nadzwyczaj duszne; dławilo się spalinami i zalewała je fala domokrażców i meneli. Żadnym przygód turystom radzono mieć przy sobie niewielkie sumy pieniędzy, aby bez protestu dawać je rabusiom.

Z tyłu podeszło do niego dwóch gości. Złodzieje. Wyszczekali coś po hiszpańsku, nazywając go *Amerykańcem*.

– Dawaj kasę – usłyszał.

Większy z nich splunął na ziemię i sięgnął ręką do pasa, gdzie miał nóż. Jego towarzysz zaśmiał się.

– Zejdźcie mi z drogi, bo zabiję – odezwał się Dymitr.

Nie trzeba znać angielskiego, żeby zrozumieć, co mówi. Tacy goście już nie raz słyszeli ten ton.

Ten większy warknął i wydobył nóż, a drugi chwycił Dymitra za marynarkę.

Dymitr wymierzył mu perfekcyjny cios w splot słoneczny. Mężczyzna zwinął się niemal w harmonijkę i upadł na ziemię, próbując złapać oddech. Jego towarzysz machnął nożem na oślep. Dymitr chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, robiąc użytek z ciężaru przeciwnika. Rozległ się skowyt bólu, gdy mężczyzna opadł na ziemię ze złamaną ręką. Dymitr zabrał nóż i zadał cios w klatkę piersiową, prosto w serce. Czyste zasztyletowanie. Mężczyzna otworzył szeroko oczy, bardziej ze zdziwienia niż ze strachu, bo nie do końca wiedział, co się wydarzyło. Spojrzał tępo, ale światło w jego oczach już przygasало. Lśniący czerwienią nóż wrócił do rąk Dymitra. Drugi napastnik zerwał się na nogi.

– Nie, *señor*. Nie, nie *señor* – wychrypiał i potykając się, uciekł.

Dymitrowi zajęłoby tylko kilka sekund, aby dopaść go i załatwić, ale pozwolił mu zwiać. Był już spóźniony. Wsunął ostrożnie nóż w jeszcze ciepłą dłoń zabitego leżącego u jego stóp. Opuszczając uliczkę, przeszedł energicznym krokiem przez niczym niewyróżniający się rynecek do hotelu.

Człowiek, z którym był umówiony, przechadzał się pod palmami przy pomniku Los Proceres. Wielka, kwadratowa przestrzeń wyłożona płytkami, wypełniona niebieską wodą i otoczona białymi kamieniami. Na schodach prowadzących do wody stał posąg – siedzący na koniu Simon Bolivar.

Woda była kusząco niebieska. Nikt tutaj nie przychodził, pannał spokój. Taka oaza w środku tego ohydneho miasta. Dobre miejsce na spotkanie. Dymitr rozejrzał się. Zauważył wszechogarniający przepych. W Wenezueli były takie miejsca, gdzie bogactwo wręcz sączyło się z kamieni, wystarczyłoby do podźwignięcia kraju z nędzy Trzeciego Świata. Dymitr miał gdzieś politykę – to sposób darmozjadów na radzenie sobie z ich nędznym życiem.

Ale pieniądze to co innego. Ta cała sprawa mogła zrujnować ten kraj, miejsce, które i tak już balansuje na krawędzi. Podobnie jak mieszkańcy Nadrahu i Rosjanie, jego pośrednik był przerażony.

Dymitr też zaczynał czuć się nieswojo. Gdy nie pracował, raczył się sprawnymi dziewczynkami, luksusowymi hotelami, jachtami i ustronnymi miejscami z dala od wszystkiego i wszystkich. Wiek dopadnie w końcu nawet najlepszego zabójcę. Nie da się uciekać wiecznie. Gdy będzie miał siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat, to takich dwóch kretynów, jak ci w tej alejce, może stanowić problem. Podobnie jak wszyscy agenci, będzie potrzebował swojej spokojnej przystani, dobrego chirurga plastycznego i doskonale strzeżonej twierdzy. Dymitr wyjedzie do Szwajcarii. Miał już upatrzone miejsce – bezpieczne, wygodne i anonimowe. Jednak ogólnoswiatowy krach ekonomiczny nie byłby mu na rękę. Brał życie takim, jakie jest.

– Nazywam się Manuel Feliz – skłamał pośrednik.

Dymitr wzruszył ramionami. Nie przyszedł na pogawędkę i gównu go obchodziło fałszywe nazwisko tego pajaca.

– Zatrzymano ich w Rotterdamie, ale zbiegli wojskowym samolotem z Amerykanami – powiedział Dymitr.

– To wiem – odparł tamten.

– On wrócił do swojego dawnego życia, ma narzeczoną, znaną Amerykankę – wyjątkowo chudą, ze sztucznym biustem; nie w jego typie.

– To wiedza ogólna – zaripostował Feliz. – Ty zajmujesz się tą sprawą. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Dymitr nie wdawał się w dyskusje. Podobało mu się, że gość nie tracił czasu.

– Nic nie wskazuje na to, żeby on czy ona mieli te informacje – powiedział. – Co więcej, przekonano go do wejścia z bankiem na giełdę.

Feliz przytaknął.

– Dobrze. Świetnie. Ile będzie miał udziałów?

– Czterdzieści pięć procent.

– Możemy doprowadzić do upadłości? Zniszczyć bank?

– Inni już nad tym pracują. Nie wystarczy dobrać się do udziałów banku, żeby pozbawić go funduszy. Jest właścicielem nieruchomości na Manhattanie, nawet całych budynków.

– Obciążone hipotekami?

– Nie. Posiada rozliczne konta bankowe i pewnie wiele więcej, o czym nie mamy pojęcia. Był szpiegiem.

Obaj rozmyślali przez chwilę nad własnym brakiem tak ogromnych pieniędzy. Mniej niż dziesięć milionów dolarów to

niewiele w porównaniu do fortuny Willa Hyde'a.

Odebranie mu tego bogactwa będzie wyjątkowo przyjemne.

– Trzeba go więc odseparować od jego własnych pieniędzy.

Dymitr przytaknął.

– Pracuję nad sposobem zniszczenia banku i oskarżeniem go o oszustwo finansowe. Wszystko, co ma, zostanie przejęte. Na razie tylko się upewniamy. Raczej niczego nie wie.

– Ale na ile możemy się upewnić, skoro ona nadal nam ucieka?

– Lola – dziś rano dostał od niej raport, który go udobruchał. Była dobra. Już nie wychodził na takiego głupka, że ją zatrudnił – znalazła Melissę Elmet. Hyde ulokował ją w apartamencie na ostatnim piętrze w strzeżonym budynku, oczywiście będącym jego własnością, ale z imponującą ilością maskujących to papierów.

Feliz parsknął. Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że nic nie wytrzyma połączonych sił rządowych agencji wywiadowczych.

– Jest martwa?

– Jeszcze nie. Budynek jest ściśle chroniony. Najwyższa półka, rekruci z Mossadu i emerytowani agenci.

Feliz zaklął. Oparł się o palmę, poprawiając okulary słoneczne.

– Do jasnej cholery. *Esta fregada!*

– Ona się tam włamie. Będą posiłki. To będzie jak nalot: nasi ludzie z bronią, w mundurach nowojorskiej policji.

Spodobało mu się to. Uśmiechnął się.

– *Bueno.*

– Sprawdziła już firmy sprzątające: nic z tego. Tam sprzątają sami żołnierze. Robią też za personel techniczny; niektórzy z nich byli w służbach inżynieryjnych. Hyde zaprojektował to miejsce właśnie jako kryjówkę; absolutnie żadnych ludzi z zewnątrz.

– Jest ostrożny – zgodził się Feliz. Obaj zanotowali sobie w głowach, żeby skopiować tę zasadę, gdy sami będą już na emeryturze.

– Dlatego wejdziemy starymi metodami. Będziesz pierwszym, który dowie się o jej śmierci.

Feliz przytaknął.

– A teraz powinniśmy zacząć sprzątać wszystkich współpracowników Richarda Elmeta, wszystkich techników.

Dymitr pokiwał głową.

– Pracował nad tym sam. Nie chciał, by ktokolwiek dobrał się do jego odkrycia. Notatki pisane były odręcznie i wszystkie spalił. Jego dom rozebraliśmy na kawałki – od góry do dołu. Przejrzeliśmy nawet każdą deskę w podłodze – nie ma więcej kopii.

– Gównu mnie to obchodzi! Zdejmijcie jego sprzątaczkę, wszystkich. Wszystkich, przy których oddychał.

Dymitr uśmiechnął się.

– Señor Feliz, jak zaczniemy wysadzać budynki i wybijać niedouczzone pokojówki, to ściągniemy uwagę prasy. Ludzie to zauważą. Cała operacja uzależniona jest od tego, by prasa nie połączyła ze sobą żadnych szczegółów. Zdejmujemy każdego, kto mógłby mieć dostęp do informacji. Póki co, to musi wystarczyć.

Jego klient chrząknął.

– Póki co, tak – spojrział na Dymitra. – Po jakimś czasie masz doprowadzić do ich eliminacji, jednego po drugim. Rozciągnij to w czasie, nie spiesz się, ale wszyscy muszą zniknąć. Możliwość wciąż istnieje, jakkolwiek nikła.

Dymitr przytaknął.

– Dobrze. Tak będzie, ale najpierw wyeliminujemy kobietę. Hyde popełnił błąd. Powinien był wiedzieć, że tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak bezpieczna kryjówka.

Zaparkowali dokładnie naprzeciwko budynku, w miejscu, gdzie nie wolno parkować, ale co z tego? Furgonetka była oznakowana jako pojazd nowojorskiej policji. Nikt nie będzie robił problemów.

Samochód był również napakowany ładunkami wybuchowymi. Gdy będą wynosić z budynku ciało Melissy Elmet, furgonetka wyleci w powietrze, tworząc kulę ognia widoczną z odległości kilku przecznic. Cała ekipa rozproszy się, Lola pojedzie nieoznakowanym foldem taurusem na nadbrzeże i pokaże ciało dwóm gościom z drużyny Dymitra. Bezpieczniej i łatwiej byłoby wsadzić je do furgonetki i pozwolić, by spłonęło w wyniku eksplozji, ale tu chodziło o jej reputację. *Habeas corpus*. Chcieli zobaczyć to cholerne ciało, no to zobaczą.

Myśl o zabiciu Melissy wprawiała ją w euforię. Jej ostatnia robota – zakończona. Niesamowicie będzie poczuć się wolną. Skończyć z tym wszystkim na zawsze.

– Ruszamy – jej ludzie skinęli głowami.

Miała ich dwunastu, głównie Kolumbijczyków i jednego wielkiego, czarnoskórego gościa, który chyba pochodził z Kanady. Byli dobrzy i należycie wykonywali polecenia. Nie walczyli

bezpardonowo o pierwszeństwo ani nie kłócili się dlatego, że była kobietą. Ludzie odpowiedzialni za tę misję chcieli mieć dobrze wykonaną robotę i wydali odpowiednie rozkazy.

Lola poprawiła swój mundur nowojorskiej policjantki i wyskoczyła z furgonetki, trzymając w dłoni podrobiony identyfikator. Chłopcy wyskoczyli za nią, dobywając broni. Na ulicy było kilkoro przechodniów. Opiekunka z dzieckiem w wózku krzyknęła przestraszona.

– Policja! Policja! – krzyczał czarnoskóry. To było niezłe, miał najlepszy akcent z nich wszystkich. Typowo brooklyński. – To policyjny nalot z bronią! Rozejść się. Proszę pani, proszę pana! Rozejść się!

Nie musiał powtarzać dwa razy. Rozpierzchli się, krzyząc i biegnąc w różnych kierunkach. Jeden z Kolumbijczyków oddalił się o jedną przecznicę i gwizdząc, zaczął kierować ruchem.

Lola wbiegła do holu. Za masywnym, dębowym biurkiem siedziała recepcjonistka. Wyglądała na przestraszona.

– Mogę w czymś pomóc?

Za plecami Loli mężczyźni ustawiali się w bojowym szyku. Lola machnęła identyfikatorem. Był fałszywy, ale dobrze zrobiony. Żeby to odkryć, trzeba by mieć szkło powiększające i jakieś doświadczenie, a ochrona nie będzie miała na to czasu.

– Sierżant Lola Martinez, policja nowojorska. Mamy aresztować podejrzanego o terroryzm, przetrzymywanego na najwyższym piętrze tego budynku. Żądam natychmiastowego udostępnienia obiektu.

Już w czasie, gdy mówiła, znikąd zaczęli pojawiać się pracownicy ochrony. Zjawiali się jak duchy, sunąc po podłodze – z tych drzwi, z tamtego przejścia. Zauważyła, że pod koszulami mieli kuloodporne kamizelki. Kilku wyjęło broń. Jeden miał pistolet maszynowy.

– Ja... ja muszę mieć upoważnienie od właściciela...

– Nie musisz. To p-o-l-i-c-j-a – odparła Lola, celowo przeciągając to słowo. – Mamy nakaz.

Okazała wiarygodnie wyglądający nakaz, podrobiony przez najlepszych z Mukhabaratu.

– Udostępnicie obiekt!

– Odsunąć się! Cofnąć się! – krzyknął jeden z ochroniarzy. – Opuścić budynek albo otworzymy ogień!

Jej ludzie natychmiast odbezpieczyli broń, ale ze strony ochroniarzy nie doszedł ich ten sam dźwięk w odpowiedzi. Lola zdała sobie sprawę, że ich broń już była gotowa do strzału. Cholera. Pieprzony Mossad.

– Policja nowojorska! – ryknęła.

– Akurat, skarbie – zaśmiał się szyderczo ochroniarz, celując w jej głowę. – Macie dziesięć sekund na wycofanie się. Dziesięć... dziewięć... osiem...

Rozległo się syczenie. Lola zobaczyła, jak nie wiadomo skąd przy biurku pojawia się ekran z pleksi. W niespełna dziesięć sekund otoczył recepcjonistkę ochronną ścianą, a nawet dachem.

– Kurwa! – krzyknęła.

Wycelowała i strzeliła gadającemu ochroniarzowi w głowę, rozwalając mu policzek i szczękę. Upadł martwy na podłogę, a od siły uderzenia wystrzeliła jego broń. Kula odbiła się rykoszetem o ścianę.

Lola zdążyła już odskoczyć zwinnie na bok i wylądować tuż przed drzwiami prowadzącymi na schody. Zaczęły świstać kule. Ochroniarze nie patrzyli na nią. Wszyscy w holu próbowali się schronić, strzelając do wroga, upadając i przetaczając się. Latające kule brzmiały jak grzmoty. To był grad kul. Przewaga była po ich stronie, mimo że jeden z Kolumbijczyków leżał już na ziemi, daremnie ściskając powstałą w szyi dziurę po kuli. Przy każdym wdechu krew lała się strumieniem między jego palcami. Za chwilę będzie już martwy. Nikt nie był na tyle głupi, by się zatrzymać i mu pomóc.

Studiowała układ tego budynku. Dolna część klatki schodowej na pewno była obserwowana, ale znajdował się tam także główny zsyp. Lola rozejrzała się – nikt na nich nie patrzył, kule świstały w powietrzu, umierający krzyczeli. Delikatnie uniosła wąż i wsunęła się do śmierdzącego otworu. Było ciemno. Nacisnęła przycisk na swoim zegarku, włączając niewielkie światelko. Czuć było ciepło bijące od pozawiazywanych worków z psującymi się śmieciami. Zsyp był pionowy i zupełnie nieprzystosowany do odwiedzin człowieka. Lola sięgnęła do plecaka i wydobyła cztery plastikowe przyssawki. Docisnęła jedną do gładkiej, stalowej ścianki zsypu. Rozległ się charakterystyczny odgłos, ale w tej całej strzelaninie na pewno nikt tego nie usłyszał. Przyssawki trzymały się solidnie. Lola wzięła oddech; nie przeszkadzał jej smród zgnilizny – bywała w gorszych miejscach. Przytwierdziła mocno przyssawki do rąk i kolan.

„Jestem teraz jak ten amerykański bohater” – pomyślała rozbawiona.

Była Spidermanem. Uniosła lewą rękę, docisnęła i podniosła prawe kolano. Wszystko zadziało, jak należy.

Na parterze, po jej lewej stronie, zwijali się na podłodze jęczący z bólu ludzie. Lola zignorowała to. Kolejna dobra przykrywka. Rozpoczęła wspinaczkę, narzucając sobie solidne tempo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Melissa wzięła prysznic i zjadła omlet z sałatką. Celowo postanowiła nie stroić się specjalnie dla Willa. Nie byłoby to wcale trudne, bo w szafie wisiały sukienki, ale jej samej nie pozostało nic więcej poza dumą i tego się trzymała. Niech zabierze ją stąd w takim stanie, w jakim ją zastał. Lubiła być zorganizowana. Było już wpół do ósmej, a on wciąż się nie pojawiał. Nawet nie zadzwonił.

Być może zatrzymały go jakieś ważne sprawy. Pewnie plany ślubne...

Uśmieła się sama z tego swojego słabego punktu. Roztkliwia się nad tym swoim cierpieniem jak dzieciak. Przypominało to ruszający się ząb, którego za żadne skarby nie można przestać szturchać językiem. Nic nie zwróci jej Willa. Jej jedynym zajęciem było teraz trzymanie się rytmu ćwiczeń.

Przebrała się w strój sportowy: stanik, porządną, czarną koszulkę i przylegające, dresowe spodnie Nike. Zawiązała starannie buty. Czas na kolejną solidną przebieżkę, a dzień zakończy ćwiczeniami siłowymi i rozciągającymi, by jutro skoro świt móc ruszyć od nowa...

Bam bam bam bam...

Gdzieś już słyszała ten dźwięk. Dużo głośniejszy i bliżej. To bróń, dźwięk wystrzałów z broni.

„Idą po mnie!”

Dźwięk był bardzo cichy i stłumiony, pewnie dochodził z samego dołu, a tam dopiero musiało być niemiłosiernie głośno. Być może szyb windy niośł odgłosy aż tu do niej.

Windą zjeżdżało się od razu do holu.

Melissa zamarła na chwilę, serce zaczęło walić jak młotem, nie mogła się skupić. Było tylko jedno wyjście i prowadziło wprost na nich.

Odwróciła się, zerkając na leżący na kanapie zabezpieczony telefon. Chwyciła go, wybrała numer Willa.

Długi sygnał – automatyczna sekretarka. Cholera!

– Will, tu Melissa – a niby kto miałby być? – Oni są w holu. Strzelają! Słyszę strzały! Znikam stąd – urwała. – Wyrzucam ten telefon na wypadek, gdyby cię wysłedzili. I... i odezwę się, jak będę mogła.

Wcisnęła guzik i poszła do kuchni wyposażonej w gigantyczne okna wychodzące na Manhattan. Nie dało się ich całkiem otworzyć – tylko odrobinę, o kilka stopni.

Nacisnęła przycisk, a wielka płyta szkła odchyliła się nieznacznie od ściany. Melissa chwyciła telefon i przecisnęła rękę przez otwór, a potem upuściła komórkę.

Roztrzaska się w drobny mak. Miała nadzieję, że nikogo nie uderzy. Na to nie mogła już nic poradzić. Prędzej by umarła, niż pozwoliła im namierzyć Willa, a telefon z pewnością miał jakieś łącze GPS.

Za kuchnią stał oparty o ścianę sypialni spakowany i gotowy plecak. Melissa chwyciła go, pochlipując i śmiejąc się jednocześnie. Spakowała go w ramach ćwiczenia: co musiałaby zabrać, gdyby po nią przyszli. Była tam szczoteczka do zębów, pasta, trochę gotówki, paszport, bielizna, koszulki, skarpetki, dzinsy, dwa

swetry, nylonowa kurtka, witaminy, torebka kosmetyków, kilka maszynek jednorazowych, antyperspirant, mydło, butelka wody, batony zastępujące posiłek oraz grzebień. A nawet niewielka butelczka mydła w płynie do robienia szybkiego prania po drodze.

Chwyciła sportową kurtkę, ubrała się w nią, a potem założyła plecak. Podeszła do drzwi mieszkania i przyłożyła do nich ucho. Kompletna cisza. Po drugiej stronie mógł czekać zabójca, ale wątpiła w to. Niczego nie słyszała.

Lola nagle coś poczuła – to mięśnie. Zlekceważyła to. Trzeba było przed wejściem do budynku zażyć środki przeciwbólowe, ale do diabła z tym. Ból był stałym elementem jej życia. Rezygnowała z metod ulżenia sobie.

Włąz na pierwsze piętro minęła jakieś dwie minuty temu, ale Lola zignorowała to, angażując całą swoją silną wolę. Czekaliby raczej na dole schodów, a nie na pierwszym piętrze, ale mimo to, istniała szansa, że jeśli wyjdzie na pierwszym, to ją usłyszą. Wspinała się dalej, po silnych plecach i ramionach spływał pot. Odczuwała przekorną radość, pokonując tę barierę bólu i trwała przy tym uparcie. Ona i tylko ona zdejmie Melissę Elmet, babeczkę będącą pod ścisłą ochroną jednego z najlepszych agentów, z jakim przyszło się jej zmierzyć w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Chrzanić zniecierpliwienie klienta, Lola skupiona była teraz na przywróceniu własnej chwały. W porównaniu z Willem Hyde'em i jego zmyślnymi posunięciami, politycy i dyplomaci byli łatwym celem. Poczuje wielką satysfakcję z załatwienia jego podopiecznej.

Stęknęła z bólu i uniosła lewą rękę, dociskając znów przyssawkę do ściany. Czas ruszać. Przec naprzód. Prawa ręka. Lewe kolano. Prawe kolano. Idź, dziewczyno, idź!

Tak! Jest! Drugi właz, oświetlony trupio bladym, niebieskim światłem jej miniaturowej latarki z zegarka. Ktoś cierpiący na klaustrofobię nie wytrzymałby tam dziesięciu minut. Nic tylko ciemność i metalowe ściany. Zmniejszył się nawet smród śmieci znajdujących się już daleko pod nią. Wspinała się w górę, i jeszcze i jeszcze wyżej – jej mięśnie ciągnęły ją w tym bezkształtnym, przypominającym trumnę, metalowym tunelu bez oświetlenia i świeżego powietrza.

Światło bijące z jej nadgarstka wystarczało, by cokolwiek widzieć, a niekończąca się połać stali znów ukazała zarys małego, prostokątnego wycięcia w ścianie zsypu. Tam na dole wciąż toczyła się walka – echo niesło odgłosy wystrzałów wraz ze sporadycznymi jękami i krzykami. To wszystko wydawało się tak nieistotne. Ona była tam, gdzie zawsze: sam na sam z jej celem.

Jeszcze dwa ruchy i dotarła do włazu. Mimo bolących mięśni, Lola wisiała bez ruchu przyczepiona do ściany, przybliżając delikatnie głowę do otworu. Kontrolując oddech, nasłuchiwała maksymalnie skupiona.

Cisza. Żadnych kroków, głosów, żadnego drżenia. Odetchnęła z ulgą. Podniosła się i, dokonując nie lada wyczynu, oderwała kolano od ściany, zrywając przyssawki. Zwinęła się niczym scyzoryk i przywaliła swoimi długimi nogami we właz, który od razu się otworzył. Lola przeleciała z impetem przez otwór. Wyciągnęła ręce jak do modlitwy, nadając tym samym ciału kształt odpowiedni do wąskiego przesmyku włazu. I już była na pustym, wyłożonym

szarym dywanem korytarzu, naprzeciwko windy.

Chciało jej się śmiać. To było takie proste. Hyde myślał, że jest taki świetny, ale nie był. Zaraz uaktualni jego wiedzę o szpiegostwie na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

Wyciągnęła rękę i wcisnęła guzik przywołujący windę. Ci wyszkoleni ochroniarze będą się tłuc na dole, a ona za chwilę zajmie się swoimi sprawami.

Winda zahuczała i zatrzęsła się – słyszała, jak przemieszcza się w szybie. Spokojnie zdjęła z rąk i kolan przyssawki, zwinęła je w niewielką kulkę i wcisnęła do tylnej kieszeni. Zamrugnęło światelko – winda podjechała. Lola weszła do środka i wcisnęła guzik na ostatnie piętro. Jej mięśnie zdążyły się już zregenerować, kwas mlekowy odpływał. Kilka pięter wyżej czekała jej ofiara – cudnie osaczona i chroniona jedynie przez grube drzwi.

Lola wyciągnęła broń i mały, laserowy nóż. Nie bawiła się w grzebanie w zamkach. Technologia już się tym zajęła i drzwi Melissy Elmet otworzą się w przeciągu paru sekund. A za kilka minut będzie martwa.

To apartament na ostatnim piętrze. Nie ma dokąd uciekać.

Lola uniosła broń.

Melissa przyciskała ucho do drzwi. Cisza. Cholernie chciała mieć teraz przy sobie broń. Ścisnęła w dłoni największy i najostrejszy nóż kuchenny. I choć było to tak żalosne, jak wyglądało, to trzymała go kurczowo, bo nie miała nic innego.

Odmówiła krótką modlitwę. Zdziwiła się, że nadal wierzy w Boga. No, przynajmniej na tyle mocno, żeby wybelkotać coś nieskładnie w chwili, gdy sądziła, że zaraz zginie.

Jeśli zostanie na miejscu, to już po niej. Nie miała wyboru – wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Na zewnątrz nikogo nie było. Melissa wciąż stała jedną nogą w mieszkaniu, bo przecież Will nie dał jej klucza. Starła się zebrać myśli. Nikogo tu nie ma, ale czy ktoś się zbliża? Na schodach nie było słycać żadnych kroków. Było dość cicho i budynek mógłby stanowić coś w rodzaju kabiny pogłosowej.

Przeszła do drzwi windy, chcąc wcisnąć przycisk przywołujący.

I wtedy to usłyszała. Cichy, ale uporczywy szum.

Byli w windzie. Zbliżali się. Będą tu za kilka sekund.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Will Hyde zatrzymał się po przebiegnięciu w szybkim tempie sześciu mil na Manhattanie. Zatrzymywał się tylko ze względu na ruch, mimo że układ ulic sprawiał, że zawsze można było gdzieś pobiec. Trudna decyzja o sprzedaży banku i czekająca w domu Olivia spodziewająca się szybkiego ślubu sprawiały, że bieganie okazało się nagle niezłą ucieczką. Miarowe kołysanie bieżni w jakiejś luksusowej sali albo ćwiczenia na stacjonarnym rowerze czy worek treningowy nie były dla niego. Will lubił ulice. Było coś doskonałego w tym, że można tak biec i rzeczywiście dokąś dotrzeć. Często lądował w końcu na jakiejś ławeczce, nad brzegiem rzeki i robił kilka zwykłych pompek i kilka tych specjalnych na tricepsy. W domu czekała na niego świetnie wyposażona siłownia, ale bieganie z Melissą sprawiło, że wrócił znów do metod, które stosował, gdy musiał zachować formę, a siłownie nie istniały.

Zwolnił do marszu. Po kilku sekundach puls wrócił do normy – zupełnie jak u sportowca. Will wciągnął w płuca powietrze. Stał nieopodal jakiegoś skrawka zieleni, gdzieś poniżej Canal Street. Nad jego głową wznosił się Most Brooklyński prowadzący do Brooklynu. Boże, kochał to miasto! Tutaj dorobił się fortuny, odmienił swoje życie, stał się sławny, rozkoszował się najpiękniejszymi

kobietami świata. Jak będzie wyglądało jego życie, gdy zrezygnuje z banku? Co będzie robił z Olivią? „Na początek porządnie zwiedzimy miasto – postanowił. – I ograniczymy imprezy towarzyskie”. Nie będzie już musiał podnosić swojego statusu wśród analityków z Wall Street. Nigdy tego nie lubił. Wtopi się w tłum; kolejny bogaty człowiek w mieście, które było wypełnione takimi po brzegi.

Pochylił się i dotknął palców stóp, rozciągnął się, po czym się wyprostował. Chwycił za jedną, potem za drugą kostkę, czując, jak rozciągają mu się mięśnie czworogłowe. Już lepiej. Wróci do domu taksówką, weźmie prysznic i pojedzie do Melissy. Powinna wiedzieć, do czego doszedł. Rozszyfrował rodzaj tego pościgu. Pytanie brzmiało, co z tym teraz zrobić, ale nie miał na nie odpowiedzi. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiała uciekać sama. Będzie w potwornym niebezpieczeństwie, ale zostając tu, też nie będzie bezpieczna.

Czuł się bezsilny i nienawidził tego uczucia jak żadnego innego. Gdy jechał po Melisę do Anglii, robił to z obowiązku, mając w pamięci zdarzenia z przeszłości. A teraz mu na niej zależało i to zależało ogromnie. Nie mógł ustatkować się z Olivią, cieszyć małżeństwem, wolnością od banku. Nie mógł zrobić żadnej z tych rzeczy w pełni, dopóki nie upewni się, że ona jest bezpieczna.

Wyszedł z powrotem na ulicę i przywołał taksówkę.

– Piąta i Sześćdziesiąta Pierwsza, proszę.

Samochód włączył się do ruchu, a Will wydobyl swoje dwa telefony komórkowe i na wszelki wypadek włączył obydwa.

Ten zabezpieczony migał na czerwono. Biedna Melissa dzwoniła, zastanawiając się, gdzie on się podziewa. Był spóźniony, ale musiał zrobić porządek we własnych myślach. Na letnie niebo wkradał się zmierzch. A może od razu tam pojedzie? Co tam prysznic i zmiana ubrań.

– Hej, kolego, zmieniłem zdanie. Możesz zawieść mnie na Upper West Side? – podał adres, a w odpowiedzi otrzymał wzruszenie ramion kierowcy. Przyłożył telefon do ucha, aby odsłuchać wiadomość od Melissy.

Serce podeszło mu do gardła. O Boże! Jak mógł być tak głupi? Miał na sobie strój do biegania. Nie miał broni, nie miał cholernej broni!

Will wyciągnął ze sportowej sakiewki dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty i zastukał w oddzielający go od kierowcy ekran z pleksi.

– Muszę tam dotrzeć naprawdę szybko. Jak dociśniesz, dam ci sto dolarów.

– Na kiedy musisz tam być, człowieku? – zapytał kierowca, dociskając gaz.

– Na wczoraj – odparł Will, gdy gość lawirował już między pasami.

Melissa stała na piętrze, nasłuchując szumu windy. To było bardzo proste – nie miała wyboru. Zabrała stopę z progu apartamentu i, przykładając dłoń do drzwi, upewniła się, że zamknę się po cichu. Następnie otworzyła drzwiczki prowadzące na dach. Zobaczyła schodki do wjazdu. Melissa nie zastanawiała się – zamknęła za sobą drzwi i zarygłowała je. Następnie weszła po schodkach, jak mogła najszybciej, i pchnęła wjazd. Zaklinowany; chyba zaschła na nim farba. Pchnęła ramionami, wkładając w to

całą swoją siłę. Była zdesperowana. Właz drgnął i przesunął się nieco, a w końcu ustąpił z głośnym trzaskiem. Melissa powstrzymała lży ulgi. Wyszła na szarą powierzchnię dachu i delikatnie opuściła za sobą właz.

Tam na górze było zimno; żadnej ochrony od wiatru na takiej wysokości, nieco rzadszy tlen i zapadająca nad miastem noc. Melissa rozejrzała się gorączkowo. Winda już pewnie dojechała. Musi zachowywać się cicho. Będą szukali sposobu na otwarcie jej drzwi albo po prostu je wyważą. Dziękowała Bogu, że miała na nogach buty do biegania, najcichsze z możliwych.

W zachodnim rogu dachu znajdował się duży, wypukły właz – pewnie jakaś inżynierska konstrukcja, dojście do systemu wentylacyjnego lub kotła. Mniejsza z tym. Melissa kompletnie nie знаła się na konstrukcji apartamentowców, ale właz stanowił jedyny rzucający się w oczy element na tym płaskim, nijakim dachu. Nie było drogi przeciwpożarowej ani żadnych drabin na zewnątrz. Wieżowiec był po prostu na to zbyt wysoki. Z ciasno przylegającym do łopatek plecakiem podbiegła do kłapy, tupiąc cicho na betonowej nawierzchni.

Wyciągnęła spocone ze strachu dłonie i chwyciła drzwiczki włazu.

Zablokowane. Zamknięte. Od środka. Słyszała stukot metalowej zasuwki o zamek.

Jej pomysły się wyczerpały.

Lola wyszła z windy, trzymając w ręku broń, ale schowaną w kaburze. W drzwiach apartamentu zamontowany był mały wizjer, jak w większości tego typu miejsc w tym mieście. Walnęła pięścią w drzwi i wcisnęła dzwonek.

– Melisso Elmet! – wrzasnęła – Policja nowojorska! Jesteśmy tu na wezwanie Williama Hyde'a! Otwórz!

Cisza. Nie, żeby spodziewała się czegoś innego, ale musiała spróbować.

– Otwierać! Policja!

Nic. Zamilkła na ułamek sekundy, po czym strzeliła w zamek u drzwi. Metal wgniół się i niewielkie, drewniane elementy rozsypały się po podłodze, ale nie odniosło to w zasadzie żadnego skutku. Lola podejrzewała, że za tą okleiną kryły się porządne, stalowe drzwi zabezpieczające. Do diabła z tym Hyde'em – naprawdę był niezły.

Ale przecież ona też była dobra. Wyciągnęła z kieszeni przecinacz laserowy. Miała czas. Melissa nie miała dokąd uciekać. Wszystkie wyjścia z budynku były zabezpieczone.

Włączyła sprzęt i skierowała mocny czerwony snop światła na dziurkę od klucza, patrząc, jak metal się rozgrzewa. Za moment zacznie bulgotać.

Szacując grubość stalowej warstwy, stwierdziła, że powinna dostać się do środka za jakieś pięć czy sześć minut.

Melissa była zbyt przerażona, by płakać. Starła się uspokoić walące serce i pomyśleć. Najpierw po raz kolejny spróbowała ruszyć te drzwi. Nic. Tam była zasuwa. Nawet gdyby udało się dostać do zamka, to i tak nie rozwiązałoby problemu zasuwy. W porządku. Przeszła przy krawędziach budynku, ignorując lęk wysokości. Sama odległość od ziemi przyprawiała ją o mdłości, ale musiała spojrzeć w dół na wypadek, gdyby się myliła, gdyby jednak była tam jakaś drabina, rynna, jakieś rusztowanie, cokolwiek.

Na piętrze pod nią usłyszała krzyk. Brzmiało jak głos kobiety. Nerwowe krzyki.

Bang.

Ktoś strzelał do jej drzwi. Włamywali się. Zobaczą, że mieszkanie jest puste, może spędzą sześćdziesiąt sekund na przeszukiwaniu go na wypadek, gdyby schowała się w szafie, ale potem szybko wpadną na pomysł z dachem.

Przełykając ślinę, rozejrzała się ponownie za drabiną pożarową. Czy było tam coś, przy pomocy czego można by zejść po bocznej ścianie?

Nie było. To zbyt proste.

Wróciła na środek dachu. Wokół niej wirował zimny wiatr, unosząc jej świeżo farbowane włosy z twarzy i chłodząc ją.

„Co zrobiłby Will? Pomyślałby” – powiedziała do siebie.

Spróbowała pomyśleć.

Na dach i z dachu prowadziła tylko jedna droga – właz, przez który przeszła. Choć zaryglowała drzwi, Melissa nawet się nie łudziła: jeden strzał i będzie po sprawie. Nie mogła również zabezpieczyć samego włazu, bo, nawet gdyby na nim usiadła, to dwóch silnych facetów bez trudu by ją odepchnęło.

Rozejrzała się pospiesznie dookoła.

„Czyli co? Wrócić na dół przez właz? Stanąć przed tym kimś, kimkolwiek był, z kuchennym nożem w dłoni? Próbować ich zabić? Oni mieli broń.”

„Schować się za włazem do kotła? Jasne – na pewno nie wpadną na to, żeby tam zajrzeć, prawda...?”

Uśmiechnęła się. Wisielczy humor. „W takim razie albo czekać i zginąć, albo walczyć i zginąć”. Spojrzała w dal, za sąsiedni budynek, którego płaski dach był tuż pod tym, na którym siedziała.

Cholerni szczęściarze, mieli schody pożarowe – śliczne, stare, skrzypiące schody z kutego żelaza...

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł, głupi pomysł, ale nie... Nie, to byłoby samobójstwo. Nie mogłaby tego zrobić, nie mogłaby przecież...

Lola obróciła swój laserowy nóż, zadowolona z efektów jego pracy. Szybko rozprawił się z tymi drzwiami. Już prawie tam była.

– Wychodź, Melisso – krzyknęła, nie bawiąc się więcej w stwarzanie pozorów. – Nie jestem sadystką. Ułatw mi zadanie, a uwinę się szybko.

Będzie płakać, błagać o litość, mówić o dzieciach, zwierzątkach czy coś w tym rodzaju? Interesujące było obserwowanie, jak ludzie reagowali w tych ostatnich chwilach. Często błagali nawet ci najdzielniejsi. Dla większości życie było jednak cenne. Lola sądziła, że Melissa może okazać się jednak silniejsza – najwyraźniej uparta z niej suka.

Nie czuła empatii do żadnej ze swoich ofiar. Wiedziała, że życie Melissy Elmet było do dupy – jeden długi epizod totalnej nudy. Lola właściwie wyświadczała jej przysługę. W tych ostatnich dniach swego ponurego życia Melissa miała przynajmniej nieco emocji.

Drzwi drgnęły i puściły. Lola cofnęła się i kopnęła. Zasuwa się stopiła i ustąpiła, a ona stała w przeogromnym, bogato urządzonej apartamencie. Wszystkiego było tam tyle, że dałoby się wykarmić, napoić i zabawić całą brygadę Kolumbijczyków przez jakieś dwa tygodnie.

– Melissa – krzyknęła przerywając ciszę. – Nie ma sensu się chować! Jestem zawodowcem. Wychodź!

Żadnej reakcji. Pobiegła do sypialni i zaczęła z rozmachem otwierać drzwi do garderoby. Nie było takiego miejsca, gdzie ofiara mogłaby się ukryć, ale oni zawsze próbowali.

Melissa popędziła do krawędzi budynku. Prześwit między tym a sąsiednim wieżowcem był wąski. Może jakieś dwa i pół metra. Ale to było dwa i pół metra rozciągające się nad olbrzymią, przyporządkowaną o zawrót głowy szczeliną. Pomiędzy nią a ziemią nie było nic poza zadaszeniem od wejścia do restauracji i rzędu drzew. Nie było też na sąsiednim budynku niczego, czego można się chwycić, nawet gdyby miała wystarczająco dużo siły, by się podciągnąć; żadnych gargulców, balkonów czy kamiennych ozdób. Nic, poza zwykłym, płaskim dachem. Schodki pożarowe znajdowały się po lewej stronie budynku.

O ile niżej od niej? Jakież trzy i pół metra. Technicznie możliwe. Bardzo prawdopodobne, że złamie nogę.

Wiał silny wiatr. W filmach i programach telewizyjnych ciągle to robili. Ale to było życie. Jej życie. Podmuchy wiatru będą ją hamować, a ona nie znosiła wysokości i było jej niedobrze.

Melissa rozejrzała się pospiesznie po dachu – nie było innej drogi. Absurdem było w ogóle to rozważać, ale pozostanie tam i czekanie na pewną śmierć było jeszcze gorsze. Może oni wcale nie zabiją jej od razu, tylko wywiozą gdzieś i będą torturować za to, co według nich zrobiła lub wiedziała.

Szybko ściągnęła ciężki plecak. Postanowiła spróbować. Im dłużej się będzie zastanawiać, tym trudniejsze będzie się to wydawało. „Nie masz wyboru, słonko, nie masz wyboru”. Cofnęła

się i machnęła rękoma: porządny, długi wymach do tyłu, wykorzystujący ciężar plecaka, który wyrzuciła. Wstrzymała oddech, patrząc, jak wylatuje w powietrze pod kątem... i po chwili ląduje z głuchym stuknięciem na dachu, z którego teraz ją kusił.

Żałowała, że nie wypila jakiegoś alkoholu. Chciała się pomodlić, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, to: „O Boże! O Boże!”. Cofnęła się o jakieś sześć metrów, skierowana przodem do krawędzi dachu, i zaczęła biec.

Zdawało się, że jej życie zwolniło, jakby patrzyła na kogoś zupełnie innego. Stopy waliły o dach, przyspieszyła i po pół sekundy grunt usunął się jej spod nóg. Wskoczyła, a jej serce zamarło, ale teraz nie mogła już nic zrobić. Wszystko wokół na moment się zatrzymało, a potem pod jej stopami litościwie pojawiły się płaskie, szare dachówki – sprężynujące, odporne na wszelką pogodę.

Jeśli połamie sobie nogi, to i tak ją dopadną i zabiją, więc instynktownie zwinęła się w kłębek, jak to robią pokazywani w telewizji żołnierze wyskakujący ze spadochronami. Walnęła w powierzchnię dachu. Bolało. Mocno. Na twarzy miała krew. Potoczyła się jeszcze kawałek, a potem już było w porządku.

Melissa usiadła. Wzięła oddech. Nogi i ręce były całe. Klatka piersiowa bolała porządnie – może złamała żebro. Bolało przy oddychaniu, ale nie była sparaliżowana. Podniosła się na nogi i wzięła plecak, ścierając rękawem krew z twarzy. Jej strój do ćwiczeń był czarny – nie będzie widać krwi. Trochę biegnąc, trochę utykając, dotarła do schodków i zaczęła schodzić. Tupiała, ale nie zwracała na to uwagi. Na ulicy widziała wozy policyjne, ustawiające się w szyku migoczące syreny. Może to byli prawdziwi

policejanci, a może to kolejni szpiegzy starający się ją zabić. Tego nie wiedziała.

Schodki kończyły się cztery i pół metra nad ziemią.

Co prawda była tam drabina, ale przyrdzewiała do schodów. Melissa spojrzała pogardliwie na tę odległość. Przykucnęła, zaczęła palcami pod żelastwem i zwiesiła się na rękach. Teraz był to już tylko trzymetrowy skok. Zgięła nogi i puściła się.

Jakiś menel przechodził właśnie ze swoim psem i gapił się zaciekawiony na całe to zamieszanie przed sobą.

Spojrzał na nią i splunął wymownie do rynsztoku.

– Durna suka – wymamrotał.

Melissa uśmiechnęła się promiennie. Żyła. Dzięki Bogu. Naprawdę żyła. Przeszła szybko małą alejką na inną ulicę, sięgając do plecaka po pieniądze. Właśnie zbliżała się taksówka. Zdobyła się na uśmiech – przecież nie zatrzymują się dla durnych suk, prawda?

Kierowca zjechał na bok. Wgramoliła się do środka. Był Arabem albo Algierczykiem.

– Gdzie jechać?

Była zbyt podenerwowana na trzeźwe myślenie.

– Yyy...

Zmarszczył brwi. Nie chciała wyjść na jakąś wariatkę, którą zaraz wywali ze swojego samochodu. Nie mogła wskazać jakiegoś hotelu, stacji kolejowej czy lotniska, bo te wszystkie miejsca będą obserwowane. Musiała pojechać gdzieś, gdzie będzie anonimowa, gdzie jest dużo ludzi, poza tym miejscem.

– Yankee Stadium, poproszę – powiedziała nagle.

– Jasne.

Czyli nie jest dziś durną suką.

Melissa oparła się o skórzane siedzenie. Nie miała pojęcia, gdzie się udać, jak skontaktować się z Willem, ani jak powstrzymać tamtych ludzi. Ale żyła. Miała pieniądze i najpotrzebniejsze rzeczy. A oni nie widzieli jej nowego wcielenia; tych krótkich, rudych włosów i opalanej skóry. Na stadionie wybierze jakieś tanie okulary przeciwsłoneczne i czapkę.

„To dobre przebranie – pomyślała – a szczególnie w tłumie tysięcy innych ludzi wyglądających identycznie.

Pomimo bólu w boku i rozciętej skroni, Melissa poczuła nagły przyptyw euforii: wysłali zawodowych zabójców, by wytropili ją uwięzioną w tym mieszkaniu, a ona dzięki szybkiej reakcji i odwadze przechytrzyła ich wszystkich.

O tak. Była dzielna. I sprytna. I twarda. Dobra robota. Bolał ją bok i wciąż miała złamane serce, ale gdy tak siedziała, pomału łapiąc oddech, Melissa Elmet jakby trochę bardziej polubiła samą siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Lola uwijała się, czując coraz większą frustrację. Melissy nie było w żadnym z oczywistych miejsc. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać; miała uszy jak nietoperz i potrafiła wyłapać nawet najdrobniejsze odgłosy oddychania. Ale niczego nie usłyszała.

Jeszcze raz przetrząsnęła pokoje, waląc w ściany i tupiąc mocno w podłogi w poszukiwaniu ukrytych piwnic czy skrzyń. Nic. Czysto.

Melissy Elmet tam nie było.

Zdążyła uciec? Opuściła budynek, zanim się pojawili? Nie, Lola przeglądała przecież nagrania monitoringu z małego sklepu spożywczego z naprzeciwka. Dziewczyna przyjechała z Willem z potulnie opuszczoną głową i od tamtej pory się nie pojawiła. Nie było innego wyjścia niż drzwi frontowe. Żadnego wyjścia.

Ale musiało jakieś być. Lola nie wierzyła w Boga czy magię. Dziewczyny tu nie było, a ona, Lola, musiała to rozwikłać, i to szybko.

Opcja pierwsza. Obraz z kamer monitoringu został sfabrykowany i zmontowany, więc nie pokazywał momentu, gdy Will Hyde zabrał Melissę z apartamentu. Ale Lola była ekspertem w dziedzinie fabrykowania nagrań. Takie rozwiązanie wydawało jej się wysoce nieprawdopodobne.

Opcja druga. Melissa znalazła jakiś inny sposób ucieczki. Budynek miał pionowe ściany. Był zbyt niski, by użyć spadochronu ratunkowego, a z tego piętra nie było dojścia do schodów. Został tylko szyb windy, a Melissa windy nie użyła. Lola wyszła z powrotem na korytarz. Była tam jeszcze jedna para drzwi. Zbeształa siebie samą za swoją głupotę. Ta idiotka ukrywała się na dachu.

Byli nieopodal budynku. Samochody na ulicy stały w miejscu. Will widział światła policyjnych kogutów, cienie kłębiące się przed Rite Aid²⁵ na końcu ulicy. Rzucił kierowcy pieniądze.

²⁵ Popularne w Stanach Zjednoczonych apteki (przyp. tłum.).

– Dzięki, stary – odparł tamten, ale Will był już poza samochodem i biegł.

Zwolnił na końcu ulicy, przy której stał jego budynek. Zebrał się już już mały tłumek, a dookoła roilo się od policjantów. Wrak jakiegoś pojazdu płonął tak intensywnie, że wiadomo było, iż został wysadzony w powietrze.

Stojąca na końcu ulicy karetka zabierała ciała podawane w workach przez pracowników medycznych.

Rozejrzał się z mocno bijącym sercem. Nie chciał zostać rozpoznany przez policję. Zabraliby go i chcieli przesłuchiwać. Strata czasu.

Jeden z policjantów przesłuchiwał po hiszpańsku jakiegoś zakutego w kajdanki ciemnoskórego mężczyznę.

Boliwijczyk lub Wenezuelczyk.

– *No puedes arrestar me. Tengo inmunidad diplomática* – mówił. – Nie możecie mnie aresztować. Chroni mnie immunitet dyplomatyczny.

Willowi zrobiło się słabo. Miał rację, całkowitą rację i kompletnie go to nie cieszyło. Ten dureń przechwalał się paszportem dyplomatycznym. Debil przeniesiony tymczasowo z ambasady. Jego kierownik może go ustrzelić za takie jawne paplanie na ulicach.

A gdzie jego ludzie? Wszyscy nie żyją? Spojrzał na worki z ciałami. Melissa, święty Boże, zostawił ją tam, uwięzioną jak szczura?

Czyjaś ręka szturchnęła go w ramię. To Moishe. Miał zabandażowaną rękę. Moishe był jednym z jego najlepszych ludzi w tym budynku, starym znajomym. Will płacił mu hojnie za dowodzenie ochroną i nigdy nie zadawał pytań. Dał znak głową i obaj odeszli spokojnie wzdłuż ulicy.

– Weszła kobieta z jakimiś dwudziestoma blaznami. Policyjne mundury, nakaz rewizji, samochód, wszystko wyglądało na czyste. Ale nie było.

Will przytaknął. Przyjął do wiadomości, że czasami się to po prostu wie.

– Byliśmy uzbrojeni. Oni mieli lepszą broń. Pistolety maszynowe. Większość z naszych nie żyje, a nam udało się chyba załtwić ośmiu czy dziewięciu.

– Masz dostęp do mojego rachunku maklerskiego – wypłać rodzinom po milion dolarów. Być może będę musiał uciekać.

Moishe nawet nie mrugnął. Wiadomo było, że Will Hyde zastrzeży się o wszystkich, nie musieli sobie niczego wyjaśniać.

– OK.

– Czy Melissa nie żyje?

– Kiedy przesłuchiwali naszych, wymknąłem się na górę. Całą winą obarczyli tamtych za te ich fałszywe identyfikatory. Kobieta

zniknęła. Nie mogłem tego zrozumieć, bo przecież ochraniailiśmy windę i schody.

Will myślał przez chwilę.

– Zsyp jest pionowy i wyłożony stalowymi panelami.

– Przyssawki albo magnesy.

– Kurwa – Will przeklinał samego siebie, wypadł już z obiegu. – W takim razie to świetnie zbudowana kobieta. Zawodowiec światowej klasy. Myślę, że to Lola Montoya.

– Żartujesz.

– Tak sędzę.

Moishe zastanowił się.

– Boże, człowieku! Kogoś ty wnerwił?

– Ty mi powiedz, Moishe.

– Przepraszam. No dobra, dostała się na drugie piętro, a potem wsiadła do windy podczas strzelaniny. Poszedłem tam. Otworzyła drzwi mieszkania laserem, cała stal była stopiona.

Lola była warta swojej stawki.

– Ale Melissa zniknęła.

– To niemożliwe.

– Nie było śladów krwi w mieszkaniu i nie ma takiej szansy, żeby zabrała ją na dół. Will, ona musiała skoczyć z dachu na ten mały blok z boku.

Will gapił się na niego.

– Ty chyba nie mówisz poważnie?

– Nie ma innej drogi. Obszedłem mieszkanie z bronią. Niko-go nie było. Poszedłem do wjazdu na dach – miałem broń w rękę, byłem wściekły. I widzę tam tę sukę, jak się rozgląda i nie może w to uwierzyć. Zaczynam strzelać. Mówię ci, ale była zaskoczona. Prawie ją miałem. Rzuciła się przez chwilę, a potem uklękła na

kolano i zaczęła do mnie strzelać. Upadłem, a ona wtedy zrobiła zwrot i skoczyła przez tę szczelinę. Wylądowała na dachu i zwała. Strzelałem. Nie trafiłem, szefie. Przepraszam.

– Daj spokój, szchwana z niej sztuka.

– Skoro nie miała ze sobą twojej dziewczyny i nie było żadnego ciała, to przypuszczam, że domyśliła się, że tamta postąpiła tak samo. Pewnie jest już gdzieś daleko.

Will odczuł wielką ulgę przenikającą każdy fragment jego ciała. Aż zrobiło mu się prawie słabo. Najczystsza forma radości, komfort pewności, że nic się jej nie stało. Pomyślał, jak musiała być przerażona. Czy nadal miała lęk wysokości? Kiedy chodzili na spacerzy nad brzegiem morza, nie chciała nigdy iść obok niego, gdy podchodził zbyt blisko krawędzi klifu. Ale wiedziała, że nadchodzili, nie posłuchała go, opuściła mieszkanie i skoczyła nad szczeliną, by się ratować.

Wspaniale. Był dumny.

– Moishe, ją ścigają służby jakiegoś kraju lub krajów. Chodzi o coś związanego z jej ojcem. Myślą, że ona wie coś, czego nie wie.

– Co?

Will uśmiechnął się.

– Ja też nie wiem.

– Poważna sprawa, skoro wzięli Lolę.

– Dwudziestu drani w porządnie podrobionych policyjnych mundurach. To wielkie ryzyko. Piekielnie zależy im, żeby ją załatwić. Nie chcę, żeby jeszcze ktokolwiek ścigał moich ludzi. Powiedz wszystkim, żeby zrobili sobie dłuższą przerwę. Sto kawałków dla każdego z naszych. Zadzwoń do agencji i załatw normalnych ochroniarzy przy drzwiach.

Moishe przewrócił oczami.

- Otyli, dawni funkcjonariusze drogówki.
- Możliwe, ale przynajmniej nic im już nie grozi.
- W porządku.

W miarę jak mówił, wszystko zdawało się samo rozwiązywać.

– Zadzwoń do Boba Katza – był to jego główny adwokat i człowiek, do którego miał bezgraniczne zaufanie – i powiedz mu, że chcę sprzedać swoje udziały w Prospect. Wszystkie. Bank będzie teraz spółką publiczną.

– Dobrze.

– Każ mu zabrać z sejfów dokument nadający mu pełnomocnictwo. Ja znikam i będę szukał Melissy. Muszę zatrzymać tę całą maszynę.

- Jak zamierzasz to zrobić?
- Mam plan. Nie powinieneś go znać.
- Masz pieniądze i ubrania?

Will zastanowił się.

– Mógłbyś spakować mi torbę? I weź jakąś gotówkę.

Za rogiem znajdowała się tania restauracja.

– Idź coś zjeść – powiedział Moishe – przyniosę ci rzeczy.

Will podszedł do wiszącego na ścianie restauracji automatu i podniósł słuchawkę. To niezwykle, prawdziwy relikw. Dziś w wielkim mieście nieczęsto można było takie spotkać, ale na Manhattanie zostało ich jeszcze kilka. Ludziom wryły się w pamięć przeżycia z jedenastego września, gdy zamach na World Trade Center zniszczył anteny telefonii komórkowej. Do ocalałych na ulicach budek telefonicznych ustawiały się kilkumetrowe kolejki.

A ta restauracja zachowała własny aparat. Miał szczęście.

Wydobył kilka monet i zadzwonił do Olivii.

– Will! Gdzie ty jesteś?

– Olivio, oni wrócili. Próbowali zabić Melisę. Uciekła. Muszę ją odnaleźć. Wrócę najszybciej, jak się da, kochanie.

Usłyszał lekki, nerwowy szloch.

– Will! Niech się sama sobą zajmie. Nieźle jej idzie.

– Jest w wielkim niebezpieczeństwie.

– A ty nie? Poza tym musisz wrócić. Trąbią o tym w mediach.

Will zerknął na mały telewizor przytwierdzony w rogu restauracji, nastawiony na kanał informacyjny. Dźwięk był wyciszony, na dole przesuwiał się pasek z wiadomościami. Nikt tego nie oglądał; wszyscy zajmowali się swoimi kawami, burgerami i wielkimi talerzami makaronu. To robotnicza dzielnica, a restauracja była tania. Przychodzili tam na lunch pracownicy warsztatów i dozorczy, którzy raczej nie byli specjalnie zainteresowani CNN. Telewizję oglądano tu tylko podczas meczów.

– Widzę – powiedział.

Płonąca furgonetka. Jego budynek otoczony przez policję. Zestrzelony śmigłowiec. Worki z ciałami ładowane do karetki. Wyciszona rozmowa z przechodniem, który mówił bardzo szybko i wymachiwał pięścią.

– Policja chce z tobą rozmawiać. Dowiedzieli się, że jesteś tajemniczym właścicielem budynku.

– To żaden sekret, wszystko jest legalne.

Patrzył przerażony na ekran. Teraz widział tam własną twarz, w ciemnym garniturze, koszuli i pod krawatem. W tej chwili miał

na sobie strój do biegania i był nie do rozpoznania. A przynajmniej taką miał nadzieję. Za wszelką cenę musi unikać policji. Jak go przyszpila, to nie będzie bezpieczny.

– Chętnie z nimi porozmawiam, ale wcześniej muszę odnaleźć Melissę. Tamci wysłali dwudziestu paskudnych drani, by ją zabili, więc nie mogę czekać.

– Policja może odnaleźć Melissę. Najwyraźniej ty nie jesteś w stanie jej ochronić; powiedz im po prostu, co się wydarzyło i niech ją umieścą w areszcie prewencyjnym – nalegała Olivia.

Nie podobał mu się ten płaczliwy, nadąsany ton. Racja, nie była to dla niej komfortowa sytuacja, ale on tutaj próbuje uratować komuś życie.

– To dużo bardziej skomplikowane. Musisz mi zaufać, Olivio.

– Oczywiście że ci ufam, kochanie – powiedziała nieszczerze.

– Chcę tylko, żebyś wrócił.

Miała na myśli: „chcę nasze dawne życie z powrotem... „

– Po południu bank ogłosi sprzedaż akcji. Wszystkich. Nie zachowuję nawet minimalnych udziałów. Odchodzę na emeryturę, Livi. Weźmiemy pieniądze i będziemy podróżować po świecie. Musimy tylko zdecydować, gdzie będziemy wychowywać dzieci.

To zamknęło jej usta. Znał ją tak dobrze, że mógł niemal zobaczyć, jak bije się z emocjami. Posiadanie banku było prestiżowe, a on to utraci. Ale sprzedaż jego dziewięćdziesięciu procent udziałów uczyni z niej żonę jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce. Olivia była bywalczynią salonów; Will wiedział, że zdawała sobie sprawę, iż te wszystkie jej przyjęcia i kolacyjki stawały się dla

niego nie do zniesienia. Ale podróżowanie po świecie dałoby jej okazję do ponownego zabłyśnięcia. Stroje z domów mody w Grand Cassino w Monte Carlo... skąpana w diamentach na balu maskowym podczas karnawału w Wenecji... jedna czy dwie premiery filmowe w Cannes.. Dzień Dam podczas Royal Ascot ²⁶ ...

²⁶ Royal Ascot to tradycyjne brytyjskie wyścigi konne, podczas których jeden dzień nazwany został Dniem Dam. Z całego kraju przyjeżdżają kobiety, prezentując wymyślne nakrycia głowy, (przyp. tłum.).

– Chciałabym podróżować – zgodziła się. – Moglibyśmy pojechać na roczny miesiąc miodowy dookoła świata...

– Zajmę się tym.

– Ale przecież nie będzie cię tutaj, byś mógł sprzedać udziały...

– Wszystkim zajmie się mój prawnik. Nie martw się.

Wykazywała niezwykle zainteresowanie drobiazgami związanymi z jego fortuną. Może to naturalne. Ale i tak mu się to nie podobało. Im szybciej wyciągnie Olivię z tego towarzyskiego światka, im szybciej zaczną podróżować tylko we dwoje, tym lepiej.

Will doskonale zdawał sobie sprawę z dystansu, jaki powstał między nimi, odkąd zniknął, szukając Melissy.

Olivia była jego towarzyszką, troszczyła się o niego, rozśmieszała go. Czy teraz, gdy się oświadczył, zaczął dostrzegać jej drobne wady i uciekał od zobowiązań? Czy to możliwe, że ona tak się zmieniła? – zbeształ sam siebie za to pytanie. To on się zmienił. Nie ma co jej obwiniać.

– Wyjedziemy, gdy tylko wrócę. Dokąd tylko chcesz.

Roześmiała się.

– Do kościoła, wziąć ślub.

Zachichotał, choć poczuł się nieswojo. Dlaczego tak naciska? Przecież się oświadczył. Czy aż tak bardzo zależało jej na legalnym dostępie do jego fortuny?

„Nie” – powiedział sobie.

Co to ma być? Poprosił ją o rękę. Złamie jej teraz serce, potraktuje ją, jak kiedyś Melissa Elmet potraktowała jego? Nigdy. Ta cała sytuacja odbijała się na nich wszystkich. Wróci do Olivii. Ożeni się z nią.

– Jeśli tego właśnie chcesz, to tak zrobimy.

Za oknem restauracji parkował przy ulicy motocykl. Widział jak zsiada z niego Moishe i zdejmuje kask.

– Muszę kończyć. Mogę się nie odezwać przez dzień czy dwa, ale wszystko jest w porządku.

– Dobrze, skarbie. Zrób, co do ciebie należy – Olivia była uspokojona, znów oddychała normalnie. – Wracaj do mnie szybko, kochanie.

– Pa – powiedział.

Posłała mu całusa i rozłączyli się. Starał się nie odczuwać ulgi. Miał już wystarczająco dużo roboty bez tego całego emocjonalnego zamieszania. Robił się już na to za stary. Gdy był młody i gniewny, stanowił idealnego kandydata do służby. Sierota, bez żony i rodziny – książkowy przypadek. Bliscy tylko osłabiali i uwrażliwiali. Bywali celem wroga i spowalniali człowieka. Zony narzekały na nieobecność w domu. Przynajmniej nie miał jeszcze dzieci.

Na zewnątrz Moishe, zauważywszy go, machnął nieznacznie ręką. Will podszedł do lady, zapłacił, zmusił się do pozostawienia jedynie skromnego napiwku. Nie może zwracać na siebie uwagi. Na ulicy przyjaciel podał mu kask i złożoną czarną, skórzaną kurtkę. Will od razu się ubrał.

– Najlepszy sposób na wydostanie się z miasta – powiedział Moişe.

Will przytaknął. Sprytne. Kask motocyklowy całkowicie zakrywał twarz i nikt nawet nie spojrzął na niego dwa razy.

– Czyj to motor?

– Mojego młodszego brata. Leviego. Jest mniej więcej w twoim wieku. Pracuje w marketingu w General Electric.

Prawo jazdy jest w tylnym kufrze – wzruszył ramionami.

– Kupimy mu nowy.

Moişe był znany w Mossadzie; umiał podrobić każdy dokument.

– Tak, poznałem go – byli podobnego wzrostu i budowy, obaj ciemnowłosi; to wystarczy. – Dzięki.

– W kufrze są rzeczy i dziesięć tysięcy w dziesiątkach i dwudziestkach.

– Świetnie.

– Jeśli odezwiesz się do mnie z trasy, to pokieruję cię do ludzi, którzy mogą pomóc, gdziekolwiek byś był.

Oczywiście mieli swoich uśpionych szpiegów w całych Stanach – czy to w czasach wojny, czy pokoju.

– Nie będę w kontakcie. To są grube ryby. Niedługo zaczną mieć na oku wszystkich, których znam. Wyjedź z miasta.

Przyjaciół przytaknął niechętnie. Nie było sensu się sprzeczać; Will Hyde był jednym z najlepszych. Dał sobie radę. Moişe wychylił się i podał mu rękę. Zanim Will wsiadł na motocykl, Moişe już zniknął.

Will odpałił i skierował się ku mostowi George'a Washingtona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Lola nie była zadowolona. Ta angielska suka uciekła. Była inteligentna i odważna, a to marna pociecha dla Loli. Melissa była nikim, tylko nauczycielką historii. Lolę, która załatwiła senatorów, prezydenta, zdjęła czterech łajdaków z KGB, przechytrzył nie tylko William Hyde, ale i ta jego nic nieznacząca dziwka.

Co gorsza, widział ją jeden z ludzi Hyde'a. Z pewnością teraz ją zidentyfikują.

Nie miała ochoty na ten telefon, ale musiała to zrobić. Zadzwoiła do Dymitra, swojego szefa od tej roboty, i przedstawiła skrót wydarzeń.

Cisza po drugiej stronie była gorsza niż wyzwiska i krzyki.

– To się zawsze może zdarzyć każdemu z nas – powiedziała Lola. – Będę nadal ją ścigać.

– Może powinnaś zwrócić zaliczkę – odparł.

Potraktowała tę propozycję z odpowiednią pogardą. Był wściekły i Lola знаła tylko jeden sposób, by to załatwić.

– Nie możesz sobie poradzić z cywilem – drwił.

– Jeśli sądzisz, że jestem tak kiepska w te klocki, to możesz spróbować być moim następnym celem – wysyczała. – Zobaczmy, czy pójdzie ci tak dobrze. Mogę się ulotnić w dziesięć sekund i nawet nie myśl o wysyłaniu swoich ludzi. Mogę się w każdej

chwili odwrócić i cię znajdę, Dymitr. Wytropię cię. Bez zaliczki.

Milczał, pełen nienawiści. Wzajemna wrogość wisiała w powietrzu. Zmieniając tok rozmowy, podczas której spodziewano się po niej, że będzie się podlizywać, Lola przeszła do konkretów.

– Zrozum: ta kobieta jest dobra – samorodny talent, a on jest ekspertem. Ściągnąłeś do tego rzeszę innych agentów i żadnemu z nich też się nie udało, mimo że Hyde otwarcie defilował po Nowym Jorku.

Westchnął. Faktycznie tak było.

– Nie mam specjalnego instynktu terytorialnego. Uruchomiłeś śpiących agentów, niech działają. Przekaż im wieść. A właściwie wieści – on też zniknął. Szuka go policja w sprawie tego budynku.

– Zniknął, żeby ją ratować? Wielki mi John Wayne – zakaszał. – To akurat najmniejszy z jego problemów. Za kilka dni znajdzie się na dnie.

– Mam na podłuchu telefon jego prawnika. Gość otrzymał pełnomocnictwo do podejmowania decyzji. Bank wchodzi na giełdę – cały bank. Jego udziały idą jutro pod młotek.

– Tak szybko?

– Rynki wariują, ale tak. Najwidoczniej, kiedy już się na coś decyduje, to tak robi. Sam bank niewiele dla niego znaczy – podziwiła Hyde'a za to; potrafił się odciąć, a to bardzo ważne dla agenta.

– To się jeszcze okaże, gdy jego udziały staną się bezwartościowe.

Lola wątpiła, by Dymitr był w stanie do tego doprowadzić, ale nie sprzeczała się. Atakami finansowymi zajmowali się goście od

kasy, ona dysponowała bardziej przyziemnymi umiejętnościami.

– Dopóki gdzieś nie wylądują, jestem w kropce. Twoi ludzie muszą ich namierzyć.

– Nie ma sprawy – zapewniał Dymitr.

Zaangażował już w tę sprawę służby z ponad dwunastu krajów. Niektóre działały bez zgody ich rządów. To dawało mu gigantyczną sieć szpiegów i śpiących agentów – jego własny, czarny Interpol. Mogli obstawić każdy terminal autobusowy, stację kolejową – nawet te najmniejsze. Gdy tylko gdzieś się wynurzą, zostaną namierzeni. To era Internetu i tradycyjnych technik obserwacyjnych. W każdym centrum handlowym były kamery, w wagonach Amtraku i przy bankomatach. Will Hyde i Melissa Elmet byli nieźli, ale byli też rozdzieleni i walczyli z czasem.

– Ścigaj ich – powiedział Dymitr. – Będziesz jedną z wielu.

„W porządku – pomyślała Lola. – Może sobie przydzielać tylu ludzi, ilu sobie chce, ale to i tak ja zabiję”.

Melissa chwyciła swoją dietetyczną colę i hot doga i ruszyła za tłumem. Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Zgodnie z planem kupiła czapkę – to dobrze, wyglądała teraz jak jedna z wielu kibiców. Trudno będzie ją wypatrzeć, nawet jeśli mieli tu ludzi, co wydawało się nadzwyczaj mało prawdopodobne. Na jakąś godzinę czy dwie była bezpieczna.

– Ej, ty! – zawołała, machając do niej, gruba, czarnoskóra kobieta w uniformie.

Melissa o mało nie wyskoczyła ze skóry. Nie znosiła, gdy ją zauważano i zaczepiano.

– Bilet.
– Oczywiście – Melissa wyciągnęła bilet z kieszeni i podała jej.

– Trybuna odkryta – powiedziała kobieta z szyderczym uśmiechem na ustach. – Tylko nie próbuj wnieść tam jakiegoś alkoholu.

– W porządku – odparła Melissa, nie chcąc wdawać się w pyśkówkę. Poszła dalej.

– Nie przejmuj się – tuż obok szedł młody mężczyzna w czapeczce Red Soxów. Fani Jankesów krzyczeli i buczeli na niego, co było w sumie dobrym znakiem, naturalnym. Lepsze to niż brytyjskie boisko. – Nie cierpi cię, bo jesteś laska.

Melissa zarumieniała się. Dzieciak miał pewnie jakieś dwadzieścia sześć lat, dobre kilka lat młodszy od niej. Nie przywykła do tego, by przypadkowi obcy ludzie odbierali ją jako atrakcyjną. A w szczególności młodszy faceci.

Kupiła najtańszy bilet z możliwych. Opłata za taryfę i napiwek to prawie dwadzieścia dolców, czapka też była droga. Nie miała karty kredytowej, żadnego sposobu na uzyskanie większej sumy. Nie była jak Will, który pewnie przeżyłby kilka dni, jedząc jakieś szczury czy coś takiego. Musiała oszczędzać pieniądze do momentu, aż dotrze gdzieś, gdzie zdoła znaleźć pracę.

Myślała już o tym i podjęła decyzję. Kelnerka. Często zatrudniali na czarno, jeśli pracowało się za mniej niż minimalna stawka. Byłaby przeschęśliwa, mając anonimową robotę i zarabiając marne grosze. Jeśli będzie zmywać i czyścić podłogi w jakiejś nędznej, włoskiej kafejce, to pozwolą jej jeść za darmo. Mogłaby co wieczór zabierać resztki. Pewnie zdołałaby utrzymać rozsądną dietę. Wszystko, co tylko pozwoli jej przetrwać tę nienormalną

sytuację, w której się znalazła. Na myśl o tym, że jeszcze tydzień temu była na Oksfordzie i przygotowywała zajęcia, chciało jej się śmiać.

W tym czasie skontaktuje się z Willem i da znać, że jest bezpieczna. Przynajmniej tyle była mu winna.

Ten mecz był schronieniem – kilka godzin normalnego, amerykańskiego życia: ze słońcem na twarzy, hot dogiem i dietetyczną colą. Jeśli opuści stadion wraz z tysiącami innych fanów, też będzie bezpieczna w tłumie.

A co potem?

Melissa spojrzała na chłopaka w koszulce Red Soxów i nagle ją olśniło. Skoro Will tak mógł, to czemu nie ona?

Przestawiła się na jako taki amerykański akcent.

– Hej, dzięki – wyciągnęła rękę. – Jestem Lisa.

– Brad – odpowiedział zachęcony. – Jesteś tu z kimś?

To była szansa. Wzięła głęboki wdech i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

– Nie. Właśnie zerwałam z chłopakiem.

– Przykro mi – powiedział Brad, wcale tak nie myśląc.

– Niepotrzebnie – przypomniała sobie mecz, który widziała poprzedniego wieczoru. – I tak był fanem Metsów.

Brad roześmiał się.

– Czyli chyba mógł się dupek tego spodziewać.

Melissa uśmiechnęła się. Najwyraźniej kilkudniowa nauka baseballu przydała się. Zarówno drużyna Red Sox, jak i Jankesi nie znosili Metsów. Ona i Brad bardzo dobrze się rozumieli.

– Czym się zajmujesz? – zapytał Brad.

– Byłam nauczycielką angielskiego, ale rzuciłam to. Zrobiłam sobie trochę wolnego – Melissa klepnęła plecak. – Będę podróżować po Ameryce, taka hippisowska wycieczka, o jakiej zawsze marzyłam.

Brad rozpromienił się. Melissa widziała, że nie może uwierzyć, że udaje mu się ją poderwać. Sprawiała radość temu amerykańskiemu chłopakowi, który naprawdę sądził, że była niezłą laską. Że była piękna. Zwróciwszy na to uwagę, zdała sobie też sprawę z tego, że sporo innych mężczyzn gapilo się na nią, przechodząc obok.

Podobało jej się to. Nie wzbudzała takiego zainteresowania od czasów, gdy była nastolatką, od czasów Willa – to pierwszy raz. Zabawne, jak uciekanie przed śmiercią może sprawić, że człowiek staje się tak żywotny. Melissa zrozumiała, że tak naprawdę sprawiała jej to wielką przyjemność. Spojrzała na Brada z wdzięcznością. Żałowała tylko, że Will nie może jej takiej zobaczyć...

„Nie ma sensu myśleć w ten sposób” – podpowiadał jej rozsądek, ale nie mogła się powstrzymać. Taka była prawda, tego chciała. Chciała wykazać się przed Willem, żeby przynajmniej zapamiętał ją jako atrakcyjną.

– Kurczę, słonko, to może pójdziemy gdzieś razem? – zapytał Brad. – Jeśli nie masz żadnych planów po meczu.

Wzruszyła ramionami.

– To właśnie jest ten wielki plus: jestem wolna i nie mam żadnych planów.

– Jeśli jeździsz stopem, to może chcesz wpaść do Bostonu? Przyjechałem ze znajomymi. Mamy samochód.

O Boże! Była ocalona.

– A znajomi nie będą mieli nic przeciwko? – zapytała niewinnie.

– No co ty! Nie, gdy zobaczą, jaka jesteś słodka. Poza tym, to mój wóz.

Był z czterema innymi gośćmi i dumnie przedstawił im Melisę. Ona uśmiechała się i pozwalała sobie na nieco kokieterii. Wypili kilka piw, śmiali się, droczyli i szturchali Brada, ale wszystko po przyjacielsku. Odmówiła zdjęcia okularów, a ponieważ dzień był słoneczny, nie naciskali zbyt mocno. Red Sox wygrali, co wprawiało chłopców w doskonały nastrój. Dokuczali jej podczas wyjeżdżania z parkingu. Naprawdę mieli duży samochód – Melissa prawie nie mogła uwierzyć we własne szczęście. W środku był bałagan, wałały się resztki z torebek po chipsach i puszki po wiśniowej coli, ale był to najprzyjaźniejszy pojazd, w jakim kiedykolwiek była. Brad klepnął w fotel pasażera i poprosił, by siadła z przodu, czym wywołał u przyjaciół salwy śmiechu.

Wyjazd z miasta poszedł gładko.

Nikt ich nie zatrzymał, nikt nie robił problemów. Zatrąbiło kilku napotkanych po drodze fanów Red Soxów, jacyś zwolennicy Jankesów rzucili przekleństwami. Wszystko tak cudnie normalne. Byli wielkimi fanami baseballu, to było widać – takimi, którzy zapamiętywali graczy i ich statystyki. Z tyłu wozu mieli zamontowany telewizor, na którym oglądali DVD z najważniejszymi akcjami z World Series z 2004 roku.

Brad był dobrym dzieciakiem, koncentrował się na prowadzeniu auta, ale umiał też nawiązać rozmowę. Czy oglądała mecz z mistrzostw w 2004, kiedy przełamali kłatwę? Nie? Tego wieczoru

było całkowite zaćmienie – księżyc skąpany był w bostońskiej czerwieni.

– Kiedy Doug Mientkiewicz przejął piłkę od Foulke, to nadal był czerwony, wiesz?

Melissa przyznała, że nie wiedziała.

Brad zapytał o nią. Powiedziała, że była opiekunką i nauczycielką angielskiego, że udzielała prywatnych lekcji bogatemu francuskiemu biznesmenowi z Upper East Side. Została po wygaśnięciu wizy, więc była tu nielegalnie, ale znajdzie pracę jako kelnerka, coś wymyśli. Brad spytał, czy była Australijką. Melissa wymyśliła rodzinę z Canberry.

Amerykanie naprawdę czasem nie odróżniają akcentów.

Gdzie zatrzyma się w Bostonie?

„W hotelu – pomyślała – gdzieś, gdzie jest tanio”.

Miała trochę pieniędzy, więc da sobie radę. Brad zasugerował YWCA na Berkeley Street; będzie mogła dzielić pokój z jakimiś innymi studentkami za dziesięć dolców za noc. Bez klimatyzacji, więc trochę duszno, ale trudno. Nie można mieć wszystkiego...

Przyznała mu rację. Brad spytał, jak długo spotykała się ze swoim chłopakiem. Melissa spędziła nieco czasu w tym swoim fikcyjnym związku. Dan, jej były, okazał się niezłym draniem. Brad bardzo jej współczuł. W tej chwili był prywatnym trenerem, ale planował zaciągnąć się do armii. Może miałyby ochotę spotkać się czasem na kawie? Może by miała. Zaoferował, że ją podwiezie. Nie, to żaden kłopot wozić ładną dziewczynę na oczach kumpli.

Dała mu do tego pełne prawo.

Melissa śmiała się. Polubiła Brada i była mu niezmiernie wdzięczna. Dobrze było wiedzieć, że świat pełen jest fajnych,

porządnych ludzi, chcących pomóc. Nie każdy był zabójcą z bronią; żyły też porządne dzieciaki z porządnych rodzin, które miały zamiar zarobić pieniądze, pobrać się i wychować swoje dzieci na kolejnych porządnych ludzi. Cieszył ją optymizm tego chłopaka i miała nadzieję, że mu się poszczęści. Nie zamierzała narażać go na niebezpieczeństwo, zostając z nim dłużej, niż było to konieczne.

Dotarli wreszcie do Bostonu. Wrzawa przycichła do poziomu cichej satysfakcji. Brad jeździł jakiś czas po schludnych przedmieściach, rozwożąc przyjaciół. Żegnali się z nią, dając sygnały ruchami brwi i życząc mu szczęścia. Melissa aż się zarumieniła – dzięki nim ona też czuła się młodo. Brad zawiózł ją do centrum i wskazał schronisko młodzieżowe. Podniosła plecak z podłogi auta i wzięła od niego numer telefonu. Wysiadł z samochodu i stał obok, nieco zakłopotany.

– Nie masz jakiegoś numeru do siebie?

– Jestem tu nielegalnie. Nie chcę, żeby gliny mogły mnie namierzyć.

Wyglądał na przybitego.

– Nie odezwiesz się już więcej, prawda?

– Nie wiadomo – odparła. – Jesteś bardzo miły.

– Żaden facet nie chce usłyszeć czegoś takiego od pięknej kobiety. *Miły* to taki gwóźdź do trumny.

– Jestem dla ciebie za stara.

– Pozwól, że ja to ocenię – powiedział brawurowo.

Uśmiechnęła się. Bardzo nie chciała go zawieść – była wdzięczna za podwiezienie i wywiezienie z Nowego Jorku. Wdzięczna, że dwudziestosześcioletek uważał, że jest piękna.

Odłożyła plecak i pozwoliła się pocałować. Brad wykorzystał szansę. Silne ramiona otoczyły jej delikatną figurę. Całował ją długo, mocno przyciskając ją do siebie.

Odsunęła się dopiero, gdy zaczął się podniecać.

– Cześć – powiedziała. – Dziękuję.

– Jesteś nie z tej ziemi, piękna damo – powiedział, po czym wsiadł do furgonetki i odjechał.

Melissa weszła do schroniska. Była na nie za stara, ale wyglądała jak studentka, więc i tak dostała pokój. Była już późna noc. Na łóżku w rogu pokoju spała już jakaś dziewczyna. Melissa wzięła prysznic i położyła się. Kompletnie wykończona, zasnęła niemal natychmiast.

Will siedział przy stoliku w ogródku Barge, restauracji serwującej owoce morza na Front Street w Perth Amboy, pięćdziesiąt kilometrów od granicy stanu Nowy Jork. Patrzył nad wodą w kierunku Staten Island. Było ciemno, a w tafli wody pobłyskiwało światło ulicznych lamp. Wieczór był nieco chłodny, ale jedzenie wyborne. Jadł smażonego kraba za 20 dolarów i 95 centów i popijał z butelki budweisera. Smakowało mu to bardziej niż którykolwiek z tych wytwornych posiłków, jakie jadł ostatnio z Olivią. Cieszył się, że jest w New Jersey – tu było tak spokojnie. Na końcu ulicy znajdował się pensjonat, w którym zamierzał nocować.

Alkohol rozluźnił go po ciężkim dniu. Skóra na brodzie swędziała i musiał się ogolić, ale nie zamierzał tego robić. Mała bródka sprawi, że większość ludzi nie będzie w stanie go rozpoznać. Zawodowcy to co innego. Martwił się o Melissę. Nie mogła zapuścić brody. Wyrzucał sobie, że nie nauczył jej niczego o uciekaniu, nawet podstaw. Jeśli zauważyła, jak on zachowywał się, gdy

byli razem, to prawdopodobnie wiedziała, by nie używać kart kredytowych.

Chciał ją odnaleźć. A potem...

Nie mogli wiecznie uciekać. Będzie musiał wrócić, Olivia miała rację. Will rozważał swoje możliwości, delektując się krabem i pozwalając, by alkohol uwalniał go od nerwowych skurczów i podsuwał rozwiązania.

Wkrótce będzie miał pieniądze. Zawrotną sumę. Będzie w stanie odszukać tego, kto zatrudnił Lolę i być może go przekupić. Ale nie, w grę wchodziły rządy jakichś krajów, a te są praktycznie nie do kupienia.

Może zatrudnić ochronę dla Melissy. Znaleźć jakąś prawdziwą twierdzę i napakować tam wojska. Niestety – to też niewykonalne. Ona już powiedziała, że nie zostanie. A nawet gdyby została, to pewnego dnia ktoś skusiłby się na łapówkę, zaniedbał obowiązki, stracił czujność. Nie ma sposobu na długotrwałą obronę.

Mogła uciekać i uciekać aż to, za czym tamci tak gonią, straci na ważności. Ale Will nie sądził, żeby i ten scenariusz był realny. Melissę Elmet ścigali zawodowi mordercy, których reputacja ucierpi, jeśli ona pozostanie przy życiu. Dlatego wciąż będą ją tropić. Lola Montoya była nieugięta. Nigdy się nie poddawała. Była jedną z niewielu kobiet, co do których miał pewność, że przechodziła tortury i nigdy nie pękła. To przypadek aroganckiego socjopaty. Będzie dążyć do zabicia Melissy, nawet bez ceny za jej głowę.

Will nigdy w życiu nie zabił kobiety. Nigdy nawet nie uderzył. Zaczynał myśleć, że będzie trzeba to zmienić.

„Musi być jakieś wyjście” – pomyślał.

Upił łyk piwa i spojrzął na czerwono-niebieskiego świetlnego kraba, będącego symbolem restauracji. Jedzenie było znakomite. Musi być jakieś wyjście. Życie Melissy było dla niego istotne. Sam fakt, że obmyślał, jak uchronić ją przed śmiercią, był na to najlepszym dowodem.

Znajdzie ją i zabierze ze sobą. Uda się do miejsca, gdzie zginął jej ojciec, gdzie straciła kontakt z tym dupkiem. Dowie się, czego takiego Melissa ma nie wiedzieć i nagłośni to, jak tylko się da.

Tak. Tak właśnie zrobi.

Usunie motywację do jej zabójstwa. Naturalnie można się spodziewać zemsty, ale na to też coś poradzi. Przyda się rozgłos. Jeśli ją zamordują, to ktoś za to odpowie. Upił jeszcze łyk, zadowolony z siebie. Wszystko zaczynało układać się w całość. Wiedział, że ten plan jest nieprawdopodobnie trudny, ale i tak musi zostać wykonany. Bo nie było innego wyjścia.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęło się to całe zamieszanie, Will Hyde odwrócił swój analityczny, błyskotliwy szpiegowski tok myślenia od Melissy ku jej ojcu – wspólny wątek. Powinien był zrobić to wcześniej. Teraz dotarło to do niego z całą mocą.

Richard Elmet był starym, napuszonym durniem, ale bezsprzecznie inteligentnym, choć nie odniósł zbyt wielu sukcesów, nawet w pracy akademickiej. Był na Oksfordzie, ale nie udało mu się stanąć na czele uczelni ani dostać się do All Souls ²⁷. Żaden amerykański uniwersytet nie próbował go podkupić, kusząc pokaznym czekiem i stałym zatrudnieniem... Cóż takiego mógł zrobić, czym naraził się tylu ludziom?

²⁷ Kolegium Uniwersytetu w Oksfordzie zrzeszające profesorów uniwersytetu. Przynależność do tego kolegium uważane jest za największe wyróżnienie w brytyjskich kręgach naukowych (przyp. tłum.).

Zapyta o to Melissę.

Wszedł do środka, zapłacił gotówką i podjechał motocyklem pod pobliski niewielki pensjonat. Mieli wolny pokój, a ponieważ nie był pijany i miał pieniądze, wynajęli mu go bez problemów. Pokój był mały, czysty, z pojedynczymi łózkami i małym prysznicem. Ciepła woda pod prysznicem była niezwykle przyjemna. Moishe nie spał żadnych drobiazków, więc Will nie miał piżamy.

Na rano miał dzinsy i czarną koszulkę Jacka Danielsa.

Moishe wybrał ciuchy nadające się na motocykl. Dobrze było pracować z zawodowcami.

Will umył zęby i położył się. Było jeszcze wcześnie, ale chciał wstać skoro świt. Tak robił jego prawnik. Melissa do niego zadzwoni. Być może nie miała pojęcia, jak się z nim skontaktować, ale była mądra. Czuł, że ona coś wymyśli. Jeśli będzie trzeba, zostawi mu wiadomość w centrali Virginian Prospect. Gdy ona spróbuje się z nim skontaktować, on będzie gotowy na odnalezienie jej. Bo gdy tylko zadzwoni do niego, oni się o tym dowiedzą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

O ósmej rano Will wybrał numer.

- Mówi Bob Katz.
- Tu Will. Posłuchaj mnie i nic nie mów.
- OK.
- Wydali nakaz aresztowania na mnie?
- Jeszcze nie.
- To dobrze. Musisz założyć, że twoje telefony są na podsłuchu. Sprawdzaj je codziennie, jeśli możesz.
- Cholera, Will. Dobrze.
- Sądzę, że do banku zadzwoni moja znajoma.
- Już dzwoniła, dziesięć minut temu.

Will aż zamrugał oczami.

– Dzwoniła do ciebie? Ona nie wie, kto jest moim prawnikiem.

– W *Journal* ukazała się dziś rano wiadomość o sprzedaży Prospect. Przeglądała gazetę, szukając wiadomości o tobie. No i zadzwoniła do mnie.

„A niech to” – pomyślał Will z uznaniem.

Naprawdę była szybka w podejmowaniu decyzji. Mądra, bardzo mądra dziewczyna.

– Jest w Bostonie. Powiedziała, że możesz do niej zadzwonić pod numer automatu: 8575557834.

Will natychmiast rozłączył się i wybrał numer.

– Halo? – zgłosiła się po pierwszym sygnale.
– Melisso, to ja.
– Will – powiedziała, niemal płacząc z radości. – Will.
– Kochanie, świetnie sobie poradziłaś. Posłuchaj, na pewno podsłuchują rozmowy Boba, będą mieli namiary na ten telefon. Uciekaj, Melisso!

– Dokąd? – spytała, nie sprzecząc się.

Uwielbiał ją za to. Myślał pospiesznie.

– Powiedziłaś, że zawsze chciałaś to zobaczyć, Missy. Pamiętasz?

Zwierzyła mu się wtedy na łąkach w Oksfordzie, kiedy się oświadczył. Nie chciał być okrutny, ale musiał wymyślić coś, co na pewno będzie pamiętała. Tylko ona o tym wie. To było tylko między nimi i żaden nadajnik o największym zasięgu na świecie nie będzie w stanie odczytać jej myśli.

– Tak, pamiętam – odparła po chwili. – Pamiętam doskonale.

– Jadę po ciebie. Nie ma mnie w Massachusetts, zajmie mi to trochę czasu, ale jadę. Pamiętaj.

– Będę tam, Will. Jeśli będzie trzeba, to zniknę stamtąd, ale wrócę.

– Uciekaj – nakazał. – Teraz!

Rozłączyła się. Założył kask, wsiadł na motocykl i ruszył na pełnym gazie w kierunku New Jersey Turnpike.

Już byli coraz bliżej. Każda drobnostka sprawiała, że byli bliżej. Telefon do prawnika Willa. Melissa nie traciła czasu na uzalanie się. Miała rower ukradziony wczesnym rankiem ze schroniska i nawet nie czuła wyrzutów sumienia. Jak trzeba, to trzeba.

Kłębiły się w niej emocje: strach, do którego zaczynała się przyzwyczajać; radość, bo usłyszała głos Willa; strata, bo odszedł

i za chwilę ożeni się z inną; podekscytowanie, bo niedługo tu będzie.

Ale siadając na rower, ruszając z miejsca i wprowadzając w ruch swoje mocne mięśnie unoszące ją teraz szybciej, niż zdołała by biec, Melissa myślała przede wszystkim o celu swojej podróży.

Pewnie, że pamiętała. Siedzieli na trawie przy rzece, z dala od drogi prowadzącej na uczelnię, a ona bawiła się stokrotką i piła jakieś tanie wino z plastikowego kubeczka. Był gorący, słoneczny dzień i Will był tam z nią, a życie wydawało się tak perfekcyjne. I pamiętała, że jeszcze zanim się oświadczył, postanowiła zapamiętać tę chwilę na zawsze, jak film – młodość i jej rozkosze.

Mówił o jakimś koncercie, który widział – uczelniany chór wykonujący oratorium *Judas Maccabeus*. Czas spędzony na Oksfordzie pozwolił mu na obcowanie z kulturą i obycie towarzyskie – luksusami, które ona miała na co dzień, a do których on nie miał żadnego dostępu, dorastając w skrajnej nędzy w domu dziecka. Była w nim za to radość życia, która tak działała na Melissę. Nudzili ją muzycy klasyczni, a on zgłębiał ich twórczość. Poszła w jego ślady i znów pokochała tę muzykę, bo chciała zrobić mu przyjemność. Jeśli on lubił Handla, to ona też mogła.

– W Bostonie jest zespół Handel and Haydn Society – powiedziała, chcąc się popisać. – Jeden z najstarszych w Ameryce. Grają w Symphony Hall. Powinniśmy się kiedyś wybrać.

Przysunął ją do siebie i pocałował niespiesznie.

– I tak zrobimy, bardzo chciałbym jechać do Ameryki.

– Ja też – powiedziała z błyskiem w oku.

A teraz zaśmiała się. Jechać do Ameryki – chciała tego, odkąd pamięta, nawet jako dziecko, zanim poznała Willa. Nigdy jednak nie sądziła, że będzie to akurat taka wycieczka.

Serce jej przyspieszyło podczas pedałowania, nie tylko z wysiłku. Melissa pamiętała ten pocałunek. Pamiętała każdy z nich. I ten dzień.

Ale on też pamiętał.

Przyszło jej do głowy, że on pewnie tylko wykorzystywał tamte jej słowa. Ona pielęgnowała w sercu wspomnienia każdej sekundy tego dnia, dnia, gdy się oświadczył. Ale to samo robił Will Hyde.

Przez te wszystkie lata, i w wojsku, i w życiu na walizkach, i w tej błyskawicznej wspinaczce po szczeblach kariery; po tych wszystkich modelkach i damach z wyższych sfer, i okładkach gazet, i limuzynach.

On wciąż pamiętał.

Starła się nie robić sobie zbyt dużych nadziei. Cóż mogło być bardziej druzgocącego? Ale było to strasznie trudne. Skoro Will to pamiętał... musiało mu zależeć, a nawet coś więcej. Czy on ją... czy on mógł ją kochać... ?

Jechała dalej. Nie ma sensu od razu jechać do Symphony Hall. On nie był nawet jeszcze w Massachusetts. Może mu to zająć jeszcze parę godzin i pewnie tak właśnie będzie. Pojedzie gdzie indziej, w mało popularne miejsca, gdzie nie będą jej szukać. Była w centrum miasta, na Park Street. Znajdował się tam ładny kościół z czerwonej cegły, zakończony białą iglicą. Melissa zsiadła z roweru, oparła go o barierkę – nie miała żadnej kłódki. Gdy wróci, roweru już nie będzie, ale to nie szkodzi. Niewykluczone, że będzie go szukać policja. Pójdzie pieszo, przemieszczając się od

kościół do restauracji, do sklepu, trzymając się na uboczu i po-
mału kierując się na Massachusetts Avenue. Będzie cierpliwa.
Świeciło słońce, a za niewielkie pieniądze można się całkiem nie-
źle najeść. Powoli sączyła kawę. Dobrze jej zrobi uklęknięcie
wraz z innymi wierzącymi i spędzenie chwili na modlitwie. A
miała o co się modlić.

Gdy Will tu dotrze, ona już będzie gotowa.

Droga do centrum Bostonu powinna zająć ponad cztery godzi-
ny. On był tam w mniej niż trzy. Przejechał przez Manhattan,
przeslizgnął się przez Connecticut, lawirując w korkach. Ależ
fantastycznie było mieć motocykl. Dojeżdża się na nim w miejsca,
gdzie samochód nie ma szans. Zapewniał idealną anonimowość i
wolność dzięki omijaniu korków.

Szybciej już nie mógł jechać.

Motocykl był świetny, posłuszny. Po paliwo zatrzymał się tyl-
ko raz. Zdążył zjeść kanapkę, łyknąć wody i skorzystać z toalety i
w mniej niż pięć minut znów siedział na motorze. Do tej przerwy
też właściwie się zmusił, ale dbanie o siłę i o odpowiedni poziom
cukru też miało znaczenie.

Melissa czekała, a oni już jej szukali. Gniew Olivii, problemy
w banku, nowojorska policja; wszystko stało się mało ważne i
liczyła się tylko Melissa. Nie tracił czasu na zastanawianie się.
Myśli krążyły wokół czegoś innego. Sposobu. Będą obserwować
każde lotnisko, ale nie było innego wyjścia. Nie chce po raz drugi
posługiwać się wojskowym samolotem.

Melissa wyszła z kawiarni, w której udało jej się spędzić ostat-
nie pół godziny nad miętową herbatą. Spojrzała na drugą stronę
ulicy...

Serce jej zamarło. Ktoś tam był. Swobodnie szwendający się mężczyzna, oglądający wysokie kolumny Symphony Hall, niczym turysta zastanawiający się, czy zrobić zdjęcie. Miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę. To Will. Wiedziała to, choć był daleko: budowa ciała, sposób, w jaki chodził. Wszystko tak znajome. Wrył jej się w pamięć.

Walczyła sama ze sobą. Chęć zawołania, podbiegnięcia do niego, była nie do zniesienia. Zwalczyła ją. Będą obserwowani.

Melissa przeszła przez ulicę, serce waliło jej mocniej niż wtedy, gdy w mieszkaniu usłyszała strzały.

„Jakie to żalosne – pomyślała. – W stylu panienki denerwującej się na widok faceta, którego nie może mieć, a wszystko to w momencie, gdy jej życie jest zagrożone”.

Ale to było bez znaczenia. Zdradzało ją jej własne ciało – już na sam jego widok zmiękły jej kolana. Musiała starać się, żeby tego nie zauważył. Mógłby zacząć nią pogardzać, gdyby się domyślił. Sił dodawała jej wyłącznie duma.

Tuż pod Bostonem zatrzymał się w sklepie motocyklowym i kupił dla niej zwykły kask i skórzaną kurtkę. Wybrał trochę dłuższą na wypadek, gdyby mieli spać na zewnątrz.

Motocykl stał za rogiem. Will otworzył kufer i podał jej kask z kurtką. Założyła je bez słowa. Wsiadł na motor i wychylił się do przodu.

– Jechałaś już kiedyś motorem?

– Nie – odparła, uśmiechając się nieśmiało. – Ale chcę spróbować.

Na Oksfordzie Melissa była cichą, pracowitą dziewczyną, obawiającą się własnego cienia. Will zwał to na jej okropnych

rodziców. Gdy namówił ją na pływanie łódką po rzece czy wspinanie się na starą kościelną wieżę Carfax, to wtedy jej się podobało, ale bez zachęty nie zrobiłaby tego.

Teraz wszystko się zmieniło.

– Pokaż mi, jak to się robi – powiedziała.

Zdumiewała go ta zmiana, która w niej zaszła. Faktycznie szybko się uczyła. Ufarbowała włosy – nie były już mysie i płaskie, ale soczyście rude z kasztanowymi odcieniami i pojedynczymi pasmami złotawego blondu. Jej własnoręczne cięcie było cholernie seksowne – nowa burza włosów, uwolniona od tego spłaszczającego je ciężaru, powiewała wokół jej wyraźnych kości policzkowych. Jej blada, angielska skóra była złocista. Wszystko, czego potrzebowała, znajdowało się w jego mieszkaniu, a ona z tego skorzystała. W sekundę zauważył, że jej ciało pracowało i to pracowało solidnie. Była smuklejsza, a talia i ramiona ładnie się odznaczały.

Zostawił ją tylko na kilka dni, a stała się zupełnie inną kobietą. Dużo bardziej atrakcyjną.

– Siadaj tutaj – odwrócił się do niej i sprawdził, czy ma porządnie zapięty pasek pod brodą. Cholera, dobrze wyglądała. I nie była to tylko kwestia włosów i opalenizny. Jej oczy błyszczały, skóra promieniała, wyglądała na tak niesamowicie pełną wigoru i życia, że pragnął porwać ją w ramiona i mocno pocałować w usta, aż do bólu.

Doskonale znał to uczucie. Paradoks tropionego. Można umierać ze strachu, działać pod przymusem, ale z każdym krokiem bez świstu kuli przy uchu człowiek cieszy się, że żyje – szczerze i euforycznie. Wykonywanie najbardziej przyziemnych czynności przepełnione było ogromną radością. Picie kawy czy nawet mycie

twarży. Życie było cenne. Człowiek uczył się delektować każdą jego sekundą. Znaleźli się tu razem w wyjątkowo nieciekawej sytuacji, ale miał też poczucie pewnej perwersyjnej przyjemności, jaką dawała mu ta chwila. Zdecydowanie wolał działać w zgodzie z samym sobą niż siedzieć w swoim biurze i analizować jakąś firmę z listy Fortune 500 dla jednego z klientów jego działu Fuzji i Przejęć.

Melissa spojrzała na niego, a on wyczuł jej wewnętrzną walkę. Nie mogła wytrzymać jego spojrzenia. Spuściła wzrok i zarumieniła się. Pragnęła go i miała to wypisane na całym swoim ciele.

Dzięki Bogu musieli uciekać. Nie wiedział, czy byłby w stanie się kontrolować.

– Obejmij mnie i mocno się trzymaj. Przysuń się porządnie.

Posłuchała. Czuł jej drobną sylwetkę, miękkość, jej ciało tak drobne przy jego muskularnych plecach. Zacisnął zęby – była tak ponętna.

– OK, pochyl się razem ze mną, nie walcz z tym nigdy, słuchaj moich ruchów. I trzymaj się mnie.

– Dobrze. Jedźmy – powiedziała stłumionym przez kask głosem. – Powiedz mi, dokąd jedziemy, na wypadek, gdyby coś się stało.

Miała prawo o to zapytać, a on nie zawahał się mówić jej prawdę. Zasłużyła sobie na to.

– Międzynarodowe Lotnisko Logan.

Will zapalił motor i ruszył w drogę. Teraz było bardziej niebezpiecznie. Tamci będą w Bostonie, szukają ich, tropią w wszystkich niewłaściwych miejscach – na stacjach kolejowych i przystankach tramwajowych. Przystudiują rezerwacje hotelowe,

ale będą też na Logan. Instrukcje będą brzmieć, by szukali współpracujących ze sobą mężczyzny i kobiety. Melissa przyłgnęła mocno do niego, gdy wyjeżdżali z miasta. Will starał się koncentrować na drodze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Mężczyzna miotał się w swoich więzach.

– Mmmmh. Mmmmhhh!

Oczy nad kneblem wyglądały na dzikie. Melissa skuliła się za nim totalnie przerażona.

– Will...

– Cicho bądź, do cholery – syknął na nią.

Kobieta szlochała, leżąc na brzuchu. Ręka Willa powędrowała wokół jej ust. Zręcznie związał koszulkę w knebel. Próbowwała jakichś ruchów samoobrony, kiedy ujrzała ciało jej kolegi związane i zakneblowane, z kolanami pod brodą i stopami związanymi ciasno razem.

Oboje byli całkiem silni, pracowali w magazynie Federal Express²⁸. Mieli uniformy w postaci jednoczęściowych kombinezonów oraz plakietki. Kombinezony i plakietki leżały teraz jeden na drugim u stóp Melissy.

²⁸ Amerykańskie przedsiębiorstwo o ogólnoświatowym zasięgu, zajmujące się dostarczaniem przesyłek oraz logistyką. Korzystają głównie z samolotów (przyp. tłum.).

Will zabrał się za każde z nich osobno. Przycisnął się za wózek widłowym. Najpierw zarzucił ręce na usta mężczyźnie, perfekcyjnie tłumiąc jego głos, drugą zaś ręką unieruchamiając go. W ten sposób odciągnął go od wejścia do gigantycznego magazynu.

Nikt niczego nie słyszał. Nikt się nie zainteresował. Melissa, leżąca płasko pośród długiej trawy, bała się nawet spojrzeć, ale Will poruszał się tak cicho, jakby był duchem. Mężczyzna nie miał żadnych szans. Był zakneblowany i związany, zanim Will poszedł po kobietę.

Byli dobrze ukryci w miejscu porośniętym wysoką trawą, przy nasypie za magazynem. Kobieta próbowała zastosować technikę karate i trafić Willa w splot słoneczny. Bardzo pouczające dla Melissy było obserwowanie, jak szybko powalił ją na ziemię i kazał milczeć. Trwało to wszystko sekundę i nie wymagało żadnego wysiłku. Melissa odniosła wrażenie, że kobiecie wydawało się, że była świetnie wyszkolona i umie walczyć. Jej mokra od łez twarz, przyciśnięta do ziemi, zdradzała absolutny szok, który zaraz potem przeistoczył się w przerażenie.

Miała zakneblowane usta, mężczyzna mamrotał coś do niej spod wciśniętego między zęby materiału. Will odciął kawałek sznura i związał jej dłonie z przodu, potem stopy nad skarpetkami. Nie byli nadzy – oboje na szczęście mieli na sobie koszulki, bieliznę, buty i skarpetki.

Kobieta miała jakieś trzydzieści pięć lat i nosiła figi, ale nie było sposobu na oszczędzenie jej tej niekomfortowej sytuacji.

Wydała z siebie błagalny dźwięk. Płakała i pociągała nosem. Melissa podeszła do Willa.

– Will, proszę – wyszeptwała. – Proszę... musimy to zrobić? Ich to boli.

– Niespecjalnie. Trzeba dokładnie zakryć im oczy, potrzebujemy czasu – odwrócił się do nich i powiedział: – Nie zamierzam was zabijać ani krzywdzić.

Mężczyzna jęknął z ulgą.

– Przykro mi; będzie to pewnie dla was nieco przerażające i nieprzyjemne, ale unieruchomiłem was, ponieważ potrzebuję czasu na wydostanie się z tego magazynu. Zadzwonię do waszego kierownika i powiem, gdzie jesteście, ale to dopiero za jakieś osiem godzin. Przed północą będziecie w domu. Dzień jest ciepły, ale jeśli przysuniecie się bliżej do siebie po zachodzie słońca, będzie wam ciepłej. Nie przemarzniecie, nie jest aż tak zimno. Przepraszam za te niedogodności, ale potem będziecie mogli sprzedać tę historię prasie.

Melissa spojrzała na niego z wdzięcznością. Kobieta przestała trząść się ze strachu i była teraz raczej oszołomiona, mrugała oczami, powstrzymując łzy. Mężczyzna za to był wściekły, próbował krzyknąć.

– Grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo – powiedział Will.
– Przykro mi.

Potem skinął na Melissę i odeszła za nim do małego, trawia-
stego zagajnika.

– Załóż to – rzucił jej kobiecy kombinezon FedExu i sam zaczął się rozbierać.

Melissa starała się nie patrzeć. Will miał niesamowite ciało – twarde i umięśnione, szeroką klatkę piersiową pokrytą szorstkimi, ciemnymi włosami. Musiał ćwiczyć każdego dnia, odkąd odszedł ze służby. Zmieszana odwróciła wzrok, mając nadzieję, że nie widział, jak się na niego gapi. Zdejmując przy nim dżinsy, czuła się strasznie skrępowana – nie było tam żadnej łazienki, zero prywatności..

Will zerknął na nią, a Melissa poczuła, jak omiółł ją wzrokiem, jeden raz. Potem odwrócił się do niej plecami.

– Pospiesz się – powiedział.

Wciągnęła ubranie i pozapinała guziki. Nie patrzył na nią. Głupio z jej strony, że poczuła się rozczarowana. Musiała wziąć się w garść – wzdychała do niego jak jakaś nastolatka.

– Gotowa. Gdzie teraz?

Will wyprowadził ją ostrożnie z zagajnika po ścieżce.

Motocykl czekał na nich niedaleko magazynu.

– Lotnisko. Musimy się dostać do Europy.

Melissa zaczynała rozumieć.

– Użyjesz tych uniformów, żeby przedostać się na lotnisko?

– Użyjemy ich, żeby dostać się na samolot. Na transportowy samolot FedExu – na jej twarzy wymalował się niepokój, więc uspokoił ją. – Wszystko w porządku, samoloty FedExu utrzymują ciśnienie do wysokości dwóch i pół kilometra. Będziemy w ładowni, może trochę trząść, ale będziesz zupełnie bezpieczna. Ze mną.

– Dobrze.

– Robiłem to już kiedyś – powiedział łagodnie – i nie miałem wtedy firmowego uniformu. Przedostaniemy się do Europy bez używania paszportów. Będziemy nie do namierzenia.

– Ale oni się zorientują.

– Tak. Gdy wylądujemy, zadzwonię do firmy, żeby uwolnili tamtych dwoje. Gdy tylko opowiedzą swoją historię lokalnym mediom, oni będą już wiedzieli, co się wydarzyło; zaczną szukać w każdym punkcie FedExu przyjmującym samoloty z Logan. Ale nas już nie będzie w tej okolicy. Już dawno nas tam nie będzie.

– A dokąd jedziemy?

– Jedziemy do Rzymu – odparł.

Melissa zarumieniała się – podekscytowanie, strach, ulga – sama nie była pewna, co czuła. Will pomału wyjaśniał tę układankę. To było jej jedyne wyjście, ale gdy tylko będzie bezpieczna, nigdy więcej go nie zobaczy.

– Na starą uczelnię mojego ojca?

– Twój ojciec znał kogoś, miał coś lub wiedział coś, przez co stał się ogromnie niebezpieczny dla wielu bogatych ludzi. Sądzą, że ty też możesz o tym wiedzieć. Myślą, że znasz sekret. Jedyne wyjście jest takie, żebyś faktycznie go poznała. Wtedy będziemy mogli zacząć negocjować.

Dotarli do motocykla. Melissa podniosła swoją czarną, skórzaną kurtkę i kask z rowu, gdzie je zostawili, i ubrała się.

– Jesteś pewien, Will?

– Pewien? Niczego nie mogę być pewien, ale to jedyna możliwość, jaką widzę.

– W takim razie tak właśnie muszę zrobić – powiedziała i usadowiła się za nim na motorze, ciesząc się, że ma wymówkę, by go objąć i móc trzymać się go kurczowo.

Porzucili motocykl, kurtki i kaski na tyłach terminalu towarowego. Will pogrzebał w kufrze i wziął tylko kilka rzeczy: – koperkę i szczoteczkę do zębów.

Melissa sięgnęła po swój starannie spakowany plecak.

Will chwycił ją za rękę.

– Zostaw to.

– Ale przecież potrzebujemy...

– Będziemy musieli zdobyć to, czego potrzebujemy. Jeśli masz jakieś pieniądze, to schowaj razem z paszportem w wewnętrznej kieszeni.

– Dobrze – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej i przez sekundę wydawało jej się, że pogłaszcze ją po głowie, po plecach, dotknie uspokajająco, ale powstrzymał się.

– Liczy się to, żebyśmy się stąd wydostali. Gdy jesteś w trasie, to uczysz się do niczego nie przywiązywać. Nawet do ludzi, a już z pewnością nie do rzeczy.

Westchnęła.

– Domyślam się, Will. Nie wiem, jak mogłeś to znosić. Ja niczego nie mam.

– Masz swoje życie. Wszystko inne można zastąpić. A teraz przestań się nad sobą uzalać i chodź za mną.

Nie musiał tego robić. Pomyślała, że musi być wdzięczna i nigdy nie może zapominać, jak bardzo dla niej ryzykował.

– Idę – powiedziała.

Samolot zatrzęsł się. Przerażona przylgnęła do ściany. Nie przypominało to zwykłego lotu, podczas którego jest się dobrze zapiętym na swoim fotelu, a śliczne stewardessy sprawdzają, czy wszystko jest należycie pozapinane. Stopy Melissy opierały się o twarde, metalowe prowadnice, którymi wyłożona była powierzchnia ładowni. To był ciężki samolot, wypełniony paletami. Wpadli prawie ostatni na pokład. Will wykorzystał okazję i dopadł ostatniego z bagażowych, zachodząc go od tyłu. Nie było szans, by widział, od kogo oberwał. Will zabrał mu portfel, pozorując motyw. Stojąca w cieniu Melissa z naciągniętą na uszy czapką pobiegła w kierunku wjazdu. Teraz byli już w środku. Nikt nie otworzył klapy, a samolot już zaczął się poruszać.

Czy on na pewno miał rację z tym ciśnieniem? Bo jeśli nie, byłaby to straszliwa śmierć. Jej zamrożone ciało dotarłoby do Paryża

wraz ze stosem nocnych przesyłek. Czy oni tu byli? A może ktoś ich widział, może zauważyli ich zabójcy, nawet jeśli nie udało się to ochronie lotniska...

Will dotknął ją i kazał się schylić; w dolnej ładowni gdzieś umieszczonych było kilka okien.

– Na wszelki wypadek – powiedział. – Ale jest w porządku, naprawdę. Nie ma ich tu.

Zadrzała; tam było tak głośno. W miarę, jak nabierali prędkości, czuła coraz silniejsze dudnienie kół. To nie była typowa sytuacja: siedziała w wielkim samolocie DC-11, mającym za chwilę wystartować.

Will chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

– Melissa, uspokój oddech. Wszystko jest w porządku.

– Nie jest... – panika wzmagająca się. Starła się ją zdławić, ale nie dawała rady. – Will...

– Ale nie będzie jak na tych filmach, co? – uśmiechnął się do niej, starając się uspokoić ją żartem. – Gdzie muszę dać ci klapsa za panikowanie?

Próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego urywany szloch. Samolot poruszał się teraz bardzo szybko, Ślizgali się i objali, podczas gdy samolot szykował się do startu. Nie mogła myśleć racjonalnie – to wydawało się niebezpiecznie i kompletnie przerażające. Żołądek podskakiwał jej przy każdym wstrząsie.

Przysunął ją do siebie i patrząc na nią, zmarszczył brwi. Serce jej waliło, łomotało, dudniło z przerażenia.

Przepełniał ją strach. Zaczęła się pocić i dyszeć.

– Nie mogę pozwolić ci krzyczeć – powiedział. – W kabinie nad tą drabiną są ludzie. Tu jest załoga pokładowa, jak w każdym innym samolocie, a w schowku mają broń.

Samolot towarowy zatrzęsł się i zakołysał. Melissa nie mogła się powstrzymać – jęknęła z przerażenia.

– Nie – powiedział stanowczo i odwracając jej twarz ku swojej, przysunął swoje usta do jej ust. Zakrył je, zanim zdołała krzyknąć.

Pocałował ją.

Melissa zeszywniała na chwilę zszokowana. On ją całował. Strach zniknął, jakby ktoś wylał na nią kubel lodowatej wody. Chciała go odepchnąć, ale tego nie zrobiła. Trzymał ją w swoich ramionach. Samolot zadrzał, poruszył się i wzbił w powietrze. Prawie tego nie zauważyła. Will trzymał ją tak mocno.

Trzymał ją nieruchomo, jej ciało przyciśnięte do jego. Rozedrgane serce zwolniło. Wciąż ją całował, przykrywając ustami jej wargi, dotykając twarzy.

Oblał ją rumieniec. Fala pożądania przeszła jej całe ciało. Brzuch, piersi, pachwiny, wszystko się naprężyło, każdy fragment jej ciała odpowiedział na jego pocałunek. Była dostępna i naprawdę rozpalona. Dotykała go gorącą skórą.

„Nie – pomyślała z trudem. – Nie”.

Nie wolno jej tego robić. Należał teraz do Olivii. Melissa jest w nim zakochana – może się do tego przyznać, ale nie stanie się jego ostatnim szaleństwem, przygodą na jedną noc...

Wyszarpnęła się, przerywając pocałunek. Wciąż ją obejmował. Odsunęła się, ale nie mogła się ruszyć, dopóki jej nie puścił.

– Co ty robisz? – zapytała.

– Przepraszam – poruszył się, uwalniając ją z uścisku. – Nie chciałem, byś wpadła w histerię. Musimy przez jakiś czas pozostać

niezauważeni. Zbyt łatwo mogliby zawrócić samolot.

– Rozumiem – usiadła wściekła na twardych, metalowych prowadnicach. – Po prostu uciszałeś histeryczkę. Bardzo skutecznie.

Usiadł przy niej. Odsunęła się nieco, nie mogła ryzykować dotknięcia jego ciała.

Milczał przez chwilę. Melissa czuła, jak do oczu napływają jej łzy upokorzenia. Patrzyła ze złością w jednym kierunku.

– Ten pocałunek to nie pokuta – powiedział. – Nie chciałem przestać.

– Nie naśmiewaj się ze mnie – odparła.

– Naśmiewać się? – zaśmiał się krótko. – Naśmiewać się. Z twoim wyglądem, Melisso, tym, co robimy? Ja ledwo mogę... ledwo mogę oderwać od ciebie wzrok.

Odwróciła się do niego.

– Nienawidzisz mnie – szepnęła. – Nienawidziłeś latami.

– Już cię nie nienawidzę. Lubię cię – mógł to powiedzieć, to była prawda, nie była to totalna zdrada Olivii; lubił ją, Boże, i to jak bardzo. – Nie jesteś tą kobietą, która tkwiła w mojej głowie. Byłaś twarda, piekielnie dzielna. Jesteś niesamowita. Tak pełna życia.

– A ty jesteś zakochany w Olivii Wharton – powiedziała, chcąc brzmieć stanowczo, ale głos ugrzązł jej w gardle. Nie mogąc znieść swej słabości, odwróciła się do niego plecami i położyła. – Nie dotykaj mnie, Will, nie prześpij się z tobą. Zbyt wiele nas łączyło. Jesteś zaręczony z tą kobietą. Jeśli nie mogę być twoją żoną, nie będę dla ciebie nikim.

- Melisso...
- Do Paryża jeszcze daleko, spróbuję się przespać.

Zamknęła oczy, nie bacząc na łzy, które z nich popłynęły. Może nie zauważył. Oczekała kilka sekund, ale nic nie powiedział. Samolot wpadł w lekkie turbulencje, ale jej było już wszystko jedno. Całe jej ciało pulsowało pożądaniem i uczuciem, niczym drżąca pod smyczkiem struna skrzypiec. Ciemność zapewni nieco odosobnienia, pozwoli odzyskać spokój, powstrzymają przed zwróceniem się ku niemu i błaganiem, by pocałował ją raz jeszcze. Miała w sobie determinację. Leżała bez ruchu i starała się odwrócić swoją uwagę, myśląc o sposobach wydostania się z Paryża. Po jakimś czasie pożądanie osłabło i zapadła w niespokojny sen.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Will dotknął jej ramienia.

– Obudź się. Obudziłaś się już?

Siadła natychmiast wyprostowana, po czym zerwała się na równe nogi.

– Hola, nie bij mnie – powiedział Will, uśmiechając się szeroko.

A tak. Zamrugła oczami. Samolot obniżał lot. Czuła, jak opada.

– Będziemy lądować. Naturalnie nie chcemy tu być, kiedy bagażowi otworzą właz, dlatego opuścimy się przez podłogę samolotu. Przy kołach są drzwiczki.

– Brzmi niebezpiecznie.

– Bardzo niebezpiecznie. Jak mawiają stewardessy, trzeba odczekać, aż samolot zupełnie się zatrzyma. Poruszające się koła mogą cię zaczepić i zabić bez najmniejszego problemu.

Melissa przytaknęła. Odczuwała ogromną ulgę, że Will mówił o rzeczach praktycznych.

– Czyli ty schodzisz pierwszy i mnie złapiesz?

Podszedł bliżej.

– Jasne. Jeśli mi ufasz.

– Nie za bardzo mam wybór – odparła, wyglądając przez okno.

Delikatnie chwycił ją za podbródek. Wstrzymała oddech. Odwrócił jej głowę w swoją stronę tak, że musiała na niego spojrzeć. Kolana ugięły się pod nią.

– Missy, musimy porozmawiać.

Nie było wątpliwości, jakie miał intencje.

– Na miłość boską – wyjąkała; samolot zatrząsł się, otwierając podwozie. Potknęli się, ale Will podtrzymał ją za ramię. – Uciekamy z tego lotniska w nadziei, że nie ostrzelają nas uzbrojeni francuscy żołnierze. Nie mamy teraz na to czasu.

– Dziś wieczorem – powiedział. – Gdy tylko dotkniesz lądu, idź za mną. Wiem, dokąd się udać.

– OK – wyduсила z siebie Melissa.

Samolot wylądował. Kołował, delikatnie gubiąc prędkość. Starła się skupić. Sprawa była poważna, to wszystko było poważne, znajdowali się we Francji, byli przestępcami, kradli i napadali...

Ale dla niej nie liczyło się nic, nie istniało nic na świecie poza jego spojrzeniem, pożądaniem, które znów dało o sobie znać, wzbierało niczym przypływ.

Była całkowicie zakochana w Willu. Zakochana ponownie... być może. A może nigdy nie przestała go kochać. I jakkolwiek ból ją czeka, jakkolwiek poranione będzie jej serce, gdy on ożeni się z inną, po prostu nie była w stanie okłamywać się ani chwili dłużej. On to zauważył. Umiał w niej czytać jak w książce. No to trudno. Przeszła już etap zamartwiania się, etap upokorzenia, etap, kiedy starała się być silna.

Samolot w końcu się zatrzymał. Kucający przed nią Will odczekał sekundę, po czym bez wahania otworzył właz zabezpieczający, ułożył dłonie po bokach i zeskoczył. Melissa pospieszyła za

nim. Był już na ziemi i czekał na nią. Ona również się nie zawahała. Skoczyła.

Złapał ją bez problemu, jakby nic nie ważyła, i postawił na ziemi.

– Idziemy tam. Rozmawiaj ze mną, jakbyśmy byli zwykłymi pracownikami. Jeśli będzie ci się wydawało, że ktoś nas obserwuje, zacznij się ze mną kłócić. Wkurzaj się.

– To będzie łatwe.

Ruszył, a ona wraz z nim, z czapeczką nasuniętą na oczy. Zaczęła paplać coś o europejskich lotniskach i planowanych lotach. Mając ograniczone pole widzenia, zauważyła tylko, że szli pomiędzy olbrzymią liczbą samolotów FedExu. Doszli do krawędzi drogi kołowania i minęli grupę kobiet i mężczyzn w podobnych uniformach, w garniturach, mundurach lotniczych, strojach tragarzy. Melissa nie patrzyła na nikogo. Była z Willem i po prostu ciągle mówiła. W każdej chwili spodziewała się poczuć czyjąś dłoń na ramieniu, usłyszeć czyjś krzyk czy strzał ostrzegawczy. Ale nic takiego się nie wydarzyło i po niecałej minucie Will wprowadzał ją spokojnie z parkingu na główną ulicę.

– Nie przestawaj iść.

– OK, dokąd idziemy?

– Wychodzimy z lotniska. Do małego miasteczka Roissy-en-France. Są tam głównie hotele lotnicze, ale też kilka sklepów i barów. Tylko kilka kilometrów marszu. Jedna chwila.

Na poboczu stał automat telefoniczny. Will wybrał kilka cyfr, chyba jakiś kod, pewnie firmowy. Słyszała, jak spokojnie opowiada o dwójce pracowników Federal Express. Kilkakrotnie powtarzał wszystko powoli. Upewniwszy się, że został dobrze zrozumiany, rozłączył się i ruszył dalej.

Przeprowadził ją przez ruchliwą ulicę, obok kilku głównych hoteli lotniczych. Na rogu znajdował się bank; wszedł do środka, postąpił w kolejce i wyszedł z plikiem euro. Melissa trzymała się z boku. Nawet przez moment nie wyglądał na zagubionego, był taki zdecydowany. Po wyjściu z banku jedynie skinął na nią – delikatny ruch głową. Zauważyła, że wchodzi do dużego, francuskiego supermarketu, Carrefour Express. Szedł szybko, nie konsultując z nią niczego i kupując tanie artykuły pierwszej potrzeby. Z wieszaków wybrał ubrania dla ich obojga, nie pytając ją o nic. Widziała, że dobrał idealny rozmiar. Wystarczyło mu, że tylko na nią spojrział. Zapłacił, zagadnął sprzedawczynię płynnym francuskim. Melissa zarumieniła się i trzymała na uboczu. Nie miała odwagi się odezwać.

– Co teraz?

Podał jej torbę.

– Za rogiem. Jeszcze kawałek i jest niewielka wioska. Znam tam pensjonat. Przyjmują gotówkę i nie zadają zbędnych pytań.

Roissy było schludne i stosunkowo niewielkie jak na miasteczko z lotniskiem. Melissa zauważyła kolorowe domki i pomalowane okiennice. Miejsce, które wskazał Will, znajdowało się na uboczu, przy małej uliczce i nowocześnie wyglądającym kościółku. Ziewając, wszedł do środka, potargował się z gburowatym facetem w recepcji i podał mu kilka banknotów. Mężczyzna dał mu klucz, nawet na nich nie patrząc. Ruszyli wąskimi schodami pokrytymi wyblakłym, kwiecistym dywanem. Drzwi na samej górze

były obdrapane i brudne, ale gdy je otworzył, dwuosobowy pokój okazał się być całkiem spory i czysty. W malutkim pomieszczeniu z okienkiem znajdowały się prysznic i ubikacja.

– Powiedz, proszę, że teraz mogę się przebrać – wyszeptała Melissa.

Miała na sobie czyjś uniform, spała w nim, a teraz ciuchy śmierdziały.

– Jasne. Ogarnij się. Trzymaj – otworzył torby i podał jej szczoteczkę i pastę do zębów, maszynkę jednorazową, mały dezodorant, grzebień i szampon.

– Cudnie – powiedziała, ściskając rzeczy.

To zadziwiające, jak takie drobnostki mogą stać się największym luksusem.

– Pamiętałeś o wszystkim.

– Robiąc takie rzeczy, trzeba wyglądać normalnie. Pozwolisz sobie na zaniechanie i ludzie od razu cię zapamiętają. Człowiek czysty i schludny niczym się nie wyróżnia i o to chodzi.

Podał jej ubrania na zmianę: tanie dżinsy, koszulkę i sweterek.

– Tam są już ręczniki, ale wielkości chusteczki do nosa.

Skinęła głową i pośpieszyła do malutkiej łazienki, rozpinając uniform. Przez małe, wysoko osadzone i popękane okno świeciło słońce. Okno było otwarte, aby para wychodziła na zewnątrz. Melissie było to obojętne. W łazience wszystko działało i była gorąca woda. Wolałaby kąpiel, ale rozkosznie, po prostu rozkosznie było móc się umyć, czuć jak oczyszczają się twarz i włosy, gorąca woda zmywa brud i stres. Wykąpała się, sprawnie umyła włosy, po czym rozczesała je. Później wyszczotkowała zęby i

porządnie wyprała bieliznę i skarpetki w odrobinie taniego, hotelowego mydła. Może sobie wyschnąć, podczas gdy ona będzie nosić rzeczy kupione przez Willa. Nie było przesady w tym, co powiedział o rękawiczkach, które rzeczywiście były małe i twarde, ale Melissa zadowolona była tym, co miała. Wytarła się szybko i założyła nowe ubrania. Tak dobrze się w nich czuła – czyste i świeże – lepsze niż najlepsza sukienka, na którą mogła sobie pozwolić.

I dobrze w nich wyglądała. Śmiesznie tanie ciuchy, ale szyte dla Francuzek; była wystarczająco szczupła i silna, by te drobne ubranka przylegały ściśle do jej ciała. Wyglądała elegancko i porządnie.

Gdy wyszła, Will siedział na łóżku, rozmawiając przez telefon po francusku z prędkością karabinu maszynowego. Kupił lokalną gazetę, która leżała otwarta na narzucie, łóżka. Melissa pochylała się; zadzwonił pod kilka numerów z prywatnych ogłoszeń wypożyczalni samochodów.

– *Oui, nous y serons, à tout à l'heure* – powiedział i rozłączył się. – Zaraz wracam – zwrócił się do niej, idąc pod prysznic.

Melissa spakowała się starannie. Wyjeżdżali do Paryża. Nie będzie żadnej rozmowy. Żałował tego pocałunku, tego fantastycznego, cudownego pocałunku. Cokolwiek to było, już minęło. Próbowowała sobie wszystko jakoś logicznie poukładać w głowie, ale fala emocji całkowicie ją wykończyła. Czekwała, przeczesując palcami włosy, by wysuszyć je w ten sposób. Lokalna gazeta rozpisывała się o burmistrzu małego miasteczka, aresztowanym za korupcję, i o zamknięciu lokalnego szpitala. Przeczytała, próbując poćwiczyć swój francuski, ale słowa tylko prześlizgiwały się przed

jej oczami. Nie mogła się skupić. Czuła znużenie.

Drzwi łazienki otworzyły się z trzaskiem. Melissa o mało nie wyskoczyła ze skóry. W jednej ręce Will trzymał starannie złożone brudne ubrania, a na sobie miał tanią, niebieską koszulę i poliestrowe spodnie. Nic nie mogło zatuszować jego wyglądu – ciemnych włosów, muskularnych ramion i klatki piersiowej. Ciemne włoski na brodzie były przycięte, ale nie zniknęły całkowicie; za dzień czy dwa będzie z tego prawdziwa broda.

Dziwnie wyglądał z brodą. Równie przystojnie.

Spojrzał na jej zdziwioną twarz.

– Kogo ty się spodziewałaś?

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała cicho, podnosząc gazetę.

– Chodźmy.

Will podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

– Do Paryża pojedziemy autobusem. Kupię samochód. Zatrzymamy się w O'Meara's nad Sekwaną, sprzedają tam sprzęt turystyczny. Stamtąd pojedziemy na południe w stronę Szwajcarii.

– OK.

– A gdy tylko wsiądziemy do samochodu, będziemy musieli porozmawiać. Ale najpierw wynieśmy się stąd.

Will poruszał się szybko. Widziała, że był zmęczony. Nie miała pojęcia, jak długo spał w tym samolocie. Nie zatrzymywał się jednak. Samochód okazał się starym, poobijanym, ale wciąż sprawnym renault espace. Facet targował się z Willem, a potem sprzedał go za kilkaset euro. Zatankowali benzynę i kupili kilka butelek wody. Melissa wsiadła za kierownicę, a Will udał się do sklepu turystycznego. Wyszedł z niego z solidnymi zakupami i

wrzucił wszystko do bagażnika. Całą drogę powrotną do Roissy przemilczeli. Will pozbierał w pokoju wszystkie ich zakupy i zostawił klucz na stole w recepcji. Nie było nikogo z obsługi. I bardzo dobrze.

Patrzyła, jak wsiada do samochodu. Po opuszczeniu wioski skierowali się na południe. Wkrótce byli już na autostradzie – wielkiej, szarej, idealnie anonimowej – gdzie samochody rozwijały piekielne prędkości.

– Co zrobimy, gdy dotrzemy do granicy? – spytała Melissa nieśmiało.

– Zwykle nie sprawdzają paszportów, gdy jedzie się samochodem. Bardzo rzadko się to zdarza. A jeśli się zdarzy – wrzucił ramionami – to coś wymyślimy.

– OK.

– Melisso.

Wstrzymała oddech, słysząc ten ton głosu. O Boże. Nie zniesie tego. Nie da rady.

– Posłuchaj, nie musisz nic mówić, Will. Rozumiem. Działamy pod presją, to był błąd, za chwilę będzie po wszystkim, a tym masz narzeczoną, do której wrócisz. Nie mówmy o tym. Zachowałam się niestosownie.

– Melisso, z następnego miejsca postoju zadzwonię do Olivii.

– Musisz jej o tym powiedzieć? – zapytała Melissa, czując, jak ogarnia ją poczucie upokorzenia. Pozostała jej tylko świadomość, że Will jest jedynym, który widział, jak była słaba. – Telefonowanie do niej jest niebezpiecznie, prawda? Mogą cię namierzyć.

– Muszę zaryzykować. Ma prawo wiedzieć i to natychmiast. Odwołuję zaręczyny. Będzie załamana – westchnął. – Czuję się

jak skończony sukinsyn. Nie zrobiła nic złego, ale ja jej nie kocham i nie mogę tak żyć. Nie mogę się z nią ożenić, więc muszę to załatwić jak najszybciej. Jeśli będą podsłuchiwać, dowiedzą się, że ją zostawiłem, a wtedy prawdopodobnie będzie bezpieczniejsza. Powiązania ze mną są niebezpieczne.

Melissa oparła głowę o zagłówek. Otworzyła usta, ale nie wydobyla żadnego dźwięku.

– Zraniłaś mnie, zniszczyłaś – powiedział niskim i pewnym głosem, patrząc na drogę. – Zrujnowałaś wszystko, w co wierzyłem. Byłaś moim słońcem, księżycem, gwiazdami, jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miałem i to właśnie ty mnie zdradziłaś.

Po jej policzkach popłynęły łzy. Nawet na nią nie patrzył.

– Musiałam.

– Nic nie musiałaś. Nawet nie spróbowałaś przekonać swojej matki. Nawet nie sprawdziłaś, czy mówiła prawdę – zacisnął palce na kierownicy. – Zostawiłaś mnie, zdradziłaś. Nie walczyłaś o mnie, Missy. Ani przez chwilę.

– A ty mnie ukarałeś, tak? – Melissa odezwała się, kipiąc ze złości. – I to nieźle mnie ukarałeś. Byłam młoda! Słaba. Może powinnam była się im przeciwstawić, ale nigdy nie dałeś mi szansy tego naprawić. Dzwoniłam, nigdy nie odebrałeś, ignorowałaś moje listy, po prostu wyjechałeś, do cholery. Byłeś tak zadufany w siebie, Will! Cholernie dobrze się zabezpieczyłeś, żebym nie mogła cię odnaleźć. Dzwoniłam na twoją uczelnię, pytałam przyjaciół, upokarzałam się, szukając cię na mieście. Ale ty wyjechałeś. Zniknąłeś i nigdy nie wróciłeś, nigdy nie zadzwoniłeś, nie okazałeś litości ani razu, Will. Ty bezwzględny, uparty draniu! Boże,

nienawidzę cię! Wiesz, przez ile lat płakałam w poduszkę? Tak to jest, gdy życie właśnie się kończy! Równie dobrze mogłeś wciśnąć mnie do więzienia, bo ty zniknąłeś, by zbawiać ten cholerny świat i zarabiać te swoje miliony, a ja się dławiałam, dławiałam każdą isierkę nadziei, przez lata! Kochałam cię, tak strasznie cię kochałam! A ty pochowałeś mnie żywcem!

Jego palce zbieleły. Spojrzał na nią przesywającym wzrokiem. Melissa nie była w stanie znieść tego spojrzenia.

– *Kochałaś?* – powiedział – Ty wciąż mnie kochasz, Melisso. Kochasz mnie. Pragniesz. Czuję to za każdym razem, kiedy cię dotykam.

– A nawet jeśli, to co? – odparła. – Nie umrę z powodu złamanego serca, jak ci się wydaje. Nawet jeśli mnie nienawidzisz, jakoś to przeżyję.

Dodał gazu i zaśmiał się, czym ją zaskoczył. Zaśmiał się radośnie.

– Ja ciebie nie nienawidzę, głuptasie. Ja cię kocham. Sądziłem, że już mi minęło. Najwyraźniej się myliłem.

Melissa spojrzała na niego z niedowierzaniem. Autostrada mięła tuż obok niej.

– Mówisz poważnie?

– Dlaczego tak naprawdę po ciebie przyjechałem? Wmawiałem sobie, że to mój obowiązek, ale prawda jest taka, że nie mogłem znieść myśli o tym, że coś ci się stanie, że zginiesz. Kiedy cię zobaczyłem... byłaś inna, Melisso. Wyglądałaś na przytłoczoną życiem, rozczarowaną.

Zniknęło całe piękno.

– Tak myślałam – powiedziała, ale tak naprawdę było jej już wszystko jedno. On ją kochał. Nie liczyło się nic więcej.

– Gdy cię zobaczyłem, prawie mi ulżyło. Może ten obraz, który miałem w głowie, to tylko moje wyobrażenie. Może byłem zakochany w mojej wizji, nie w tobie. Może mógłbym pójść dalej, ustatkować się, ożenić z Olivią i być z nią szczęśliwy, a nie tylko sądzić, że już najwyższa pora zrobić coś z życiem.

– Och, Will...

– A potem zaczęliśmy uciekać. Chciałem cię pocałować już w pociągu, pierwszego dnia. W Rotterdamie było mi trudno. Nie wiedziałem, czy jesteś na mnie obrażona, czy mnie nienawidzisz, ale pragnąłem cię.

Zakręcił lekko kierownicą i odwrócił się do niej z uśmiechem.

– A potem, po jakimś czasie, zauważyłem, że mnie pragniesz, Melisso i nie możesz się powstrzymać.

– Ty arogancka świnió – powiedziała, uśmiechając się.

– Wiesz, że to prawda. Byłem ze zbyt wieloma kobietami. To sprawiło, że jeszcze bardziej pragnąłem ciebie. Walczyłem sam ze sobą – wcisnął gaz, lawirując między pasami. – Czy byłaś bardzo namiętna, z mężczyznami?

Zaczerwieniła się.

– To osobiste pytanie.

– Przecież to ja – odparł. – Będę ci zadawał wszelkie osobiste pytania, na jakie będę miał ochotę.

– Był tylko Fraser – przyznała. – Uważał, że jestem zimna.

Znów się zaśmiał.

– Zimna? Ty? Jesteś najbardziej rozpaloną dziewczyną, jaką kiedykolwiek trzymałem w ramionach.

Jej twarz znowu zalał rumieniec. Słuchanie, jak mówi do niej w ten sposób, sprawiło, że jej ciało przeszło dreszcz pożądania.

– Byłam wtedy dużo młodsza – zaprotestowała.

– Nie szkodzi. Nawet jeśli, to teraz będziesz jeszcze bardziej rozpalona. Długo czekałaś.

– Powinam...

– Co powinnaś? Wiesz, jak będziemy teraz spać?

Pokręciła przecząco głową.

– W namiocie. Przy drodze, pod drzewami, jeśli jakieś znajdę. Blisko rzek i strumieni. Nie będą się tego spodziewać. Będą nas tropić przez rezerwacje hotelowe i będą wydzwaniać do swoich ludzi w służbach policyjnych, by przeszukiwały pomniejsze rezydencje i pensjonaty. A liście drzew sprawią, że nie wykryją nas przez satelity ani z helikopterów.

– OK.

– Więc będziesz ze mną w namiocie, skarbie. Tylko my. Nikogo w promieniu kilku kilometrów. A ja co noc będę odbierał sobie należność za każdy wieczór, jaki musiałem spędzać bez ciebie.

Will zdjął jedną rękę z kierownicy i swobodnie położył na jej kolanie, po czym przesunął ją ku niewielkiemu zarysowi jej brzucha. Czuł żar i pragnienie.

Melissa niemal załkała z pożądania.

– Nie możemy się zatrzymać?

Zabrał rękę.

– Chcę wyjechać z Francji. Oni już nas ścigają, będą węszyć w placówkach FedExu przyjmujących loty z Logan. Jedźmy w jakieś bezpieczne miejsce. I muszę zadzwonić do Olivii. To ona tu jest ofiarą.

– Tak – powiedziała Melissa. – Sądziła, że zostanie twoją żoną. Biedna dziewczyna – dodała czule.

– Mogłaby być moją żoną tylko w obliczu prawa.

– Co takiego?

– Zdobyłaś tylko cywilne unieważnienie. Nie masz tego od pastora, prawda?

„Zwrócił na to uwagę – pomyślała – naprawdę zwrócił na to uwagę”.

– No, nie.

– W takim razie możemy załatwić te cywilne procedury, Melisso, a ty nadal jesteś moją żoną.

Chciała go pocałować, przytulić, ale musiała poczekać.

Pędzili tą autostradą prawie z graniczną prędkością. Jacyś potężni ludzie chcieli jej śmierci, ale Melissa nie zważała na to. Była odrodzona. Była prawie nieprzytomna z miłości i radości oraz przerażającego, najzwyczajszego, zwierzęcego pożądania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Olivia Wharton siedziała w salonie w domu Willa, usiłując zachować zimną krew i spokój. Skrzyżowała swoje długie nogi odziane w pończochy Wolforda i patrzyła chłodno na policjanta. Ubrana była w starannie szyty na miarę oliwkowy kostium od Prądy, jej ciemne włosy były porządnie wymodelowane, a na twarzy miała dopasowany makijaż – cudną paletę brązów i odcieni śliwkowych. Na podłodze leżała pikowana torebka od Chanel, a na nogach miała czółenka Louboutin z czerwoną podeszwą. Jej wielki brylantowy pierścionek błyszczał w delikatnym świetle porcelanowych lamp.

Wystroiła się od stóp do głów. W uszach tkwiły wspaniałe kwiaty z jadeitu i szmaragdu, które oczywiście pasowały do kostiumu, a na szyi intensywnie błyszczał sznur pereł z południowego Pacyfiku, wielkości szklanych kulek. Jej cały strój kosztował kilkakrotnie więcej niż wypłaty trzech siedzących przed nią osób razem wzięte.

- Czyli nie miała pani od niego żadnych wiadomości?
- Już panu mówiłam – odburknęła. – Nie śledzę mojego narzeczonego. Jego praca wymaga podróży po całym świecie.
- Proszę odpowiedzieć jeszcze raz – powiedział starszy detektyw.

Pieprzone gliny! Myśleli, że mogą sobie machnąć nakazem, a ona miała teraz sobie z tym radzić. Cholerny Will i ta jego głupia, brzydka, brytyjska cizia. Gdy tylko Will wróci, już ona na pewno się zbuntuje. Niech sobie kogoś zatrudni do szukania jej. Gwiazdy Hollywood miały ochroniarzy. Ona też mogła mieć.

– Nie – skłamała. – Nie miałam od niego wiadomości. Czy ja potrzebuję adwokata?

Spojrzeni po sobie.

– Nie wiem, proszę pani. A potrzebuje pani?

– Nie zrobiłam nic złego.

– W porządku, ale musi pani wiedzieć, że pomaganie zbiegowi jest złe.

– Zbiegowi – powtórzyła Olivia powoli.

To miał być jej moment chwały, tydzień świetności. Złapała najlepszą partię w całym towarzyskim świątku Nowego Jorku. A oni mówili teraz o Willu, jak o jakimś pospolitym przestępcy?

– Pan Hyde jest zbiegiem? Popęłnił jakieś przestępstwo?

– Komisja Papierów Wartościowych i Giełd oświadczyła, że badają nieściskości finansowe w Virginian Prospect Bank.

– Wiem o tym.

Jej telefon prawie nie przestawał dzwonić. Na płaskim ekranie za ich plecami, na wyciszonym kanale Bloomberg, prezenter mówił jeszcze coś innego o miażdżącej emisji praw poboru w Virginian. Na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie twarzy Willa. Olivia odwróciła wzrok. To koszmar, straszliwy koszmar...

Nie rozumiała, co się, u diabła, działo. Will zniknął i zostawił ją w tym całym chaosie. Pojawił się prawnik, przyszedł Jack Sansone – wszyscy zachowywali się jak obłąkani. Udziały wystawiono na sprzedaż, a potem rząd Meksyku zażądał natychmiastowego zwrotu pieniędzy za inwestycje w wydobywanie gazu ziemnego. Ceny poleciały na łeb, na szyję. Trzy inne zagraniczne instytucje odcięły się od linii kredytowych. Plotka głosiła, że Virginian Prospect był niewypłacalny. Komisja wydała ostrzeżenia. Przed rozsianymi po całym kraju placówkami Virginian Prospect zaczęły ustawiać się kolejki deponentów. Oddział w Pasadenie został zamknięty ze względu na zbyt wielką liczbę interesantów i wybuchły zamieszki. Widziała to w CNN – interwencję policji i w ogóle.

Bank plajtował. Dopadła go komercyjna panika bankowa, inne banki zaciągały pożyczki.

W tym czasie pojawiły się niewyjaśnione wpłaty z banku na jedno z prywatnych kont Willa na Kajmanach. Jakoś udało im się do tego dotrzeć i wiązali to teraz z zajściem w jego budynku na Upper East Side. Nikt nie wiedział, gdzie zniknął ani dlaczego. Porównywali go do Marca Richa, nazywając zbiegłym miliarderem.

Olivia nie знаła się na finansach, ale wiedziała, że jej mężczyźne pokazują wciąż w telewizji, że rozpadał się bank i że przed ich domem policja zaparkowała swoje radiowozy. Służąca zdążyła się już poskarżyć, że nie dostała w piątek wypłaty, ponieważ konto señor Hyde'a było zablokowane, i czy ona, Olivia, mogłaby jej zapłacić.

Olivia chciała ją zwolnić, ale przysporzyłoby to tylko kolejnych scen. Użała się teraz nad sobą: dlaczego miałyby znosić

kolejną scenę? Nawet Jack Sansone był dla niej nieprzyjemny. Jakby to miało z nią jakikolwiek związek.

– Sądzymy, że pan Hyde zaatakował parę pracowników Federal Express w Bostonie.

Olivia zamruwała.

– Co takiego?

Policjanci znów wymienili między sobą znaczące spojrzenia pełne triumfu. Olivia była naprawdę zszokowana.

– Napadnięto ich, związano i okradziono.

Zaśmiała się histerycznie.

– Chyba pan sobie żartuje. Mój narzeczony jest wart jakieś trzy miliardy dolarów. Po diabła miałby okradać gościa z FedExu?

– Nie jestem pewien, czy wciąż jest wart trzy miliardy, panno Wharton – powiedział poważnie detektyw Gaines. – Nie jestem pewien, czy w ogóle jest coś wart. Chyba będzie musiała pani poczekać, aż wszystko się uspokoi. Ale rozumiem, o co pani chodzi. Wątpię, żeby zrobił to z potrzeby finansowej. Może dla zabawy. Czy on przechodzi kryzys wieku średniego, proszę pani? Jakiegoś symptomy?

Pomyślała o Melissie Elmet i znenawidziła ją całym sercem.

– Nie. Żadnych – Olivia wyprostowała się, podkreślając swój status. – Proszę państwa, ja rozumiem, że mają państwo zadanie do wykonania i naprawdę staram się być pomocna, ale uważam, że dobre imię Willa nie zyskuje na kontynuowaniu tej rozmowy. Powiedziałam wszystko, co wiem.

Proszę bardzo! Byłby z niej dumny.

– Nie zamierzam prosić, by państwo wyszli i, skoro Willa nie ma, wrócili jedynie w przypadku, gdy będzie nakaz. Póki co, mogę

podać numer do jego prawnika, pana Katza, w razie, gdyby mieli państwo jeszcze jakieś pytania.

Wstała, a oni zrozumieli aluzję.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziała detektyw Bell.

Była starszą kobietą i przyglądała się Olivii ze szczególną odrazą.

„Mieszka pewnie w jakimś domku w Queens” – pomyślała pogardliwie Olivia.

– Już wychodzimy, ale być może wrócimy z nakazem. Wszystko zależy od tego, czego dowiemy się w Massachusetts. Póki co, prosimy, by nie opuszczała pani stanu. Być może będzie pani bardzo istotnym świadkiem w toczącym się śledztwie.

– Oczywiście – odparła Olivia, dając głową znak służącej. – Raquel państwa odprowadzi.

Służąca ruszyła z miejsca – w końcu dostała te swoje pieniądze – i odprowadziła detektywów. Olivia opadła wykończona na antyczną, skórzaną sofę Chesterfielda.

Zamknęły się drzwi.

– Raquel, nie wpuszczaj nikogo, kto nie ma nakazu lub nie jest panem Hyde'em. Nie ma mnie dla nikogo innego.

– Tak, proszę pani.

– Zamknij te drzwi i powiedz służbie, żeby mi nie przeszkadzano – dodała.

– Tak, proszę pani.

Raquel zamknęła cicho za sobą masywne, dębowe drzwi, a Olivia oparła głowę o poduszki. Potrzebowała trochę ciszy i spokoju, żeby zastanowić się, co ona teraz...

Zadzwoił telefon. Olivia podskoczyła jak oparzona. To ich prywatny telefon, ten, którego numer miał tylko on. Nie telefon domowy. Podenerwowana chwyciła za słuchawkę i o mało nie wypuściła jej z rąk.

– Tak?

– Tu Will.

– Och, dzięki Bogu – powiedziała. – Will, nic ci nie jest? Jesteś bezpieczny?

Miała ochotę krzyknąć, wściec się na niego, nawrzeszczeć. Co on do diabła wyprawiał? Ale musiała zachować powagę. W tym momencie nie była pewna, czy kochała Willa Hyde'a, ale wciąż jej na nim zależało.

Ponieważ była lekarką, nadal pamiętała o ranie postrzałowej.

– Powiedz, że jesteś bezpieczny! – zażądała.

– Nic mi nie jest – odparł.

„*Skoro nic ci nie jest, to dlaczego cię tutaj nie ma? Znowu ta cholerna Brytyjka!*” – wróciła do niej cała złość.

– Żadnych obrażeń, Will?

– Fizycznie nienaruszony, Livy Posłuchaj, muszę ci o czymś powiedzieć.

Zignorowała ton jego głosu.

– Gdybyś zadzwonił niespełna pięć minut temu... w domu była policja.

– Czego chcieli?

– Wiedzieć, gdzie jesteś. Czy miałam od ciebie jakieś wiadomości. Powiedzieli, że być może jesteś zbiegiem i że napadłeś na pracowników FedExu.

– OK – westchnął.

Olivia przewróciła oczami.

– Powiedz mi, że nie napadłeś na żadnych roznosicieli paczek, Will.

Milczał, czym tylko wzmógł jej złość.

– Musisz ze mną porozmawiać – wyszczała. – Nie rozumiesz tego? Musisz tu wrócić. Bank się wali.

– Wali? – wydawał się być zaskoczony.

– Tak! Wali się! Panika bankowa, akcje spadają! Oglądam MSNBC, Bloomberg – podobno Meksyk zażądał spłaty pożyczki, inne banki to samo. Twoje udziały zostały dwukrotnie zawieszono. Ludzie ustawiają się w kolejkach przed bankiem, domagając się swoich pieniędzy. Will, policja twierdzi, że być może nie jesteś już miliarderem! – histeryzowała. – Być może straciłeś wszystko!

– Dzięki, że mi powiedziałaś – odparł jakby obojętnie.

– Nie mów *dzięki*, że mi powiedziałaś, tylko wracaj tu i zrób coś z tym! Wszystko tracisz! My wszystko tracimy! W tych udziałach są wszystkie twoje pieniądze! Jack Sansone odchodzi od zmysłów, niedawno był dla mnie bardzo nieprzyjemny...

– Powiedz Jackowi Sansone'owi, żeby spadał. Olivio, posłuchaj, ja nie wracam.

– Oczywiście, że wracasz! – niemal wrzasnęła. – Nie masz wyboru! Musisz ratować interes, ratować, co się da!

– Domyślam się, że zamrozili moje rachunki?

– Mówią, że dokonałeś jakiejś astronomicznej wpłaty na swoje konto na Kajmanach. Zamrozili wszystkie twoje konta, a policja twierdzi, że szykują na ciebie nakaz aresztowania.

– Nie mam żadnego konta na Kajmanach – westchnął. – Olivio, nie jest mi łatwo to mówić.

– Ale tu chodzi o twoje pieniądze – nalegała, nie słuchając go.
– Zapomnij o pieniądzach. Nie są ważne. Nie mogę uratować banku. Pewni ludzie podjęli decyzję o zniszczeniu go, dziś to nie jest wcale takie trudne. Zamieszane są w to rządy innych państw. Wymyślają nieistniejące transakcje, jak ta sprawa z Kajmanami. Zanim bym zdążył to wszystko wyprostować, bank już ległby w gruzach – był rozwścieczony. – Sukinsyny, jest tyle przeciętnych rodzin, które teraz tracą swoje domy.

– To rzeczywiście przykre, ale co z nami? – spytała żałośnie Olivia.

– Przepraszam, Olivio. Chciałem powiedzieć ci o tym od razu, ale zaskoczyłaś mnie. Nie powinienem był dać się zbić z tropu.

Ścisnęła ją w żołądku i to solidnie. Znała ten ton jego głosu – nie wróżył nic dobrego.

– Nie mogę się z tobą ożenić – powiedział.

O Boże. O Boże. Naprawdę to powiedział. Jej oczy powędrowały na pierścionek – wielki kamień wart więcej niż saldo na jej koncie.

– Możesz się ze mną ożenić – powiedziała. – Będę przy tobie...

Może będzie, a może nie będzie; nie pisała się na ślub z jakimś nieodpowiedzialnym dupkiem, który pograżył własny bank. Jednak Olivia знаła styl bycia Willa i coś podpowiadało jej, że lepiej z niego nie rezygnować, jeszcze nie teraz...

Znała prawo – jeśli za niego wyjdzie, pierścionek stanie się jej własnością. Bez względu na to, kiedy nastąpi rozwód. Lepiej mieć otwarte furtki.

– Nie chodzi o to. Jesteś dobrą kobietą, Olivio, i jest mi strasznie przykro, że postępuję w ten sposób. Nie chciałem, by tak wyszło, ale zrozumiałem, że wciąż Kocham Melissę Elmet.

Olivia Wharton była wściekła, wprost kipiała z wściekłości. Zwiął. Przysięgał jej, że Melissa Elmet była tylko przyjaciółką. Pokazała swój brylant w telewizji, powiedziała wszystkim przyjaciołom, ogłosiła w gazetach...

Nie wystarczyło, że upokarzał ją, rujnując swoją fortunę, ich fortunę? Teraz zabierał jej jeszcze resztki godności, jakie jej pozostały – godności cierpiącej, pięknej królowej salonów, wspaniałomyślnie trwającej u boku swojego mężczyzny...

Była teraz jedną z długiej listy idiotek nabranych przez Willa Hyde'a.

I rzucił ją dla starszej, grubszej, biedniejszej panienci, przekłetej nauczycielki czy czegoś w tym rodzaju! Melissa Elmet była nikim. Rzuciła go jak niepotrzebny śmieć, kiedy był biednym brytyjskim dzieciakiem, a teraz był... no, przynajmniej sławny, a Olivia mogłaby się założyć, że wciąż miał gdzieś schowane jakieś pieniądze... Teraz był prawdziwym Willem Hyde'em, a ona, Olivia Wharton, jego wierna dziewczyna, zostaje odstawiona na boczny tor przez jakąś starą miłość.

– Nie jesteś w pełni sobą – Olivia starała się kontrolować swój gniew, nie zdzierać maski. – Przeszedłeś załamanie nerwowe...

– Nie utrudniaj, Livy.

– Do diabła z tobą! Nie masz prawa mówić mi, co mam robić!

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę. Zatrzymaj pierścionek. Sam nie wiedziałem, co czułem przez te wszystkie lata. To nie jest twoja wina.

– Żebyś wiedział, że nie jest – syknęła. – Ogłosiłeś nasze zaręczyny. Przez ciebie wyjdę na idiotkę!

– Lepiej teraz niż później. Posłuchaj, wszystko wskazuje na to, że właśnie tracę swoje pieniądze, a policja nazywa mnie przestępcą. Zadzwoiłem, a ty mnie rzuciłaś.

– Świetny pomysł. Ty draniu, jeśli policja znów tu zadzwoni, powiem im wszystko, co będą chcieli.

– Przykro mi, Olivio. Wyjdiesz za kogoś bardziej odpowiedniego niż ja. Muszę kończyć.

– Gdzie jesteś? – zapytała, mimo wszystko walcząc z ciekawością.

– Jesteśmy bezpieczni – powiedział i rozłączył się.

Stała tam, trzymając w ręku telefon, i prawie dławiła się ze złości. Jesteśmy bezpieczni. Miał czelność rzucić ją przez telefon, a potem mówić „my”?

Olivia poszła do sypialni, którą dzieliła z Willem, i chwyciła walizkę od Louis Vuitton. Zabierze każdy klejnot, jaki od niego dostała, futra i sukienki z domów mody. W tej szafie wisiały kreacje warte ponad dwadzieścia tysięcy dolarów każda. Buty od Manolo i Louboutin też z nią jadą, resztę tych szpargałów jego służący może jej dostać do domu. Pakowała się w pośpiechu, upychając tyle ciuchów, ile zdolna była unieść. W jego domu nie zostawi ani jednej rzeczy wartej ponad pięć tysięcy. Zabierze nawet swój mały plecak od Prady. Spakuje się, zawoła tego durnego kierowcę i każe się odwieźć do jej dużo skromniejszego domku z jedną sypialnią, w porządnej części Village. A potem już ona obmyśli jakąś zemstę.

„Niech spieprza – pomyślała zawzięcie, wsuwając do walizki sznur szmaragdów, a po nim aktówkę od Dooney & Bourke. – Zwariował. Stracił wszystkie pieniądze”.

Nie miała zamiaru być żoną nieudacznika.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Lola siedziała w barze i sączyła sok pomarańczowy. Niedługo będzie już siedziała w samolocie wylatującym z Ameryki. Posłuży się jednym z wielu paszportów, z twarzą zmienioną dzięki lateksowej masce i soczewkom. Nikt jej nie rozpozna. Nigdy jej nie rozpoznają. Miała też sztuczne linie papilarne z różnymi odciskami palców; technika może sobie być nie wiadomo jak zaawansowana, a ona i tak zawsze będzie o jeden krok dalej.

Odpowiadał jej powrót do Europy. Tam tropiło jej się lepiej, na bardziej znanym terenie. Ten gość, Hyde, robił się niedbały. Wyjechał, nie zabezpieczywszy domu. Dostała się do niego kilka dni temu i zostawiła podsłuchy w każdej słuchawce telefonicznej.

Jakie to wzruszające, że poczuł potrzebę zadzwonienia do kobiety, którą rzucał. Nie rozumiała mężczyzn. Ta dziewczyna leciała na kasę; była typem, którego Lola wyjątkowo nie trawiła. Sama dorobiła się swojej fortuny dzięki własnym umiejętnościom, a ta dziwka, jak wiele innych, załapała się na kasę, wytwornie się ubierając i rozkładając nogi. Wkurzało ją, że nawet taki agent, jak William Hyde, tak dobry w swoim fachu, tak imponujący, mógł dać się tak omamić takiej nijakiej, przewartościowanej dziwce jak Olivia Wharton.

Taki facet jak William Hyde zasługiwał na kobietę-wojownika, mogącą się z nim równać. Kogoś takiego jak Lola Montoya. „Może nawet warto byłoby zdobyć jego uczucie” – przemknęło jej przez myśl. Mężczyźni pożąдали Loli, ale żaden nigdy jej nie kochał. Właściwie to nikt jej nie kochał; nawet rodzina od dnia, w którym się urodziła. Więc może wszyscy psychoanalitycy mylili się co do niej. Gdyby ktoś oferował jej swoją miłość, może byłaby w stanie ją odwzajemnić...

Potrząsnęła głową, jakby chciała odświeżyć sobie umysł. Pościg to nie pora na sentymenty.

Hyde nie tylko zadzwonił do Olivii – zupełnie, jakby był jej coś winien – ale jeszcze wisiał na linii. Długo, zbyt długo. Wystarczająco długo, by go wytropiła.

Musi być niezwykle rozkojarzony.

Przypomniła sobie wszystko raz jeszcze. To było jak muzyka, jak symfonia, zaczynało układać się w całość. Swoim zmysłem zabójcy czuła, że zbliżali się do końca tej gry. Odebrano mu pieniądze i prestiż. Gdy go słuchała, zrozumiała, że Willowi w sumie na tym nie zależało. To pasowało do jego profilu psychologicznego: przede wszystkim był szpiegiem, nie bankowcem. Jakże monotonne musiało być dla niego tych kilka ostatnich lat. Była przekonana, że teraz czuje się naprawdę wolny.

Podczas gdy pozbawiano go pieniędzy, on odnalazł dziewczynę, przemycił ich na pokład samolotu towarowego i przetransportował do Paryża. A z jego telefonu wynikało, że byli teraz w pobliżu Rue de Savoie, w Voiron na południu Francji. Była pełna podziwu – nie czekał i nie marudził. Znajdował się w ciągłym

ruchu, miał środek transportu, dziewczynę i jechał na południe, celowo na południe. Mogła podzielić się informacjami z Dymitrem, ale postanowiła tego nie robić. Płacili jej za dwie głowy – nic poza tym. To ona zabije. Nie pozwoli innemu agentowi odważyć jej roboty.

Niech nowe zbiry Dymitra szukają sobie we Francji. Będą studiować nagrania z monitoringu, hotele, granice, wszystko. A ona wyczuła trop, chociaż ofiara nie była głupia. Lola ruszała na polowanie.

Przez chwilę myślała jeszcze o Willu. Ciągłe ją zaskakiwał, zdumiewał. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio jej się to przydarzyło. Był silny i pomysłowy, nieprzywiązany do pieniędzy, całkowicie nieustraszony. Wyjątkowo przystojny.

Podniecał ją. Nieliczni faceci wzbudzali w niej jakiegokolwiek emocje, ale ten, ten był inny. Pamiętała jego rozmowę telefoniczną i cieszyła się, że rzucił tę nijaką, marną snobkę. Jej cel, Melissa, była przynajmniej odrobinę bardziej warta zachodu; nie zawodowiec, ale odważna i nieco przebiegła. Wytrwała przy życiu wystarczająco długo, by spotkać swego wybawcę. Zeskoczyła z dachu, a to już faktycznie było coś.

Myśl o Willu posuwającym Melissę sprawiła, że pragnęła go jeszcze bardziej. Jeśli tak lubił odwagę i zdolności u swoich kobiet, z pewnością pragnąłby Loli. Jakże mógłby być zadowolony. Większość facetów taka była, posuwając zabójcę. Lola pragnęła doznań, które ciężko jest sobie zapewnić, jeśli większość facetów ogląda się w roli kozłów ofiarnych. Ale Will nie był dla nikogo kozłem ofiarnym – doskonale zdawała sobie sprawę z ich wspólnych mocnych stron.

Byli sobie równi.

Zabawiała się leniwie tą fantazją. Zabicie kobiety – jej podstawowego celu. Zaoferowanie ochrony Hyde'owi. Mogłaby tamtym podrzucić jakieś idealnie pasujące ciało i czmychnąć z nim do Ameryki Południowej. Nie byłby zbyt skory wyjeżdżać z zabójcą Melissy, więc postarałaby się, by wyglądało na to, że załatwił ją ktoś inny.

Jakie byłoby życie z nim u boku?

Otrząsnęła się poirytowana. Może nadarzy się okazja przelecieć go, a jeśli tak, to z niej skorzysta. Była godnym przeciwnikiem dla Olivii, Melissy i tych innych, mdłych kobiet. Sprawiałaby, że krzyczałyby w łóżku z rozkoszy.

Ale potem... żadnych związków, nie w jej branży. Wkrótce by się nim znudziła i mogłaby się na nim zemścić.

Wstała. Byli sobie równi. Pożądanie, podobnie jak wszelkie inne zachcianki swojego ciała, odczuwała bardzo intensywnie w tych rzadkich momentach, gdy już ją nawiedzały. Była podniecona. Pomyślała o Melissie Elmet leżącej w jego ramionach w jakimś francuskim motelu. Już on się z nią zabawi, była tego pewna.

Ta myśl była irytująca. Była zazdrosna, chciała ukarać Melisę, ale Melissa była we Francji i Lola będzie musiała poczekać.

Zamiast tego ukarze Olivię, a przy okazji będzie to lekcja dla Willa Hyde'a. Nikt nie igrza z Lolą Montoya.

Weszła do niewielkiego, szarego budynku na West Fourth Street. Olivia Wharton dopiero co tam wbiegła.

Łatwo będzie się włamać: przy ulicy mnóstwo drzew, niskie okna blisko ziemi, z tyłu schodki pożarowe – porządne, solidne, z kutego żelaza. Jednak postanowiła się zabawić. Weszła po kamiennych schodkach i wcisnęła jeden z dzwonek.

– Olivia Wharton?

– Tak?

Nie płakała. To dobrze. Chętniej do niej wyjdzie.

– Tu Ellen Post, proszę pani. Jestem reporterką *New York Timesa*. Krąży pogłoska, że Will Hyde zerwał dziś państwa zaręczyny, rzucił panią.

Krótki wdech.

– To nieprawda, bez komentarza.

– W porządku, zatem jeśli nie skomentuje pani tej wiadomości, to właśnie taką notkę zamieścimy w naszych rubrykach towarzyskich. Potwierdziliśmy ją u personelu rezydencji pana Hyde'a. Mój wydawca chciał jedynie dać pani szansę na obalenie tej plotki.

– Czy jest z panią fotograf?

– Nie, proszę pani, ale mogę go sprowadzić.

– Jeszcze nie teraz. Proszę zaczekać.

Rozległo się bzyczenie i drzwi otworzyły się.

„Rany – pomyślała Lola pogardliwie – co za kretyńska. I ona miała czelność aspirować do żony Willa Hyde'a!”

Stała w korytarzu ubrana w śliczną, małą, białą, dzianinową sukieneczkę, a na opalonych stopach miała kremowe, skórzane czółenka od Diora. Lola zauważyła, że wciąż nosiła pierścionek, ale przełożyła go na prawą rękę. Cóż za przesłanie i jakie praktyczne.

– Proszę wejść, złożę oświadczenie – dyrygowała.

– Oczywiście – odparła uprzejmie Lola. – Świetnie.

Olivia przytrzymała drzwi i Lola weszła do środka. Drzwi się zatrzasnęły.

– Ja zerwałam z Willem Hyde'em – powiedziała Olivia kategorycznie. – Wyciągaj notesik! Chcę mieć to na piśmie.

Lola uśmiechnęła się słodko.

– Nieprawda. Jesteś pazerną dziwką i to on cię rzucił.

– Co takiego? – wydyszała Olivia.

Lola westchnęła znudzona. Z prędkością światła zdjęła swój szalik i zarzuciła go na szyję Olivii Wharton, zaciskając mocno silnymi rękoma i odcinając jej dopływ powietrza. W oczach Olivii pojawiło się przerażenie; rozpaczliwie machała rękoma na wysokości szyi, instynktownie próbując się uwolnić; zaczęła wierzgać nogami...

Lola mogła się nią pobawić, ale nie miała na to czasu. Musiała dostać się na lotnisko. Z nożem byłoby szybciej, ale w ten sposób nie poleje się krew. Zacisnęła pętlę i przysunęła się do Olivii. Położyła swoją jedną dłoń na skroni Olivii, drugą pod jej brodą i przekręciła jej kark w bok. Złamał się. Głowa opadła na piersi, Olivia umarła.

Lola przyniosła ze sobą kilka rzeczy: próbki krwi i włosów. Rozlała zawartość fiolki po całym mieszkaniu, a pod paznokciami Olivii umieściła trochę włosów. Szkoda, że nie było też nasienia, ale Will nigdy takowego nie oddał; nie znalazła niczego takiego w lekarskim gabinecie. Zajęło jej to wszystko tylko kilka sekund – robiła to już tyle razy.

– Dzięki za współpracę – powiedziała Lola beztrasko.

Wyciągnęła rękę i zdjęła pierścionek z prawej dłoni Olivii. Kamień był piękny – sam w sobie był świetną zapłatą za tę robotę, a poza tym przypominał jej o Willu.

Otworzyła drzwi, wyszła i zeszła spokojnie schodami. Minie co najmniej czterdzieści osiem godzin, zanim znajdą ciało Olivii, a wtedy jej już dawno nie będzie w Stanach Zjednoczonych.

Słońce grzało ją przyjemnie w plecy. Lola doszła do końca ulicy i wezwała taksówkę. W nich przynajmniej nie było kamer, w odróżnieniu od metra czy autobusów, więc chwilowo było to dla niej najlepsze wyjście. Usadowiła się z tyłu na zniszczonym, czarnym, skórzanym siedzeniu i kazała kierowcy jechać na JFK. Pierścionek od Willa Hyde'a lśnił na jej prawej dłoni, odbijając promienie popołudniowego słońca.

Na lotnisku Fadiz jeden po drugim pojawiały się niezauważone przez nikogo samoloty. To idealne miejsce na tego typu spotkanie – nie do namierzenia, zbyt małe, by zainteresowały się nim media. Nawet arabskie gazety nie wykazywały nim specjalnego zainteresowania. To tylko kolejny maleńki, bogaty w ropę sułtanat, niemający nawet ambicji na wtrącanie się choćby w regionalne sprawy. Dla wielu było to po prostu miejsce wakacyjnego wypoczynku, taka ciekawostka jak Lichtenstein czy Malediwy.

W spotkaniu nie uczestniczyły głowy państw, przywódcy rządów trzymali się z daleka, choć zdarzało się, że desperacko chcieli się wprosić. Prezydentowi Nigerii trzeba było się trochę podlizać i ugłaskać go, by pozostał w Lagos. Ci, którzy przyjechali, nie byli znani – funkcjonariusze, podporucznicy. W wielu przypadkach uważali się oni za tych, którzy faktycznie sprawują władzę w państwie. Gdy już się wejdzie w skład rządu, trzeba się potem użerać z przyziemnymi sprawami: wyborcami, obywatelami, drogami,

szpitalami, sieciami wodociągowymi. A ci ludzie nie byli od kwestii przyziemnych – nie interesowały ich podatki. Oni zajmowali się pieniędzmi, źródłami dochodów, dzięki którym kręciła się cała gospodarka. Zajmowali się konkretnymi, a wśród innych siali postrach – nawet wśród swoich prezydentów. Gdyby nie ci ludzie, wszystko by się posypało.

Na spotkaniu było ich zbyt wielu, by zupełnie uniknąć rozgłosu. Nawet jeśli nie zorientowali się politycy, to z pewnością zorientują się analitycy gospodarczy. Mówiło się o nim jako o konferencji etycznej: poprawianie globalnego wizerunku, odpowiedzialność biznesu, sponsoring charytatywny. Był to pomysł Harouna, którego z tego powodu przepelniała niezmierna duma. Trudno o lepszą przykrywkę. Zajmujący się tą działką dziennikarze tylko ziewnęli i poprzestali na spekulacjach odnośnie do wyników spotkania.

Terminy przylotów rozciągnięte były w czasie, a nieoznakowane, czarne limuzyny Lincolna, tworzące prywatną własność rządu Nadrahi, pokonywały w piekielnym upale krętą drogę nad urwiskiem z rezydencji sultana na lotnisko.

Haroun już na nich czekał. Wcześniej tego ranka w przyпіlywie obowiązkowości małżeńskiej, odwiedził swoją żonę – jakoś się wzajemnie znosili. Udało mu się podnieć ją do stanu umiarkowanej przyjemności, ale zajęło mu to nieco czasu. Nie protestował zbyt wiele – jeśli była zimna jak lód, to będzie mniej powodów do skandalu. Ludzie wciąż mówili, że Haroun i jego żona regularnie ze sobą sypiają. Nie życzył sobie żadnej obrazy majestatu – rodzinna królewska pozostanie jednością. Ona może sobie potem wracać

do swoich zakupów, organizacji charytatywnych i tenisa, podczas gdy on flirtował z modelkami i pozostałymi konkubunami czekającymi na niego w pensjonacie.

Zwykle lubił uprawiać seks. Z Fatimą nie był on szczególnie udany, ale też i nie temu miała służyć. Gdy było po wszystkim, przynajmniej odczuwał jakąś ulgę. A może znów zajdzie w ciążę, co byłoby wręcz błogosławieństwem dla jego wizerunku. Ludzie uwielbiali nowych członków rodzin królewskich, ciepłe, rodzinne fotografie, a Harounowi niezwykle zależało, by byli szczęśliwi. Życie w Nadrah było idealne – raj obiecany najwierniejszym nie mógł być lepszy. Dziś chciał, żeby jego problemy ograniczały się do spraw mało istotnych, jak utrzymanie małego haremu z dziwkami z dala od dziennikarzy, uszczęśliwianie sułtanki i kolejnego dziecka – ot, zwykły, szczęśliwy i skąpany w słońcu dzień nad Zatoką Perską.

Wszystkie te sprawy balansowały teraz na krawędzi.

Nie mogli ich odnaleźć, nie mogli złapać – zwykła operacja urosła do rangi gigantycznego koszmaru. Ten Rosjanin był bezużyteczny – pozwolił się wykiwać jakiejś nudnej, brytyjskiej nauczycielce bez żadnego przygotowania. W Stanach jej przyjaciel bankowiec skutecznie ją chronił, a to, czego się wszyscy obawiali – ten rozkręcający się koszmar – właśnie zaczynał ich dopadać. Pościg przykuwał uwagę mediów. Konieczne było odebranie zasobów finansowych temu Willowi, ale nie da się wyniszczyć banku potajemnie. Jego zdjęcia ciągle pokazywane były w telewizji w całej Ameryce. Był teraz zbiegłym miliarderem, a przy tego typu pikantnych tematach dziennikarze aż dostawali zadyszki. Piasku

w klepsydrze było coraz mniej – muszą ich odnaleźć, muszą ich zabić.

– *Ahlan wa-Sahlan* – powiedział katarski emir, całując Harouna w oba policzki. Sułtan skinął głową i podał następnie dłoń Felizowi Torrealbie z Wenezueli, a także przywitał algierskiego emisariusza. Frekwencja była stuprocentowa. Niektórzy przybyli poprzedniego wieczoru i spędzili noc w pałacowym przepychu, inni przyjechali prosto z lotniska – wszyscy zwarci i gotowi.

Dał znak i mężczyźni usiedli. Nie było wśród nich żadnego przewodniczącego czy moderatora dyskusji – nie przybyli tutaj, by omawiać zawile kwestie polityczne.

– Zaczynamy – Haroun nie bawił się w ceremonialne powitania, a od zgromadzonych za stołem uzyskał gest akceptacji. – On już czeka.

Drzwi pałacu otworzyły się szeroko i pojawił się w nich Dymitr z surowym spojrzeniem. Za stołem siedziały same ważne osobistości i wydawało mu się, że zaraz zmieszają go z błotem za jego porażkę. I tu się pomylił.

Myślał o Loli – zabrała się do roboty, postępując przy tym wobec niego bezczelnie, a teraz on musi zachować się tak samo.

– Dlaczego ten facet nie jest jeszcze trupem?

Dymitr spojrział na autora tego pytania – młodego księcia z dynastii Saudów. Inni już otwierali usta, żeby coś dorzucić od siebie.

– Ponieważ jest tajnym agentem z najwyższej półki i ma mnóstwo szczęścia.

– Agentów też już sprzątno. Komendantów. Nawet przywódców.

– To prawda, ale tropiono też wielu innych, którzy uciekli. Gdybym na przykład ja miał się ulotnić, to żaden z waszych ludzi nie byłby w stanie mnie dopaść.

– To może zatrudniłeś niewłaściwych ludzi – powiedział łagodnie Haroun.

– Nie – tym razem nie dbał o żadne *Wasza Królewska Mość*, miał już dość tej roboty i okazywania szacunku. – Mam czworo z najlepszych zabójców na świecie, każdy pracuje na własną rękę, ale ostatnio wiele się zmieniło. Po incydencie w Rotterdamie wszyscy dorzuciliście do pościgu swoje tajne służby i jakoś nikt nie wrócił z wieścią o zabójstwie – wzruszył ramionami. – To nie tak proste, jak się wydaje, wyeliminować świetnie wyszkolonego i zmotywowanego ukrywającego się agenta. Można było naturalnie załatwić go, gdy wrócił do Nowego Jorku, ale podjęto decyzję, by, najpierw pozbyć się kobiety i unikać zbędnego rozgłosu.

Mruknęli coś pod nosem niezadowoleni. To była ich decyzja, nie jego. Zła decyzja. Kobieta uciekła, a facet nagle zniknął. Przepadła szansa, by go zdjąć. Igrał sobie z nimi, pojawiając się w blasku fleszy, na balach charytatywnych, rzucając im wyzwanie do działania. Oni jednak zwlekali.

– Teraz mamy najgorszy scenariusz: rozgłos i oba cele na wolności. Jednak wydaje mi się, że są też powody do optymizmu.

– Wymień je – powiedział Saudyjczyk.

Optymizm – wszyscy chcieli o tym usłyszeć.

– Po pierwsze, majątek tego Brytyjczyka został skonfiskowany. Za chwilę będzie kompletnie zniszczony. To prawda, że prasa już węższy, ale niemożliwością było tropienie człowieka z wieloma

koneksjami i niewyczerpanymi środkami. Za odpowiednią sumę da się kupić bezpieczeństwo. Po drugie, i chyba ważniejsze, pan Hyde jest teraz poszukiwany nie tylko przez nas. Szukają go Amerykanie i Interpol. Relacje telewizyjne oznaczają, że jego twarz stała się rozpoznawalna. Trudniej mu będzie się teraz poruszać, bo liczba szukających go par oczu właśnie się podwoiła.

Przytaknęli. Zrozumieli.

– Być może będzie chciał zapaść się pod ziemię, zabrać tę kobietę i ukryć się. Jeśli tak, odnalezienie ich może potrwać kilka lat, ale będą zbyt przestraszeni, by się wynurzyć i ujawnić te informacje.

– Skąd wiesz?

Dymitr uśmiechnął się – to był jego atut.

– Ponieważ ich nie mają. Nie wiedzą, dlaczego są ścigani, ani kto to robi. Gdyby wiedzieli, już dawno przekazaliby informacje, i to jak najszerzej się da. To ich jedyne wyjście: postawić nas w centrum uwagi teraz, gdy potrzebujemy wsparcia i dobrej woli sił Zachodu. Wtedy byliby bezpieczni. Kto ośmieliłby się ich zaatakować? My wszyscy mielibyśmy już większe zmartwienia. Podobnie jak cały świat.

Rozległ się pomruk przerażenia.

– Mój agent, Lola Montoya, zabiła Olivię Wharton, narzeczoną Willa Hyde'a – usłyszał pomruki zaskoczenia. Rozdał też kilka zdjęć z kostnicy. – Jej ciało zostało odnalezione dziś rano, pokryte krwią Hyde'a i z jego włosami pod paznokciami. Ma teraz na karku nakaz aresztowania za morderstwo i międzynarodowy list gończy.

– Świetnie – powiedział Haroun. – Wie o tym?

– Jeszcze nie. Szybko się przemieszczają. Teraz pewnie do-
wiaduje się, że jego fortuna wyparowała. Śmierć tej kobiety wy-
stawi na ciężką próbę relacje z jego podopieczną. Ona jest za to
odpowiedzialna – Dymitr wstał.

– Waszym zadaniem, panowie, jest udostępnić mi tylu obser-
watorów, ilu zdołacie. Nie ma już sensu ukrywać się z tą obławą i
żaden agent nie powinien już się cackać i bawić w chwytywanie i
tortury: jeśli ich znajdą, od razu mają strzelać. Muszą zostać zdję-
ci, jeśli tylko nadarzy się jakakolwiek okazja. Zaangażujcie każ-
dego, kto skłonny jest oddać życie za ten strzał.

Rozejrzał się po pokoju, wytrzymując spojrzenie każdego po
kolei.

– Jeśli ktoś sądzi, że może zrobić coś ponad to, niech wpro-
wadzi swoje służby bezpieczeństwa. Ja zaś wybieram się do Rois-
sy-en-France, gdzie widziano ich po raz ostatni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Will rozglądał się po obozowisku, a Melissa obserwowała go. Byli głęboko w lesie przy drodze, nieopodal Voiron. Samochód znajdował się w pobliżu, a droga, którą musieli przebyć pieszo, była ciężka – musieli wspiąć się po nasypie i to szybko, zanim zza zakrętu wyłoni się jakiś samochód i ktoś ich zobaczy. Will niósł na plecach ich turystyczny sprzęt i zniknął z nim wśród drzew, zanim ona zdołała wspiąć się na nasyp.

Las był sosnowy, a zatem wyjątkowo ciemny. Melissie podobało się to, bo dodawało poczucia bezpieczeństwa. Byli solidnie zasłonięci; nie dostrzegą ich z żadnego samolotu. Znajdowali się też z dala od ścieżek i typowych kampingów. Powietrze pachniało intensywnie mieszkanką żywicy i wody, a spalmy z pobliskiej autostrady nie miały szansy do nich dotrzeć.

Miasteczko leżało przytulone do lekko nachylonego terenu za drogą. Byli od niego oddaleni, w miejscu, gdzie nikt nie przyjdzie na spacer z psem czy na piknik. Przez ciemne, iglaste drzewa przebijały długie pasma światła słonecznego, nadając gęstwinie niezemskiego wyglądu.

Brak światła sprawił, że poszycie było karłowate, z nielicznymi krzakami i sprężystym złotobrązowym dywanem sosnowych igieł.

Od czasu do czasu zatrzepotała nieopodal jakaś ćma.

„To niesłychane – pomyślała Melissa – jak można oddalić się od cywilizacji dosłownie na kilka kroków i znaleźć się w takiej samotni. Świat pełen był takich zakamarków, gdzie ludzie w ogóle nie zaglądali”.

Will wyszukał stosunkowo równe miejsce i w kilka sekund postawił ich niewielki namiot. Wyłożył zimne jedzenie: gotowane udka kurczaka, kilka pomarańczy, szynkę i solone pomidory, bagietkę, butelkę oliwy, zapakowany, miniaturowy ser edamski. Rzucił Melissie małą, plastikową torebkę, w której były ich szczoteczki do zębów, jednorazowe maszynki, dezodoranty i szampon.

– Idź się odświeżyć – powiedział.

Rozejrzała się dookoła.

– Gdzie?

– Tam w dole za nami jest strumyk – wskazał.

Słońce chowało się już za drzewa i wiał rześki wiatr. Zaczynało się ochładzać.

– Zamarznę – protestowała Melissa.

– To fakt, ale będziesz czysta. Mówiłem już, że bez kąpieli się nie da – przyjrzał się jej i rzucił mały, cienki ręcznik. – Trzymaj. Na twoim miejscu bym się pospieszył. Im później, tym zimniejsza będzie woda.

– OK – odparła niechętnie.

Chwilę temu zastanawiała się z przerażeniem, jak to będzie, gdy on ją dotknie; czy będzie oziębła, czy w ogóle będzie w stanie go zadowolić po tych wszystkich giętkich modelkach...

Nic tak nie mogło rozproszyć jej myśli jak perspektywa lodowatej wody. Szła niepewnie po nasypie, ślizgając się na szyszkach.

Strumień był wartki lecz płytki – jakieś trzydzieści centymetrów. Zdjęła ubranie, zostając jedynie w bieliźnie, i powiesiła wszystko starannie na gałęzi drzewa, by do rzeczy nie dostały się igły sosen.

Podeszła do krawędzi wody i ostrożnie włożyła stopę. Woda była zimna, wręcz paląco zimna. Pospiesznie wycofała nogę.

Will zbiegł ze zbocza. Był nagi. Tuż obok Melissy, gdzie było najgłębiej, wystawał kawałek skały, tworząc kąpielisko w miejscu, gdzie żwirowe dno strumienia delikatnie opadało. Chwycił się za kolana, skoczył i zanurkował.

Patrzyła na niego zafascynowana. Wyplął, utrzymując swoje złotawe, silne ciało na powierzchni. Delikatny zarost i ciemne włosy przywarły do jego twarzy.

- Wskakuj.
- Nie mogę. Nabawię się zapalenia płuc.
- Wątpię. Wskakuj.

Pokręciła przecząco głową.

- To chociaż podaj mi torebkę – powiedział rozdrażniony.

Melissa zapięła torebkę, podeszła na palcach do skały i wychylając się do niego, wyciągnęła rękę

Will chwycił ją za nadgarstek i wciągnął zgrabnie do kąpieliska. Lodowata woda całkowicie ją przykryła, a jej ciało doznało szoku. Było jej zbyt zimno, by krzyżeć. Wzięła gwałtowny wdech i prychnęła, usiłując zmusić swoje zmarznięte kończyny do jakiegokolwiek ruchu.

- Ty draniu – zadzwoniła zębami.

Skierowała się ku brzegowi, ale Will otoczył ją jedną ręką w talii i przycisnął do siebie.

- Nie ruszaj się – nakazał.

Nieudolnie próbowała walczyć z zimnem. Will odłożył torebkę na skałę, a jego dłonie powędrowały do jej włosów. Poczwała, jak nakłada odrobinę szamponu.

– Nie, proszę – wykrztusiła, ale on już wpychał ją pod wodę.

Było ciemno i przeszywająco zimno; zadrżała, gdy wyciągnął ją, opłukał i podał maszynkę do golenia.

– Pospiesz się – powiedział.

– Wypuść mnie – powiedziała stanowczo. – Boże! Wypuść mnie, Will!

– Im dłużej będziesz się ze mną sprzeczać, tym dłużej tu zostaniesz.

Przeklinając go, pochyliła się do przodu i trzęsącymi się rękoma zaczęła się myć. Woda wciąż była lodowata, ale jakby odrobinę mniej. Oswajała się, ręce przestały się trząść i mogła ogolić nogi. Gdy skończyła, Will przejął maszynkę, wypłukał w strumieniu i ostrożnie przyciął brodę. Nadal trzymał ją jedną ręką, by nie mogła się ruszyć.

Było jej tak zimno, że zaczęło ją to boleć. Zaszlochwała, chcąc się poruszyć. Usta zaczynały sinieć.

– Proszę, proszę – powtarzała.

– Skończyliśmy – powiedział Will.

Melissa cała drżała, stojąc w wodzie. Nagle poczuła, że uniósł ją w powietrze, jakby kompletnie nic nie ważyła – to dobrze, bo nie była pewna, czy dałaby radę iść. Przy brzegu zatrzymał się i sięgnął po ręcznik. Trzęsła się straszliwie, szczękała zębami. Przywarła do niego, błagając o odrobinę ciepła jego skóry. Po jego szyi spływały małe strużki wody.

Szedł spiesznie do namiotu, gdzie ją posadził. Nadal się trzęsła. Will chwycił mały ręcznik i najpierw energicznie osuszył ją, a potem siebie.

– Namiot nie może zawilgotnieć – powiedział.
– Zamroziłeś mnie – wydusiła z siebie. – To bolało... jest mi tak zimno...

Will objął ją w talii i wepchnął do namiotu. Ten natomiast był dobrze ocieplony, a w środku znajdował się duży koc zrobiony z jakiegoś srebrzystego materiału.

Melissa zadrżała.

– Czy... czy możemy rozpalić ognisko?
– Żadnego ogniska – odparł.

Podszedł do niej i jedną ręką ściągnął jej przemoczone majtki i rozpiął stanik. Była zbyt zziębnięta, by protestować, zbyt zziębnięta, by czuć cokolwiek. Ukląkł przy wyjściu, wycisnął ubrania i rzucił na pobliski krzak, by wyschły.

Następnie zapiął namiot. Na zewnątrz było zimno, słońce dawno już zniknęło, a zmierzch przechodził w noc. Usiadł przy niej i skinął ręką. Melissa wsunęła się w jego objęcia.

– Gdybyś mnie posłuchała, byłoby znacznie szybciej – objął ramionami jej plecy i przycisnął ją mocno do siebie. Przyłgnęła do niego piersiami, brzuchem, skostniałymi nogami i pomału ogrzewała się przy jego ciele. – Musisz się nauczyć sztuki przetrwania. Korzystamy ze strumieni i rzek. W trasie należy dbać o higienę, w przeciwnym razie cię zauważą. Zapomnij o gorących prysznicach, Missy.

Przysunęła się jeszcze bliżej, czując jak jej przemarznięta skóra zaczyna się rozgrzewać dzięki jego bliskości.

– I kąpiesz się nago. Musisz być zupełnie czysta – delikatnie przesunął dłoń w okolice jej lędźwi.

Wzięła gwałtowny wdech, ale nie z zimna. Rozgrzewał ją, ale też dotykał, głaskał delikatnie po dolnej partii pleców. Poczwała,

jak jej ciało natychmiast zaczyna odpowiadać.

– Chyba jednak nie jest ci aż tak zimno, co? – zachichotał.

Przygryzła wargi. Jego druga dłoń nakreśliła linię od jej ramienia, przez przedramię, do lewej dłoni. Szorstkim koniuszkiem palca zatoczył koło.

– Gdzie masz swoją obrączkę? – mruknął do jej ucha. – Powinnaś ją mieć, Missy. Jesteś moją żoną, wciąż jesteś moją żoną.

Melissa nie była w stanie trzeźwo myśleć. Uniosła ciało, już nie było jej zimno, a nawet jeśli było, to nie zwracała na to uwagi, nie czuła. Liczył się tylko Will, jego usta, dłonie, jego siła. Gdy go pokochała, był przystojnym chłopakiem, teraz był mężczyzną – męskim i umięśnionym, wojownikiem, który ryzykował własnym życiem i wszystkim, co miał, by ją ratować.

W jego objęciach poczuła się słaba i drobna – podniecało ją to. Nie przywykła do przesywającej jej ciało fali pożądania. Ocieplało się nie tylko jej ciało – namiętność, uśpiona na całe lata potrzeba, rozpalala ją teraz od środka, sprawiając, że stała się chętna i podniecona.

– Will – szepnęła. – Will... proszę.

Ponownie uniósł ją delikatnie i położył na podłodze namiotu. Skopał koc na jedną stronę i spojrzął na nią, wytrzymując jej spojrzenie.

– Czekałem na to latami – powiedział łagodnie.

– Bez żadnego napięcia – powiedziała, próbując się uśmiechnąć, ale on nie zaśmiał się.

– Powiniennem się z tobą drażnić – odparł, przesuwając dłoń ku górze, dotykając opuszkami palców skóry nad kolanami.

Doznanie było nieprawdopodobne – Melissa poruszyła się, wzdychając, i wyciągnęła do niego dłoń, lecz jego ręka spoczywała na jej piersiach, przytrzymując ją stanowczo.

– Powiniennem kazać ci zapłacić za każdą sekundę, którą wycierpiałem przez ciebie.

Wymknął się jej delikatny jęk rozkoszy. Will przesunął dłonie niżej, całując jej skórę na szyi pod uchem w taki sposób, by poczuła jego wargi i zęby.

– Nie wykręcisz się tak łatwo – powiedział. – Zamierzam cię rozpracować, Melisso.

Przesunął delikatnie językiem po tylnej części jej szyi, całując ją w plecy. Podskoczyła nagle i niespodziewanie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła do niego swoje ciało.

Pocałował ją mocno w usta, pchnął do tyłu na ziemię, wszedł w nią, a wszystko się rozstało – świat skurczył się i liczyło się dla niej tylko to, jak porusza się razem z Willem i to, co dzięki niemu czuła.

– Która godzina? – zapytała.

Will zdążył już wyjść na zewnątrz i zarzucić na namiot jakieś dodatkowe okrycie. Wrócił do środka i dokładnie zamknął Wejście. Wyjął zapałkę i naftę w małej, cynowej lampce. Płomień ożył i wypuścił na ścianki namiotu cętkowane cienie. Melissa uśmiechnęła się; było ciepło i radośnie. W ogniu było coś prymitywnego i dobrego, nawet w takim niewielkim.

Nie było jej zimno, już nie. Namiot był dobrze ocieplony, a koc, którym się przykrywała, był zrobiony z jakiegoś specjalnego ocieplającego materiału, rodem z ery kosmicznej. No i od godziny leżała obok Willa – całowali się i rozmawiali, gdy gorączka ich uniesień w końcu opadła.

– Późna, ale musimy coś zjeść – podał jej jedzenie, które od razu odebrała. – Musisz być silna. Kupiłem tanie i odżywcze jedzenie. Pomarańcze dla witaminy C – wskazał na chleb. – Węglowodany dają energię, oliwa z oliwek zapewnia tłuszcze, masło jest mniej skuteczne. Kurczak i ser, tłuszcze i białka. Pomidory... są po prostu smaczne.

Zaśmiała się łagodnie. Znów mieli na sobie ubrania. Will wyszedł na chwilę z namiotu, gdy Melissa wciąż leżała na plecach, dysząc i dochodząc do siebie. Poszedł do strumienia. Powiedział, że widzi w ciemnościach, a dla niej to była nowość. Wyprał ich ręczniki i ubrania i rozwiesił na krzakach, by wyschły. Następnie wrócił ze świeżymi strojami: koszulki, bielizna, sportowe spodnie i buty. Powiedział, że śpi się zawsze w ubraniu, na wypadek ataku czy potrzeby ucieczki.

– Przepyszne – powiedziała zgodnie z prawdą.

Zimne czy nie, była głodna jak wilk. Lot, woda, seks... potrzebowała kalorii; wszystko smakowało cudnie świeżo, po prostu fantastycznie. Gdy skończyli, Will podał jej butelkę wody. Upiła sporo, a odrobiny użyła do umycia zębów.

Zdmuchnęła lampę.

– Jak Olivia to przyjęła? – zapytała Melissa, siedząc tuż przy nim w ciemnościach, uwielbiając go i wdychając jego męski zapach. Otulały ją jego mocne ramiona.

– Nie za dobrze – pocałował ją w czubek głowy i poczuła, jak bawi się kosmykami jej włosów. – Ale chodziło jej głównie o własny wizerunek. Przeżyje to. Poza tym sądzę, że i tak by odeszła.

– Dlaczego?

– Dziś straciłem wszystkie swoje pieniądze.

Melissa zamrugwała w ciemnościach.

– Co takiego?

– Bank. Była panika. Uknuli sprawę z pieniędzmi ukrytymi na fałszywych kontach, żeby mnie oczernić. Bank upadł, moje udziały przepadły, a wszystkie moje konta zamrożono. Nie zostało mi nic. Nie jestem miliarderem, milionerem, ani żadnym innym „erem” – spiął się lekko. – Przeszkadza ci to?

– Przeszkadza? – na wpół płakała, na wpół się śmiała. – Nie, nie! To cudownie, Will, to znaczy, że możemy zacząć od początku, razem. Cieszę się – powiedziała stanowczo. – Teraz już zawsze będziesz wiedział, jak bardzo cię Kocham, jak bardzo cię pragnę. Nie pieniędzy. Ciebie.

Obrócił ją do siebie i po ciemku odnalazł jej usta.

Podciągnął jej koszulkę i dotknął jej piersi, otaczając je dłońmi.

– Musimy się przespać – zaprotestowała.

– Spać później – powiedział, całując jej twarz i szyję. – Później.

Na wschodzie delikatnie rysowało się pierwsze światło dnia, a Melisę zbudził siedzący przy niej Will. Głaskał ją.

– Mmm – westchnęła.

Ocknęła się ze snu, który okazał się prawdą. To tak, jakby przebudzić się z pięknego snu i zorientować się, że właśnie ma się urodziny...

Był tam, Will tam był – przy niej, całował ją. Powróciło do niej wspomnienie jego dotyku, uścisku. Była podniecona. Ujął ją za nadgarstki i przycisnął jej ręce do podłoża za głową. Nie pozwalał się jej ruszyć, gdy wiała się pod dotykiem jego ust na obojczyku...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Lola siedziała w maleńkiej kafejce internetowej na Montée du Boulord, La Murette we Francji. Czuła się okrutnie zmęczona; w samolocie jej sen był nadzwyczaj niespokojny. Obok stała filizanka dobrej, czarnej kawy i kilka małych ciasteczek. Nawet w tak głównianej, małej dziurze, gdzie miejscowe dzieciaki przychodziły surfować po sieci, jedzenie było całkiem niezłe. Potrzebowała kofeiny i cukru. Wkrótce będzie musiała złapać trochę snu – nie było innego wyjścia, ale pomyślała, że może zmusić swoje ciało do aktywności jeszcze przez jakieś kilka godzin.

Miała dostęp do pewnych rzeczy, o które inni w jej fachu nie dbali – to dlatego była tak dobra. Technicznie była oczywiście doskonała: umiała świetnie strzelać, mieszać trucizny, była silna jak na swoje gabaryty; duszenie i skręcanie karków też nie było dla niej problemem. Jednak Lola nie skupiała się na technice. To potrafi każdy wyszkolony zabójca. Łatwo zabić człowieka, mając nóż czy broń palną. Ciało jest słabe, a ona wiedziała, jak bardzo.

Nie, jej sukces brał się z czegoś, czego nie robili inni. Była łowczynią. Ścigała swoją ofiarę i odnajdywała ją, gdy inni już tracili nadzieję, twierdząc, że ta na pewno zapadła się pod ziemię.

Will Hyde był lepszy niż większość jej celów – najlepszy – ale nie był Supermanem. Nie mógł odbić się od ziemi i odlecieć, potrzebował pojazdów. A gdzie jest pojazd, jest i ślad.

Użyła kodów zdalnego dostępu – technologia wiele ułatwiała. Połowa pościgu dzieje się w głowie. Kilka uderzeń w klawiaturę i już miała dostęp do komputera miejscowego nadzorcy ruchu na autostradzie. Krążyła pospiesznie myszką po jego ekranie. Facet był leniwym gnojkiem, systematycznie urządzającym sobie trzygodzinne przerwy na lunch.

„Niemożliwe – pomyślała zawiedziona – zbyt niska rozdzielczość. Na ekranie rzeka aut, nie da rady dojrzeć numerów rejestracyjnych, nie mówiąc już o twarzach jadących w nich osób”.

Spróbowała czegoś innego. Jeszcze kilka uderzeń w klawiaturę i pojawiły się bramki dla departamentu Isère. Zerknęła na leżący obok atlas i drogową mapę Europy.

Musieli jechać autostradą A43 w stronę Grenoble. Droga płatna. Stuk, stuk, stuk. Odnalazła płatny most i dokonała obliczeń w głowie. Zgadywała i to bardzo. Czy spali po przyjeździe do Roissy? Długi lot, wstrząsy w ładowni, długa, pieszka wędrówka do miasteczka.

A Lola? Spałaby? Jasne, że nie. Strach przed śmiercią to świetna motywacja. Nie będzie jednak patrzyła przez swój pryzmat i oceniała Willa według swojej miary – to dla niego komplement. Więc on jechałby dalej. Nie przypuszczała, żeby próbował przemycić cokolwiek na pokładzie tego samolotu FedExu. Przypuśćmy, że spędzili minimum pół godziny na zrobienie zapasów i zmianę ubrań. No i musieli też się umyć w jakiejś łazience. Dało

jej to razem jakieś dwugodzinne okienko przy założeniu, że dotarcie do tego punktu zajmuje pięć godzin...

Znów stuknęła w klawiaturę, robiąc zbliżenie. Teraz lepiej. Wyraźnie widać twarze za przednimi szybami aut. Puściła taśmy z monitoringu z dwukrotnym przyspieszeniem, popijała kawę i czekała.

Zjedli resztę jedzenia, wyszczotkowali zęby i umyli się szybko w strumieniu; tym razem Melissa nie oponowała. Will nalegał, by tylko się opłukała. Włosy miała już czyste. On spakował namiot, a ona pozbierała suche ubrania. Następnie Will rozrzucił liście i gałązki, aby ukryć miejsce obozowiska.

– Chodź. Musimy już iść – powiedział, całując ją w policzek i dotykając dłońmi jej klatki piersiowej, czym wywołał kolejną falę pożądania.

– Później – uśmiechnął się. – Nie powinno nas tu być już od godziny. To moja wina. Z tobą nie umiem przestać.

Zapięli pasy i Will wyprowadził samochód z powrotem na drogę. Auto nieco charkotało, ale dało się nim jechać. Mieli pełen bak, a gdy znów wjechali na autostradę, Melissa odetchnęła z zadowoleniem. Była czysta, sucha, najedzona i kochana. Siedzenia samochodowe były ciepłe i wygodne po doświadczeniach z zimną wodą strumienia. Poczła się nietykalna, jak wybranka niebios. Zabójcy, rozwścieczony głos kobiety wołający ją w tym mieszkaniu – wszystko stało się nieistotne. Jak mieliby ją odnaleźć? Will Hyde ochroni ją nawet przed samym diabłem.

Lola ugryzła kolejne ciasteczko, tak delikatne i lekkie, że prawie nie poczuła go w ustach. Od dłuższego czasu nie jadła nic równie pysznego. Sprzedawali tam również nugat – może weźmie trochę. To dobre i trwałe źródło glukozy...

Ach! Pochyliła się do przodu i stuknęła w ekran. Cofnąć. Zatrzymać.

Cholera, nie było możliwości lepszego zbliżenia, nie da się powiększyć obrazu, ale to byli oni! Była tego pewna. Nigdy nie zapomniała oczu swojej ofiary. Przyjrzała się postaciom w samochodzie. W dużym samochodzie, a nie na motorze. Ciekawe, dlaczego przesiedli się z motoru do samochodu? Wzrost się zgadzał, waga też.

Dziewczynę łatwiej było rozpoznać, niż Hyde'a, który zapuścił brodę.

„Spryciarz” – pomyślała.

To takie dziwne, gdy ofiary zaniedbują podstawowe rzeczy. Dziewczyna, Melissa, obcięła włosy. Obraz niestety był czarno-biały, ale skoro obcięła, to pewnie też je ufarbowała.

Nagranie z wczoraj. Jechali na południe w renault espace, w stronę szwajcarskiej lub włoskiej granicy. Potem już na pewno musieli się przespać. Hyde z pewnością nie znosił tego tak samo jak Lola, ale niestety ciało domaga się postojów.

Melissa siedziała w milczeniu i próbowała myśleć. Will był szpiegiem. Wyłapywał tyle informacji, rzeczy, których ona zupełnie nie zauważała. Może podchodził do tego zbyt analitycznie. Może mogłaby go jakoś odciążyć, pomóc mu.

– Gdyby wrócić do tych pozostałych dwóch zabójstw, to czy one o czymś nam mówią? – zapytała. – Wiesz, dlaczego zabili senator Jospin, ale co z bibliotekarką, jak ona się nazywała...

– Moira Dunwoody.

– Właśnie. Co z nią?

Pomyślał chwilę, poszukując informacji w głowie jak w notesie.

– Była kierowniczką nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Zaszczepna posada, ale nic poza tym. Nie miała wartych zachodu pieniędzy, nie była tajną agentką. Wiedziałbym o tym.

– Tatuś bywał w tej bibliotece?

– Na kilku imprezach dobroczynnych. Raz widziałem, jak z nią rozmawiał. Innym razem spotkał się z Ellen Jospin, którą obserwowałem pod kątem mojej branży. Jego nazwisko pojawiło się na liście gości w jej biurze. W ten sposób doszukałem się powiązań z tobą.

– Mój ojciec nie zaprzyjaźniał się łatwo – powiedziała Melissa powoli.

– Można tak powiedzieć.

– Nie bądź zawzięty.

– Przepraszam – położył swobodnie dłoń na jej udzie, drugą zaś trzymał kierownicę. Gładził jej umięśnioną nogę, a ona zagryzła wargi w nagłym uniesieniu. Podniecał ją jego najdrobniejszy dotyk. – Staram się od zeszłej nocy.

Melissa wzięła głęboki oddech, mocno dociskając uda do siebie. Jego dłoń wciąż tam była.

– Tygrysico – powiedział.

– Will...

– Później – odparł.

Gdy w końcu zabrał rękę, była już bardzo rozpalona, nie mogła usiedzieć na miejscu.

– Nie mogę się skupić – wymamrotała.

– A ja sądziłem, że jesteś zimna jak lód – powiedział Will i zaśmiał się. – Nie powinienem cię dotykać. Po prostu nie mogę ci się oprzeć.

Kolejny głęboki wdech. Uspokoila się.

– Drań z ciebie, wiesz?

– Tak mówią – wzruszył ramionami. – To tylko moja zemsta na tobie, kotku.

Melissa odrzuciła wyzywająco głowę, a on uśmiechnął się do niej.

– Mój ojciec – powiedziała, drażąc dalej – zainteresowany był towarzystwem tylko tych ludzi, którzy albo mogli coś dla niego zrobić, albo podziwiali go za jego błyskotliwość. Uwielbiał to schlebianie na Oksfordzie. Był wyjątkowym naukowcem, Will.

– Tak. Rozumiem.

– Czy ta Moira z biblioteki specjalizowała się w czymś, interesowała czymś szczególnie, że tatuś właśnie ją odszukał?

Will patrzył przed siebie, patrzył na drogę, myślał. Nagle wziął gwałtowny wdech.

– Boże! – powiedział, a samochodem lekko zarzuciło.

Melissa krzyknęła, ale natychmiast odzyskał kontrolę nad autem. Palce na kierownicy pobiegały mu, a twarz poczerwieniała od nagłego napływu krwi. Resztki pożądania Melissy zniknęły i zastąpił je strach. Nigdy wcześniej go takim nie widziała. Był taki opanowany, taki niewzruszony.

- O co chodzi, o co chodzi, Will?
- O twojego ojca; mówiłaś, że nie wiesz dokładnie, w czym się specjalizował?
- Nigdy o tym nie mówił. Trzymał to w tajemnicy. Coś związanego z oszczędzaniem, same nudy.
- Nie nudy – powiedział Will. – Oszczędzanie energii?
- Tak. Interesowało go obalenie teorii globalnego ocieplenia – powiedziała. – Wszystko, co przyniesie sławę lub jej akademicki odpowiednik. Ale kiedyś powiedział mi, że jego praca zawiodła go na zupełnie inne tereny. Nie pytałam dlaczego, bo tak naprawdę mnie to nie obchodziło. Nigdy nie interesowałam się nauką.
- Myślę, że właśnie to rozgryzłaś – powiedział Will. – Nie wierzę, że mogłem być tak głupi. Każdy mógł sobie połączyć te elementy. Byłem zbyt zajęty zabezpieczaniem cię. Powinienem był skupiać się na przyczynie i to od samego początku, a nie od teraz.
- Mówisz zagadkami.
- Spytałaś o specjalizację Moiry. Dobre pytanie. Świetne pytanie. Może powinnaś wstąpić do służb.
- Will...
- Energia – powiedział. – Odnawialne źródła energii. Słonecznej, wiatrowej, wodnej. A Ellen Jospin była w Komisji do Spraw Wywiadu i to mnie zmyliło. Wcześniej była w komisji energetycznej. Zagorzała fanka demokratów, prawdziwy liberał. Była ostatnią, która sprzeciwiała się wierceniu w ANWR ²⁹, nawet wtedy, gdy ceny ropy osiągały niebotyczny poziom. Uważała, że Stany Zjednoczone nie inwestują wystarczająco w energię słoneczną.

²⁹ Rezerwat Przyrody Arktyki na terytorium Alaski (Arctic National Wildlife Refuge) (przyp. tłum.).

Melissa oparła głowę na siedzeniu – wiedziała, do czego zmie-
rzał. Serce zaczęło bić jej mocniej, oddech przyspieszył.

– Will! Zanim mój ojciec wyjechał do Włoch, kiedy dostał
grant od Davida Fella, coś wtedy powiedział... Powiedział, że
słońce i chmury mają bardzo duże znaczenie i że cały świat pozna
jego nazwisko.

– Mów dalej – powiedział Will. – Wszystko, co pamiętasz.
Absolutnie wszystko.

– Powiedział, że w klimatologii nastąpiły ciekawe czasy i że je-
go praca znajdzie zastosowanie na skalę przemysłową...

Will zobaczył znajdujący się przed nimi znak i skręcił nieocze-
kiwanie w prawo, kierując się do zjazdu.

– Jesteśmy niedaleko Portofino – powiedział. – Zaparkujemy
gdzieś i zjemy coś. Muszę pomyśleć. Naprawdę muszę pomyśleć.

– Dobrze – była zbyt podekscytowana, by jeść, ale chętnie
odetchnie od tego bezgranicznego, szarego pasma asfaltu. – Will,
wcześniej mówiłeś coś o zabójcy tej kobiety. Że jej klienci byli
Arabami, a facet w apartamencie pochodził z Ameryki Południo-
wej. W Wenezueli jest ropa, prawda? I to mnóstwo ropy.

– Zgadza się – powiedział. – Rozumiesz już, moja ślicznotko,
prawda?

Dojechali do jakiejś wioski w Ligurii, w północnych Włoszech.
Will zatrzymał samochód na piaszczystej drodze tuż przy gaju
oliwnym. Nieco dalej, przy ulicy, znajdowała się tawerna rekla-
mująca się jako amerykański bar sportowy.

Wysiedli. Prawie biegł do niej, okrążając samochód z błyskiem
w oczach.

– Twój ojciec musiał wynaleźć ogniwo słoneczne – powiedział. – Ogniwo słoneczne, które naprawdę działało. Ogniwo, które zdolne było zrobić więcej niż tylko podładować baterię czy zegarek. To od lat było jak Święty Graal. Wyobraź sobie słoneczne ogniwo, które można wbudować w dach samochodu – zasilaloby go.

Melissa spróbowała sobie to wyobrazić i zrozumiała od razu. Konsekwencje byłyby nieprawdopodobne. To mogłoby zmienić świat.

– Ropa...

Will chwycił ją za ramię.

– Ropa poleciałaby w dół. Miałaby jakąś tam wartość, ale nie byłaby już decydująca – poleciałaby na łeb, na szyję. Najbogatsze kraje dostarczające ropę zbiedniałyby w ciągu jednej nocy.

Stała tak w jego uścisku na poboczu, na zakurzonej, porośniętej krzakami wsi śródziemnomorskiego kraju i śmiała się głośno.

– Mój ojciec – powiedziała. – Mój ojciec, prawicowy lunatyk, przodownik ataku na globalne ocieplenie. *Mój ojciec* wynalazł coś, co mogło ocalić planetę?

– Chrzanić planetę – powiedział Will. – Są ludzie, którzy skłonni byliby rzucić bombę nuklearną na Rzym, żeby tylko zahamować rozprzestrzenienie się takiej informacji.

Spojrzała na niego.

– Ja nie żartuję – powiedział. – Oddaliby wszystko. Są też organizacje terrorystyczne, wiele organizacji pozarządowych, które bazują na pieniądzach za ropę.

– Czyli nic dziwnego, że chcą mnie załatwić – powiedziała Melissa i zaczęła się trząść. – Co robimy? Oni nigdy nie przestaną.

Will przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował, a ona zadrżała i przywarła do niego.

– Żyjesz. Oboje żyjemy – powiedział. – Myślisz, że pozwolę ci odejść, Missy? Po tym wszystkim? Pomyśl jeszcze raz.

Przytuliła się do niego przerażona. Zabiją i ją, i jego. Właśnie gdy odnalazła miłość, zostanie jej ona odebrana. To nowe życie, tak cenne i pełne wigoru, zostanie przerwane.

Mogli przechrzcić jedną kobietę zabójcą. Ale zjednoczone siły światowych potentatów naftowych? W to wątpiła, i to wątpiła bardzo.

– Może jeśli znikniemy – wyszeptała. – Może jeśli pojedziemy w jakieś spokojne miejsce... do Islandii albo... albo... Argentyny...

Will wciąż ją obejmował. Ułożył otwartą dłoń na jej sercu i poczuł, jak bije pod jej skórą.

– Nie ma ucieczki – szepnął. – Nie przed taką masą ludzi. Musisz sprawić, by ich koszmar się ziścił, kochanie. Musisz dowiedzieć się, jakiz to dowód miał twój ojciec i opublikować to. Umieścić w Internecie, wysłać do *New York Timesa* i *Sun*, i BBC. Do Greenpeace. Do Białego Domu. A potem zgłosić się do CIA i poprosić o ochronę.

– Ale, Will – powiedziała, niemal płacząc – ja tak naprawdę nie rozmawiałam z tatą przez lata. Nie miałam pojęcia, nad czym pracował. Jak mam się tego dowiedzieć? Jak to udowodnić? Nawet nie wiemy, czy mamy rację. Może to nie ma nic wspólnego

z ogniwami słonecznymi..

– Ma – powiedział Will. – To pasuje. Idealnie. A jest tylko kilka wyjaśnień, które tu pasują.

– Nie rozmawiał ze mną – zaprotestowała Melissa. – Nie podawał mi żadnych szczegółów dotyczących jego pracy. Straciliśmy ze sobą kontakt. Jak mamy to teraz odnaleźć?

Will wzruszył ramionami.

– Ostrożnie – powiedział. – Musisz być gotowa, kochanie. Skoro ja na to wpadłem, to oni też to zrobią. Będą wiedzieli, gdzie jedziemy i dlaczego. Jeśli nie dopadną nas w trasie, to będą na nas czekać na dawnej uczelni twojego ojca. I to wkrótce, o ile już tam nie są – ponownie ją pocałował. – Chodź, jesteśmy na jakimś pustkowiu. Zjedzmy coś. Tu ich nie będzie, kochanie, jeszcze nie.

Podał jej rękę, a Melissa wsunęła swoją dłoń w jego, przysunęła się blisko i pocałowała w ramię. Czuła się osłabiona, prawie nieprzytomna z miłości do niego.

Tawerna była bardzo skromna, menu nabazgrane kredą na tablicy. Włoskie, nic dla turystów. Will zamówił *buridę*³⁰, regionalną rybę duszoną, a Melissa zwykły makaron z pesto. Wszystko zostało podane z butelkami lemoniady z lodem. Jedzenie było tanie i smaczne, a gospodarz chrząknął z uznaniem, słysząc włoski Willa.

³⁰ Potrawka rybna (przyp. tłum.).

Znajdował się tam przykurzony telewizor, niewielki, przytwierdzony w stalowej ramie do ściany. Will porozmawiał z gospodarzem i ten włączył odbiornik, kręcąc dumnie gałkami w

poszukiwaniu CNN. Kanał informacyjny nadawał akurat sport, mecz piłki nożnej między Jetsami a Vikingami. Właściciel odszedł, aby obsługiwać swoich stałych klientów, nie zwracając na nich uwagi. Zapłacili z góry. Już go nie obchodzili.

– Jedz – powiedział Will. – Jest smaczne. Wiedziałaś, że to tu wynaleźli pesto?

Melissa nie odpowiedziała. Gapiła się w ekran. Wyciągnęła nieznacznie rękę i dotknęła jego ramienia wskazując na telewizor. Will odczekał chwilę, a potem wziął łyk lemoniady. Odwrócił się delikatnie w stronę odbiornika, jakby zupełnie go to nie interesowało.

Jasnowłosa prezenterka czytała komentarz do materiału ukazującego Olivię i Willa stojących na czerwonym dywanie. Olivia wyciągała dłoń, połyskując brylantem na palcu.

Melissa rozejrzała się ukradkiem po sali, ale nikt nie patrzył na Willa; miał brodę, nie dało się w nim rozpoznać tego bogacza w smokingu.

... gdy w mieszkaniu odnaleziono ciało sławnej Olivii Wharton. Panna Wharton, narzeczona zhańbionego finansisty Williama Hyde'a, została uduszona. Policja twierdzi, że na ciele młodej kobiety zostały znalezione włosy i krew Hyde'a. Sam Hyde zniknął tydzień temu z Manhattanu i jest obecnie poszukiwany w celu przesłuchania w związku ze śmiercią Olivii Wharton, napaścią na dwoje pracowników Federal Express, praniem brudnych pieniędzy oraz oszustwo bankowe...

Will upił jeszcze kilka łyków ze szklanki i celowo zjadł trzy dodatkowe łyżki potrawy, ale Melissa dobrze widziała szok na jego twarzy i oczy pełne łez. Wstał swobodnie, zostawiając na

stole kilka euro, i wyszedł. Pospieszyła za nim z ciężkim sercem przepelnionym strachem, winą i litością.

Will nie odezwał się ani słowem. Poszła za nim do samochodu i wsiadła do środka. Wycofał i odjechał małą uliczką z dala od autostrady, kierując się w stronę wybrzeża.

– Pojedziemy bocznymi drogami – powiedział.

Melissa przygryzła wargi.

– Przykro mi, Will.

– Zawiodłem ją – odparł; po policzku potoczyła się łza, która zaskoczyła Melissę. Nigdy nie widziała płaczącego Willa Hyde'a.

– Wykorzystałem. Była wesoła, dobra w łóżku, towarzyska, nie przeciwstawiała mi się. A ja sądziłem, że pora na małżeństwo, więc się oświadczyłem. Nigdy nie kochałem Olivii, a ona zasługiwała na kogoś lepszego niż ja. Gdy się rozstaliśmy, byłem tak cholernie zadufany w sobie. Pomyślałem, że zależało jej tylko na moich pieniądzach i pozycji. Może tak było, a może nie. Ale ja nie byłem lepszy. Ona chciała moich pieniędzy, a ja szukałem brakującego elementu układanki, dodatku do mojego życia. Byłem gorszy, bo nigdy nie zapomniałem o tobie. Wykorzystałem ją.

– Nie robiłeś tego celowo – powiedziała Melissa. – Nie widziałeś tego w ten sposób. Nie staraj się pisać przeszłości na nowo, Will. Zwariujesz.

– Jakaż byłaby cholerna strata – powiedział rozgoryczony.

– Była znana i piękna – powiedziała Melissa. – Szanowana w twoim towarzystwie. Błyszczała i olśniewała. Jej życie byłoby cudowne, gdyby nie tych kilka ostatnich dni. Niewielu może tak o sobie powiedzieć, Will.

– Gdy pojechałem cię szukać, nie wpadło mi do głowy, że mogą po nią przyjść – uderzył dłonią w kierownicę. – Jakim ja byłem durnym, egoistycznym idiotą. Naraziłem niewinną kobietę. Zapłaciła za mnie własnym życiem. To moja wina, Missy, to przeze mnie nie żyje...

Włączyli się do ruchu u wjazdu do górskiego tunelu. Melissa dotknęła jego podbródka i zmusiła, by się do niej odwrócił. Pochyliła się i delikatnie scałowała łyż z jego twarzy.

– Will, ona nie żyje dlatego, że udusił ją jeden z tych drani.

Zatrzymał na niej wzrok, a ona odsunęła się przerażona. W jego oczach była nienawiść, wściekłość, jakiej nie widziała nigdy wcześniej. Po raz pierwszy w życiu Melissa ujrzała w nim zabójcę, takiego, jakim dawno temu musiał widzieć go wróg patrzący na niego zza lufy broni.

– Tak – powiedział. – Masz rację.

– Co zamierzasz? – wyszeptała.

– Przestać od nich uciekać – odpowiedział – i zacząć iść ścigać.

Wytrzymał jej wzrok.

– Powinnaś zostawić mnie na jakiś czas. Mogę poprosić przyjaciół, by się tobą zaopiekowali, wojskowych. Mogę umieścić cię w jednym z najbezpieczniejszych miejsc w Jeruzalem, ochranianym przez ich tajne służby.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę pozwolić ci odejść, Will. Jeśli zginiesz, moje życie i tak będzie skończone. Po prostu nie chcę żyć bez ciebie. Pozwól mi jechać. Co zrobimy?

– Porzucimy ten samochód – powiedział. – Zarezerwujemy miejsca na statku wycieczkowym. Bez rejestracji. Przekupię

jednego z członków załogi, by umieścić nas w pustej kajucie. To ostatnie miejsce, w którym będą szukać. Wycieczkowce zatrzymują się w Portofino, a oni posprawdzają łódzie podczas załadowywania statku, jeśli są na tyle drobiazgowi. Wsiądziemy w połowie kursu. Następnym przystankiem będzie Rzym. To przede wszystkim jest port.

– OK – spróbowała się lekko uśmiechnąć. – Jakoś przeżyję kajutę turystyczną.

– Udamy się na kampus uniwersytecki. Znajdziemy papiery twojego ojca – pocałował ją – i wtedy znikniesz.

– Odmawiam.

– Znikniesz – powtórzył. – Pojedziesz i opublikujesz pracę swojego ojca, z jakiegoś bezpiecznego miejsca. Może z Izraela. Pomogą nam. Byli moimi przyjaciółmi w okopach. Pamiętaj, Melisso, nie chodzi tylko o Olivię. Oni za to zabili twojego ojca. Możesz go pomścić, nie oddając ani jednego strzału.

Opanował ją gniew.

– Rzeczywiście go zabili.

– A jeśli będziesz ze mną, będziesz mnie hamować. Będę myślał o chronieniu ciebie. Pozwól mi ich tropić, Melisso.

– Kogo ty tropisz? – szepnęła. – Nie możesz zdjąć tych wszystkich agentów z tych wszystkich krajów, Will. Ty jesteś tylko jeden.

Oparł głowę, a ona dostrzegła frustrację. Było ich zbyt wielu i on o tym wiedział. Ale jego oczy zwięzły się.

Odwrócił się do niej.

– Zabiję tę kobietę – powiedział. – Lolę Montoyę.

– Ale to kobieta – zaprotestowała Melissa.

Wzruszył ramionami.

– Nie oczekuj rycerskości, Melisso. Ona jest zabójcą. Jeśli jej nie zdejmę, zabije znowu. Próbowwała zabić ciebie. Prawdopodobnie zabiła Olivię. To wygląda na jej robotę, te obwiniające mnie dowody. Ktokolwiek dostał się do mojej krwi, włamał się do piwnic gabinetu mojego lekarza na Piątej Alei. To zawodowa robota. Pasuje do Montoi – oczy mu pociemniały. – Zginie. Nie tylko ona. Ta operacja ma szefa, jak wszystkie. Musi być niezwykle potężnym człowiekiem. Ma do czynienia z szefami służb, może z ministrami. Z finansistami na pewno. Różnymi krajami i najróżniejszymi zawodnikami. Ludzie wybrani do tej roboty to absolutna elita – jego oczy zwężyły się, myślał. – Będę miał na liście około dwudziestu. Lola Montoya nie składałaby raportu nikomu niższej rangi.

– Skoro jest tak dobry, to możesz go powstrzymać?

Spojrzał na nią i znów wzruszył ramionami.

– O, tak – powiedział. – Uwierz mi. Jestem w stanie go zabić.

Samochód wynurzył się z tunelu i Will wjechał na wąską, boczną drogę ze znakiem kierującym na Portofino.

– Zabiję go – powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Dymitr czekał, aż kierowca otworzy mu drzwi limuzyny. Musiał uzbroić się w cierpliwość – to może chwilę potrwać, zanim stanie oko w oko z sułtanem Harounem. Nie miał nic przeciwko temu. Haroun był jednym z najbardziej rozważnych jego klientów, a Dymitr miał wreszcie dobre wieści.

– Proszę za mną – powiedział odziany w biel wezyr, prowadząc Dymitra przez chłodne, marmurowe korytarze pałacu.

Zewsząd dobiegał cichy szum pracujących klimatyzatorów. Dymitr zaczął się zastanawiać, ile może kosztować utrzymanie takiej oazy – z najlepszą służbą i żołnierską ochroną. Sułtan trzymał swą żonę i dzieci w porażającym luksusie, a Dymitr dobrze wiedział, że na tym wypielęgnowanym, zamkniętym terenie znajduje się jeszcze dom uciech pełen kobiet. Haroun posiadał swój harem i miał też nieposkromione żądze. Dymitrowi to właśnie podobało się w sułtanie – dzięki temu łatwiej było go zrozumieć i kontrolować. A jednocześnie stanowiło to jego słabość; kobiety przebywały tam anonimowo, a potem były odsyłane.

– Jego Wysokość jest w gabinecie.

Dymitr pokiwał głową i ruszył przed siebie. Cokolwiek powie Harounowi, zostanie dyskretnie i sprawnie przekazane odpowiednim ludziom z krajów obfitujących w ropę. Haroun był jedynym przywódcą rządu, a nawet rządowym ministrem, zamieszany w tę sprawę. Pozostali to same cienie, oficerowie służb wywiadowczych z gigantycznymi inwestycjami w swoich krajach, a czasem nawet nutką patriotyzmu. Na chwilę obecną zarówno cała operacja inwigilacyjna, jak i zagrożenie były poza zasięgiem formalnych władz większości z tych krajów.

Sułtan Nadrahu, Haroun, był wyjątkiem.

Dymitr wszedł do wyłożonego importowanym, europejskim orzechem gabinetu, który wyglądał niczym biuro brytyjskiego premiera. Haroun rozmawiał przez telefon i patrzył na umieszczone za mahoniowym biurkiem ekrany komputerowe.

„To autentyczny chippendale” – pomyślał Dymitr.

– Wasza Wysokość – powiedział.

Haroun spojrzał na niego.

– Donosisz o postępach?

– Tak. Wylądowali we Francji i zbiegli przez włoską granicę. Wydaje się, że kierują się na południe. Wytropiliśmy ich przy miasteczku w południowej Francji, Voiron, następnie zostali sfo-
tografowani, gdy przekraczali włoską granicę.

– Dlaczego ich nie zabito?

– Nie było takiej możliwości: w takich sytuacjach rzadko korzysta się z parkingów przy autostradach, Wasza Wysokość. Punkty kontroli paszportów są sporadyczne.

Haroun zmarszczył brwi, a Dymitr miał ochotę go załatwić. Miał już serdecznie dość tłumaczenia się z operacji przed takimi

blaznami, nawet przed tak ważnym jak ten Arab. Co on mógł wiedzieć o jego fachu? Mniej niż nic.

– Jak ich przyszpiliłeś?

Dymitr dokładnie przemyślał odpowiedź na to pytanie.

– Wyśledziliśmy ich dzięki naszej agentce Loli Montoi.

Haroun nie rozwinął tego wątku.

– A co robicie, by ich wyeliminować?

– Ten gość, Hyde, jest zdolny.

– Męczy mnie już ta informacja – powiedział oziębłe Haroun.

– Tak, Wasza Wysokość. Cały sztab ludzi śledzi listy wymeldowań ze wszystkich hoteli, pensjonatów w całej Francji. Nie zatrzymali się nigdzie na nocleg, zatem albo spali w samochodzie, albo po prostu w krzakach. A to może oznaczać, że Hyde zrozumiał istotę naszego pościgu; wie, ilu ludzi go szuka.

Haroun wzruszył ramionami.

– Po czym wnosisz?

– Obstawienie każdego hotelu w kraju wymaga olbrzymiej liczby ludzi. Zazwyczaj uciekający agent wybiera jakąś mniej znaną norę i płaci gotówką – to standard. A skoro Hyde unika takich miejsc, to znaczy, że zna skalę poszukiwań. Domyślił się, że zamieszanych jest w to więcej krajów – Dymitr wytrzymał wzrok sułtana. – Wasza Wysokość musi przyjąć, że on wie, dlaczego chcemy się go pozbyć.

Sułtan pochylił się. Można było dostrzec, jak pod jego ciemną skórą buzuje krew, a pod opadającymi powiekami czaiło się przeżenie.

– Jeśli on wie, to świat zmierza ku końcowi – powiedział z wyraźną złością.

– Nie, Wasza Wysokość. Jest różnica między tym, co wie, a tym, co może udowodnić.

– Gdzie jest teraz?

– Poza zasięgiem.

– *Ib il tinayich* – zaklął Haroun. – Czy on jest jakimś duchem? Jak udaje mu się uciec?

– Lata treningów – odparł rzeczowo Dymitr. – Ale to nieistotne. Wiem, gdzie muszą się pojawić. Lola Montoya dostarczyła nam pewien dowód – mówiąc szczerze, całkiem niezły. – Gdy tam dotrą, będziemy już na nich czekać. Przygotujemy zasadzkę.

– Więc dokąd się udają?

Dymitr bardzo niechętnie odpowiedział na to pytanie.

– Do Rzymu, Wasza Wysokość. Sądzę, że kierują się na południe. Są już blisko rozwiązania zagadki. Udadzą się do miejsca pracy Richarda Elmeta, będą wypytywać jego przyjaciół, próbować dowiedzieć się, dlaczego właściwie ich ścigamy. Wiedząc, dokąd zmierzają, możemy ich namierzyć. Obejmę dowodzenie nad ludźmi.

Haroun uniósł dłoń do czoła.

– Ilu weźmiesz?

– To delikatna sprawa. Mógłbym wykorzystać kilka tysięcy, ale zauważyłyby nas włoskie władze, Hyde również. Im więcej ludzi, tym większa nieuwaga. On może się zaszyć na kilka tygodni, a nawet miesięcy. Chcę wziąć setkę wyselekcjonowanych ludzi – ekspertów komputerowych i snajperów. Taką grupę uda mi się ukryć w mieście.

– Czyli ta Montoya jednak się przydała – zadumał się klient.

– Odnalazła tę dwójkę szczurów brnącą na południe.

Dymitr przytaknął.

– Na zdjęciach wygląda na piękną.

– Tak – powiedział obojętnie Dymitr.

– Chcę ją mieć – powiedział Haroun. – Byłaby chętna? Płaciłbym jej, bez względu na stawkę.

Dymitr uśmiechnął się.

– Nie wzięłaby pieniędzy za to, Wasza Wysokość.

– Mogę ją zatrudnić do zabijania, a nie po to, by z nią spać – odparł Haroun. – Naturalnie, gdy operacja dobiegnie końca, ty, Dymitrze Pietrenko, wyeliminujesz ją?

Wie zbyt wiele, prawda?

Dymitr uniósł brwi w wielkim zaskoczeniu. Czasami Haroun wyskakiwał z czymś takim – drobne, trafne uwagi sprawiające, że nawet warto było z nim rozmawiać.

– Jest kimś więcej niż zwykłym żołnierzem, którego można oddać pod sąd wojskowy. Będzie się spodziewała takiego posunięcia.

– Nic odpowiedziałeś na moje pytanie – ukrócił go sułtan.

Dymitr skinął głową.

– Planuję to zrobić zapobiegawczo, jeśli nie będzie tego świadoma. Ta kobieta może być ogromnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

– A ty jesteś agentem ze znakomitym świadectwem: zabójstwo prezydenta Montaigne'a, porwanie Yitzaka Wassermana.

Dymitr uśmiechnął się.

– I wielu innych, sławniejszych, o których nawet nie słyszy się, że dostali kulkę – dodał.

– Zatem będziesz w stanie ją tu dostarczyć, prawda? Chcę ją umieścić w moim haremie. Oczywiście nie z innymi kobietami, bo by je powybijała. Będę trzymał ją w odosobnieniu i sprawię, że będzie uległa – twarz wykrzywił mu grymas. Dymitr domyślał się, jakie okrucieństwa kryją się za tymi słowami. Haroun nie był tak szarmancki, za jakiego lubił uchodzić. – Będzie mnie zaspokajać, a gdy już z nią skończę, przekażę ją tobie lub sam ją zabiję i się jej pozbędę.

Dymitr lekko wykrzywił usta. Haroun był taki zacofany.

– Mógłbyś się zawahać, polubić ją zbytnio, a jeśli taka kobieta ucieknie, może wyrządzić ogromne szkody.

– Nie musisz się obawiać – obruszył się Haroun. – Jej poczytania uważam za odrażające. Niekobiece. Posiadanie jej byłoby intrygujące.

– Postaram się – przytaknął Dymitr. – Zobaczę, co da się zrobić, ale poczekam i sam ją zabiję, gdy już z nią skończysz. Mylisz się, myśląc o niej jak o kobiecie. To agent. Z łatwością uciekała ze znacznie bardziej oblężonych miejsc niż ten pałac. A mścić będzie się potem na mnie.

Haroun kiwnął głową.

– Rób zatem jak uważasz – przyjrzał mu się uważnie. – Dziwię się, że nie oponujesz. Przecież ona pracowała dla ciebie, prawda?

– Sądzisz, że jestem niesprawiedliwy? – odparł Dymitr. – Wzięła zaliczkę i zataiła pewne informacje. W takim wypadku znika cała ochrona i nie chodzi tu o sentymenty, ale w tym fachu obowiązują pewne reguły. Niedobrze jest zatrudnić kogoś, a potem go zabić. Ciężko jest potem zdobyć kogoś innego do kolejnej roboty.

– Ale skoro cię zdradziła, to jest już inaczej?
– Wtedy to już właściwie trzeba zabić. W przeciwnym razie w świat pójdzie pogłoska o mojej słabości.

– Spodziewa się twojego gniewu?

– Spodziewa się niezadowolenia, bo się opóźnia, ale nie wie, na ile znam jej poczynania – Dymitr uśmiechnął się. – Nie wie nawet, że jadę do Rzymu. Dowie się później.

– Bardzo dobrze – odezwał się Haroun z błyskiem pożądania w oku. – Oczywiście najpierw pozbądźcie się mężczyzny, Hyde'a, potem załatwienie tej córki nie będzie już trudne. A wtedy wrócisz tu z tą kobietą.

– To wykracza poza moje kompetencje – powiedział Dymitr, robiąc aluzję do swojej prowizji.

Sułtan poruszył się w swoim fotelu.

– Naturalnie. Za nią samą, jeśli będzie nietknięta i świadoma, zapłacę ci dwa miliony dolarów.

Dymitr przytaknął. Zatem mamy prywatny układ, nic związanego z misją. Bardzo mu to odpowiadało; i tak zamierzał zdjąć Lolę, a teraz będzie to nie tylko przyjemne, ale i zyskowe.

– Znasz moje dane. Prześlij pieniądze dziś wieczorem.

– A jaką mam gwarancję, że dostarczysz kobietę? – zapytał Haroun.

– Powiedziałem, że to zrobię – uśmiechnął się Dymitr.

Sułtan odpowiedział uśmiechem. Toczyli teraz grę – ten wykańczający, miesięczny pościg za angielską parą niemal dobiegał końca i można było powrócić do normalnej pracy. Haroun ciężko pracował na swoje obfitujące w przyjemności i doznania życie, a

teraz, gdy mijało grożące mu niebezpieczeństwo, ten cały ryzykowny biznes zaczynał mu się podobać.

– Czy Wasza Wysokość posiada odrzutowiec?

– Trzy.

– Chciałbym najmniej, zamierzam od razu polecieć prosto do Rzymu. Lepiej nie tracić czasu.

– Zanim dotrzesz na lotnisko, maszyna będzie gotowa do startu. Polecisz z tobą też kilku wysłanników – zaśmiał się Haroun. – Złożą Włochom kurtuazyjną wizytę. Mieliśmy w tym roku nieco wewnętrznych zawirowań.

– Dziękuję – powiedział Dymitr, skłoniwszy lekko głowę.

Haroun ułatwiał mu wiele spraw; był znakomitym punktem odniesienia dla przyszłych klientów i lukratywnym źródłem dochodu. Rosjanin odwrócił się i wyszedł z pałacu w kierunku wciąż czekającego na niego na zwirowym podjeździe auta z kierowcą. To dobrze, że sułtan miał możliwość tak sprawnego zapewnienia samolotu. Był już zbyt zmęczony tym pościgiem. W Rzymie nie będą w stanie mu uciec. William Hyde był dobry, ale Dymitr lepszy.

– Lotnisko – powiedział do kierowcy. – Wylatuję sułtańskim samolotem.

Lola Montoya poprowadziła go do zwierzyny, choć nie do końca w taki sposób, jak by sobie życzył. Śledził ją przy pomocy dwóch zawodowców – świetnych specjalistów, byłych agentów gruzińskich nienależących do tej operacji. Nie mieli pojęcia o maszynie słonecznej i sądzili, że kobieta była jedynie piękną psychopatką, którą Dymitr ma w odpowiednim momencie zlikwidować na zlecenie rosyjskiego oligarchy.

Byli dobrymi, porządnymi agentami, a ona się ich nie spodziewała, skupiona na jednym. Trzymali się z tyłu, zbliżając się tylko do jej samochodu bądź śledząc ją z odległości minimum dwóch przecznic. Wszystko wskazywało na to, że Montoya wpadła na trop – jej ruchy były przemyślane, nie zwracała się po pomoc. Śledziła. I nie zadzwoniła do Dymitra ani żadnego innego agenta czy biura.

Nasłał na nią ludzi z technicznego. Jej głównym błędem było użycie komputera, korzystanie z oprogramowania kontroli ruchu ulicznego. Dobra robota. Uśmiechał się na samą myśl o tym – była tym wyjątkowym typem agenta, od którego wciąż można było się czegoś nauczyć. Miała nowe pomysły przez niego wciąż niewykorzystane. Człowiek w monitoringu drogowym – niezłe. Natychmiast wprowadzi to w życie.

Gdy otrzymał przekaz z kilkuminutowym opóźnieniem, Dymitr Pietrenko poczuł tak nagły przyływ adrenaliny, jakby ktoś wylał na niego kubel lodowatej wody. *Właśnie dlatego ją zatrudnił.* Jej stawka to pięć milionów dolarów i wszystko wskazywało na to, że była jej warta. Nawet gdy Europę przeczesywały tysiące innych agentów w poszukiwaniu tej dwójki, żaden nie trafił w sedno, a Lola Montoya – owszem.

Czekał na telefon, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że się nie doczeka. Grała solo. Nie zamierzała nikomu oddać ani samego strzału, ani uznania. To czasami stanowiło problem we współpracy ze sławnymi zabójcami – ich ego dawało się we znaki. Ta suka zmądrzała od czasu tego raportu na jego jachcie. Dymitr czytał dokładnie w jej myślach. W końcu były to również i jego myśli.

To, że rozumiał doskonale, dlaczego tak postąpiła, nie znaczyło jeszcze, że będzie to tolerował. Śledziła ich przy przekraczaniu włoskiej granicy, a potem zgubiła. Chętnie wezwie ją do siebie do Rzymu – nadal była użyteczna, ale najwyraźniej zapomniała, że jest przez niego zatrudniona do jego roboty.

Przelecenie jej może być niezłą zabawą, być może nawet jej się spodoba. Zabicie jej byłoby w pewnym sensie marnowaniem talentu. Ale to go nie powstrzyma – po tej robocie zamierza zniknąć. Dymitr nie miał złudzeń – skoro chcą wykończyć Lolę, to z pewnością będą chcieli wykończyć też i jego. Jego pieniądze zostaną wypłacone, nigdy ich nie odnajdą, a on zniknie z pola widzenia.

Te błazny nigdy go nie znajdują, ale Lola Montoya wie o nim zbyt wiele. Obserwując, jak tropi Willa i Melissę przy bramkach na autostradzie, poczuł poza adrenaliną także lekką obawę. Skoro Lola potrafi dopaść takiego ducha, jakim był Will Hyde, to z pewnością potrafiłaby dopaść i Dymitra.

Następnych kilka dni będzie obfitować w trupy. Dymitr nie kierował się uczuciami, a jednocześnie robił się coraz starszy i coraz bardziej zmęczony. Dobrze będzie opuścić Harouna z tymi jego jasnowłosymi dziwkami i zniknąć z powierzchni ziemi.

Jakie będzie jego nowe zajęcia? Coś związanego z pieniędzmi, coś przenośnego – rozmyślał leniwie o diamentach.

Ale to spekulacje na jutro. Teraz poleci do Rzymu i dokończy robotę, a potem zadba o wszystkie szczegóły, które gorsi od niego mogliby zaniedbać.

Lola usiadła przy stole stojącym na środku jej tarasu. Hotel Victrix Roma był najlepszy w mieście – odnalazła go wcześniej. Swoją niewielką samochód porzuciła na parkingu nieopodal lotniska Balzano w Dolomitach. Po niecałych czterdziestu pięciu minutach od startu wylądowała w Rzymie, wzięła taksówkę do Via Veneto i sprawiła sobie przyjemność, kupując walizki od Gucciego i kilka dobrych ciuchów. Następnie udała się prosto do Victrix, gdzie ładna, młoda kobieta z drogimi walizkami pasuje wręcz idealnie.

Teraz nie musi się niczym wykazywać, niczego sobie odmawiać. Will Hyde i jego kobieta zmierzają do Rzymu. Nie mogą latać, więc poruszać się będą powoli, ale w końcu tu dotrą. W tym czasie ona poczeka na nich w luksusie, na jaki pozwalała sobie w przerwach od pracy. Dobrze było zanurzyć się w aromatycznej kąpieli w wielkiej, marmurowej wannie, poćwiczyć w podziemnej siłowni, zjeść fenomenalny posiłek. Rozważała sprowadzenie sobie mężczyzny, dla seksu. W mieście roiło się od żołnierzy. Lubiała takich – żołnierzy i policjantów. Miło byłoby uwieść takiego, zaliczyć go, ale w końcu zrezygnowała z tego pomysłu.

Na jej palcu połyskiwał pierścionek tej zabitej dziewczyny. Nachodziły ją myśli o Willu. Naturalnie była to tylko fantazja; musiała go zabić, ale chciała, by ją zobaczył, by jej pożałował...

„Może...” – pomyślała Lola, spoglądając na Koloseum.

Po lewo znajdowało się skąpane w słońcu Forum Romanum. Uwielbiała to miasto, jego brutalność działała na nią kojąco.

„Tysiące lat temu poradziłabym tu sobie doskonale” – pomyślała.

Nawet wtedy jej profesja rozkwitała. Może się myliła. Może gdyby wyeliminować kobietę, a winę zrzucić na kogoś innego. To Melissa Elmet była celem.

Na stole tuż za nią odezwał się pager. Poirytowana odsunęła na bok talerz aromatycznego *spaghetti all'herbe*. Rozkoszowała się jedzeniem i kieliszkiem wina – wybornym Brunello – pierwszym od tygodni.

– Lola.

– Mówi Dymitr. Gdzie jesteś?

Nie zamierzała mu powiedzieć.

– We Włoszech – wybrnęła.

– Przyjedź do Rzymu – powiedział. – Sądzymy, że kierują się tutaj. Wydaje się, że czegoś się domyślają. Wynurzą się gdzieś w okolicach laboratorium Richarda Elmeta.

Skrzywiła się. Cholera! W całym mieście będą się teraz pałętać te bezmózgowe zbiry Dymitra. Will Hyde wyczuje ich na odległość.

– Pojadę tam i zdejmę ich – odparła. – Nikogo więcej nie trzeba.

– Twój brak wyników mówi mi co innego – odpowiedział. – Moi ludzie udają się na obserwacje. Jeśli odnajdziesz cele, zabij.

Rozłączyła się i przez chwilę pozostała w bezruchu, by zapamiętać nad kipiącą w niej wściekłością. Dymitr Pietrenko traktował ją pogardliwie. Gdyby był mniej doświadczonym agentem...

Ale nie był, był za to niezwykle niebezpieczny. Wiedziała o tym. Pozostaje jej tylko mieć nadzieję, że ona, Lola, dopadnie Melisę, zanim zrobią to tamci.

Samolot Dymitra krążył po pasie. Wydał już rozkazy i rozsiani po całym mieście ludzie już zaczęli się zjeżdżać i zlatywać – niektórzy z nich byli uśpionymi agentami w Rzymie. Dymitr sam przygotował listę – najlepsi Arabowie i Wenezuelczycy, dwóch młodziaków z Algierii i jeden Kazach. Wystarczyło jego jedno słowo, by rozpierzchli się po dworcach kolejowych i autobusowych oraz większych ulicach wokół uniwersytetu. Część z nich udała się do biur turystycznych i przeczesywała hotele i pensjonaty. Kopiując metodę Loli, dwóch analityków umieścił wraz z karabinierami w sekcji drogowej, by wpatrywali się w ekrany, aż oślepną.

No i był tam też on sam. On ich dopadnie.

Will leżał na wąskim łóżku w ich kajucie. Było to pomieszczenie tuż przy kotle – zero naturalnego światła i niemiłkący hałas, ale dla niego i Melissy był to szczyt luksusu. Ona wręcz jęczała z rozkoszy, mogąc znów wejść pod gorący prysznic.

Uniósł się na łokciu. Był nagi, podobnie jak ona. Spała. Spojrzał na jej ciało, odwróconą w jedną stronę głowę i rude włosy rozrzucone na poduszce. Miała piękne piersi, cudny zarys brzucha, nogi zgrabne i mocne. Już samo patrzenie na nią sprawiało, że jej pragnął.

Naturalnie, z obiektywnego punktu widzenia, nie była tak piękna jak Olivia.

Nic sobie z tego nie robił. Dla pełnokrwistego mężczyzny to ona była znacznie piękniejsza. Prowokująca i dzielna, silna, smukła, krągła, dziewczyna mająca apetyt, poczucie humoru i lubiąca się sprzeczać. Nigdy nie miał ochoty uciec od niej po seksie. To

duża różnica – była tak inteligentna, tak zabawna – mogła być przyjacielem.

A co chyba ważniejsze, seks z nią był niezemski. Nie chodziło o jej technikę. Kilka dziewczyn, z którymi miał do czynienia, wiedziało jak obchodzić się z ciałem mężczyzny dzięki wyszkolonym technikom przypisywanym znawczyniom tematu. Melissa była znacznie bardziej pociągająca. Ta jej wrażliwość – wystarczyło, by musnął delikatnie dłonią jej piersi, a ona drżała i z trudem łapała oddech. Jej pożądanie było równe jego pragnieniu, jeśli nie silniejsze. Gdy ją całował, jej ciało podrywało się pod nim, skóra płonęła, krew wyraźnie buzowała. Tak łatwo było ją rozpać. Jej namiętność dawała mu tak niesamowitą przyjemność – gdy widział, jak reaguje na niego całym ciałem, ledwie mógł się powstrzymać.

Podniecała ją także siła – to było widać. Ich nastoletnia miłość była czysta i nieco naiwna; po jej odejściu był zdruzgotany. Teraz Melissa była całkiem inna, była kobietą i odczuwała tak silnie. Była wygłodniała męskości. Walczyła z tym, ale była kobietą reagującą na dominującego mężczyznę, a przy nim odczuwała to szczególnie intensywnie, ponieważ nigdy nie przestała go kochać.

Współczuł jej przeżyć. Zafundowali sobie osobliwy rodzaj kari, ale gdy teraz odpowiadała na każdy ruch jego ręki, upajał się kontrolowaniem jej ciała i uwielbieniem jej umysłu.

Była tak piękna.

Kochał ją przeogromnie. Oczywiście żał mu było Olivii i pomści ją bezlitośnie, ale nawet żałoba po niej nie była w stanie przyćmić miłości do Melissy – jego kobiety, jego żony. Wciąż jego żony. Chciał już to załatwić, uwolnić ją od wszystkich tropiących ją

demonów – więcej niż jednego. Jej wspaniałe, pełne życia ciało było jednością – Will kochał każdy jego fragment.

Myśl o narażeniu jej na niebezpieczeństwo – niesłychane niebezpieczeństwo czające się w Rzymie – sprawiała, że prawie robiło mu się niedobrze. Ale zwyczajnie nie było innego wyjścia.

Kochał ją szalenie. Miłością, dla której gotów był zginąć. A jednocześnie jedyną drogą do zapewnienia jej bezpieczeństwa było zagranie o wszystko: narażanie nie tylko własnego, ale także i jej życia.

Will zniżył głowę i zaczął delikatnie całować wgłębienie na jej szyi, muskając zębami i językiem jej skórę. Melissa poruszyła się. Wyciągnęła się w półśnie, mrużąc z rozkoszy. Położył dłoń na jej ciele. Już była podniecona, otworzyła oczy, westchnęła i wygięła plecy.

– Will – powiedziała, wyciągając do niego ręce i unosząc się.
„Jest moją żoną” – pomyślał niezwykle dumny.

Miłość do niej kipiała mu w piersiach. Pożądał jej tak ogromnie. Wszystkie inne kobiety, te modelki i aktorki, piękne, bezbarwne, chudziutkie dziewczątka, wydawały się teraz tak odległe; haniebne zagrywki z przeszłości. Seks z Melissą był niesamowity. Już wiała się pod jego ciałem. Musiał walczyć sam ze sobą, by móc nieco się z nią podroczyć. Była tak rozpalona, niewiarygodnie rozpalona...

Pochylił się i pocałował ją mocno, objął ustami jej usta, przesuwając się nad nią. Bał się o nią, martwił, ale nie teraz. Teraz nie liczyło się nic poza nią. Nic poza tym. Jego kobietą. Jego namiętnością.

Wyszli niepewnym krokiem w porcie w Civitavecchia. Budynki skąpane były w słońcu. Melissa rozejrzała się na prawo i lewo – tuż przy porcie znajdowały się średniowieczne ruiny i stare miasto rywalizujące z nowoczesnymi budowlami i furgonetkami, z których sprzedawano drogie lody i colę.

– Chodź ze mną – powiedział Will. – Trzymaj się blisko.

– OK – spojrzała na znaki przy porcie. – Jedziemy pociągiem do Termini?

– Nie – odparł. – Pokręcimy się tu najpierw – przecesał palcami jej włosy. – Chcę zabrać cię do apteki i kupić farbę do włosów. Mogą już znać nasz wygląd.

– Przecież nikogo nie widzieliśmy – powiedziała zmartwiona.

– Nie tak to działa. Dotrą do zdjęć z monitoringów, być może z lotniska Charles de Gaulle. Przekazanie takich informacji może zająć kilka dni, a wtedy my będziemy już gdzie indziej.

– Ale i tak będą wiedzieli, jak wyglądamy.

– No, niestety – odparł Will, ściskając jej ramię. – Jest ich mnóstwo, Missy. Tysiące. Może nam się nie udać. Nie chcę cię oszukiwać.

– Nieważne – powiedziała.

Zalewało ich ciepło śródziemnomorskiego słońca, wokół uśmiechali się turyści i domokrażcy. Dla Melissy życie było teraz pełne. Chętnie zamieniłaby te szare, samotne lata w Oksfordzie, gdy była sfrustrowana i zgorzkniała, na te ostatnie kilka dni po pojednaniu z Willem.

– Kocham cię. Zawsze będę cię kochała.

Pocałował ją delikatnie w usta.

– Ty płaczesz – powiedziała zdumiona.

Zmrużył oczy pomimo wypełniających je łez.

– Głuptasie – warknął – ja nie płaczę.

Odwrócił się od niej, a Melissa zobaczyła, jak napręży plecy; gdy znów na nią spojrział, jego oczy były suche i spokojne.

– Chodźmy – uciął krótko.

– Nie sądzisz chyba, że ktoś tu jest? – zapytała Melissa. –
Mówiłeś, że nie będą się nas spodziewać na łodzi.

– Nie ma co ryzykować – mruknął Will.

Oddalił się celowo wzdłuż nabrzeża, a ona pospieszyła za nim.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Nazywał się Ali al-Maktoub i należał do katarskich służb wywiadowczych. Rząd nie miał pojęcia, że tu był, nie wiedział nic o tej operacji. Kierował nią Rashid Dagreb, człowiek nazywany szejkem, którym w rzeczywistości nie był. Rashid był twardy i nieoficjalnie sprzyjał fundamentalistom. Nadzwyczajnie dbał także o pochodzącą z emiratu ropę.

Ali był jednym z jego najlepszych ludzi. Dostał to zadanie w dowód uznania. Modlił się o nie. Nie znosił tego zacofanego Hyde'a i to nie tylko przez wzgląd na jego pieniądze. Jego dwaj towarzysze broni, ludzie, z którymi ćwiczył, zostali zabici właśnie przez Williama Hyde'a, gdy ten pracował dla Brytyjczyków.

Błagał o przydzielenie mu tego zadania. Zdawał częste i poprawne relacje o Dymitrze Pietrence, nawet gdy jego działania nie przynosiły efektu. Został wybrany jako jeden ze stu ludzi wyznaczonych do tego finalnego rozdziału, a jego czujność nie osłabła nawet na ułamek sekundy.

Ali miał żołnierskie podejście do sprawy. Nie do niego należały decyzje taktyczne. Bywały lepsze miejsca, gdzie mógł trafić, niż port w Civitavecchia. Wiadomo było, że ta dwójka innowierców używa motocykli i samochodów. Ali chciałby być w mieście – wałęsać się, przeszukiwać zaparkowane auta, szukać tablic

rejestracyjnych. W ten sposób łapał agentów w Jeruzalem – tradycyjna, rutynowa robota, gdzie najpierw szuka się jakiegoś celu, do którego z pewnością powróci ofiara.

Ale wysłali go do obserwowania łodzi, tak na wszelki wypadek, i nie protestował. Jeśli było mu to pisane, to właśnie Ali ich odnajdzie i zabije.

Nie miał ze sobą ich zdjęć. Obecny wygląd kobiety, Melissy, i tego zarosniętego Williama Hyde'a dostatecznie wryły mu się w pamięć. Rozpozna ich z zamkniętymi oczami.

Wodził wzrokiem po przemieszczającym się tłumie, jak robił to niestrudzenie przez ostatnie cztery godziny. Zmieniał swoją pozycję nieznacznie, od czasu do czasu przesuwając się o kilka metrów, by nie rzucać się zbyt w oczy. I tak nikt nie zwracał na niego uwagi.

Z roku na rok było coraz łatwiej być szpiegiem. Ludzie wciąż się spieszyli i zajmowali tylko swoimi sprawami, nie obchodzili ich sąsiedzi i nikt inny poza nimi samymi. Świat skurczył się do rozmiarów maleńkich bąbelków.

Rozejrzał się ponownie po wylewającym się z niemieckiego statku tłumie ludzi. Wielu z nich było nieco podchmielonych, a na ich jasnej skórze widać było ślady poparzeń słonecznych. Nie opalili się jak należy, lecz zarumienili niczym homary. Nie lubił tych Europejczyków z południa i ich niechęci do słońca. Ali był w ich krajach z różnymi misjami i zawsze marzył tam tygodniami.

I wtedy ich zobaczył.

To było prawie jak orgazm, jak seks z kobietą. Fala adrenaliny, niepohamowany okrzyk zdumienia. Przepęłniła go niewypowiedziana

euforia. To była ta nauczycielka z tymi swoimi nowymi, rudymi włosami. Była teraz opalona, gibka, piękna – całkiem inna. Ale Ali widział zdjęcia i rozpoznał ją.

Szli wzdłuż nabrzeża, wcale nie kierując się w stronę stacji kolejowej. To ciekawe. Nie zabierał jej od razu do Rzymu. Może mieli coś innego do załatwienia. Może Dymitr się mylił.

Rozejrzał się dookoła. Gdyby byli tam jacyś agenci albo policja, zobaczyłby ich. Sięgnął do kieszeni plecaka i wyczuł pod palcami broń. Zbliżając się do nich, zacisnął dłoń na zimnym metalu.

Will czuł, że Melissa jest tuż obok – obcy był jej smutek, który w nim tkwił głęboko. Rozglądała się wokół, ciesząc się, że może rozprostować nogi, ufając mu bezgranicznie, gdziekolwiek by jej nie zabrał...

Pochylił się, by ją pocałować, kładąc dłoń na jej plecach. Już pragnął jej na nowo, był nią wiecznie nienasycony. Czuł się przy niej znów jak dziesięcioletek, chłopak o przeogromnej wytrzymałości i żądzy wrażeń...

Wyprostował się powoli, upewniając się, że patrzy przed siebie.

– Jak powiem biegnij, to biegnij – powiedział cicho. – Jeszcze nie teraz, skarbie. Po prostu idź...

Dostrzegł go przypadkiem kątem oka. Ten człowiek ich śledził. Bez wątpienia. Był dobry, ale Will był zbyt dobrze wyszkolony. Agent szedł zbyt wolno i zbyt blisko się w nich wpatrywał.

Melissa starała się wykonać polecenie, iść normalnie, ale usztywniała się. Will to zauważył. Ten gość też zauważył...

Była przerażona, oddychała nierówno. Will przesunął się mimochodem nieco za nią, osłaniając ją swoim ciałem przed wzrokiem mężczyzny.

– Och! – krzyknęła Melissa.

Pchnął ją mocno – upadła na kolana, na asfalt. Rozległy się krzyki i wrzaski tłumu. Nad jej głową świsnęła kula, przelatując o kilka centymetrów od niej. Jakaś kobieta jęczała z bólu, dostała w ramię, krwawiła...

Krzyczał jakiś turysta. Wielu krzyczało. Will upadł, wsuwając jednocześnie rękę do skarpetki i wydobywając broń. Była naładowana. Odbezpieczył ją i uniósł się na jedno kolano. Mężczyzna celował do nich. Will miał błyskawiczny refleks: strzelił, trafiając prosto w głowę.

Roztrzaskała się niczym arbuz. Krew rozlała się wszędzie, a ciało opadło na ziemię. Will chwycił Melissę za ramię.

– Biegnij! – krzyknął. – Biegnij!

Will biegł, trzymając wciąż broń w dłoni. Przerażony tłum rozstąpił się, robiąc mu miejsce. Dotrzymywała mu kroku. Słysząc było gwizdy, głosy karabinierów, krzyki i wrzaski. Will skręcił w lewo w Via Luigi Cadorna – wąską uliczkę z pomalowanymi na różowo budynkami. Ludzie gapili się, rozchodzili na boki. Słyszał jej kroki tuż za nim – była szybka jak sprinterka. Skręcił od razu na Piazza Fratti. Roilo się tam od kupujących. Natychmiast zwolnił, kładąc dłoń na jej ramieniu. Zrobiła to samo. Na placu stało mnóstwo straganów. Dziękował Bogu. Lawirował szybko między nimi, skręcając to w prawo, to w lewo.

Zagubił się na tym targu; delikatny ruch głową i zobaczył dochodzących do Via Luigi Cadorna policjantów w niebieskim uniformach. Ruszył przed siebie, wzdłuż kolejnej uliczki, po czym

skręcił w lewo. Znajdowali się teraz na Regina Elena, na końcu której był sklep. Wszedł tam beztrąsko wraz z Melissą. Przyłgnęła do niego mocno.

Will kupił kilka golarek, farbę do włosów, okulary przeciwsłoneczne i czapkę.

Gdy płacił, ulicą przebiegli włoscy policjanci. Will wyszedł pośpiesznie i zawrócił, kierując się tam, skąd przyszli. Zatrzymał nadjeżdżającą taksówkę.

– Terme di Traiano – powiedział, po czym zwrócił się do Melissy świątynym, australijskim akcentem. – Mają tam genialne rzymskie łaźnie.

Przytaknęła, nie ważąc się powiedzieć ani słowa.

Ruiny były przyjemne, ale wyludnione. Melissa starała się uspokoić, ale wciąż nie zdawała sobie sprawy, że otarła się o śmierć. Will poruszał się tak szybko, niczym biegnący kot. I ten jego perfekcyjny strzał do poruszającego się celu. Widziała, jak niewiele ponad siedem metrów od niej zginął człowiek.

Nie mogła teraz patrzeć na Willa w ten sam sposób. Wiedziała naturalnie, że kiedyś był agentem, ale to była tylko teoria. Teraz zobaczyła, co to tak naprawdę znaczy. Roztrzaskana głowa młodego mężczyzny, jego koszula zbrukana czarną krwią, krzyk.

A Willowi zajęło to zaledwie sekundę.

Wiedziała, że ten człowiek mierzył do niej z broni, właściwie do niej strzelił, zabiłby ich, ale to nie zmieniało faktu, że sam zginął brutalną śmiercią. Will mierzył do niego z wyuczoną łatwością. Zdjął tego gościa i uratował jej życie.

– Chodź tutaj – powiedział cicho Will.

Poszła za nim do zagajnika. Rozleżał się tam szmer przepływającej wody, jakiegoś strumienia.

– Byłeś tu już kiedyś?
– Kilka razy. Pamiętaj, że kiedyś to były łąnie. Pod tą nazwą zwykle kryje się jakieś naturalne źródło wody lub jakiś zbiornik wodny. Chodź – przyprowadził ją do brzegu. – Połóż się na plecach i zamocz włosy.

Zrobiła, co kazał. Kręciło się jej w głowie i było jej niedobrze. Will rozerwał torebkę z farbą, wymieszał i nałożył jej na głowę.

– Poczekamy, aż się przyjmie – powiedział, po czym pochylił się nad strumieniem, ochlapał sobie twarz i wyjąwszy jedną z golarek, zaczął się golić. – Szukają rudowłosej i brodatego faceta. Teraz jesteś blondynką, a ja ogolony. Ich to nie spowolni, ale zmyli włoską policję.

Melissa obserwowała jak golarka przesuwają się po jego policzku.

– Lepiej wyglądasz ogolony.

Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy.

– Przykro mi, że musiałaś patrzeć, jak umierał, Missy. Musiałem to zrobić.

– Wiem.

– I być może będę musiał zrobić to znowu. W Rzymie.

Przytaknęła. Spojrzał na zegarek; pilnował czasu. Boże, wydawało się to tak absurdalne. Siedzieć tam w tym zakurczonym, włoskim zagajniczku, przy rzymskich ruinach, i farbować się na blond. Nagle zapragnęła ze wszystkich sił rozwiązać tę zagadkę. Nienawidziła tych ludzi za to, co robili jej i Willowi. Nienawidziła ich, bo przez nich zginął ten młody człowiek. Nienawidziła ich, bo próbował ją zabić.

– Chcę, żeby to się już skończyło, Will – powiedziała cicho. – Jestem zmęczona, zmęczona tym wszystkim.

Skończył się golić i usiadł przy niej.

– Tylko ty możesz położyć temu kres, Missy, jestem tego pewien. Musisz pomyśleć. Chcą cię zabić, ponieważ sądzą, że twój ojciec powiedział ci o wszystkim.

– Ale nie powiedział.

Will spojrział na nią.

– A może jednak powiedział. Może właśnie dlatego cię szukają. Może właśnie dlatego tak nas gonią. A jeśli Richard próbował ci powiedzieć, co odkrył?

Ścisnęła jego dłoń.

– Tak sądzisz?

– To ma sens, prawda? Boją się ciebie, bo wiedzą, że próbował ci to przekazać.

Will skoczył na równe nogi i zaczął krążyć między drzewami jak uwięziony lampart. Patrzył na nią podekscytowany i głośno myślał.

– Nie mamy po co jechać na uniwersytet. I to nie tylko dlatego, że oni będą już tam na nas czekać – wszędzie porozstawiają swoich agentów. Nie dlatego, że oni zdążą już przetrząsnąć jego pomieszczenia i papiery. Założę się, że większość z jego współpracowników zginęła w ciągu ostatniego lata w ten czy inny sposób: tam wypadek samochodowy, tu zawał serca.

– On pracował sam – powiedziała Melissa. – Nie był w stanie znieść myśli, że ktoś mógłby odebrać należne mu uznanie za jego pracę.

– Tym lepiej dla nich – Will patrzył na nią, przesywając ją wzrokiem. – Czy oni mieli rację, Melisso? Czy on się do ciebie z tym zwrócił? Spróbuj pomyśleć. Spróbuj!

– Rozmawialiśmy dwa miesiące przed jego śmiercią, ale nie było to nic ważnego – powiedziała Melissa.

– Założę się, że było – odparł Will. – Myśl. Skup się. Cofnij się w myślach do tej rozmowy. Spróbuj przypomnieć sobie każdy jej szczegół, nawet najdrobniejszy. Jakakolwiek uwaga, choćby o pogodzie.

– Dobrze – powiedziała Melissa, jej też udzieliło się to podniecenie. – No więc... wydawał się być nieco podenerwowany.

– Dobrze. Mów dalej.

– Przez telefon zawsze mówił krótko i zwięźle. Nigdy nie był zbyt rozmowny, ale chyba był zdenerwowany – wzięła szybki oddech. – Był na lotnisku, powiedział, że chciał zadzwonić z budki, bo są łatwiejsze w obsłudze.

– I niepod słuchiwane – dodał Will. – Ciężko też wychwycić rozmowę przez mikrofon w takim hałasie. O czym mówił?

– Powiedział, że prace idą bardzo dobrze. Miał nadzieję na rychły powrót do domu. Powiedział, że teraz będzie inaczej i będziemy mogli zacząć wszystko od początku. Przytakiwałam mu do upadłego – łzy napłynęły jej do oczu. – Próbował mnie przeprosić, a ja go zbyłam.

– Nie zrobiłaś nic złego. Mów dalej, wszystko, co pamiętasz.

Melissa zamknęła oczy, a po jej policzku spłynęła łza. Jej biedny ojciec. Nadal go kochała, mimo wszystko. Sięgnęła pamięcią wstecz, szukając wspomnienia jego głosu...

– Will! – otworzyła nagle szeroko oczy. – Powiedział... powiedział, że chce mi pokazać, gdzie poznał moją matkę. Powiedział, żebym o tym pamiętała. Tak, jakby chciał to zaznaczyć. Myślałam, że chodzi mu o nas – o ciebie i o mnie. Nie bezpośrednio. Ale może próbował mi coś powiedzieć.

Will uśmiechnął się lekko, a potem już całkiem szeroko.

– A gdzie dokładnie poznał twoją matkę?

– Tutaj – powiedziała. – W Rzymie. W kościele All Saints' Church. To jeden z niewielu protestanckich kościołów w mieście.

– Wiem, gdzie to jest – powiedział Will. – Samo centrum. Via del Babuino.

– Powiedział też, że chciałby mnie przedstawić ojcu Gregorowi.

– Katolikowi?

Pokiwała głową.

– Anglikańskiemu pastorowi zamieszkującemu tę plebanię.

Will spojrział na zegarek.

– Spłucz włosy i rozczesz.

Tak zrobiła; słońce było już nisko za nagrzanymi, kamiennymi ruinami.

– Pójdziemy do wyjścia i złapiemy autobus do miasta. Potem weźmiemy taksówkę. Każę nas zawieźć do Watykanu, a stamtąd pójdziemy pieszo. Gdy taksówka dotrze do miasta, odwróć się i pocałuj mnie.

– To mogę zrobić.

– Nie chcemy załapać się na ich kamery – powiedział Will.

Dymitr był zachwycony. Chłopak, Ali, puścił mu sygnał na pager, zgodnie z ustaleniami, zanim wykonał jakikolwiek ruch. Zabili go – pokazywali to ciągle w telewizji. Will Hyde miał broń, a to było niebezpieczne, ale i do przewidzenia. Ważniejsze okazało się to, że miał rację. To nie była przypadkowa ucieczka. Zmierzali do

tego miejsca, do kwatery jej ojca. Prosto w pułapkę.

Oczywiście otrzymał informację, ale Hyde wiedział już, że na niego czekali. Z pewnością wiedział to dużo wcześniej. Na samą myśl o przeciwniku Dymitra przeszył przyjemny dreszczyk.

Polecił swoim ludziom, by się rozpiezchli. Dopadną go – obserwowana była każda ulica i każdy dom w promieniu czterech przecznic od uniwersytetu.

Jego myśli poszybowały do Loli. Widział się z nią wczoraj i przekazał jej wytyczne odnośnie do ostatniego etapu operacji. Była coraz starsza, miała teraz może jakieś dwadzieścia osiem lat. To zapewne wyjaśniało jej brak powodzenia w czasie tej misji. Nawet legendarni agenci tracą z czasem swój talent.

Ale jako kobieta, wyłącznie jako kobieta, była wyjątkowo pojętna.

Musiał uważać na to, jak na nią patrzył: te długie nogi, zmysłowe, krągłe piersi, nieomal niewidoczna talia.

Miała figurę rodem z lat czterdziestych. Okrągłe, cudnie wystające i jędrne od biegania pośladki. Jak przystało na snajperkę, była też pełna gracji, a jednocześnie miała w sobie ten lodowaty ogień typowy dla brutalnego, bezlitosnego zabójcy.

Myślał o tym, jak udusiła tę kobietę w Nowym Jorku. Podniecił się, nie mógł się wręcz doczekać, kiedy ją przeleci. Nie mógł się doczekać, aż ujrzy w jej oczach to samo przerażenie, jakie ona wywołała u wielu swoich ofiar.

Arab Haroun przesłał pieniądze i Dymitr był gotów przetransportować mu tę gorącą dziwkę – żywą, wedle życzenia. Zostanie wielokrotnie zgwałcona, a potem zabita. Dymitr wciąż był wściekły,

że o mały włos jej niedbalstwo kosztowałoby go jego reputację. Teraz jednak ona przyczyni się do jego zwycięstwa. To będzie jego ostatnia robota, przejdzie na emeryturę w glorii tego, który pokromił Lolę Montoyę, przeleciał ją i zabił za niezdiscyplinowanie.

W jego kręgach uczyni go to prawdziwą legendą, a najlepszy w tym wszystkim był fakt, że ona niczego się nie spodziewała.

Lola Montoya przechadzała się ulicami Rzymu. Miała na sobie czarną sukienkę, a na głowie chustę, niczym zmierzająca do kościoła przykładowa katoliczka. Przez moment rozważała nawet przebranie się za zakonnice i założenie okularów przeciwsłonecznych – w mieście roiło się od takich – wążających się w towarzystwie duchownych i innych nawiedzonych. Nienawidziła wiary w Boga. To takie naiwne. Bóg nie uchronił nikogo przed nią, choć prosiło wielu.

Jednak atrakcyjna zakonnica przykuwałaby zbyt dużą uwagę, a ona chciała wtopić się w tłum – szczególnie teraz.

Dymitr od niechcienia wspominał o jednym szczególe, gdy omawiał z nią tę obławę na mieszkanie profesora Elmeta. Powiedział, że Hyde może nie mieć już brody.

Skąd wiedział, że Hyde w ogóle *miał* brodę?

Gdyby mieli dostęp do nagrań z monitoringu drogowego, i to do kompletnych nagrań, to trafiliby na jego trop dużo wcześniej niż ona. Ale najwyraźniej trafili na niego zupełnie niezależnie i to dopiero po tym, gdy Lola dotarła do tych zdjęć wyszperanych w kafejce na La Murette.

Dymitr widział to, co ona.

Dowiedział się. Jakimś cudem się dowiedział. A to oznaczało, że zdawał sobie sprawę, że mu o tym nie powiedziała.

Była na siebie wściekła, że go nie doceniła. Był przecież graczem światowej klasy i to właśnie dlatego został wybrany do tej roboty. Nieustraszony i okrutny. Przystudiowała jego papiery – zaczynał jako oprawca w mrocznych komnatach pod moskiewskim placem Czerwonym. Zupełny brak empatii i piekielna inteligencja. Ona również miała obie te cechy – w jej świecie to normalne.

To oczywiste, że jej nie ufał. Śledził ją, a ona popełniła podstawowy błąd, skupiając się całkowicie na swojej zwierzynie.

Za nieposłuszeństwo przy tak ważnej misji i wobec takiego człowieka jak Dymitr groziła tylko jedna forma kary – śmierć. Lola była tego świadoma. Widziała też, jak na nią patrzył. Miał na nią ochotę. Znała jego przeszłość, miał na koncie wiele gwałtów.

W ich świecie seks i śmierć często się pokrywały – zabójstwo bywa podniecające. Chciał ją zgwałcić. Rozumiała to psychologiczne działanie, tę dominację zabójcy. Dopaść najlepszą na świecie agentkę i przelecieć ją... byłby legendą wśród swoich pobratymców.

Zbliżyła się nieco do hotelu. Ludzie będą wypatrywać Melissy i Williama Hyde'a, jej nie zauważą – ot, kolejna włoska gospodyni w chustce na głowie. To zadanie nie podobało jej się jakoś szczególnie, ale musiała wytrzymać. Koniec końców, była agentką – jeśli trzeba zrzec się swojego ciała... Przecież to tylko ciało.

Rozdrażniło go pukanie do drzwi. Pieprzone pokojówki! Dlaczego nie mogły zrozumieć prostego napisu „Nie przeszkadzać”?

– Nie, *grazie* – nieomal krzyknął.

Z każdej strony napływały raporty – w całym mieście widziano spacerujących razem mężczyznę i kobietę. „No pewnie – miał ochotę powiedzieć – w końcu to pieprzone miasto”. Mają znaleźć tę parę. Muszą umieć sami oceniać sytuację.

Rozległ się szczełk. Syknął rozsierdzony. Takiej pokojówki nawet nie można zabić; były zbyt cenne, zbyt szybko wydałoby się, że przepadła i szukaliby jej wszyscy pracownicy. Pospiesznie wsunął broń pod łóżko. Ta głupia suka używała uniwersalnego klucza do pokoju.

Drzwi otworzyły się. Dymitr przygotował się, by ryknąć na nią perfekcyjnym włoskim akcentem. Ale to nie była pokojówka. To Lola. W dłoni trzymała mały, metalowy przedmiot, coś w rodzaju śrubokrętu. Domyślił się, że właśnie w ten sposób otworzyła drzwi. Imponujące.

Była naprawdę niezła.

– Zamknij drzwi – powiedział.

Wyglądała ponętnie w tym skromnym ubraniu.

Między chusteczką na głowie i sukienką a jej pociągającym ciałem, ukrywającym się pod tym strojem, był niesamowity kontrast. Lola Montoya miała obfite piersi i piękne, pełne, hiszpańskie pośladki – jędrne i kształtne od ćwiczeń. Przypuszczał, że były hiszpańskie, bo nie wiedział, skąd pochodzi. Miała wąskie usta, ale nie przeszkadzało mu to. Gdyby buzowały w niej stuprocentowo żeńskie hormony, nie byłaby tak efektywnym zabójcą.

Zamknęła za sobą drzwi, po czym, uniosłszy ręce, rozwiązała chustę na głowie. Jej piersi uniosły się, stercząc przed nim. Zdjęła chustę jedną ręką i przewiesiła ją delikatnie na oparciu kanapy.

– Dymitrze – powiedziała łagodnie.

Oblizła wargi. „Kontrola, kontrola” – powtarzał sobie w głowie. Ostatnio jego myśli były jednoznaczne, jeśli chodzi o Lolę. Nie może pozwolić sobie na podniecenie, jeszcze nie teraz. Potrzebował jej do pościgu, zanim się za nią zabierze.

– Przyszłaś złożyć raport? – spytał szorstko.

– Muszę się do czegoś przyznać – odparła, wzduszając ramionami i odpinając pierwszy guzik swojej długiej sukienki. – Mój pościg wymagał absolutnej dyskrecji. Nie mogłam zaufać tym młodocianym agentom wokół ciebie; pochodzą z tyłu różnych komórek. Mogliby przeszkodzić mi w wykonywaniu zadania dla ciebie. Znalazłam Williama Hyde'a i Melissę Elmet na nagraniach z drogowki. Zachowałam tę wiedzę dla siebie, wysłedziłam ich. Teraz powinni być już martwi.

Spojrzał na nią kamiennym wzrokiem.

– Masz mi składać raporty.

– Mam ukończyć zadanie.

– Nie są martwi.

– Nie, zadanie wciąż jest w toku. Ukończę je – odpięła kolejny guzik. – Zawsze to robię. Dlatego mnie zatrudniłeś.

Nie mógł oderwać wzroku od jej sukienki.

– Co ty wyprawiasz?

– Chcę złagodzić twój gniew – powiedziała słodko. – Wiem, że wiesz o zdjęciach. A poza tym, Dymitr, ścigam ich już tygodniami, bez żadnej rozrywki. Potrzebuję odskoczni.

Zsunęła sukienkę z opalonych na oliwkowo ramion. Jej skóra była gładka i śliska od olejku dla niemowląt.

– Nigdy bym cię nie zdradziła – powiedziała pokornie. – Po prostu potrzebowałam trochę czasu, by ich dopaść. Wiesz, jak to jest, gdy pracuje się z tłumem.

Jasne. Każdy z nich to wiedział. Prawdopodobieństwo błędu było gigantyczne. Dobry zabójca miał wiele zalet, ale współpraca z zespołem nie była jedną z nich.

Nie obchodziło go to. Wydał jasne polecenia. Mimo wszystko miło było patrzeć, jak go błaga, jak błyszczy jej skóra. Poczul, że jest podniecony. Od ostatniego razu z kobietą minęły tygodnie.

– Chcesz się ze mną przespać?

– Żeby cię odprężyć, tak. Potrzebuję mężczyzny – powiedziała ła bezwstydnie. – I musi to być jeden z nas. Cywili nie tykam.

Zaśmiał się i wytrzeszczył oczy.

– Co takiego? Myślisz, że się na to nabiorę? Jestem lepszy od ciebie – zeszywniała, on podejrzewał, że ona udaje. – Dlaczego miałbym pozwolić zbliżyć się do siebie takiemu zawodnikowi jak ty, nawet ubranemu tylko w koronkowe stringi i biustonosz? Wiem, do czego jesteś zdolna.

– I właśnie to cię rajcuje, prawda? – odparła.

Nie miała już na sobie sukienki. Nieznośna flirciara. Ubranie ześlizgnęło się na podłogę, układając się przy jej stopach. Pod pozapinanym na guziki strojem nie miała na sobie kompletnie nic – wyglądające na drogie skrawki koronki ledwo cokolwiek zakrywały. Jej włosy lśniły, twarz miała szczerą i piękną. Gdyby nie wiedział, kim była...

Chrzanić to. Wiedząc to, i tak jej pragnął. Dymitr zacisnął pięści.

– Nie musisz się obawiać – powiedziała, wydymając wargi. – Jestem prawnie naga, a ty ubrany. Masz broń – odwróciła się na pięcie, ukazując mu się w całej okazałości; na jędrnych, kształtnych pośladkach nie miała nic, poza stringami. – Widzisz? Nie ma gdzie ukryć noża.

Zaschło mu w gardle. Faktycznie była totalnie bezbronna. A on był w pełni ubrany i miał broń w zasięgu ręki. Jeśli chciał ją przelecieć, zgwałcić, to teraz mógł zrobić to z łatwością.

Była podniecona – widział to wyraźne przez blad różowe koronki jej stanika. Lepiej wziąć ją napaloną i gotową, przynajmniej ten pierwszy raz. Nie trzeba było jej nawet zmuszać, skoro sama się prosiła.

– Zdejmij to – zażądał krótko.

Natychmiast rozpięła i zdjęła stanik, a potem zsunęła majtki. Uśmiechnął się na sam widok jej ciała – była zjawiskowa. Nie miała wyglądu smukłej, bezpłciowej modeleczyki. Kształtami przypominała raczej gwiazdę porno: wąskie biodra, krótkie nogi i krągłości, ale idące w parze z młodą, opaloną, niewymęczoną narkotykami ani alkoholem skórą.

Skinął głowę. Podeszła bliżej i stanęła tuż obok niego. Cudowny był ten kontrast między jej nagością a jego całkowicie ubranym ciałem. Była mu tak podległa. Oddychała płytko, była napalona. Dymitr położył dłonie na jej pośladkach, ściskając je. Zadrzała, cicho jęcząc...

To było to. Przecież nie był z żelaza. Chwycił za swoje ubranie i szarpnął mocno. Z koszuli posypały się guziki, skopał spodnie i

slipy. Była tuż obok niego, drobna przy jego piersiach i silnych ramionach.

Jej ręce wędrowały po jego plecach, podeszła jeszcze bliżej. Ogarnęło go pożądanie. Rozsunął szerzej jej kolana i wszedł w nią. Jęknęła z rozkoszy, poruszając się wraz z nim. Już zrelaksowany uniósł ręce i muskał jej gardło. Delikatne ostrzeżenie: nie miała żadnej broni, a mężczyzna może z łatwością zabić kobietę – nawet słaby mężczyzna – jeśli ta była nieuzbrojona. Dymitr nie był słaby.

Jednak ona nie broniła się. Dosiadła go. Odchyliła głowę do tyłu, ukazując szyję, zamknęła oczy. Kręciła biodrami, było jej tak dobrze. Dymitr poruszał się w niej gwałtownie, mając ochotę rozśmiać się w głos. Zaczął mówić do niej w swoim rodowym karelskim dialekcie – by nie mogła go zrozumieć – poruszając się, pchając coraz silniej i pieszcząc ją, gdy drżała za każdym jego ruchem.

– Bezczelna lisico – mamrotał. – Lubisz to, co? Ty nienasycona zdiro. Nie ujdzie ci to na sucho. Następnym razem nikt nie będzie pytał cię o zdanie – jego członek stwardniał w jej ciele, była niesamowita. – A potem odeślę cię do Harouna, on też się z tobą nieźle zabawi. Myślałaś, że możesz mnie kupić, ściągając ubranie? Zagrałaś solo. A podlegasz mnie, Dymitrowi Pietrence – pchnął znowu. – Chociaż ruszasz się nieźle... aaa... aaa... zupełnie nieźle, niech cię...

Podobało mu się. Na piersiach czuł jej ostre paznokcie. Rzucała się mocno. Trzymał ją kurczowo i nie pozwalał odsunąć się nawet na milimetr od tego uniesienia. Włosy przykleiły się jej do twarzy, a cudne ciało pokryło się potem. Dochodziła, wijąc się na

nim. Jej dłonie leżały płasko na jego plecach z uniesionymi palcami, by nie dotknąć go długimi paznokciami. Wszedł w nią jeszcze głębiej, i jeszcze, i jeszcze.

Nagle Lola zeszywniała. Przyspieszył, przytrzymując ją. Wygięła się w pałąk, wydała stłumiony szloch rozkoszy, a przez jej ciało przeszły dreszcze.

Chwycił ją jeszcze mocniej. Jej uległość doprowadziła go do szału. Ona już skończyła, ale on nie. Nie miała dokąd uciec. Pchnął znowu. Rozkosznie. Jej podniecenie malało, ale on wciąż się poruszał. Nie pozwolił jej wycofać. Jeśli będzie próbowała sprzeciwu, znajdzie się w pułapce.

Co mogła zrobić? Miał ją w garści. Był dziesięć, piętnaście razy silniejszy od niej. Jako agentka była już skończona; nie mógł już z nią pracować, widziałby w niej tylko tę gorącą, seksowną panienkę. Gdy skończy, skuje ją, poda środek uspokajający i odeśle do Nadrah sultañskim samolotem. Istniało wielu innych agentów, którzy mogli, zdjąć Willa Hyde'a. Sądziła, że jest niezastąpiona, ale była nikim, dobra w łóżku, dobra, żeby ją zerznąć...

Zaczęła się znowu poruszać wraz z nim, odprężając go. Wiedział, że kobiety zdolne są do wielokrotnych orgazmów. A już na pewno taka gorąca suka, jak ona. Chwyciła go mocno, łapczywie. Bardzo mocno. Skrzywił się lekko, ale nie przestawał pchać. Miała długie paznokcie, podobała mu się ta jej desperacja; ból był nieważny.

Paznokcie drapały jego plecy, wbijały się, wbijały...

„O, kurwa” – pomyślał, nie przestając pchać.

Ta mała zdzira rozciąła mu skórę, miała takie szpony, że aż przecięły skórę...

Zwolnił na moment, musiał zaczerpnąć powietrza. Wysięk, który wkładał w pieprzenie jej, musiał mu odebrać oddech. Poczul ciężar w piersiach...

Odepchnęła się lekko, gdy wziął głęboki oddech. Zdumiony spojrział na jej twarz. Piękne brązowe oczy były przenikliwe.

– Nie jestem niczyją zabawką – powiedziała.

Zajęło mu sekundę, by zorientować się, że mówiła po karelsku. I to z akcentem mieszkańca tego regionu. Teraz znał przynajmniej fragment historii Loli Montoi.

– Moje prawdziwe imię to Olga – powiedziała.

Dymitr wierzgnął. Czuł ból i było mu trudniej oddychać, ale jeszcze gorsze było przerażenie, bo podała mu swoje prawdziwe imię, a to oznaczało, że spodziewała się, iż on za chwilę umrze. Podała mu truciznę, to pewne... Otworzył usta, gotów jeszcze negocjować, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, poza dławieniem się i charczeniem..

– Byłeś dobry – powiedziała beznamiętnie, zsuwając się z niego – ale pozwoliłeś mi zbliżyć się do siebie. Paznokcie – machnęła mu nimi przed nosem. – Cyjanek, na koniuszkach. Jakieś dziesięć sekund.

Dymitr wziął gwałtowny wdech. Nie chciał umierać. Nigdy nie wierzył w Boga i był przekonany, że nic takiego nie istnieje, ale teraz, teraz już niczego nie był pewien. Nagle zaczął się bardzo bać. Walczył o haust powietrza. Lola–Olga poszła do łazienki zupełnie naga i po chwili wyszła, trzymając w dłoni jego nożyczki do paznokci. Pieczołowicie obcinała paznokcie, a jemu świat zatrzęsł się i zamazał przed oczami. Serce, zatrzymało się na ułamek sekundy, by potem znów z trudem się uaktywnić. Nie było antidotum.

Mimochodem spróbował jakiejś modlitwy – jakaś ogólna myśl, prośba o przebaczenie. Żałował. Zatoczył się i upadł. Świat zwolnił. Spojrzał na wzorzysty dywan – włókna stały się większe, były teraz bliżej jego oczu, drgały...

Poczuł ból. Umarł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Budynki plebanii znajdowały się na uboczu Via del Babuino. Nietypowy kościół był raczej nijaki: ładny, wiktoriański budynek w morzu otaczającej go przepięknej renesansowej i barokowej architektury.

Podobał się jej. Był taki anonimowy. Will sprawdził ulice, podczas gdy Melissa weszła do recepcji. Nikt ich nie śledził. Nie było ich tu, czekali na nich w okolicach uniwersytetu. Zadzwońnię dzwonkiem stojącym na niewielkiej półeczce, a gdy pojawiła się pracownica recepcji, Melissa wyjaśniła, że przyszła zobaczyć się z ojcem Gregorem.

Will stał tuż przy niej.

– Sprawdź, czy jest wolny – powiedziała kobieta.

Melissa stała z walącym sercem i spoconymi od adrenaliny dłońmi. Jakże dziwnie było spotkać kobietę w średnim wieku mówiącą z typowym angielskim akcentem. Nie słyszała go od momentu wejścia do Eurostara. To cała wieczność. Starła się zachować spokój, choć czuła, jakby całe jej życie zamarło w bezruchu. Kobieta odwróciła się bakiem i rozmawiała przez telefon.

– Kto chce z nim mówić? – odwróciła się do nich i spytała wesoło.

Melissa spojrzała na Willa, który wzruszył tylko ramionami.

– Melissa Elmet – odparł. – Proszę mu powiedzieć, że to córka profesora Richarda Elmeta.

Melissa zdrewniała. Oszalał? Teraz ich wyda? Położył jej dłoń na ramieniu, uspokajając ją. Spojrzał jej głęboko w oczy.

To był przyjaciel jej ojca; jeśli okaże się, że nie może im pomóc, to pewnie i tak już po nich. Nieistotne, czy wiedzieli. To już koniec.

Recepcjonistka przytaknęła uprzejmie i przekazała nazwisko. Nie spięła się przy tym, nie rozpoznała go. Melissa odetchnęła nieco. Może nie zawsze już tak będzie. Nie każdy człowiek na świecie jest zabójcą, zbirzem, albo szpiegiem. Niektórzy po prostu zajmowali się własnym życiem.

Starsza kobieta odwróciła się do nich ponownie.

– Już idzie. Proszę spocząć. Mamy tutaj czasopisma.

Melissa usiadła na kanapie. Czasopisma... powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu. Poczula się jak w poczekalni u dentysty, z tym że siedziała w dusznym Rzymie, próbując ocalić swoje życie, obok Willa Hyde'a, który na jej oczach zabił człowieka.

Will usiadł przy niej. Melissa starała się nie reagować. Co się z nią działo, co w nią wstąpiło? Sprawiał, że była tak pełna życia, tak kobieca. Najdrobniejszy dotyk, a ona już go pragnęła. To jak przebudzenie po odrętwieniu – fantazjowała i śniła o jego dotyku, wbrew swojej woli, ale on rozpraszał wszystkie jej czarne myśli – o niczym innym nie marzyła. To, co dzięki niemu czuła, niemal ją przerażało. Potrzebowała jego bliskości niczym światła słonecznego.

Wyciągnęła rękę. Will w milczeniu oplótł palcami jej dłoń i mocno ścisnął.

Był taki męski. Nie znała innego podobnego do niego mężczyzny. Oddałby za nią życie i zabił dla niej. Nic dziwnego, że przy nim miękły jej kolana.

Melissa nie chciała odstępować go ani na krok. Nagle poczuła przemożną chęć noszenia w sobie jego dziecka. Wciąż byli małżeństwem, przynajmniej przed Bogiem, a teraz wydało się to jej ogromnie istotne. Nigdy tego nie unieważniła, ale teraz to przecież nie ma znaczenia. Nie może narażać dziecka na takie niebezpieczeństwo.

Gapiała się na magazyn *The Economist*, wcale go nie czytając.

– Witam.

Melissa uniosła wzrok i zobaczyła patrzącego na nią starszego mężczyznę w szarym pulowerze i oliwkowych sztruksach. Miał też na sobie czarną koszulę z koloratką.

„Tradycjonalista – pomyślała. – Ojciec preferował takich pastorów”.

– Czy to ty jesteś córką sir Richarda?

Przestała już tak o sobie myśleć wiele lat temu. Wiedziała, że tuż obok niej siedzi Will Hyde. Will, któremu złamała serce z powodu swego ojca.

Wyprostowała się.

– Tak – odparła dumnie, spoglądając znacząco na Willa. Pod wieloma względami jej ojciec nie był dobrym człowiekiem, ale wciąż była z nim związana. On już nie żył, a ona nie zamierzała się go wyprzeć.

– Jestem ojciec Gregory – powiedział pastor – a to zapewne William.

Melissa cofnęła się, a Will poruszył, ale zaraz potem uśmiechnął się – pastor nie był głupi.

– Tak, ojciec – odparł. – Jak się ojciec miewa?

Ojciec Gregory patrzył to na jedno, to na drugie.

– Wydaje mi się, że nieco lepiej niż wy – powiedział. – Chodźcie na górę, chodźcie.

Komnaty proboszcza urządzone były raczej z przepychem, jak przystało na drogą dzielnicę w centrum Rzymu; było to duże mieszkanie o wysokim sklepieniu i zamkniętych okiennicach. Melissa zatęskniła nagle za domem, swoimi zaniedbanymi pokojami na Oksfordzie. Cofnęła się myślami do zamierzchłej przeszłości; wróciła fala wspomnień z dawnego życia.

– Napijcie się herbaty? – zapytał ojciec Gregory. – Siadajcie, proszę, siadajcie oboje.

– Ojczy – odezwał się Will – przejdę od razu do rzeczy.

Pastor usiadł na dużym, tapicerowanym fotelu i bacznie im się przyjrzał.

– Słucham, młody człowieku.

– Melissa jest moją żoną – powiedział Will.

Zadrżała, słysząc te słowa. Po raz pierwszy tak ją określił. Zrozumiała się ze szczęścia.

– Stało się to wbrew woli sir Richarda i oddaliło to od siebie ojca i córkę.

– Wiem o tym – powiedział cicho ojciec Gregory.

– Są ludzie... Jest bardzo wielu ludzi, którzy próbują nas zabić. Melissę i mnie. Głównie dlatego, że boją się, iż sir Richard dokonał pewnego odkrycia, a informacje o nim przekazał swojej córce.

– Zadzwoił do mnie z lotniska, wspomniiał o ojcu – odezwała się Melissa, patrząc duchownemu prosto w oczy. – Mój ojciec nie był wierzącym człowiekiem, więc zastanawiało mnie, jakież mógł mieć z ojcem związek.

Pastor nie powiedział ani słowa. Wstał bezszelestnie ze swojego fotela i podszedł do stojącej na przeciwnej ścianie półki z książkami. Pchnął ją, a ona odsunęła się, ukazując niewielki sejf.

– Pozostałość z czasów wojny – powiedział ojciec Gregory. – Mieszkał tu kiedyś katolicki ksiądz. Zbudował ten sejf by ukrywać przed nazistami konsekrowaną Eucharystię na potrzeby mszy świętych. Teraz trzymamy tu inne drogie rzeczy.

Sięgnął do środka i wydobyl czarną, metalową tabliczkę i niewielki stos papierów. Na samej górze leżała koperta. Podał wszystko Melissie i nakrył jej dłonie swoimi.

– Musisz mu wybaczyć – powiedział. – Pod koniec naprawdę się zmienił. Nawrócił się. I kochał cię, młoda damo. Kochał bardzo.

Melissa spojrzała na kopertę. Była podpisana znajomymi grymołami jej ojca.

Panna M. Elmet.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Cały tata. Nawet drżąc o własne życie, nie mógł darować sobie formalności.

Will stał obok biurka proboszcza. Nie pytając o zgodę, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. To naziemna linia, bezpieczniejsza niż wszystkie komórki. Mówił skupiony w jakimś języku, którego Melissa nie była w stanie nawet rozpoznać.

– Dialekt spokrewniony ze starożytnym hebrajskim – powiedział pastor, widząc jej zdumienie.

– Przepraszam... on naprawdę musi...

– Nie ma za co przepraszać – odparł. – Poznałem twojego ojca. Wierzę wam.

Will odłożył słuchawkę i usiadł przy niej. Trzęsły jej się ręce: trzymała w nich ostatnie pamiątki po ojcu.

– Dziękuję – powiedział Will. – Wiele ojciec ryzykował. Znikniemy, zanim przyciągniemy niepożądaną uwagę.

– Rozumiem – odparł starszy człowiek, a potem dodał, jakby mu się wyrwało niechcący. – Powie mi pan, co to jest, panie Hyde?

– Nie.

Melissa spojrzała na niego.

– My wiemy i depcze nam po piętach wielu zabójców. Gdy wszystko się wyda, zrozumie ojciec – Will przechylił się do przodu i powiedział. – Proszę nikomu o tym nie mówić, ojciec Gregory. Nigdy. Zemsta może być bardzo okrutna.

– Rozumiem – powiedział. Położył dłonie na głowie Melissy i mruzczał coś pod nosem.

– Co ojciec robi? – zapytał stanowczo Will.

– Modłę się – odparł spokojnie pastor. – Przyda się wam ob-ojgu.

Na ulicy Melissa trzymała się blisko Willa. Szedł z nią w kierunku Piazza di Spagna. Na miejscu zatrzymał się.

– Zaraz pojawi się tu pewien człowiek. Ma na imię Ari. Jest moim starym znajomym.

– Ari – powtórzyła.

– Pracuje dla Mossadu, stacjonuje w Rzymie i jest uzbrojony po zęby.

– OK.

– Zabierze cię do autobusu jadącego do Muzeów Watykańskich. Roi się tam od kieszonkowców, więc nie spuszczaaj oczu z tych rzeczy.

Melissa przytaknęła przerażona.

– Ari zabierze cię do samolotu, Missy i polecisz prosto do Tel Awiwu. On wie, co przewozisz. Zeskanujesz te dokumenty i umieścisz w Internecie.

– Nie znam się na tym – wyszeptała Melissa.

– Nie marudź. Umieść to na You Tube, sfilmuj kamerą video, prześlij strony, umieść w serwisie Flickr ³¹ i na stronie Google. Wszędzie. Wyślij zdjęcia e-mailem do BBC i *New York Timesa*. Nie zastanawiaj się, nie analizuj. Wyślij to wszędzie. Dosłownie wszędzie. Do tych waszych cholernych uczonych na Oksfordzie. Był jednym z nich.

³¹ Serwis internetowy do gromadzenia i udostępniania zdjęć (przyp. tłum.).

– Rozumiem – powiedziała, mając ochotę się rozplakać. Poprawka: ona już płakała; łzy ciekły jej po twarzy. – Rozpowszechnię to, a co z ogniwem?

– Ogniwo słoneczne daj Ariemu. Nikt nie będzie miał większej motywacji, by opublikować tę wieść, niż rząd Izraela. Nawet rząd Jej Królewskiej Mości.

– Dobrze – powiedziała Melissa, nie mogąc się powstrzymać i przywierając do niego. – Will – błagała – Will, nie opuszczaj mnie... nie...

Ujął jej twarz w obie dłonie, pocałował raz, drugi i kolejny. Uniosła się lekko, zakochana, tak strasznie w nim zakochana.

– Tylko ciebie kocham – powiedział – ale oni zabili Oliwię. Jestem jej to winien, Missy. Jestem jej winien zemstę.

Skinęła głową i wytarła wierzchem dłoni łzy wypełniające jej oczy.

– Nie chcę, byś odjeżdżał – chwyciła go za dłoń i pocałowała ją rozpaczliwie. – Kocham cię, Will. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Nie zaznamy spokoju, dopóki nie zabiję tego, kto za tym wszystkim stoi – powiedział.

– Ale ci inni...

– Nie wiedzą wiele, mają wrywkowe informacje. Udzielenie im wszystkich informacji świadczyłoby źle o całej misji. Tylko jeden człowiek wie wszystko. Musi zginąć. I ta kobieta, która zabiła Olivię. Nazywa się Lola Montoya, a ja wiem, jak ona pracuje. Jeśli pozwolę jej ujść z życiem, nie przestanie nas ścigać.

Melissa zadrzała i wzięła głęboki wdech. Miała czerwone oczy, ale starała się powstrzymać łzy. Może zostać zastrzelony, prawdopodobnie zostanie, a ona nie pozwoli, by zapamiętał ją jako żałosną, płaczącą kobietę.

– Jesteś odważnym człowiekiem, Williamie – powiedziała. – Uratowałeś mi życie. Jesteś moim mężem. Kocham cię, zawsze kochałam i zawsze będę kochać. Kiedyś pozwoliłam ci odejść, bo się bałam. Dam sobie radę. Już nie chcę się bać.

– Moja Melissa – powiedział. – Przemierzyłem cały świat, by cię zdobyć. Niech ci się nie wydaje, że pozwolę ci teraz odejść.

Zbliżył się i dotknął ustami jej warg, a ona już płonęła. Przysunęła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję...

– Hej – odezwał się głos.

Melissa cofnęła się. Zobaczyła dokładnie ogolonego, młodego mężczyznę w eleganckich, amerykańskich ciuchach. Skinął głową do Willa.

– Melissa? Jestem Ari.

– Cześć, Ari – wzięła się w garść.

Will spojrzął na nią, jakby nie chciał pozwolić jej odejść, a w niej zamarło serce, rozłamało się niczym lodowiec.

Chwyliła jego dłoń i odezwała się cichym, nagłym głosem.

– Zabili nie tylko Olivię – powiedziała. – Zabili mojego ojca. Zabili Frasera. Zabili Moirę Dunwoody, Davida Fella i Ellen Jospin. I próbowali zabić ciebie. Umieszczę te informacje wszędzie. Spełni się ich największy koszmar. A gdy już wszystko się wyda, będą musieli mieć się na baczności.

Will pocałował ją delikatnie.

– Moja dziewczyna – powiedział.

Kiwnęła na przeciętnie wyglądającego młodego człowieka.

– Chodźmy – powiedziała.

– Oczywiście – odrzekł, stając obok niej.

Melissa odeszła od Willa, jak mogła najszybciej, starając się nie rozplakać. Może to właśnie tak wyglądał jego świat. Wzywało ją pismo ojca na kopercie.

Chciał, by świat się dowiedział, a ona dopilnuje, żeby tak się stało.

Will Hyde szedł spokojnie ulicami, zachowując się zupełnie normalnie, wałęsając się między uliczkami i budynkami. Bawił się miastem, zwiedził, ale był coraz bliżej i bliżej. Jego miłość, Melissa, była bezpieczna, a on zaczynał polowanie.

Dom profesora Elmeta znajdował się przy Via Calandrelli, a oni z pewnością będą tam na nich czekać, przy wszystkich okolicznych ulicach. Zaszedł ich od tyłu, przecinając miasto od drugiej

strony, aż do Via Ugo Bassi – z dala od nich, dużo dalej niż sam ustawiłby swoich ostatnich strażników. Gdzieś tu musiał być zwierzchnik Loli i sama Lola. Poruszał się powoli z naciągniętą na okulary słoneczne czapeczką i jednorazowym aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi. Była tu. Czuł to.

Przeleciał wzrokiem okna hoteli i pensjonatów, szukając jej, chociaż wiedział, że to daremne działanie.

Była niżej, przechadzała się ulicami, zupełnie jak on. Tak podpowiadała mu intuicja. Nie liczyło się teraz nic więcej – tylko ona i on.

Już czas.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Latem Uniwersytet Amerykański w Rzymie otaczały bujnie zielone drzewa. Był to rzucający się w oczy nowoczesny budynek we włoskim stylu – czerwony u dołu i żółty u góry. Wszędzie było mnóstwo studentów. Jednak niektórzy z nich byli zabójcami.

Will Hyde rozglądał się dookoła, zachowując pozory normalności, i szedł dalej. Wtedy ją zobaczył.

Była daleko poza strefą. Krążyła na obrzeżach. Miała ze sobą plecak, być może wypełniony materiałami wybuchowymi bądź granatami, lekką, wiosenną kurtkę, bermudy, sandały, koszulkę. Mogłaby uchodzić za dwudziestopięcioletką, absolwentkę. Przechadzała się jakieś cztery przecznice od miejsca, gdzie sam umieściłby swoich ludzi.

„Sprytna – pomyślał – sprytna. Ale niewystarczająco. Gdzie jest ten mężczyzna? – zastanawiał się. – Gdzie jej zwierzchnik? Muszę go zabić”.

Will szedł swobodnie dalej, starając się ukryć za drzewem. Chyba zawahał się na moment. Zauważyła go kątem oka, była wyjątkowa. Odwróciła się i ujrzał dwoje wpatrzonych w siebie brązowych oczu.

Była niesłychanie piękną kobietą. Omiótł spojrzeniem jej ciało o kształtach klepsydry.

Przeciągnęła się ospale jak kot i uśmiechnęła.

Will sięgnął do spodni, kładąc dłoń na broni, choć nie zamierzał strzelać. Widział, jak rozgląda się, szukając Melissy.

Ruszył naprzód, w jej stronę, jednocześnie cały czas zapewniając sobie schronienie. Odpowiedział uśmiechem.

Lola potrzebowała chwili, by dojść do siebie, ale tylko chwili. On tam był. Szokiem było zobaczyć Willa Hyde'a. Nie był zwykłym celem. Był jednym z nich. Pojawił się za jej plecami w pozycji łowcy.

Kobiety z nim nie było.

Może już nie żyła, a on szukał zemsty. Miała nadzieję, że to jednak nieprawda. To ona ma zdjąć Melisę Elmet.

Uśmiechnęła się do Willa. Zajął jej to znacznie więcej czasu, niż z jakimkolwiek innym celem. Był doprawdy fantastyczną zwierzyną. Mało brakowało, a zmarnowałyby tę szansę. Jej reputacja stanie się legendą. Will Hyde z MI6. Dymitr Pietrenko. Żaden zamachowiec nie miał na koncie takiego podwójnego strzału, przynajmniej nie w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a ona w dodatku była kobietą.

Był uzbrojony. Niezwykle niebezpieczny. Legendarny strzelec, lepszy od niej. Lola postanowiła pozwolić mu się zbliżyć, tak blisko, jak zbliżył się Dymitr. Tym razem miała coś więcej niż ostre paznokcie z cyjankiem; te już dawno spuściła w toalecie pokoju hotelowego tego martwego mężczyzny. Była całkiem dumna ze swojej pomysłowości; jeszcze kiedyś to wypróbuje. Słabościami Dymitra były żądza i próżność. Will Hyde też był pożądlivy, ale miał jeszcze jedną, większą słabość.

„Był dobrym chłopakiem, szarmanckim – pomyślała z lekką pogardą. – Ryzykował swoją fortunę i życie dla tej nudnej Brytyjki. Mnie może co najwyżej próbować schwytać i wsadzić do więzienia”.

Czekała na niego, odwróciła się i wsunęła do kieszeni pierścienek Olivii Wharton. Jego dłoń spoczywała na broni.

„Jest taki przystojny – pomyślała – znów świeżo ogolony, z twarzą opaloną w trakcie ucieczki. A gdzie dziewczyna? W jakiejś kawalerce, śpiąca w samochodzie, kuląca się ze strachu w hotelu? To ona była główną ofiarą”.

Pieprzenie się z Dymitrem było niezłe, ale ten Anglik... to zupełnie inna liga.

Nie wiedziała, czy powinna go zabijać. Gdyby dało się go zmusić, by z nią poszedł, mogłoby być ciekawie. To Melissa była jej podstawowym celem. Lola mogła dostarczyć Melissę i uciec do Brazylii z Willem Hyde'em. W Ameryce nic go nie trzymało. Był też zbyt dobry, by wrócić do życia bankowca. Może mogliby przeprowadzać operacje razem...

Jeśli zechce współpracować. Lola wyprostowała się, gdy się do niej zbliżył. Chciała wydać mu się atrakcyjna. Omiótł ją wzrokiem. Wydawało się jej, że spodobał mu się ten widok. A właściwie dlaczego miałoby być inaczej? Była piękna, wiedziała, że była piękna.

– Will Hyde – powiedział.

– Lola Montoya.

Hyde skinął delikatnie głową, by poszła z nim w kierunku, z którego przybył – poza strefę poszukiwań, z dala od obserwatorów Dymitra. Szła tuż obok, blisko niego.

– Jakie jest twoje prawdziwe imię? – zapytał swobodnym tonem.

Uśmiechnęła się.

– Nie chcesz wiedzieć, prawda?

Oczywiście, że nie; poznanie jej prawdziwego imienia oznaczałoby wstęp do jego śmierci. Wiedział o tym. Nie wyjawiała mu go, czym zdobyła choć odrobinę jego zaufania.

– Jesteś wyjątkowo dobra – powiedział. – Znam część twoich dokonań.

Odrzuciła włosy. To był miły komplement. Od niego warto było usłyszeć coś takiego.

– Mało wiesz. Większość moich akcji nie wychodzi na jaw. To moja cena.

– My ci się wymykaliśmy.

– Do tej pory – rozejrzała się dookoła, sprawdzając teren. – Gdzie twoja podopieczna?

– Tu jej nie ma.

– Kochasz ją? – spytała Lola. Chciała to wiedzieć. To ważne.

– Bardzo lubię – wzruszył ramionami.

– Błąd – odparła Lola. – Nie trzyma się z cywilami. Najlepsi z naszej branży nigdy się z nimi nie wiążą.

– Zawsze łatwiej bez komplikacji – zgodził się Will.

Przeszli właśnie koło szpitala i znajdowali się na nowoczesnych przedmieściach; duże, kwadratowe bloki mieszkalne, szeroka droga, Via Quirino Majorana.

– Kto cię do tego wynajął?

– Nie wygłupiaj się.

Skinął głową.

– W takim razie, kto jest twoim zwierzchnikiem?

Postanowiła mu powiedzieć.

– Dymitr Pietrenko – chciała, by wiedział, kiedy wyjdzie na jaw jej zwycięstwo. Cóż to byłaby za chwala, gdyby nie mógł docenić jej nikt z branży.

– Zabiję go – powiedział Will Hyde poważnie.
– Możesz spróbować – obejrzała się i spojrzała na niego. – Próbował pogrywać ze mną w sposób, którego nie lubię. Zawsze pracuję sama. Jestem w tym dobra – spuściła wzrok, jakby było jej trudno mówić. – W Nowym Jorku zabił twoją narzeczoną.

Hyde zeszywniał, widziała, jak zaciska palce.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zapytał. – Wie, że nie ma żadnego związku z ogniwem słonecznym. Była zwykłą dziewczyną.

– Żeby ci pokazać, że ukaże cię, jeśli nadal będziesz przeciwstawiał się jego klientom – Lola nie próbowała okazywać współczucia; nigdy by tego nie kupił. – Ja bym tego nie zrobiła. Nigdy nie zdejmuję się więcej ludzi niż potrzeba. To przejaw słabości i niedbalstwa.

– Interesująca z ciebie kobieta – powiedział.

Doszli do przystanku autobusowego. Rzymskie powietrze drżało i marszczyło się od upału. Ulica była zakurzona, nieopodal znajdowała się ławka. Will wskazał ręką, by usiadła.

Siadła blisko niego. Podobało jej się to.

– Gdy miałam trzynaście lat, mieszkałam na pograniczu Finlandii i Rosji – powiedziała, patrząc przed siebie. – Mój ojciec, zmarł podczas pracy, wypadek w fabryce. Vloja matka była pijaczką. Sprzedała mnie jakimś ludziom, którzy przemycili mnie do burdelu w Serbii.

– Przykro mi – powiedział cicho Will.

– Nauczyło mnie to cierpliwości. Spędziłam tam rok, leżąc na wznak, szukając broni, planując, studiując drogi ucieczki. Aż w końcu się wydostałam; zabiłam dwóch, potem trochę ćwiczyłam i wróciłam po resztę. Dopadłam wszystkich, jednego po drugim –

wyprostowała się. – Zabiłam też inne dziewczyny, ale zrobiłam to szybko. Myślały, że je ratuję, więc niczego się nie obawiały. Zszokowany?

Spojrzał na nią z góry.

– Wiedziały, kim jesteś – odparł. – Znały twoje pochodzenie, prawdziwe imię.

– Właśnie. Nie miałam wyboru. To była czysta robota. Ale tamci, ich śmierć, to już nie była czysta robota – spoważniała. – Nimi zajmowałam się pomału.

– Nie wątpię – powiedział Will. – Wróciłaś zabić też swoją matkę?

Lola wzruszyła ramionami.

– A po co? Zrobiła to za mnie wódka. A potem odkryłam to, w czym byłam naprawdę dobra. Dało mi to siłę, jakiej nie znałam wcześniej – spojrzała na niego. – Może zostawisz tę dziewczynę i wyjedziesz ze mną? Możemy stworzyć zespół. Nic jej nie jesteś winien.

Miał kamienne spojrzenie.

– Nie możesz wrócić do bankowości – kontynuowała. – Wszystko zniszczyli. A poza tym jesteś taki jak ja. Jesteś do tego stworzony. Czytałam twoje papiery.

– Może – powiedział. – Może.

– Jeśli chcesz, możemy ich dopaść – powiedziała. – Klient zawsze może stać się celem.

– A Dymitr? – spytał.

– Jego też – odparła, być może odrobinę zbyt szybko.

Gapił się przez chwilę na ruch na ulicy. Przyglądała mu się. Wydawało się, że się zastanawia. Widziała to po sposobie, w jaki rozluźniło się jego ciało – był tutaj, na tej zakurzonej ulicy na przedmieściach miasta, a pewien rozdział jego życia właśnie dobiegał końca.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało cię w dzieciństwie – powiedział cicho.

Wyciągnął prawą dłoń, w którą ona wsunęła swoją lewą niemal z niedowierzaniem. Lubił ją. Pragnął jej. Była tak zadowolona, podekscytowana. Może, tylko być może, zacznie się dla niej coś nowego. Wypuściła powietrze, ledwo mogąc w to wszystko uwierzyć. A może – czemu nie? Nowe życie, gdzieś w ukryciu, w jakimś zapomnianym miejscu, gdzie nigdy jej nie znajdą. Również w jej życiu mógł skończyć się jakiś etap. Może już czas wyciszyć wściekłość. Dymitr Pietrenko będzie jej ostatnią ofiarą.

– Posunęłaś się zbyt daleko – powiedział. – Jesteś psychopatką zabijającą dla pieniędzy. I dla zabawy. Zabiłaś Olivię.

Krew zmroziła się w jej żyłach. Łagodna satysfakcja właśnie z niej ulatywała. Niech to szlag, trzymał ją za nadgarstek. Był silny. Miał stalowy uchwyt.

– Dymitr ją zabił – starała się ukryć strach.

– To w twoim stylu. A poza tym – spojrzał na jej delikatne, różowe palce rozczapierzone w jego uścisku – to wgłębienie pasuje do jej pierścionka. Miał wygrawerowane jej imię.

Spojrzała przerażona. Na skórze tuż nad dłonią widać było delikatne ślady liter, drobne wgniecenia.

Szarpnęła nagle nadgarstkiem, próbując się wyswobodzić. Typowy odruch, ale mógł się powieść, jeśli napastnik da się zaskoczyć.

Will Hyde zaskoczyć się nie dał. Utrzymał jej nadgarstek i przycisnął mocno łokciem jej ramię

Wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. Złamał jej rękę.

Po sekundzie przeszył ją ból.

– Nie zabijaj mnie – błagała. – Jestem kobietą. Zabijesz bezbronną kobietę...

Puścił. Prawa ręka Loli opadła na jej lewą nogę. Szarpnęła, sztuczna skóra zsunęła się i ukazał się długi drut zakończony lateksową torebką wypełnioną rycyną. Zapasowa broń na Dymitra. Warknąwszy z bólu, złości i poirytowania zamachnęła się na Willa Hyde'a, spodziewając się, że ten się przewróci, zachwieje.

On jednak odepchnął ręką jej ostro zakończoną broń, która utkwiała w jego marynarce. Od skóry dzieliły ją milimetry, ale ostrze utkwilo tylko w materiale. Lola szamotała się, by wstać, ale on już trzymał ją za głowę, lewa dłoń na jej uchu...

Totalnie przerażona, krzyknęła.

– Nie! Nie zabijaj...

Skręcił jej kark, przekręcając głowę w jedną stronę. Na ulicy zatrzymali się ludzie. Lola widziała, jak gapią się i wskazują palcami. Wiedziała już – to koniec. Świat pogrzyżył się w czerni.

Will wstał powoli. Wyciągnął drut z marynarki i wyrzucił go do studzienki kanalizacyjnej. Po drugiej stronie ulicy ludzie krzyczeli i wskazywali go palcami.

– *La ha danneggiata. Penso che la abbia uccisa!* – wrzeszczała gruba kobieta odziana w czarną sukienkę.

Jakiś mężczyzna wyłonił się z tłumu, przyciskając komórkę do ucha. Inny, młodziutki chłopak, krzyczał, wskazując na Willa.

– *Vada a prendere la polizia!*

Will zdjął marynarkę i rzucił ją na ciało Loli Montoi, po czym ruszył biegiem, a właściwie lekkim truchtem w stronę terenu szpitala.

Tam łatwo będzie się zgubić. Może też ukraść samochód. Czas jechać na lotnisko. Ona najwyraźniej załatwiła już Dymitra Pietrenkę.

Nie był z siebie dumny, ale też nie żałował tego, co zrobił. Lola Montoya nie umiała się powstrzymać – zostawiając ją przy życiu, skazywałby innych na śmierć. Poza tym krew Olivii i jej strach przemawiały przeciwko litości.

Znał Dymitra Pietrenkę, i to dobrze go znał. Łatwo będzie dotrzeć do listy jego klientów. Być może Will ją upubliczni – jeszcze nie zdecydował. Pierwszą rzeczą, którą musi teraz zrobić, to opuścić to miasto i dotrzeć do Tel Awiwu. Ruszy na południe, do Neapolu, cudnej złodziejskiej meliny, a stamtąd do Puglia, gdzie wyczarteruje niewielką łódź do Afryki. Z Casablanki nikt go już nie wytropi.

Ujawni się dopiero za jakiś tydzień. Wszyscy żołnierze i dobrzy strzelcy byli teraz w centrum miasta. Był przekonany, że Melissa jest bezpieczna. Dopóki ktoś nie odnajdzie Dymitra i Loli martwych, ośmiornica nie miała ani głowy, ani oczu – będzie się miotać bez skutku.

Will posłuży jako przynęta, zwabi ich do siebie. Tu użyje paszportu, tam karty kredytowej, gdzie indziej pojawi się na nagraniach z monitoringu. Doprowadzi ich bliżej i bliżej, odciągnie od Melissy. Teraz to ona jest najważniejsza przez tych kilka dni, aby zdołała rozpowszechnić tajemnicę sir Richarda. By odmienić świat.

Zrobi to doskonale. Oczywiście będzie przerażona, sądząc, że zginął, a on nie będzie w stanie się z nią w żaden sposób skontaktować, dopóki jej nie odnajdzie. Nie będzie ryzykował. Gdyby się

do niej odezwał, mogliby ją namierzyć i odnaleźć podczas jego nieobecności. Musiałaby przechodzić męki.

„Boże – pomyślał – jak daleko już zabrnęliśmy. Jak bardzo ją kocham, bardziej niż siebie samego, niż własne życie”.

Był z niej tak nieprawdopodobnie dumny. Sama myśl o tym, że spędzą resztę życia razem, przepelniała jego serce bezgraniczną radością.

Chwilowy smutek nie pozwoli jej zaniedbać ich misji. Melissa, jego żona, jego miłość, wykona to, co do niej należy. Rozpowszechni tę informację.

Była w tym dobra.

EPILOG

Melissa Elmet dotarła bezpiecznie do Izraela. Nie potrzebowała paszportu – po wylądowaniu czekała na nią rządowa delegacja. Do bazy wojskowej w Jeruzalem przewiózł ją konwój opancerzonych wozów z dziesięcioma żołnierzami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Otrzymała dostęp do rządowego komputera i pozwolono jej zachować papiery.

Żołnierze zabrali jedynie ogniwo słoneczne, ale sama i tak niewiele mogłaby z nim zdziałać.

Nie miała żadnych wiadomości od Willa. Otworzyła dokumenty ojca i umieściła je w Internecie. Poprosiła o skaner i aparat, a wojsko natychmiast dostarczyło wszystko, czego potrzebowała. Melissa rozpowszechniała informacje wszędzie, gdzie się dało. Miała się przynajmniej czym zająć przez te długie dni, gdy serce szalało z rozpacz. Nie martwiła się ujawnianiem informacji – nie ma bardziej niewykrywalnego sprzętu niż izraelski komputer wojskowy.

Sypiała sama, bez niego i ogromnie za nim tęskniła. Strach nie opuszczał jej ani na chwilę. W ciągu dnia ćwiczyła, jadła i wracała do komputera.

Czwartego dnia było już o tym głośno. Izraelski minister do spraw wewnętrznych wystąpił na żywo w CNN, na ulicach pojawił

się chrysler jeep z zamontowanymi na dachu panelami słonecznymi.

– Przełomem było wprowadzenie w Izraelu elektrycznych samochodów – triumfował. – Teraz nie będziemy potrzebować nawet terminali do ładowania. Można tego używać wszędzie na świecie. Genialny wynalazek izraelskich naukowców.

Izraelskich naukowców? Melissa oderwała się na chwilę od rozterek przepelniających jej serce i poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Jednak wieczorem pojawił się u niej Ari i wyjaśnił, że to standardowe zachowanie.

– Jeśli tamci będą sądzić, że jest to wynalazek twojego ojca, mogą nie przestać cię szukać. Teraz całą winę przelano na nas.

Przytaknęła z załzawionymi oczami.

– A kto wie, że to był on?

– Ty. Will. Ja. Może jeszcze jakieś pięć osób – Ari poklepał ją po kolanie. – I to wystarczy, Melisso. On nie żyje, nie potrzebuje sławy. Wolałby raczej, żebyś była bezpieczna.

List ojca miała zawsze przy sobie i nie mogła się zdobyć na jego otwarcie. Gdy to w końcu nastąpi, nie pozostanie już nic, co mogłoby ją z nim połączyć.

Jednak wieczorem, piątego dnia, gdy oglądała wiadomości na komputerze, widziała globalny chaos spowodowany spadkiem cen ropy, triumf działaczy na rzecz ochrony środowiska, zamieszki w Jeddah, powstanie w Nadrah i obalenie tamtejszego sułtana, Melissa podjęła wreszcie decyzję. Musiała wiedzieć, co chciał powiedzieć jej ojciec. Straciła go i straciła też Willa, ale nie mogła zacząć wszystkiego od nowa, sama, pomijając etap oplakiwania ich.

Wyłączyła komputer i usiadła na swoim jednoosobowym łóżku. Przy otwieraniu koperty serce jej mocno waliło. W środku znalazła poskładaną kartę niebieskawego papieru – prywatna papieteria ojca. Na kartce było zaledwie kilka słów napisanych na komputerze, a pod nimi nabazgrany jego podpis.

Moja droga Melisso,

mam nadzieję, że nigdy nie przeczytasz tego listu; a jeśli stanie się inaczej, będzie to oznaczało, że jednak zaczęli Cię ścigać, a Ty dowiedziałaś się, czego szukali. Jeśli Ci się uda, przekaz to Williamowi Hyde'owi. Mieszka teraz w Nowym Jorku, gdzie odniósł znaczny sukces. Mam przeczucie, że będzie wiedział, co z tym zrobić.

Przepraszam, że próbowałem kontrolować Cię, gdy byłaś małą dziewczynką. To moja przywara. Przepraszam, że nie spędzałem więcej czasu z Tobą i Twoją matką. W zasadzie to przepraszam cię za wiele rzeczy. Mnie może już nie być, gdy będziesz to czytać, ale to nie powód, by być cikliwym. Znajdź kogoś, kogo będziesz mogła pokochać i wyjdź za niego; albo żyj sama i bądź tak szczęśliwa, jak to tylko możliwe. W takich chwilach dociera do mnie, że tylko to się liczy.

Jeśli nadal kochasz Hyde'a, wyjdź za niego, jeśli się zgodzi. Nie powinienem był się wtrącać.

Postaraj się myśleć o mnie dobrze. Kocham Cię i zawsze kochałem.

Podpisał się jako „Tatus”.

Melissa ostrożnie odłożyła list na łóżko i zapłakała. Płakała, dopóki starczyło jej łez. Wyczerpana bólem i pokuciem straty – zasnęła.

Gdy się obudziła, zrozumiała, że właśnie mija dziesięć dni, odkąd Will zostawił ją na Schodach Hiszpańskich. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy – on nie wróci.

Wezwała Ariego i poprosiła o pomoc. Potrzebowała nowej tożsamości i możliwości pozostania w Izraelu. To najbezpieczniejszy kraj na świecie. Współczuł jej bardzo i zaproponował różne rozwiązania. Powiedział, że rząd izraelski jest jej niezwykle wdzięczny. Zapewni ją jej wszystko: państwową pensję, państwową rentę, pracę biurową.

Poprosiła o miejsce na uniwersytecie. To wszystko, co potrafiła. Dostanie stypendium naukowe i przekwalifikuje się, zajmie zabytkami. Zostanie archeologiem. Być może da się w ten sposób uśmierzyć ból; kojąca miłość do przeszłości, praca na wolnym powietrzu, w palącym słońcu, blisko uroków śmierci i historii.

Jak na ironię już kiedyś o tym rozmyślała, wieki temu, zanim głos Willa w słuchawce nie wywrócił jej świata do góry nogami. Zanim zagoiło się jej serce. Teraz znów się rozpadło, i to rozpadło na dobre.

Ari obiecał, że zobaczy, co da się zrobić. Było miejsce w Tel Awiwie. Czy zgodzi się przenieść?

Melissa przytaknęła beznamiętnie. Tak. Dziękuję.

O świcie zabierze ją stąd żołnierz w wojskowym jeepie. Najlepiej wyjechać z bazy bez świadków.

Przytaknęła. Nic nie miało już znaczenia. W porządku, zgadza się na wszystko. Życie i tak nie miało już zbytniego sensu.

Zebrała wszystkie swoje rzeczy do małej torebki, którą wrzuciła do plecaka. Miała jakieś przybory toaletowe, podstawowe ubrania i kopertę z trzydziestoma pięcioma tysiącami szekli w gotówce.

– Wystarczy, by przetrwać pierwszy miesiąc – powiedział Ari
– a potem będzie więcej.

Obudziła ją kadetka. Melissa zeszła po schodach. W ciemnościach czekał już na nią samochód z włączonym silnikiem. Widziała kierowcę w okularach przeciwsłonecznych i dużej wojskowej czapce. Melissa bez słowa wsiadła na tylne siedzenie; nadal nie mówiła po hebrajsku. Jeep ruszył w stronę bramy, a Melissa zniżyła głowę.

Strażnicy zasalutowali, samochód minął stróżówkę i wyjechał na drogę.

– Mówisz po angielsku? – spytała po paru minutach.

Kierowca obejrzał się i uśmiechnął.

– Oczywiście – odparł.

To był Will.

Melissa otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale tylko parsknęła i wzięła głęboki wdech. Rzuciła się do przodu i objęła jego szyję, obrzucając ją pocałunkami.

– Ostrożnie, skarbie, zabijesz nas – powiedział, kierując jeepa z dala od głównej drogi w małą uliczkę.

– Nie odezwałeś się! Nie powiedziałeś mi! – wykrztusiła.

Serce szalało z radości, nieprawdopodobnie ogromnej radości. Wrócił i był tu z nią, a ona go kochała, uwielbiała.

– Nie zadzwoniłeś...

– Nie mogłem. Śledzili mnie. Ci, którzy zostali. W okolicach Malty mój trop zwietrzał.

– Gdzie teraz uciekamy? – zadrżała.

– Nigdzie – odpowiedział. – Ty i ja wracamy do domu.

– Do domu? – zapytała i po raz pierwszy jej twarz rozjaśniła się. – Boże, Will, ja nawet nie wiem, czy nadal mam jakiś dom. Czy mogę mieć. Mój ojciec nie żyje.

– Rozumiem, Missy – przytaknął.
– Czyżby? – odparła – Zastanawiam się, czy możesz to rozumieć, Will.

– Oj, tak – odpowiedział stanowczo. – Twój ojciec nie żyje od roku, ale teraz czujesz, że dopiero zaczęłaś go poznawać. Jego już nie ma, nie ma twojej matki i twojego kraju. A ty zastanawiasz się, czy kiedykolwiek będziesz jeszcze mogła spokojnie spać. Czy będziesz mogła nie oglądać się za siebie.

Patrzyła na niego, jak, mówiąc, nie spuszcza drogi z oczu.

– Skąd wiesz? – wyszeptwała. – Czasami mnie przerażasz, Will. Jakbyś siedział w mojej głowie.

Uśmiechnął się delikatnie.

– Nie, mamy teraz wspólną głowę.

– Czyli?

– Czyli myślisz teraz jak agent, Missy. Masz takie same obawy jak my wszyscy. Każdy agent na świecie ma te same koszmary. Takie życie – pokiwał głową. – To właśnie dlatego oni tak usilnie starają się stworzyć profil psychologiczny, zanim kogośkolwiek zwerbują. Przeciętniacy nie dają rady.

– Więc ja nie jestem przeciętna?

– Dzięki Bogu, nie.

Oparła głowę na siedzeniu samochodu, rozmyślając o tym, co powiedział.

– W takim razie, co z nami będzie, kochanie? Czy możemy wprowadzić w to wszystko dzieci? Rozluźnić się? Czy też zawsze będziemy uciekać?

Zatrzymał jeepa na poboczu drogi, wysiadł, obszedł auto i otworzył jej drzwi. Miała oczy pełne łez.

– Przejdź się ze mną – powiedział Will.

Melissa podała mu rękę. Wokół było gorąco, wszędzie pełno kurzu, ale mimo to było ładnie, pomyślała o historiach biblijnych, które słyszała w dzieciństwie.

– Podoba ci się Izrael?

– Tak – przytaknęła.

– To zacznij myśleć o nim jak o domu. Posłuchaj, mimo wszelkich obaw, większość agentów niezdejtých podczas misji umiera cicho we własnych łózkach. Zabójstwa w akcie zemsty to rzadkość. Większość graczy, którzy naprawdę coś znaczą, zajmuje się aktualnymi sprawami, jakiegolwiek by one nie były. Jest kilka czynników działających na naszą korzyść.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała Melissa; chciała w to wierzyć, okropnie chciała w to wierzyć.

Gdy patrzyła na Willa Hyde'a, jej serce przepelniała najczystsza miłość. Nie zagłaskiwał jej frazesami. Rozprawiał się z problemem, z jej obawami, i proponował jej logiczne myślenie. Szanował jej inteligencję; kochała go za to. Wyłożył wszystko jasno jak człowiek, który nie ma czasu na gierki.

– Izrael to kraj będący celem nieustających ataków, a zatem mający najlepsze zabezpieczenia na świecie. Mają doświadczenie w ukrywaniu agentów przed wieloma krajami i czyhającymi na ich życie organizacjami terrorystycznymi. Szczerze mówiąc, nie ma dla ciebie bezpieczniejszego miejsca na świecie.

– OK – powiedziała.

– Po drugie, ci, którzy nas ścigali, teraz sami są ścigani. Znam większość ich nazwisk. Będą niezwykle zajęci dbaniem o własne

życie. Będą chować się po jaskiniach, a nie zajmować się szukaniem nas. Po trzecie, nasz trop już zwietrzył. Sądzą, że nie żyjemy. Nasze nowe tożsamości ustalono w Tel Awiwie przy użyciu kodu, którego nie są w stanie złamać, ani nawet nie będą próbowali tego zrobić – Will odwrócił ją w swoją stronę, trzymając ją silnymi rękoma za ramiona. Pocałował ją w usta tak mocno i długo, dopóki jej ciało nie poddało się. – Melisso, rzecz w tym, że jesteśmy tu bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej. Mamy wielkie szanse, ale nie ma, nie ma żadnej gwarancji. Musisz nauczyć się żyć bez niej, albo oddać im zwycięstwo. Ja nie jestem na to gotowy. A ty?

– Pewnie, że nie – roześmiała się głośno.

– Odrobina niebezpieczeństwa jest jak szczypta przyprawy.

– Zawsze optymistyczny – powiedziała, czując jak strach i ucisk w żołądku zastępuje szczerą radość; była z Willem, byli bezpieczni, czeka ich życie i to wspaniałe życie.

– Czyli jesteś gotowa zacząć pracę bibliotekarki lub kogoś podobnego? Jakiś mały, przytulny bliźniaczy domek na przedmieściach?

Will otworzył oczy i roześmiał się.

– Co? – zapytała Melissa.

– To nie jest życie dla ciebie – powiedział. – Myślisz, że bym ci na to pozwolił? Mam willę w Ramat Aviv. Jest ogromna, naphana wojskowymi ochroniarzami, z basenem i pięknymi ogrodami...

Melissa zamrugnęła ze zdziwienia oczami.

– Myślałam, że nie masz żadnych pieniędzy.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Wiem, jak ukrywać swoje pieniądze, skarbie. Nadal mam dostęp do ponad dwustu milionów dolarów.

– Żartujesz.

– A rząd amerykański będzie stopniowo przenosił, ile się da, pod moją nową tożsamość. Izraelczycy poinformowali ich o tym, co się stało. Wiedzą, że nie zabiłem Olivii.

Melissa wypuściła powietrze.

– Ale ta kobieta...

– Ona nie żyje, Missy. Jej zwierzchnik też. Podobnie jak piętnastu ich najlepszych ludzi – westchnął. – Ich klienci mają teraz nieco więcej zmartwień. Przerażeni ludzie, zrujnowani bogacze. Większość osób, które mogłyby nas z tym powiązać, zginie w ciągu następnych sześciu miesięcy.

– Czyli jesteśmy bezpieczni? – odetchnęła – Bezpieczni na tyle, że zamieszkamy w willi?

– Pobierzemy się raz jeszcze, legalnie. Będziemy mieć dziecko. Dwoje dzieci. Jesteśmy aż tak bezpieczni. Zagrożenie jest zawsze, ale poradzimy sobie z tym.

– Kocham cię – powiedziała i rozpląkała się, gdy wrócili do jeepa.

– To dobrze – odparł, naciskając na gaz – bo teraz zostajesz ze mną. I nie ma dla nas ucieczki, nie ma powrotu.

– Zatrzymaj się – powiedziała Melissa; była rozpalona i podniecona, nie dotykał jej od tygodni. – Zatrzymaj się.

Will zerknął na nią i uśmiechał się.

– Nienasycona – skomentował.

– Tego nie wiem – odpowiedziała. – Sprawdźmy, to się przekonamy.

Uśmiechnął się i zatrzymał jeepa na poboczu. Przedostał się na tylne siedzenie i wziął Melisę w ramiona – jego żonę, jego namiętność. Całował ją po szyi i karku.

Całował tak, jakby miał nigdy nie przestać.